

STANISŁAW LEM

KSIEGA ROBOTÓW

PRZEDMOWA

Przedstawiając Czytelnikowi wybrany fragment Dzienników gwiazdowych Ijona Tichego, Wydawca nie będzie marnował atramentu dla opisywania cnót tego podróżnika, którego imię znają obie czasy Drogi Mlecznej. Słynny gwiazdokraźca, kapitan dalekiej żeglugi galaktycznej, łowca meteorów i komet, niestrudzony badacz i odkrywca osiemdziesięciu tysięcy trzech globów, doktor h.c. uniwersytetów Obojga Niedźwiedzic, członek Towarzystwa Opieki nad Małymi Planetami i wielu innych towarzystw, kawaler orderów mlecznych i mgławicowych, Ijon Tichy, sam ukaże się Czytelnikowi w mniejszych Dziennikach, które stawiają go w rzędzie takich nieustraszonych mężów przeszłości, jak Karol Fryderyk Hieronim Muenchhausen, Paweł Masłobojnikow, Lemuel Gulliwer czy Maître Alkofrybas.

Całość Dzienników obliczona na osiemdziesiąt siedem tomów *in quarto* z suplementem (słownik gwiazdowy i skrzynia z okazami poglądowymi) oraz mapą wszystkich podróży znajduje się w opracowaniu zespołu uczonych astrogatorów i planetników i z uwagi na ogrom niezbędnego trudu nie ukaże się rychło. Uważając, że byłoby niewłaściwe taić wielkie odkrycia Ijona Tichego przed najszerszą Publicznością, Wydawca wyjął z Dzienników drobną część i podaje ją w formie nie opracowanej, bez podpisów, not, komentarzy i słownika wyrażeń kosmicznych.

W przygotowaniu Dzienników do druku nikt mi właściwie nie pomógł; tych, którzy mi przeszkadzali, nie wymieniam, gdyż zajęłoby to zbyt wiele miejsca.

Astral Sternu Tarantoga
Profesor zoologii gwiazdnej Uniwersytetu Fomalhaut
Fomalhaut, dn. 18 VI Pulsacji Kosmicznej

DZIENNIKI GWIAZDOWE

PODRÓŻ JEDENASTA

Dzień zapowiadał się kiepsko. Bałagan, panujący w domu od chwili, kiedy dałem służącego do remontu, rósł. Niczego nie mogłem znaleźć. W kolekcji meteorów zaległy się myszy. Nadgryzły najładniejszy chondryt. Kiedy parzyłem kawę, wybiegło mi mleko. Ten elektryczny bałwan schował ścierki razem z chustkami do nosa. Powinienem był dać go do generalki już kiedy zaczął mi pastować buciki od środka. Musiałem użyć zamiast ścierki starego spadochronu, poszedłem na górę, odkurzyłem meteory i nastawiłem łapkę. Wszystkie okazy zebrałem sam. Nie jest to takie trudne — trzeba tylko zająć meteor od tyłu i nakryć go siatką. Przypomniałem sobie nagle o grzankach i zbiegłem na dół. Oczywiście spaliły się na węgiel. Wyrzuciłem je do zlewu. Od razu się zatkał. Machnąłem na to ręką i zajrzałem do skrzynki na listy. Pełna była zwykłej rannej poczty — dwa zaproszenia na kongresy gdzieś w prowincjonalnych dziurach Mgławicy Kraba, druki reklamujące mleczko do polerowania rakiet, nowy numer „Odrzutowego Dróżnika”, nic ciekawego. Ostatnią była ciemna, gruba koperta opatrzona pięcioma pieczęciami. Zważyłem ją w rękę i otworzyłem.

Tajny Pełnomocnik do Spraw Karelirii ma zaszczyt zaprosić p. Ijona Tichego na posiedzenie, które odbędzie się dn. 16 bm. o godzinie 1730 w malej sali Lambretanum.

Wstęp ściśle za zaproszeniami po prześwietleniu. Uprasza się o zachowanie sprawy w tajemnicy.

*Nieczytelny podpis, pieczęć
i druga pieczęć czerwona, skosem:*

SPRAWA KOSMICZNEJ WAGI. TAJNE!!!

No, nareszcie coś, pomyślałem. Kareliria, Kareliria... nazwę znałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć skąd. Zajrzałem do Encyklopedii kosmicznej. Była tylko Kartulania i Kersempilia. Ciekawe, pomyślałem. Almanach też niczego nie zawierał pod tym hasłem. Tak, to było naprawdę interesujące. Ani chybi Tajna Planeta. — To lubię — mruknąłem i zacząłem się ubierać. Była dopiero dziesiąta, ale musiałem wziąć poprawkę na służącego. Skarpetki znalazłem prawie od razu w lodówce i wydawało mi się, że potrafię już prześledzić bieg myśli rozstrojonego elektromózgu, kiedy stanąłem wobec osobliwego faktu — nigdzie nie było spodni. Żadnych. Same tylko surduty wisiały w szafie. Przeszukałem cały dom, nawet rakietę wypatroszyłem — nic. Stwierdziłem tylko, że ten zdezelowany bałwan wypił cały olej, jaki znajdował się w piwnicy. Musiał go wychlać niedawno, bo przed tygodniem liczyłem puszki i wszystkie były pełne. To mnie tak zezłościło, że się poważnie zastanowiłem, czy nie oddać go jednak na złom. Ponieważ nie chciało mu się wstawać rano, od miesiący zatykał sobie wieczorem słuchawki woskiem. Można było dzwonić do upadłego. Tłumaczył, że to z roztargnienia. Groziłem, że wykręcę mu stopki, ale brzęczał sobie na to. Wiedział, że go potrzebuję. Podzieliłem cały dom na kwadraty systemem Pinkertona i zabrałem się do takiej rewizji, jakbym szpilki szukał. Znalazłem w końcu kwit z pralni. Szubrawiec oddał wszystkie moje spodnie do czyszczenia. Ale co się stało z tymi, które miałem na sobie poprzedniego dnia? Nie mogłem sobie w żaden sposób przypomnieć. Tymczasem nadeszła pora obiadu. Do lodówki nie miałem co zaglądać — oprócz skarpetek był w niej tylko papier listowy. Ogarniała mnie rozpacz. Wyjąłem z rakiety skafander, włożyłem go i poszedłem do najbliższego domu towarowego. Trochę się za mną oglądano na ulicy, ale kupiłem dwie pary spodni, jedno czarne, drugie szare, wróciłem w skafandrze, przebrałem się i zły jak diabli pojechałem do chińskiej restauracji. Zjadłem, co mi dali, zapiliśmy gniew butelką mozełskiego

wina i spojrzawszy na zegarek przekonałem się, że dochodzi piąta. Zmitrężyłem cały dzień.

Przed Lambretanum nie było żadnych helikopterów, ani jednego auta, nawet najmniejszej rakiety — nic. — To aż tak? — przemknęło mi. Przez rozległy ogród, pełen georginii, przeszedłem ku głównemu wejściu. Długo nikt nie otwierał. Nareszcie otwarła się klapka selektywnego judasza, niewidzialny wzrok zlustrował mnie, po czym brama uchyliła się na tyle, bym mógł wejść.

— Pan Tichy — powiedział do kieszonkowego mikrofonu człowiek, który mi otworzył. — Proszę na górę — zwrócił się do mnie. — Lewe drzwi. Czekają już na pana.

Na górze panował przyjemny chłód. Wszedłem do małej sali i ujrzałem się w doborowym gronie. Oprócz dwóch facetów za stołem prezydialnym, których nigdy nie widziałem, na wyściełanych aksamitem fotelach siedział kwiat kosmografii. Dostrzegłem profesora Gargarraga i jego asystentów. Skłoniłem się obecnym i usiadłem z tyłu. Jeden z facetów za stołem prezydialnym, wysoki, o siwych skroniach, wyjął z szuflady kauczukowy dzwonek i zadzwonił nim bezszelestnie. Co za piekielne ostrożności — pomyślałem.

— Panowie rektorzy, dziekanowie, profesorowie, docenci i ty, szanowny Ijonie Tichy — ozwał się wstając mężczyzna o siwych skroniach — jako pełnomocnik do spraw najtajniejszej wagi otwieram posiedzenie specjalne, poświęcone sprawie Karelirii. Głos ma tajny radca Xaphińus.

Z pierwszego rzędu podniósł się tęgi, jak mleko siwy, barczysty mężczyzna, wszedł na podium, skłonił się nieznacznie zebranym i rzekł bez żadnych wstępów:

— Panowie! Około sześćdziesięciu lat temu z yokohamskiego portu planetarnego wyruszył frachtowiec Kompanii Mlecznej „Bożydar II”. Statek ten, pod dowództwem doświadczonego próźniarza, Astrocentego Peapo, wioził drobnicę dla Areklandrii, planety gammy Oriona. Po raz ostatni dostrzeżono go z latarni galaktycznej w pobliżu Cerbera. Potem wszelki ślad po nim zaginął. Towarzystwo Ubezpieczeń Securitas Cosmica, zwane w skrócie SECOS, wypłaciło po upływie roku pełne odszkodowanie za zaginiony statek. Jakies dwa tygodnie później pewien radioamator z Nowej Gwinei przyjął radiogram następującej treści.

Mówca podniósł ze stołu kartkę i odczytał z niej:

KARKULOWSIAŁ ZWARTUSIAŁ RATUWSIANKU BOŻYWSIO

— Tu muszę wejść, panowie, w szczegóły nieodzowne dla dalszego zrozumienia sprawy. Ów radioamator był nowicjuszem i w dodatku seplenił. Mocą nawyku, a także, jak należy sądzić, swej nieumiejętności zniekształcił depeszę, która, według rekonstrukcji dokonanej przez ekspertów Galaktokodu, brzmiała: „Kalkulator zwariował ratunku Bożydar”. Eksperci uznali w oparciu o ów tekst, iż zaszedł rzadki wypadek buntu w pełni próżni — i to buntu pokładowego Kalkulatora. Ponieważ od chwili wypłaty ubezpieczenia armatorom ci ostatni nie mogli już sobie rościć żadnych pretensji do zaginionego statku, albowiem przejął je ze wszystkimi prawami własności także i do frachtu SECOS, towarzystwo do zaangażowało agencję Pinkertona, w osobach Abstrahazego i Mnemoniusa Pinkertonów, aby podjęli odpowiednie dochodzenia. Śledztwo, prowadzone przez tych rutynowanych detektywów, wykryło, iż w samej rzeczy Kalkulator „Bożydara”, model w swoim czasie wyposażony luksusowo, lecz w okresie ostatniej podróży już w podeszłym wieku, uskarżał się od niejakiego czasu na jednego z członków załogi. Raketnik ów, niejaki Symileon Gitterton, miał drażnić go w rozmaity sposób — obniżaniem wyjściowego napięcia, przytkaniem w lampy, drwinami, a nawet obrzucając Kalkulatora obelżywymi określeniami w rodzaju „zramolałej blaszanki” bądź „drucianego tępaka”. Gitterton wyparł się wszystkiego twierdząc, iż Kalkulator ma po prostu omamy — co się niekiedy zdarza u sędziwych elektromózgów. Ten aspekt sprawy naświetli zresztą panom za chwilę profesor Gargarrag.

Statku nie udało się odnaleźć przez następne dziesięciolecie. Jednakże po owym czasie agencji Pinkertona, którzy bezustannie zajmowali się tajemnicą zniknięcia „Bożydara”, dowiedzieli się, że przed restauracją hotelu Galax siaduje na pół obłąkany, zniedołężniały

żebrak, który wyśpiewuje przedziwne historie, podając się za Astrocentego Peapo, byłego dowódcę statku. Starzec ów, nad wyraz niechlujny, w samej rzeczy twierdził, iż jest Astrocentym Peapo, był jednak nie tylko niespełna rozumu, ale utracił mowę — i mógł tylko śpiewać. Indagowany cierpliwie przez ludzi Pinkertona, wyśpiewał niewiarygodną historię — jakoby na statku stało się coś strasznego, w związku z czym, wyrzucony za burtę w jednym skafandrze na grzbiecie, musiał wraz z garścią wiernych próżniarzy wracać pieszo z regionu andromedyjskiego zamglenia na Ziemię, co trwało lat dwieście; wędrował — rzekomo — już to na meteorach, zdążających w dobrym kierunku, już to raketostopem — i tylko małą część drogi przebył na Lumeonie, bezludnej sondzie kosmicznej, która leciała ku Ziemi z szybkością bliską szybkości światła. Tę jazdę okrakiem na grzbiecie Lumeona przypłacił (według własnych słów) utratą mowy, odmłodził jednak za to o wiele lat, dzięki znanemu zjawisku kurczliwości czasu na ciałach poruszających się podświetlnie.

Tak brzmiała opowieść, a raczej pieśń łabędzia starca. O wypadkach, jakie zaszły na „Bożydarze”, nic nie chciał nawet bąknąć — dopiero ustawivszy w pobliżu miejsca, na którym siadywał u hotelowego progu, magnetofony, ajenci Pinkertona nagrali nucone przez starego żebraka przyśpiewki; w kilku obrzucił on najokropniejszymi klątwami liczydło, które ogłosiło się Archipankratorem Wszechkosmobytu. Pinkerton doszedł na tej podstawie do wniosku, że odczytanie depeszy było właściwe i Kalkulator, oszalawszy, pozbył się wszystkich przebywających na statku ludzi.

Dalszy ciąg uzyskała ta sprawa dzięki odkryciu, jakiego dokonał w pięć lat później statek Instytutu Metagalaktologicznego, „Megaster”; zauważył on krążący wokół nie zbadanej planety Procyona zardzewiały korpus, z sylwetki podobny do zaginionego „Bożydara”. „Megaster”, któremu kończyło się już paliwo, w drodze powrotnej nie wylądował na planecie, tylko zawiadomił drogą radiową Ziemię. Wysłano wówczas mały statek patrolowy „Deukron”, który spenetrował pobliże Procyona i odnalazł wrak. Były to w samej rzeczy szczątki „Bożydara”; „Deukron” depeszował, iż wrak zastał w okropnym stanie — wyjęto zeń maszyny, przegrody, pokłady, przepierzenia wewnętrzne, klapy — wszystko co do śrubki, tak że wokół planety latała jedynie pusta, wypatroszona powłoka. W toku dalszych obserwacji, przeprowadzonych przez załogę „Deukrona”, okazało się, iż Kalkulator „Bożydara”, wzniciwszy rokosz, postanowił osiąść na planecie Procyona, a całą zawartość statku zagrabił, aby się na niej wygodnie zainstalować. W związku z czym założone zostały w naszym wydziale odpowiednie akta pod nazwą KARELIRIA, co się wykłada:

„Kalkulatora Reliktów Rewindykacja”.

Kalkulator — wykazały to dalsze badania — osiadł na planecie i rozmnożył się na niej, płodząc wielką ilość robotów, nad którymi sprawował władzę absolutną. Ponieważ Kareliria znajduje się zasadniczo w sferze wpływów grawipolitycznych Procyona i jego Melmaniitów, która to rasa rozumna utrzymuje z Ziemią dobre stosunki sąsiedzkie, nie chcieliśmy ingerować brutalnie i pozostawiliśmy przez czas pewien Karelirię wraz z założoną na niej przez Kalkulatora kolonią robotów, noszącą w aktach wydziału szyfrową nazwę KALKOROB, w spokoju. Skądinąd SECOS wysunął żądanie rewindykacji uważając, iż zarówno Kalkulator, jak i wszystkie jego roboty są własnością prawną Towarzystwa Ubezpieczeniowego. Zwróciliśmy się w tej sprawie do Melmaniitów; odpowiedzieli wówczas, iż według ich wiadomości Kalkulator stworzył nie kolonię, lecz państwo, zwane przez jego mieszkańców Wspanialia, a rząd melmaniicki, choć nie uznał istnienia tego państwa de iure i nie doszło do wymiany przedstawicielstw dyplomatycznych, uznał wszelako egzystencję tego społecznego organizmu de facto i nie czuje się w kompetencji do przeprowadzenia jakichkolwiek zmian w tym przedmiocie. Roboty przez pewien czas wegetowały na planecie spokojnie i nie przejawiały jakiegokolwiek szkodliwej agresywności. Oczywiście wydział nasz stał na stanowisku, iż nie można tej sprawy wypuścić całkowicie z rąk, gdyż byłby to przejaw lekkomyślności, i dlatego posłaliśmy na Karelirię kilku naszych

ludzi, przebrawszy ich wprzód za roboty, albowiem młody nacjonalizm Kalkorobu przejawiał się pod postacią nierozumnej nienawiści do wszystkiego, co ludzkie. Prasa karelirska powtarza nieustannie, że jesteśmy ohydnyimi handlarzami niewolników i bezprawnie wyzyskujemy niewinne roboty. Tak tedy wszelkie pertraktacje, które usiłowaliśmy podjąć w imieniu towarzystwa SECOS, w duchu wzajemnej równości i porozumienia, spełzły na niczym, ponieważ nasze najskromniejsze nawet żądania — aby Kalkulator zwrócił Towarzystwu siebie i roboty — zostały skwitowane obelżywym milczeniem.

— Panowie — podniósł głos mówca — wypadki nie potoczyły się niestety tak, jakieśmy się tego spodziewali. Po kilku radiowych komunikatach ludzie nasi, wysłani na Karelirię, przestali się odzywać. Wysłaliśmy nowych i powtórzyła się analogiczna historia. Po pierwszym szyfrowym komunikacie głoszącym, iż wylądowali bez zakłóceń, nie dali więcej znaku życia. Od tego czasu, w przeciągu dziewięciu lat, wysłaliśmy na Karelirię łącznie dwa tysiące siedmuset osiemdziesięciu sześciu agentów i żaden z nich nie powrócił ani się nie odezwał! Tym oznakom doskonalenia kontrwywiadu robotów towarzyszyły inne, jeszcze bardziej może zatrważające fakty. Oto prasa Karelirii w swych wystąpieniach coraz gwałtowniej nas atakuje. Drukarnie robotów masowo powielają broszurki i ulotki, przeznaczone dla robotów ziemskich, w których ludzie, przedstawieni jako elektropijcy i szubrawcy, nazywani są obelżywie — tak na przykład w wystąpieniach oficjalnych nie nazywa się nas inaczej, jak lepniakami, a ludzkość — bryją. Zwróciliśmy się w tej sprawie z aide memoire do rządu Procyona, ale powtórzył on swoje poprzednie oświadczenie o nieingerencji i wszelkie nasze starania, aby ukazać ponure owoce tej neutralistycznej, a w gruncie rzeczy strusiej polityki, nie doprowadziły do niczego. Dano nam jedynie do zrozumienia, iż roboty są naszym produktem, ergo my jesteśmy odpowiedzialni za wszystkie ich postęпки. Z drugiej strony Procyon kategorycznie nie życzy sobie jakichś ekspedycji karnych czy też przymusowej ekspropriacji Kalkulatora i jego poddanych. W tej sytuacji zwołane zostało dzisiejsze zebranie; aby ukazać panom, jak zaogniona jest sytuacja, dodam, iż przed miesiącem „Kurier Elektronowy”, organ oficjalny Kalkulatora, ogłosił artykuł, w którym zmieszał z błotem całe drzewo ewolucyjne człowieka i domagał się przyłączenia Ziemi do Karelirii, jako iż roboty — w myśl ogłoszonych tez — są wyższym stadium rozwoju od istot żywych. Na tym kończę i proszę o zabranie głosu profesora Gargarraga.

Zgarbiony od ciężaru lat, słynny specjalista psychiatrii elektrycznej wstąpił nie bez trudu na mównicę.

— Panowie! — rzekł drżącym nieco, choć krzepkim, starym głosem. — Od dawna jest już wiadomo, że mózgi elektryczne trzeba nie tylko budować, ale i wychowywać. Los elektrycznego mózgu jest ciężki. Praca bez przerwy, skomplikowane obliczenia, brutalność i niewybredne żarty obsługi — oto na co narażony jest taki niezmiernie przecież delikatny w swojej istocie aparat. Nic dziwnego, że przychodzi do załamań, krótkich spieć, podejmowanych niejednokrotnie w celach samobójczych. Niedawno miałem w mojej klinice taki przypadek. Nastąpiło rozdwojenie jaźni — dichotomia profunda psychogenes electrocutiva alternans. Mózg ów pisywał sam do siebie serdeczne listy, nazywał się w nich „szpuleczką”, „druściątkiem”, „lampuchną” — jawny dowód, jak bardzo potrzebował czułości, serdecznego, pełnego ciepła stosunku. Seria elektrycznych szoków i dłuższy wypoczynek przywróciły go do zdrowia. Albo taki tremor electricus frigoris oscillativus, panowie. Mózg elektronowy nie jest maszyną do szycia, którą można gwoździe w ścianę wbijać. To świadoma istota, która orientuje się we wszystkim, co wokół zachodzi, i dlatego nieraz w chwilach kosmicznego niebezpieczeństwa tak się zaczyna trząść wraz z całym statkiem, że ludziom trudno ustać na pokładzie.

To się pewnym brutalnym naturom nie podoba. Doprowadzają one mózg do ostateczności. Mózg elektryczny życzy nam najlepiej, wszelako, panowie, wytrzymałość drutów i lamp też ma swoje granice. Tylko skutek bezmiernych prześladowań przez kapitana, który okazał się

notorycznym pijakiem, mózdek elektronowy Grenobiego, używany do poprawek kursowych, ochrzcił się w ostrym ataku szału zdalnym dzieckiem Wielkiej Andromedy i dziedzicznym cesarzem Murwiklaudrii. Poddany kuracji w naszym zakładzie zamkniętym, uciszył się, oprzytomniał i obecnie jest już prawie normalny; są, naturalnie, przypadki cięższe. Tak na przykład pewien mózg uniwersytecki, zakochawszy się w żonie profesora matematyki, jął przez zazdrość fałszować wszystkie obliczenia, aż matematyk popadł w depresję, przekonany, że nie umie dodawać. Ale na usprawiedliwienie owego mózgu należy wyjawić, iż żona matematyka systematycznie uwodziła go, dając mu do sumowania wszystkie swe rachunki za najintymniejszą bieliznę. Przypadek, który omawiamy, nasuwa mi na myśl inny — wielkiego mózgu pokładowego „Pankratiusa”, który połączył się wskutek spięcia z innymi mózgami statku i w niepohamowanym popędzie wzrostu, tak zwanej gigantofilii elektrodynamicznej, opustoszył składnicę części zamiennych, wysadził załogę na skalistej Mirozenie, a sam dał nurka w ocean Alantropii i ogłosił się patriarchą jej jaszczurów. Nim przybyliśmy na tę planetę ze środkami uspokajającymi, spalił sobie w ataku wściekłości lampy, bo jaszczury nie chciały go słuchać. Co prawda i w tym wypadku okazało się, iż drugi sternik „Pankratiusa”, znany kosmiczny szuler, ograł nieszczęsny mózg do nitki, posługując się znaczonymi kartami. Ale przypadek Kalkulatora jest wyjątkowy, panowie. Mamy przed sobą wyraźne objawy takich chorób, jak gigantomania ferrogenes acuta, jak paranoia misantropicapersecutoria, jak polyplasia panelectropsychica debilitativa gravissima, jak wreszcie necrofilia, thanatofilia i necromantia. Panowie! Muszę wam wyjaśnić pewną sprawę, zasadniczą dla zrozumienia tego przypadku. Statek „Bożydar II” wiozł na swym pokładzie, poza drobnicą przeznaczoną dla armatorów Procyona, szereg pojemników rtęciowej pamięci syntetycznej, których odbiorcą miał być Uniwersytet Mleczny w Fomalhaut. Zawierały one dwa rodzaje wiadomości: z zakresu psychopatologii oraz leksykologii archaicznej. Należy sądzić, iż Kalkulator, rozrastając się, pochłonął owe pojemniki. Tym samym wcielił w siebie całokształt wiedzy o takich kwestiach, jak historia Kuby Rozpruwacza i dusiciela z Gloomspick, jak biografia Sachera–Masocha. Jak pamiętniki markiza de Sade. Jak protokoły sekty flagellantów z Pirpinact. Jak oryginał książki Murmuropoulosa Pał w przekroju wieków oraz słynny biały kruk biblioteki w Abbercrombie — Dźganie, rzecz w rękopisie, przez ściętego w 1673 roku w Londynie Hapsodora, który znany był pod przydomkiem „Naszyjnik niemowląt”. Także oryginalny utwór Janicka Pidwy Matę torturatorium, tegoż autora Duśba, Kośba i Palba — przyczynek do katografii oraz jedyny w swoim rodzaju unikat — Jadłospis olejowy, spisany przedśmiertnie przez O. Galvinarię z Amagonii. W owych fatalnych pojemnikach znajdowały się też odcyfrowane z kamiennych tafli protokoły posiedzeń sekcji kanibalów związku literatów neandertalskich, jak również Rozważania strychem wicehrabiego de Crampfousse; jeżeli dodam, że znalazły w nich też miejsce dzieła takie, jak Morderstwo doskonałe, Tajemnica czarnego trupa czy ABC mordu Agaty Christie, to możecie sobie, panowie, wyobrazić, jaki to miało straszny wpływ na niewinną skądinąd osobowość Kalkulatora.

Przecież my staramy się wedle sił zachować elektromózgi w niewiedzy o tych okropnych stronach człowieka. Teraz, gdy okolice Procyona zaludnia żelazny pomiot maszyny wypełnionej dziejami ziemskiej degeneracji, zwyrodnienia i zbrodni, muszę niestety wyjawić, iż elektropsychiatria jest w tym wypadku całkowicie bezsilna. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

I złamany starzec opuścił chwiejnym krokiem podium w powszechnym głuchym milczeniu. Podniosłem rękę. Przewodniczący spojrział na mnie zaskoczony, lecz po krótkim wahaniu dał mi głos.

— Panowie! — powiedziałem, wstając z miejsca — sprawa, jak widzę, jest poważna. Rozmiary jej ocenić mogłem dopiero po wysłuchaniu wnikliwych słów profesora Gargarraga. Pragnąłbym niniejszym złożyć szanownemu zebraniu ofertę. Gotów jestem wyruszyć

samotnie w sferę Procyona, aby zbadać, co się tam dzieje, wykryć tajemnicę zniknięcia tysięcy waszych ludzi, jako też doprowadzić, w miarę możliwości, do pokojowego rozwikłania nabrzmiewającego konfliktu. Widzę jasno, iż problem ten jest trudniejszy od wszystkich, z jakimi się dotąd spotkałem, ale są chwile, w których należy działać nie obliczając szans powodzenia ani ryzyka. Niniejszym, panowie...

Następne me słowa pochłonęła burza oklasków. Pominę to, co działo się w dalszym ciągu posiedzenia, gdyż zbyt to było podobne do masowych owacji na moją cześć. Komisja i zebranie obdarzyły mnie wszelkimi możliwymi pełnomocnictwami. Nazajutrz przeprowadziłem rozmowę z kierownikiem wydziału Procyona i szefem zwiadów kosmicznych w jednej osobie, radcą Malingrautem.

— Już dziś chce pan lecieć? — powiedział. — Doskonale. Ale nie pańską rakieta, Tichy. To niemożliwe. W tych misjach używamy rakiet specjalnych.

— Po co? — spytałem. — Moja mi wystarczy.

— Nie wątpię o jej doskonałości — odparł — ale chodzi o kamuflaż. Poleci pan w rakiecie podobnej zewnątrznie do wszystkiego, tylko nie do rakiety. Będzie to — zobaczy pan zresztą sam. Musi pan poza tym wylądować w nocy...

— Jak to w nocy? — powiedziałem — zdradzi mnie ogień wylotowy...

— Taką taktykę stosowaliśmy dotąd — rzekł, wyraźnie zafrasowany.

— Już ja rozejrzę się na miejscu — rzekłem. — Mam jechać w przebraniu?

— Tak. To konieczne. Nasi eksperci zajmą się panem. Czekają już. Proszę, może pozwoli pan tędy...

Przeprowadzono mnie sekretnym korytarzem do pokoju podobnego do małej sali operacyjnej. Tu wzięło mnie w obroty czterech ludzi. Po godzinie, kiedy postawiono mnie przed lustrem, nie mogłem się poznać. Zakuty w blachy, z kwadratowymi barkami i takąż głową, ze szklanymi przeziernikami zamiast oczu, wyglądałem jak najzwyklejszy w świecie robot.

— Panie Tichy — rzekł do mnie szef charakteryzatorów — musi pan pamiętać o kilku ważnych rzeczach. Po pierwsze, nie wolno panu oddychać.

— Pan oszalał chyba — rzekłem. — Jak mogę? Uduśzę się!

— Nieporozumienie. Oczywiście, oddychaj pan sobie, ale cicho. Żadnych westchnień, żadnego sapania, żadnych głębokich wdechów — wszystko bezszelestnie, a już nie daj Bóg kichnięcia. To byłby pański koniec.

— W porządku; co jeszcze? — spytałem.

— Na drogę dostanie pan komplet roczników „Kuriera Elektronowego” i dziennika opozycji — „Głosu Próźni”.

— To oni mają i opozycję.

— Tak, ale na jej czele też stoi Kalkulator. Profesor Mlassgrack przypuszcza, że on ma, oprócz elektrycznego, także polityczne rozdwojenie jaźni. Słuchaj pan dalej. Żadnego jedzenia, gryzienia cukierków — nic z tych rzeczy. Jeść będzie pan wyłącznie w nocy, przez ten otwór, tu, jak pan włoży kluczyk — to jest zamek wertheimowski — wtedy klapka się otworzy, o tak. Niech no pan nie zgubi kluczyka — to grozi głodową śmiercią.

— Prawda, przecież roboty nie jedzą.

— Bliższych szczegółów ich obyczajowości ze zrozumiałych względów nie znamy. Niech pan przestudiuje drobne ogłoszenia ich gazet, to na ogół bardzo pomocne. A kiedy pan rozmawia z kimś, to proszę nie trzymać się zbyt blisko rozmówcy, żeby nie mógł zajrzeć panu przez sitko mikrofonu do środka — najlepiej niech pan sobie stale czerni zęby, tu ma pan pudełko z henną. I pamiętaj pan ostentacyjnie oliwić sobie wszystkie zawiasy codziennie rano, wszystkie roboty tak robią. Przesadzać nie należy — jeżeli będzie pan trochę skrzypiał, zrobi to tylko dobre wrażenie. No, to byłoby mniej więcej wszystko. Nie, skąd, pan chce tak na ulicę wyjść — czy pan ma dobrze w głowie? Tu jest tajne przejście, tędy...

Za naciśnięciem książki w bibliotece część ściany otwarła się i wąskimi schodkami zszedłem, grzechocąc, na podwórze, gdzie stał ciężarowy helikopter. Władowano mię do środka, po czym maszyna uniosła się w powietrze. Po godzinie wylądowaliśmy na tajnym kosmodromie. Obok zwykłych raket stał na betonie okrągły jak wieża zbożowy spichlerz.

— Tak. Wszystko, co może być panu potrzebne, szyfry, kody, radio, gazety, żywność i drobiazgi — jest już w środku. A także duży rak.

— Rak?

— Do prucia kas pancernych... jako broń, tylko w ostatecznym wypadku. Życzę złamania karku — rzekł uprzejmie oficer. Nie mogłem nawet uścisnąć mu porządnie ręki, tkwiła bowiem w żelaznej rękawicy. Przez drzwi wszedłem do spichlerza. W środku okazał się najzwyklejszą rakieta. Miałem wielką ochotę wy leż z żelaznego pudła, ale mnie przed tym przestrzegano — fachowcy tłumaczyli, że będzie lepiej, jeśli się przyzwyczaję do tego brzemienia.

Uruchomiłem reaktor, wystartowałem i wszedłem na kurs, po czym spożyłem nie bez trudu obiad — musiałem okropnie wykręcać głowę, a i tak usta nie znajdowały się na wprost klapki, więc pomogłem sobie łyżką do butów. Potem zasiadłem w hamaku i zabrałem się do prasy robotów. Oto garść tytułów, jakie rzuciły mi się w oczy na pierwszych stronach:

BEATYFIKACJA ŚWIĘTEGO ELEKTRYCEGO LEPNIAKÓW ZAKUSOM WRAŻYM
KRES POŁOŻYM TUMULTUM NA STADYONIE LEPNIAK W DYBACH

Składnia i słownictwo zdziwiły mię zrazu, ale przypomniałem sobie, co mówił profesor Gargarrag o słownikach archaicznego języka, jakie wiózł był ongiś na swym pokładzie „Bożydar”. Wiedziałem już, że roboty nazywają ludzi lepniakami. Samych siebie mieli za wspaniałców.

Przeczytałem ostatnią notatkę, tę o lepniaku w dybach:

Dwyoca halebardyerów Jego Induktywności przydybała nynie w trzeci poranny dzwon lepniaka śpiegarza, któren w oberży wsp. Mremrana schronu w plugastwie swym szukał. Wiernym JInduktywności sługą będąc, wsp. Mremran w dyrdy Halebardyemię grodzką powiedomił, zaczem wraży śpion, z przyłbicą otwartą ku pohańbieniu, okrzyki nienawistnymi gawiedzi odprowadzeń, do turmy Calefastrum ciśniony został. Causam iego iuror II Semperititiae Turtran zaincyplował.

Jak na początek, niezłe — pomyślałem i wróciłem do szpalty pod nagłówkiem: „Tumultum na stadyonie”.

Prawie spekulatorzy turnieju grzędzielnego skonfundowanymi murawę opuskali, wżdycki Girłay III, grzędziel Turtukurowi przekazując, owsinek przebuldożył, przez co fraktura goleni od igry go odstrychnęła. Zakładnicy, premium utraconem widząc, do kassy się kopnęli, tingulum kassowe śturmowali, a tingulatora srodze pognietli. Patrola Halebardyerni podegrodzkiey ośmiu tumułników do fossy, kamieñmi obciążonych, opuściła. Wżdycki bżdy kres onym perturbacyom nastanie, kwietliwi spekulatorzy kornie zwierzchność kwesty onuią?

Za pomocą słownika dowiedziałem się, że kwietliwy to spokojny, od quietas, quietatis — spokój, że kwestionować to pytać, grzędzielnia zaś jest rodzajem boiska, na którym wspanialcy grają w swoją odmianę piłki nożnej, którą stanowi lita kula ołowiana. Studiowałem uporczywie gazety, bo przed odlotem kładli mi w wydziale w głowę, że muszę nauczyć się biegle obyczajów i szczegółów wspanialczego życia, już nawet w myśli tak ich nazywałem — nazwanie któregośkolwiek robotem byłoby nie tylko obelgą, ale zdemaskowałoby mię natychmiast.

Przeczytałem więc po kolei artykuły: „Zasad sześć, w materyi wspanialców stanu doskonałego”, „Audyencya Mistrza Gregatuñana”, „Jako płatnerzy cech remonta latoś wodzi”, „Peregrynacye nobliwe pñanetników wspanialszych gwoli lamp ochłodzeniu” — jeszcze dziwniejsze wszakże były anonsy. Z wielu bardzo mało co rozumiałem.

ARMELADORA VI. SNYCERZ ZNAMIENITY garderób chędożeniem, wylotów

klepaniem, zawias perfekcyonacją, także in extermis, tariffa nisska.

WONAX, śrzodek na rdzewieństwo, rdzawki, rdzamięć, rdzyny, rdzynki a rdzawiórki — wszędy nabyć zdołasz.

OLEUM PURISSIMUM PRO CAPITE — Iżby Ci szyia pomysłu skrzypem nie konfundowała!!

Niektórych w ogóle pojąć nie mogłem. Ot, takich choćby: lurni! Kadłubki igrcowe dowoli! Miary wszelkie. Za poręczycielstwem gwaydolnica na mieyscu. Tarmodrała VIII.

CHUTLIWEMU cubiculum pankratorne z amfignajsem naymę. Perkoratora XXV.

I były tam takie, od których włosy stawały mi na głowie pod moim żelaznym czepcem:

ZAMTUZ GOMORRHEUM PODWOIE Z DNIEM DZISIEJSZYM ROZWIERA! PO RESTAURACYI DLA SMAKOTLIWYCH SELEKCJA JAKIEY NIGDY NIE BYWAŁO!! DZIECKA LEPNIACZE, CHUDOBA W KOMNATACH I NA WYNOS!!!

Łamałem sobie głowę nad tymi zagadkowymi tekstami, a czasu miałem sporo, gdyż podróż trwać musiała prawie rok.

W „Głosie Próźni” anonsów było jeszcze więcej.

ŁAMIGNATNICE, TASAKIERY, NOŻYCE GRDYCZNE, OSTROKOŁY, PALIKI GRZECZNE poleca GREMONTO—RIUS, FIDRICAXLVI.

PYROMANIACY!!! Nowych, skalnym olejem maszczonych kwaczów Abrakerdela NIC NIE UGASI!!

DUSICMIŁOWI—AMATOROWI maluchy lepniacze rzewliwe, mowne, z ochędóstwem, także paznokietnik cęgowy, niewielka używan, taniutko.

PANOWIE I PANIE WSPANIALCZE — GASTROKOŁY, Kręgodręcze, Męczywłóki NADESZŁY!!! — Karkaruana XI.

Naczytawszy się do woli tych anonsów, zacząłem, jak mi się zdawało, rozumieć, jaki los spotkał zastępy wysłanych na zwiady ochotników II Wydziału. Nie mogę powiedzieć, abym lądował na planecie ze zbyt gęstą miną. Zrobiłem to nocą, wygasiwszy wprzód silniki, jak się tylko dało. Splanowawszy wśród wysokich gór, po namyśle przykryłem raketę naciętymi gałęziami. Już to fachowcy z dwójki nie nazbyt ruszyli głowami, bo przecież spichlerz na planecie robotów był co najmniej nie na miejscu. Załadowawszy do wnętrza żelaznego pudła zapasów, ile się dało, poszedłem w kierunku miasta, widzialnego z dala dzięki silnej elektrycznej łunie, jaka się nad nim unosiła. Musiałem parę razy stawać, aby poprawić rozlokowanie pudełek z sardynkami, bo okropnie we mnie grzechotały. Szedłem dalej, gdy coś niewidzialnego podcięło mi nogi. Upadłem, czyniąc piekielny łoskot, błyskawicznie przesyty myślą: „Już! tak prędko?!” Ale wokół nie było żywego, tj. elektrycznego ducha. Na wszelki wypadek dobytek broni — składał się na nią rak, jakiego używają kasiarze, oraz mały śrubokręt.

Wodząc rękami po otoczeniu, przekonałem się, że otaczają mnie same żelazne kształty. Były to szczątki starych automatów — ich opuszczone cmentarzysko. Poszedłem dalej, często przewracając się i dziwiąc się jego rozmiarom. Ciągnęło się chyba na milę. W mroku, nie rozwidnionym wcale odległą luną, w pewnej chwili zamajaczyły dwa czworonożne kształty. Znieruchomiałem. Instrukcje moje nic nie mówiły o tym, jakoby na planecie żyły jakieś zwierzęta. Inne dwa czworonogi bezszelestnie zbliżyły się do tamtych. Nieostrożny mój ruch wywołał dźwięknięcie pancerza i ciemne sylwety czmychnęły jak szalone w mrok.

Po tym incydencie zdwoiłem jeszcze ostrożność. Pora wydawała się niezbyt szczęśliwa dla wkroczenia do miasta — późna godzina nocy, puste ulice — moje pojawienie się ściągnęłoby niepożądaną uwagę. Przypadłem więc w przydrożnym rowie i doczekałem cierpliwie świtu, gryząc biszkopty. Wiedziałem, że przed następną nocą nie będę się mógł niczym pożywić.

Z pierwszym świtem wszedłem na przedmieście. Nie widziałem nikogo. Na pobliskim parkanie widniał wielki, najwyraźniej stary, deszczami zmyty plakat. Zbliżyłem się doń.

OBWIESZCZENIE

Zwierzchności grodziszcza wiadomem iest, iako plugastwo lepniacze wpełznąć w szeregi prawych się wspaniałców wysiła. Ktokolwiek zoczy lepniaka lebo indywiduum, podeźrzeniom asumpt daiące, w mig ma halebardyemi swey donieść. Spółnictwo wszelakie z onym lebo pomoc mu dana, rozśrubowaniem in saecula saeculorum karanem będzie. Za lepniaka głowę praemium 1000 ferklosów się ustanawia.

Poszedłem dalej. Przedmieścia nie wyglądały zachęcająco. Pod nędznymi, na poły rdzą zjedzonymi barakami siedziały gromady robotów, grając w cetno i lichu. Od czasu do czasu wybuchały pośród nich bójki z takim łomotem, jakby artyleryjski ogień trafiał skład żelaznych beczek. Nieco dalej trafiałem na przystanek kolei miejskiej. Nadjechał pusty prawie wagon, do którego wsiadłem. Motorniczy stanowił nierozłączną część motoru i rękę miał przykręconą na stałe do korby. Konduktor był przyśrubowany do wejścia. Stanowił zarazem drzwi; chodził na zawiasach. Dałem mu pieniążek z zapasu, który dostarczył mi wydział, i usiadłem na ławce, okropnie zgrzytając. W centrum wysiadłem i podreptałem przed siebie, jak gdyby nigdy nic. Coraz więcej spotykałem halebardierów, krążyli po dwóch i po trzech, środkiem ulic. Zauważywszy opartą o mur halabardę, podjąłem ją od niechcenia i pomaszerowałem dalej, ale moje odosobnienie mogłoby wydać się dziwne, więc skorzystawszy z tego, że jeden z trójki kroczących przede mną strażników wszedł do bramy, aby poprawić opadający ruszt, wstąpiłem w opuszczone przezeń miejsce trójkowego szyku. Idealne podobieństwo wszystkich robotów było mi bardzo na rękę. Dwaj moi towarzysze zachowywali jakiś czas milczenie, wreszcie jeden odezwał się:

— Kandy lafę użrzymy, Brebranie? Ckni mi się i przystojnie bym z elektryką poigrał.

— Cię wy — odparł drugi — mosterdzieju, już ci kondycja nasza chuda, hej!

Obeszliśmy tak dokoła całe śródmieście. Rozglądając się pilnie, zauważyłem po drodze dwie restauracje, przed którymi stał oparty o mury istny las halabard. O nic jednak nie pytałem. Już mnie porządnie nogi bolały, a i duszno było w rozgrzanym od słońca żelaznym baniu i w nosie kręciło od rdzawego kurzu — bałem się, że kichnę, spróbowałem się więc nieznacznie oddalić, lecz obaj zawrzaśli:

— Ejże, bratku! Kędy to dyrdasz? Chceszli, aby ci zwierzchność kulfon rozbuzdyganiła? Szalonyś li?

— Bynajmniej — odparłem — ino przysiąść krzyńę zamiarowałem.

— Przysiąść? Czy ci dur cewkę osmalił? Wzdyśmy na służbie, cne żeliwiaki!

— A ino — odrzekłem zgodnie i znowu pomaszerowaliśmy przed siebie. Nie — pomyślałem — ta kariera pozbawiona jest wszelkich perspektyw. Muszę ja się inaczej wziąć do rzeczy. Obeszliśmy miasto raz jeszcze, po drodze zatrzymał nas oficer, wołając:

— Refemazor!

— Brentakurdwium! — odkrzyknęli moi towarzysze. Zapamiętałem sobie dobrze to hasło i odzew. Oficer obejrzał nas z przodu i z tyłu i kazał podnieść wyżej halabardy.

— Jako trzymiecie, ofiermy!! Pieceście, nie halebardyerzy Jego Induktywności!! Równo mi! Noga w nogę! Marsz!!

Lustrację tę przyjęli halebardierzy bez komentarza. Łaziliśmy dalej w wysokim słońcu i kłąłem chwilę, w której zgodziłem się dobrowolnie wyruszyć na tę ohydną planetę; w dodatku głód poczynął skręcać mi kiszki. Obawiałem się nawet, czy aby ich burczenie nie zdradzi mnie, więc starałem się jak najgłośniejszym skrzypieć. Przechodziliśmy koło restauracji. Zajrzałem do środka. Prawie wszystkie stoliki były zajęte. Wspanialcy czy też — jak nazwałem ich w myśli, za słowami oficera — piecyki siedzieli przy nich bez ruchu, szmelcowani sino, od czasu do czasu któryś zgrzytnął lub obrócił głowę, aby szklanymi ślepiami zerknąć na ulicę. Poza tym nie jedli nic, nie pili, a tylko jak gdyby czekali nie wiadomo na co. Kelner — poznałem go po białym fartuchu, który miał na zbroi — stał pod ścianą.

— Może i my przysiadziem się tamój? — spytałem, bo czułem każdy bąbel na

odparzonych żelaznymi chodakami stopach.

— Tyś istowo zbisurmania! — obruszyli się moi towarzysze. — Toż sięćcia nama nie przykazowano! Toż chodźba prawem naszym! Nie trwóż się, już to tamci fortelem lepniakowi dogodzą, kany przyńdzie, a zupy łaknąc łebo polewki, wrażą naturę ujawni!!

Nic z tego nie pojmując, posłusznie powędrowałem dalej. Z wolna diabli poczynali mnie już brać — w końcu jednak skierowaliśmy się ku wielkiemu budynkowi z czerwonej cegły, na którym widniał w żelazie kuty napis:

KOSZARY HALEBARDYERÓW IEGO ŚWIATŁEJ INDUKTYWNOŚCI
KALKULATRYCEGO PIERWSZEGO

Urwałem się mym towarzyszom u samego wejścia. Halabardę postawiłem przy wartowniku, kiedy się odwrócił z chrzęstem i brzękiem, i wszedłem w pierwszą boczną ulicę. Tuż za rogiem ukazał się spory budynek z szyldem ZAJAZD POD SIEKIERĄ. Zajrzałem tylko do środka, a oberżysta, pękaty robot o krótkim tułowiu, zgrzytając ochoczo, wyskoczył na ulicę.

— Witam waszmościa, witam... służby komę niosę... zali komnatki jakowej ś nie łakniesz asan?

— Istowo — odparłem lakonicznie. Niemal siłą wciągnął mnie do środka. Prowadząc po schodach na górę trąkotał blaszanym głosem jak najęty:

— Peregrynatorów ćma nynie ściąga, ćma... wźdyćki nie masz wspanialca, co by przewłóczyn kondensatorowych lego Induktywności własnymi zierkalcami obaczyć nie chciał... tu waćpan pozwól... oto apartamentum godne, proszę pięknie... tutki bawialny... tamój gościnnie... ani chybi utrudzonym waszmość być musisz... kurz w trybiech chrząści... zezwól, w mig ci ochędóstwa przyniosę...

Załomotał po schodach i ledwom się rozejrzał po dosyć ciemnym, żelaznymi szafami i takimż łóżkiem umeblowanym pokoju, wrócił z oliwiarką, szmatą i butelką sidolu. Postawiwszy wszystko na stole, rzekł ciszej i jakoś poufalej:

— Ochędōżywszy jestestwo, zezwól waćpan na dół... dla nobliwszych ja person, jak waszmość pan, zawsze secretum słodziuchne, maleńkie, siurpryzkę przechowuję... pofiglujesz...

I wyszedł, łypiąc fotokomórkami; nie mając nic lepszego do roboty, naoliwiłem się, wypucowałem blachy sidolem i zauważyłem, że oberżysta zostawił na stole kartę przypominającą menu restauracyjne. Wiedząc dobrze, że roboty nic nie jedzą, podniosłem ją zdziwiony do oczu. Zamtuz II kat. — przeczytałem na gorze.

8 ferkl.

10 ferkl.

11 ferkl. 14 ferkl.

6 ferkl. 8 ferkl. 8 ferkl.

Lepniacze dziecie, dekapitacja Toż, z grzęzem

Toż, płaczliwego

Toż, rozdziraiąco

Chudoba:

Toporna sodomija, sztuka

Rąbaniszczce ucieszne

Toż, cielećcia malucha

Nic z tego nie rozumiałem, ale jakieś mrówki zaczęły mi chodzić po grzbiecie, gdy z przyległego pokoju dobiegł mię łomot niezrównanej siły, jakby mieszkający o ścianę robot usiłował na drzazgi roztrzaskać swą kwatere. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Miałem dosyć. Starając się nie brzęczeć i nie dzwonić, wymknąłem się z tej okropnej spelunki na ulicę.

Dopiero znalazłszy się daleko, odetchnąłem. I cóż ja teraz pocznę, nieszczęsny? — rozważałem. Przystanąłem

przy grupie robotów grających w zechcyka i udawałem, że kibicuję zapamiętane. Na razie nic właściwie o zajęciach wspaniałców nie wiedziałem. Mogłem wśliznąć się na powrót w szeregi halebardierów, ale nie obiecywało to wiele, a szansa wpadnięcia była spora. Co robić?

Łamiąc sobie tak głowę, poszedłem przed siebie, aż zauważyłem siedzącego na ławce, wygrzewającego stare blachy do słońca, przysadkowatego robota, który okrył sobie głowę gazetą. Na pierwszej stronie widniał wiersz, zaczynający się od słów „Jam wspanialec zwyrodnialec”. Co było dalej, nie wiem, Z wolna zawiązała się rozmowa. Przedstawiłem się jako przybysz z sąsiedniego miasta, Sodomazji. Stary robot był nadzwyczaj kordialny. Od razu niemal zaprosił mnie do siebie, do domu.

— Co się masz waćpan tłuc po wszelakich tam, mosterdziejku, zajazdach, a z oberżystami wadzić. Zwól do mnie. Niskie progi, ścielę się, racz, łaskawco, niechaj. Radość wstąpi wraz z szacowną twą osobą w skromne komnaty moje.

Cóż miałem robić, zgodziłem się, to mi nawet odpowiadało. Mój nowy gospodarz mieszkał we własnym domu, na trzeciej ulicy. Zaprowadził mnie zaraz do gościnnego pokoju.

— Że z drogi, toś się kurzu co nie miara musiał nałykać — rzekł.

Znowu pojawiła się oliwiarka, sidol i szmaty. Wiedziałem już, co powie, roboty były jednak naturami nieskomplikowanymi. I rzeczywiście;

— Ochędożywszy się, zwól do bawialnego — rzekł — poigramy pospołu...

Zamknąłem drzwi. Oliwiarki ani sidolu nie tknąłem, zbadałem tylko w lustrze stan mej charakteryzacji, uczerniłem zęby i niespokojny nieco wobec perspektywy nieznanego „igrania”, po jakimś kwadransie chciałem zejść na dół, gdy z głębi domu dobiegł mnie przeciągły łoskot. Tym razem nie mogłem już uciekać. Schodziłem po schodach w takim huku, jakby ktoś na drzazgi rąbał żelazny pień. W bawialnym wrzało. Gospodarz mój, rozebrany do żelaznego korpusa, dziwacznie ukształconym tasakiem ciął wielką kukłę, która leżała na stole.

— Pięknie proszę, gościu! Możesz sobie waćpan gwoli uciesze pooporządzać te kadłubki — rzekł, na mój widok przestając rąbać i wskazał drugą, leżącą na podłodze, mniejszą nieco lalę. Kiedy się do niej zbliżyłem, usiadła, otwarta oczy i zaczęta słabym głosem powtarzać:

— Panie — jam dziecię niewinne — poniechaj mię — panie — jam dziecię niewinne — poniechaj.

Gospodarz wręczył mi topór, podobny do halabardy, ale na krótszym sty lisku.

— Nuże, zacny gościu, precz troski, precz smutki — tnij od ucha, a śmiało!

— Kiedy — nie lubię dzieci... — odparłem słabo. Znieruchomiał.

— Nie lubisz? — powtórzył za mną. — A szkoda. Zafrasowałeś mię acan. Cóż tedy poczniesz? Mam jeno maluchów — słabość to moja, wiesz. Zali nie poprobujesz cielęcia?

I wyprowadził z szafy wcale poręczne, plastikowe cielę, które, naciśnięte, trwożnie zamęczało. Cóż miałem robić? Nie chcąc się zdemaskować, rozrąbałem nieszczęsną kukłę, porządnie się przy tym zmachawszy. Tymczasem gospodarz poćwiartował obie lale, odłożył narzędzie, które zwał łamignatnicą, i spytał, czy jestem rad. Zapewniłem go, że dawno nie zażyłem takiej przyjemności.

Tak rozpoczął się mój niewesoły żywot na Karelirii. Rano, po śniadaniu, składającym się z wrzącej oliwy, gospodarz udawał się do pracy, a jego pani piłowała coś zaciekle w sypialnym — mam wrażenie, że cielęta, ale nie mogę na to przysiąc. Nie mogłem wytrzymać od mecenia, wrzasków, huku, wychodziłem więc na miasto. Zajęcia mieszkańców były raczej monotonne. Ćwiartowanie, łamanie kołem, palenie, szatkowanie — w centrum znajdował się park rozrywek z pawilonami, w których można było zakupić najwymyślniejsze narzędzia. Po kilku dniach nawet na własny scyzoryk patrzeć nie mogłem i tylko powodowany głodem udawałem się o zmierzchu za miasto, aby pośpiesznie pochłonąć w krzakach sardynki i

biskopcy. Nie dziwota, że na takim wikcie wciąż byłem o włos od czkawki, która groziła mi śmiertelnym niebezpieczeństwem. Na trzeci dzień poszliśmy do teatru. Wystawiano sztukę pod tytułem Karbezauriusz. Była to historia młodego, przystojnego robota, okropnie prześladowanego przez ludzi, tj. przez lepniaków. Polewali go wodą, sypali mu do oliwy piasek, rozkręcali mu śrubki, tak że się wciąż przewracał itp. Widownia gniewnie brzęczała. W drugim akcie pojawił się wysłannik Kalkulatora, młody robot został wyzwolony, trzeci akt zajmował się szerzej losem ludzi, jak łatwo się można domyślić, raczej niewesołym.

Z nudów grzebałem w biblioteczkę domowej gospodarzy, ale nie było w niej nic ciekawego: kilka nędznych przedruków pamiętników markiza de Sade, poza tym same broszurki, takie jak Rozpoznawanie lepniaków, z której zapamiętałem parę ustępów. „Lepniak — zaczynał się tekst — jest wielce miękki, konsystencją podobny do piroga... Oczy jego tępawe, wodniste, obrazem plugastwa duszebnego są. Lice gumiate...” i tak dalej, przez sto bez mała stron.

W sobotę przychodzili do nas miejscowi notable — mistrz cechu blacharzy, zastępca miejskiego płatnerza, starszy cechowy, dwaj protokraci, jeden alcymurtan — niestety, nie mogłem się zorientować, co to są za zawody, gdyż mówiło się głównie o sztukach pięknych, o teatrze, o doskonałym funkcjonowaniu lego Induktywności — panie plotkowały nieco. Stąd dowiedziałem się o osławionym w wyższych sferach birbancie i szaławile, niejakim Podukście, który prowadził hulaszczy żywot — otaczał się rojami elektrycznych bachantek, obsypując je wprost najkosztowniejszymi cewkami i lampami. Ale mój gospodarz nie zgorszył się szczególnie, gdy wspomniałem Poduksta.

— Młoda stal, młody prąd — rzekł dobrodusznie. — Podrdzewieje, oporniki się mu zglejują, to i rura główna nadmięknie...

Pewna wspaniarka, która bywała u nas dość rzadko, upodobała mnie sobie dla niepojętych powodów i raz, po którymś tam z rzędu kubku oliwy, szepnęła:

— Nadobny ś. Chcesz mnie? Umkniesz do mnie, doma poelektryzujęm się...

Udałem, że nagle iskrzenie katody nie pozwoliło mi dosłyszeć jej słów.

Pożycie mych gospodarzy było na ogół zgodliwe, ale raz mimowolnie stałem się świadkiem kłótni; połowica wrzeszczała coś o tym, aby się w złom obrócił, on, jak to mąż, nie odpowiadał.

Bywał też u nas wzięty elektromistrz, który prowadził miejską klinikę, i od niego to dowiedziałem się, bo opowiadał, choć rzadko, o swych pacjentach — że roboty wariują kiedy niekiedy, a najgorszym z prześladowanych omamów jest przekonanie, jakoby były ludźmi. I nawet — jak domyśliłem się z jego słów, choć nie powiedział tego wyraźnie — liczba takich szaleńców ostatnio poważnie wzrosła.

Wiadomości tych nie przekazywałem jednak na Ziemię, raz, że wydawały mi się zbyt skąpe, a dwa, że nie chciało mi się maszerować przez góry do pozostawionej daleko rakiety, w której mieścił się nadajnik. Pewnego ranka, kiedy skończyłem właśnie cielę (moi gospodarze dostarczali mi codziennie wieczorem jedną sztukę, przekonani, że niczym nie sprawią mi większej uciechy) — rozległo się w całym domu gwałtowne walenie do bramy. Moja trwoga okazała się aż nadto usprawiedliwiona. Była to policja, tj. halebardierzy. Wyprowadzono mnie na ulicę aresztowanego, bez jednego słowa, na oczach mych osłupiałych ze zgrozy gospodarzy. Zostałem zakuty, wsadzono mię do karetki i pojechaliśmy do więzienia. Stał tam już u bramy wrogi tłum i wznosił pełne nienawiści okrzyki. Zamknięto mnie w osobnej celi. Kiedy drzwi zatrasnęły się za mną, usiadłem na blaszanej pryczy z głośnym westchnieniem. Teraz nie mogło mi już zaszkodzić. Zastanawiałem się jakiś czas nad tym, w ilu już więzieniach siedziałem w rozmaitych okolicach Galaktyki, ale nie udało mi się ustalić liczby. Pod pryczą coś leżało. Była to broszurka o wykrywaniu lepniaków — czy podłożono ją dla drwiny, przez niską złośliwość? Otwarłem ją mimo woli. Przeczytałem najpierw o tym, jak to górna część lepniaczego tułowia porusza się w związku z tak zwanym

oddychaniem, jak należy sprawdzać, czy ręka, którą podaje jest ciastowata oraz czy z jego otworu gębowego nie wydobywa się lekki wietrzyk. Podniecony — kończył ustęp — wydziela z siebie lepniak wodnistą ciecz, głównie czołem.

Było to dosyć ściśle. Wydzielałem tę wodnistą ciecz. Z pozoru eksploracja Wszechświata wydaje się nieco jednostajna, a to przez wspomniane wyżej, ponawiające się wciąż, jako w pewnym sensie nieodzowny jej etap, więzienne pobyty gwiazdowe, planetarne, mgławicowe nawet — ale sytuacja moja nie była nigdy jeszcze tak czarna, jak obecnie. Koło południa strażnik przyniósł mi talerz ciepłej oliwy, w której pływało trochę śrutu do łożysk kulkowych. Prosiłem o coś strawniejszego, skoro jestem już zdemaskowany, on jednak zazgrzytawszy ironicznie, odszedł bez słowa. Zacząłem walić w drzwi i domagać się adwokata. Nikt nie odpowiadał. Pod wieczór, kiedy zjadłem ostatnią kruszynę biszkopta, zawieruszoną wewnątrz pancerza, klucz zachrobotał w zamku i do celi wszedł pękaty automat z grubą skórzaną teczką.

— Bądź przeklęty lepniaku! — rzekł i dodał: — Mam być twoim obrońcą.

— Czy zawsze witasz w ten sposób swych klientów? — spytałem, siadając.

On też usiadł, klekocząc. Był odrażający. Blachy na brzuchu kompletnie mu się poluzowały.

— Lepniaków, tak — rzekł z przekonaniem. — Z lojalności jeno wobec mojej profesji — nie wobec ciebie, szubrawcze bezecny — rozwinę kunszta moje w twojej obronie, kreaturo! Być może da się zmiękczyć czekającą cię karę do jednorazowego rozebrania na sztuki.

— Jak to — powiedziałem — ależ mnie nie można rozebrać.

— Ha, ha! — zazgrzytał — tak ci się jeno widzi! A teraz powiadaj, co kryłeś w zanadru, kleista kanalio!!

— Jak się nazywasz? — spytałem.

— Klaustron Fridrak.

— Klaustronie Fridraku, powiedz, o co jestem oskarżony?

— O lepniaczość — odparł natychmiast. — Kara za to przypada główna. A dalej, o chucie zaprzędania nas, o śpiegarstwo na rzecz bryi, o świętokradczo załęgły plan podniesienia ręki na Jego Induktywność — starczy ci, łajniasty lepniaku? Przyznajesz się do owych win?

— Czy na pewno jesteś mym adwokatem? — spytałem. — Bo mówisz jak prokurator albo sędzia śledczy.

— Jam jest twoim obrońcą.

— Dobrze. Nie przyznaję się do żadnej z tych win.

— Drzazgi z ciebie polecał! — zaryczał.

Widząc, jakiego dostałem obrońcę, zamilkłem. Nazajutrz zaprowadzono mnie na przesłuchanie. Nie przyznałem się do niczego, choć sędzia — jeżeli to było możliwe — grzmiał jeszcze okropniej od wczorajszego obrońcy. Raz ryczał, raz szeptał, wybuchał blaszanym śmiechem, to znów spokojnie tłumaczył, że pierwaj zacznie oddychać, zanim ujdę wspaniałczej sprawiedliwości.

Przy następnym przesłuchaniu był obecny jakiś ważny dostojnik, sądząc z ilości lamp, jaka się w nim żarzyła. Upłynęły cztery dalsze dni. Najgorzej było z jedzeniem. Zadowalałem się paskiem od spodni, który moczyłem w wodzie, jaką mi przynoszono raz dziennie, przy czym strażnik niósł garnek z dala od siebie, jakby to była trucizna.

Po tygodniu pasek skończył mi się, na szczęście miałem wysokie sznurowane buty z kozłej skórki — ich języki były najlepsze ze wszystkiego, co jadłem przez cały czas pobytu w celi.

Ósmego dnia raniem dwu strażników kazało mi się zbierać. Wsadzony do karetki, pod eskortą przewieziony zostałem do Żelaznego Pałacu, siedziby Kalkulatora. Po wspaniałych, nierdzewnych schodach, przez sale, wysadzone katodowymi lampami, zaprowadzono mnie do wielkiego, pozbawionego okien pokoju. Zostałem w nim sam — strażnicy wyszli. Pośrodku znajdowała się czarna zasłona, zwieszona ze stropu, fałdy jej otaczały środek pokoju

czworobokiem.

— Marny lepniaku! — zagrział głos, dochodzący jakby przez rury z żelaznego podziemia — ostatnia twa godzina bije. Rzeknij, co ci lube: szatkownica, łamignat czy świdraulina?

Milczałem. Kalkulator zahuczał, zaszumiał i odezwał się:

— Słysz mnie, lepka kreaturo, przybyła z poduszczenia bryi! Słysz mój potężny głos, mlazgraty klejaku, łąftrze kisielisty! We wspaniałości światłych moich prądów daję ci łaskę: jeśli przejdziesz na stronę wiernych szeregów moich, jeśli całą swą duszą nade wszystko wspaniałcem zostać zapragniesz, życie ci może daruję.

Rzekłem, że od dawna to właśnie było moim marzeniem. Kalkulator zarechotał szyderczo pulsującym śmiechem i rzekł:

— Między bajki łgarstwa twe włożę. Słysz, padalcze. Ostać się przy swym lepkiem żywocie możesz jeno jako wspanialec—halebardier tajny. Zadaniem twym będzie lepniaków, śpiegarzy, ajentów, zdrajców, a wszelakie inne robactwo, które bryja śle, demaskować, obnażać, przyłbice zdzierać, białym żelastwem wypalać i takimi jeno służby kornymi ocalić się możesz.

Gdy wszystko solennie obiecałem, zaprowadzono mię do innego pokoju, gdzie wciągnięto mnie na rejestr z rozkazem codziennego zdawania meldunków w głównej halebardierni, po czym osłupiałego, na miękkich nogach, wypuszczono mię z pałacu.

Zapadał zmierzch. Wyszedłem za miasto, siadłem na trawie i jąłem rozmyślać. Ciężko było mi na duszy. Gdyby mię zdekapitowano, ocaliłbym przynajmniej honor, a tak, przeszedłszy na stronę tego elektrycznego potwora, zdradziłem sprawę, którą reprezentowałem, zmarnowałem swą szansę — co miałem robić, biec do rakiety? Byłaby to haniebna ucieczka. Mimo to zacząłem iść. Los szpicla na usługach maszyny, rządzącej szeregiem żelaznych pudeł, byłby hańbą jeszcze gorszą. Któż opisze me przerażenie, gdy zamiast rakiety na miejscu, gdzie ją zostawiłem, ujrzałem tylko rozwłózione jakimiś maszynami, potraskane szczątki!

Było już ciemno, gdy wracałem do miasta. Usiadłem na kamieniu i po raz pierwszy w życiu zalkałem rzewnie za utraconą ojczyznę, a lzy ciekły po żelaznym wnętrzu tego pustego bałwana, który miał być odtąd po śmierć moim więzieniem, wyciekały przez szpary nadkolanowe na zewnątrz, grożąc rdzą i zeszywnieniem stawów. Ale było mi już wszystko jedno.

Naraz ujrzałem pluton halebardierów, z wolna sunący ku łąkom podmiejskim na tle ostatniej poświaty zachodu. Dziwnie się jakoś zachowywali. Szarość wieczoru gęstniała i w tym mroku to jeden, to drugi urywali się w pojedynkę z szeregów, jak najciszej przebierając nogami, wśliznęli w krzaki i znikali w nich. Wydało mi się to tak dziwne, że mimo bezbrzeżnego przygnębienia wstałem cicho i ruszyłem za najbliższym.

Była to — muszę dodać — pora, w której owocowały na podmiejskich krzaczach dzikie jagody, podobne w smaku do borówek, słodkie i nader smaczne. Sam się nimi objadałem, ilekroć tylko mogłem wymknąć się z żelaznego grodu. Któż wypowie moje osłupienie, kiedym ujrzał, jak śledzony przeze mnie halebardier małym kluczykiem, kubek w kubek podobnym do tego, który wręczył mi pełnomocnik II Wydziału, otwiera sobie z lewej strony przyłbicę i rwąc obiema garściami jagody, jak dziki pakuje je w otwartą czeluść! Aż tam, gdzie stałem, dochodziło mlaszczące, pośpieszne ćpanie.

— Pssst — syknąłem przenikliwie — ty, słuchaj. Jednym susem buchnął w gąszcz, ale nie uciekał dalej — słyszałbym to. Przypadł gdzieś.

— Halo — powiedziałem zniżonym głosem — nie bój się. Jestem człowiekiem. Człowiekiem. Ja także jestem przebrany.

Coś jak gdyby jedno, strachem i podejrzliwością płonące oko zerknęło na mnie spoza liści.

— Skąd mogę wiedzieć, zali nie zwodzisz? — rozległ się ochryply głos.

— Ależ mówię ci. Nie bój się. Przybyłem z Ziemi. Wysłano mię tu umyślnie.

Musiałem go jeszcze chwilę przekonywać, nim uspokoił się na tyle, że wylazł z krzaków. Dotknął mego pancerza w ciemności.

— Człowiekiem? Prawda li to?

— Dlaczego nie mówisz po ludzku? — spytałem.

— Bom przepomniał. Piąty rok idzie, jak mię tu fata okrutne zanosły... nacierpiałem się, że nie wypowiem... isto, fortuna szczęsna, że mi lepniaka przed śmiercią uźrzeć dała... — bełkotał.

— Opamiętaj się! Przestań tak gadać! Słuchaj —jesteś może z dwójki?

— Zaśby nie. Isto, zem z dwójki. Malingraut mię tu wysłał, na mordęgę okrutną.

— Czemu nie uciekłeś?

— Jako mam uciec, gdy mi raketę rozebrano, a na drobny śrut roztrząchnięto? Bracie — nie Iza mi tu siedzieć. Do koszar pora... pry, uwidzimy się li? Pod koszary jutro przyódz... przyńdziesz?

Umówiłem się z nim tedy, nie wiedząc nawet, jak wygląda, i pożegnaliśmy się; kazał mi zostać jeszcze dobrą chwilę, a sam znikł w ciemnościach nocy. Wróciłem do miasta pokrzepiony na duchu, bo widziałem już szansę zorganizowania konspiracji — aby nabrać sił, poszedłem do pierwszej oberży, jaka nawinęła się po drodze, i położyłem się spać. Rano, przeglądając się w lustrze, zauważyłem na piersi, poniżej lewego naramiennika, malutki, kredą postawiony krzyżyk i jak gdyby łuski spadły mi z oczu. Ten człowiek chciał mnie zdradzić — dlatego naznaczył mnie! Łajdak — powtarzałem w myśli, gorączkowo rozważając, co teraz począć. Starłem judaszowy znak, ale to mię nie zadowoliło. Zapewne złożył już raport — myślałem — i zaczną szukać tego nieznanego lepniaka, zwrócą się zapewne do swych rejestrów, na pierwszy ogień pójda najbardziej podejrzani — byłem tam przecież, w ich spisach; na myśl, że zaczną mnie przesłuchiwać, zadrzałem. Zrozumiałem, że muszę odwrócić jakoś podejrzenie od siebie, i rychło znalazłem na to sposób. Cały dzień przesiedziałem w oberży, maltretując dla niepoznaki cielęta, a o pierwszym zmierzchu wyruszyłem na miasto, dzierżąc ukryty w dłoni kawałek kredy. Nastawiałem nim coś ze czterysta krzyżyków na żelaziwie przechodniów — kto mi się tylko nawinał, został naznaczony. Około północy, z lżejszym nieco sercem, wróciłem do zajazdu i wtedy dopiero przypomniałem sobie, że oprócz tego judasza, z którym rozmawiałem, do krzaków powłazili zeszej nocy także inni halebardierzy. Dało mi to do myślenia. Wtem olśniła mię zdumiewająco prosta idea. Wyszedłem za miasto, na jagody. Około północy znowu zjawiała się żelazna hałastra, powoli rozsypała się, rozpierzchła i tylko z okolicznych chaszczy dobiegało pośpieszne posapywanie i ćmkanie żujących zaciekle gąb; potem zamykane szczękały kolejno przyłbice i całe bractwo powylaziło milczkiem z krzaków, obżarte jagodami jak bąki. Wtedy zbliżyłem się do nich, wzięli mnie w mroku za jednego ze swoich; maszerując stawiałem sąsiadom małe kółeczka kredą, gdzie popadło, a u wrót halebardiemi zrobiłem z tył zwrot i poszedłem do mojej oberży.

Nazajutrz usiadłem sobie na ławce przed koszarami, czekając, aż wyjdą ci, co mają przepustkę na miasto. Odnalazłszy w dumie jednego z tych, co mieli kółko na łopacie, podążyłem za nim, a gdy prócz nas dwóch nikogo nie było na ulicy, uderzyłem go rękawicą w bark, że cały zadzwonił i rzekłem:

— W imieniu Jego Induktywności! Pójdiesz za mną!

Tak się przestraszył, że cały zaczął szczękać. Bez jednego słowa pokuśtykał za mną, pokorny jak trusia. Zamknąwszy drzwi pokoju, jałem odkręcać mu głowę, dobytym z kieszeni śrubokrętem. Udało mi się to po godzinie. Uniosłem ją jak żelazny garnek i oczom moim ukazała się nieprzyjemnie zbielała od długotrwałego pobytu w ciemności, chuda twarz z wytrzeszczonymi strachem oczami.

— Jesteś lepniakiem? — sarknąłem.

- Tak jest, wasza miłość, ale...
- Co ale!?
- Ale jam przecież — zarejestrowan... przysięgałem wierność Jego Induktywności!
- Jak dawno, mów!?
- Trzy... trzy lata temu., panie — za co — za co wy mię...
- Czekaj — rzekłem — a znasz innych jakichś lepniaków?
- Na Ziemi? Juści znam, wasza miłość, dopraszam się łaski, ja ino...
- Nie na Ziemi, bałwanie, tu!
- Nie, gdzieżby! Zaś! Skoro ino zoczę, na jednej nodze doniosę, wasza mi...
- No, dobra — rzekłem. — Możesz iść. Głowę sam sobie przykręć.

Dałem mu wszystkie śrubki w garść i wypchnąłem go za drzwi. Słyszałem, jak nakłada sobie czerep trzęsącymi się jeszcze rękami, a sam usiadłem na łóżku, mocno tym wszystkim zdziwiony. Przez cały następny tydzień miałem masę roboty, bo brałem z ulicy przechodniów, kto się tylko napatoczył, szedłem do oberży, gdzie odkręcałem mu głowę. Przeczucie nie omyliło mnie: wszyscy, ale to wszyscy byli ludźmi! Nie znalazłem wśród nich ani jednego robota! Z wolna rozrastał mi się w głowie apokaliptyczny obraz...

Szatan, szatan elektryczny — ten Kalkulator! Co za piekło wyległo się w jego rozżarzonych drutach! Planeta była podmokła, reumatyczna, dla robotów — w najwyższym stopniu niezdrowa, musiały masowo rdzewieć, może brakło też z biegiem lat coraz bardziej — części zamiennych, poczęły szwankować, jeden po drugim szły na rozległe cmentarzysko podmiejskie, gdzie tylko wiatr chrząścił im podzwonne arkuszami kruszejacej blachy. Wówczas, widząc, jak topnieją jego szeregi, widząc panowanie swe zagrożonym, Kalkulator dokonał genialnej wolty. Z wrogów, nasyłanych na własną zgubę szpicli, jał czynić własne wojsko, własnych agentów, własny lud! Żaden ze zdemaskowanych nie mógł zdradzić — żaden nie ważył się na kontaktowanie z innymi, jako z ludźmi, bo nie wiedział, iż nie są robotami, a gdyby się nawet dowiedział o tym czy o owym, to bałby się, że przy pierwszej próbie kontaktu tamten wyda go, jak właśnie usiłował to uczynić ów pierwszy, przebrany za halebardiera człowiek, którego zastałem znieacka w borówkowym krzaku. Kalkulator nie zadowalał się neutralizacją wrogów — każdego czynił bojownikiem swojej sprawy, a przymuszając do wydawania innych, nowo przysłanych ludzi, dawał jeszcze jeden dowód piekielnej chytrłości, któż bowiem lepiej potrafił odróżnić nasłanych ludzi od robotów, jeśli nie sami owi ludzie właśnie, którzy znali wszak podszewkę wszystkich praktyk II Wydziału!!

Tak więc każdy człowiek, zdemaskowany, wciągnięty do rejestrów, zaprzysiężony, czuł się sam i może obawiał się nawet podobnych sobie bardziej od robotów, bo roboty nie musiały być agentami tajnej policji, ludzie byli nimi natomiast co do jednego. W taki sposób elektryczne monstrum trzymało nas w niewoli, szachując wszystkich — wszystkimi, bo przecież to właśnie moi towarzysze niedoli strzaskali moją raketę i tak samo — dowiedziałem się tego z ust halebardiera — postąpili z zastępami innych rakiet.

Piekło, piekielnik! — myślałem, dygocąc z wściekłości. I mało, że zmuszał do zdrady — mało, że Wydział sam coraz ich więcej przysyłał dla jego wygody, to jeszcze przedziewano mu ich na Ziemi w najlepszy, nierdzewny ekwipunek wysokiej jakości! Czy były w tych zakutych w blachę rzeszach jeszcze jakieś roboty? Poważnie w to wątpilem. Zrozumiała też stała się dla mnie gorliwość, z jaką prześladowali ludzi. Sami będąc nimi, musieli, jako neofici wspaniałstwa, być bardziej robotami aniżeli autentyczne roboty. Stąd zaciekle nienawiść, jaką okazywał mi mój adwokat. Stąd łajdacka próba wydania mię, jaką podjął ów człowiek, któregom pierwszego zdemaskował. Och, co za demonizm cewek i zwojów, co za strategia elektryczna!

Ujawnienie tajemnicy na nic by się nie przydało; na rozkaz Kalkulatora ani chybi ciśnięto by mnie do lochu — od zbyt dawna karność opanowała ludzi, zbyt długo udawali już ją i przywiązanie do tego zelektryfikowanego Belzebuba, przecież nawet mówić po swojemu się

oduczyli!

Co robić? Zakraść się do pałacu? To przedsięwzięcie szalone. Cóż jednak pozostawało? Niesamowita sprawa: miasto, otoczone cmentarzyskami, na których w rdzę obrócone spoczywały hufce Kalkulatora, a on rządził dalej, silniejszy niż kiedykolwiek, pewny swego, bo Ziemia przysyłała mu wciąż nowe i nowe zastępy — szataństwo! Im dłużej myślałem, tym lepiej pojmowałem, że nawet to odkrycie, którego niewątpliwie musiał przede mną dokonać niejeden z nas, w żadnej mierze nie odmieniało sytuacji. W pojedynkę nic nie mógł zrobić, musiał zwierzyć się komuś, zaufać, a to pociągało za sobą natychmiastową zdradę, zdrajca, oczywiście, liczył na awans, na wkupienie się w szczególną łaskę maszyny. Na świętego Elektrycego! — myślałem — geniusz to jest... I myśląc tak, zauważyłem, że i ja sam z lekka już archaizuję składnię i gramatykę, że i mnie udziela się ta zaraza, że naturalnym poczyna się wydawać wygląd żelaznych pałub, a ludzka twarz czymś nagim, brzydkim, nieprzyzwoitym... lepniaczym. Wielki Boże, wariuję — pomyślałem — a inni pewno dawno już sfiksowali — ratunku!

Po nocy spędzonej na ponurych rozmyślaniach, poszedłem do magazynu w śródmieściu, kupiłem za trzydzieści ferklosów najostrzejszy tasak, jaki mogłem dostać i doczekawszy się zapadnięcia mroku, zakradłem się do wielkiego ogrodu otaczającego pałac Kalkulatora. Tu, zaszyty w krzewy, wyswobodziłem się za pomocą obcęgow i śrubokrętu z mego żelaznego pancerza i na palcach, bosy, bez szelestu, wspiałem się na piętro po rynnie. Okno było otwarte. Korytarzem, głucho dźwięcząc, tam i sam chodził strażnik. Kiedy odwrócił się plecami, w przeciwnym końcu korytarza, skoczyłem do środka, podbiegłem szybko do pierwszych z brzoza drzwi i cicho wszedłem — ani mnie zauważył.

Była to ta sama wielka sala, w której słyszałem głos Kalkulatora. Panował w niej mrok. Rozchyliłem czarną zasłonę i zobaczyłem olbrzymią, stropu sięgającą ścianę Kalkulatora ze świecącymi jak oczy zegarami. Z boku widniała biała szpara. Były tam jakieś nie domknięte drzwi. Zbliżyłem się do nich na palcach i powstrzymałem dech.

Wnętrze Kalkulatora wyglądało jak mały pokój drugorzędного hotelu. Z tyłu stała niewielka, wpółotwarta kasa pancerna z wetkniętym w zamek pękiem kluczy. Za biurkiem, zawalonym papierami, siedział podstarzały, zaschły mężczyzna w szarym ubraniu, z bufiastymi zarekawkami, jakich używają biurowi urzędnicy, i pisał, strona po stronie wypełniając zadrukowane formularze. Obok jego łokcia parowała szklanka herbaty. Na talerzyku leżało kilka keksów.

Wszedłem na palcach, zamknąłem za sobą drzwi. Nie skrzypnęły.

— Pssst — powiedziałem, unosząc tasak obiema rękami.

Mężczyzna drgnął i spojrzał na mnie; lśnienie tasaka w mych rękach przyprawiło go o najwyższy strach. Twarz mu się wykrzywiła, spadł z krzesła na kolana.

— Nie!! — jęknął. — Nie!!!

— Jeżeli podniesiesz głos, marnie zginiesz — powiedziałem. — Kim jesteś?

— He... heptagoniusz Argusson, wasza miłość.

— Nie jestem żadną miłością. Masz mówić do mnie „panie Tichy”, zrozumiano?!

— Tak jest! Tak! Tak!

— Gdzie jest Kalkulator?

— Pa... panie...

— Żadnego Kalkulatora nie ma, co?!

— Tak jest! Taki miałem rozkaz!

— Proszę. Od kogo, możnaż wiedzieć? Drżał na całym ciele. Uniósł błagalnie ręce.

— To się może źle skończyć... — jęknął — litości! Niech mnie pan nie zmusza, wasza mi — przepraszam! panie Tichy! — ja — ja jestem tylko urzędnikiem VI grupy uposażeniowej...

— No, co słyszę? A Kalkulator? A roboty?

— Panie Tichy, ulituj się! Powiem całą prawdę! Nasz szef— on to zorganizował. Chodziło o kredyty — o rozszerzenie działalności, o większą — e — operatywność... żeby badać przydatność naszych ludzi, a najważniejsze były kredyty...

— Więc to było sfingowane? Wszystko?!

— Nie wiem! Przysięgam! Od kiedy tu jestem — nic się nie zmieniało, niech pan nie myśli, że ja tu rządę, uchowaj Bóg! — moim zadaniem jest tylko wypełnianie akt personalnych. Chodziło o to, czy... czy nasi ludzie mogą się załamać w obliczu wroga, w krytycznej sytuacji — czy też gotowi są na śmierć.

— A dlaczego nikt nie wracał na Ziemię?

— Bo... bo wszyscy zdradzili, panie Tichy... jak dotąd ani jeden nie zgodził się ponieść śmierci za sprawę bryi — tfu, za naszą sprawę, chciałem powiedzieć, mówię to z przyzwyczajenia, niechże pan zrozumie, jedenaście lat tu siedzę, już za rok spodziewam się emerytury, ja mam żonę i dziecko, panie Tichy, błagam...

— Zamknij gębę!!!! — rzekłem gniewnie. — Emerytury się spodziewasz, łotrze, ja ci dam emeryturę!!

Podniosłem tasak. Urzędnikowi oczy wyszły z orbit; zaczął się czołgać do mych stóp.

Kazałem mu wstać. Przekonawszy się, że kasa pancerna posiada mały, zakratowany lufcik, zamknąłem go w niej.

— I ani mru—mru! Żebyś mi się nie ważył łomotać ani stukać, drabie jeden, bo szatkownica!!

Reszta była już prosta. Noc spędziłem nie najlepszą, bo wertowałem papiery — były to sprawozdania, raporty, formularze, każdy mieszkaniec planety miał własną teczkę. Umościłem sobie biurko najtajniejszą korespondencją, bo nie było na czym spać. Rano włączyłem mikrofon i wydałem, jako Kalkulator, rozkaz, by cała ludność zebrała się na placu pałacowym. Każdy miał przynieść ze sobą obciążki i śrubokręt. Kiedy się wszyscy ustawili jak gigantyczne figury szachowe z żelaza, rozkazałem, aby sobie poodkręcali nawzajem głowy, na intencję capacitancji świętego Elektrycego. O jedenastej wyłaniać się zaczęły pierwsze ludzkie głowy, zapanował tumult i chaos, podniosły się krzyki „zdrada! zdrada!” — które w kilka minut później, kiedy ostatnia żelazna bania z łoskotem spadła na bruk, przerodziły się w jeden ryk radości. Ukazałem się wówczas we własnej postaci i poleciłem, aby pod moim przewodem wzięli się do pracy — pragnałem bowiem sporządzić z miejscowych surowców i materiałów wielki statek. Okazało się jednak, że w podziemiach pałacu znajduje się szereg statków kosmicznych, z pełnymi zbiornikami, gotowych do drogi. Przed startem wypuściłem z kasy pancerniej Argussona, nie wziąłem go jednak na pokład i nikomu nie pozwoliłem go zabrać. Powiedziałem, że zawiadomię o wszystkim jego szefa, przy czym powiem mu, też możliwie wyczerpująco, co o nim myślę.

Tak zakończyła się ta jedna z najniezwyklejszych moich przygód i podróży. Mimo wszystkich trudów i mąk, o jakie mnie przyprawiła, rad byłem takiemu obrotowi rzeczy, gdyż przywrócona mi została, nadszarpnięta przez małwersantów kosmicznych, wiara w przyrodzoną zacność mózgow elektronowych. Jak to jednak miło pomyśleć, że tylko człowiek może być draniem.

PODRÓŻ DWUNASTA

W żadnej chyba podróży nie uszedłem niebezpieczeństwom tak przeraźliwym, jak w wyprawie do Amauropii, planety gwiazdozbioru Cyklopa. Przeżycia, jakich na niej doznałem, zawdzięczam profesorowi Tarantodze. Ten uczony astrozoolog jest nie tylko wielkim badaczem, gdyż, jak wiadomo, w chwilach wolnych zajmuje się robieniem wynalazków. Między innymi wynalazł on płyn do wywabiania przykrych wspomnień, banknoty z poziomą ósemką, wyobrażającą nieskończenie wielką sumę pieniędzy, trzy sposoby kolorowania mgły na miłe dla oka kolory, a także specjalny proszek, którym można posypywać chmury i odciskać je w odpowiednich formach, dzięki czemu uzyskują trwałe, solidne kształty. Jego też dziełem jest aparatura do wyzyskiwania trwoniącej się zazwyczaj energii dzieci, które, jak wiadomo, jednej chwili nie mogą spędzić bez ruchu.

Urządzenie to przedstawia system wystających w różnych miejscach mieszkania korb, bloków i dźwigni, które dzieci popychają, ciągną i przesuwają w czasie zabaw, nieświadomie pompując w ten sposób wodę, piorąc, obierając ziemniaki, wytwarzając elektryczność itd. W trosce o naszych najmłodszych, których rodzice zostawiają niekiedy w mieszkaniu samych, profesor wymyślił też nie zapalające się zapalki, wytwarzane już masowo na Ziemi.

Pewnego dnia profesor pokazał mi najnowszy swój wynalazek. W pierwszej chwili wydało mi się, że mam przed sobą żelazny piecyk, jakoż Tarantoga zdradził mi, że takowy w samej rzeczy posłużył mu za produkt wyjściowy.

— Jest to, drogi Ijonie, przyobleczone w realny kształt odwieczne marzenie ludzkie — wyjawiał mi — a mianowicie rozciągacz lub, jeśli wolisz, spowalniacz czasu. Umożliwia on dowolne przedłużanie życia. Jedna minuta trwa w jego wnętrzu około dwu miesięcy, jeśli nie myślę się w obliczeniach. Czy zechcesz spróbować?...

Ciekawy, jak zwykle, nowinek technicznych, skinałem ochoczo głową i wcisnąłem się do aparatu. Ledwo przykucnąłem, profesor zatrzasnął drzwiczki. Zakreśliło mi w nosie, bo wstrząs, z jakim zamknięty został piecyk, wzbili w powietrze nie wydrapane resztki sadzy, tak że zaczerpnąwszy powietrza, kichałem. W tym momencie profesor włączył prąd. Na skutek spowolnienia upływu czasu kichnięcie moje trwało pięć dób i gdy Tarantoga ponownie otworzył aparat, ujrzał mnie ledwo przytomnego z wyczerpania. Zdumiał się zrazu i zaniepokoił, a wywiedziawszy się, co zaszło, uśmiechnął się dobrotliwie i rzekł:

— A w istocie upłynęły jeno cztery sekundy na moim zegarku. No, cóż powiesz, Ijonie, o tym wynalazku?

— Nie, zdaje mi się, prawdę mówiąc, że jeszcze nie jest doskonały — aczkolwiek godny uwagi — powiedziałem, gdy udało mi się złapać dech.

Zacny profesor zafrasował się nieco, ale potem wspaniałomyślnie obdarzył mnie aparatem, wyjaśniając, że może on równie dobrze służyć do spowalniania, jak i przyspieszania upływu czasu. Czując się nieco zmęczonym, chwilowo odmówiłem wypróbowania tej dodatkowej możliwości, podziękowałem serdecznie i zawiozłem maszynę do siebie. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałem, co mam z nią począć; postawiłem ją więc na strychu mej rakieciarni, gdzie stała bodaj pół roku.

Pisząc ósmy tom swojej znakomitej Astrozoologii, profesor zaznajomił się szczegółowo z materiałami dotyczącymi istot zamieszkujących Amauropię. Przyszło mu wtedy na myśl, że stanowią one wyborny obiekt dla wypróbowania rozciągacza (a zarazem przyspieszacza) czasu.

Zapoznawszy się z tym projektem, takem się do niego zapalił, że w trzy tygodnie załadowałem raketę prowiantami i paliwem, po czym, wzięwszy na pokład mało mi znane mapy tej okolicy Galaktyki i aparat, wystartowałem bez najmniejszej zwłoki. Było to tym bardziej zrozumiałe, że podróż na Amauropię trwa około trzydziestu lat. O tym, co robiłem w

tym czasie, napiszę chyba gdzie indziej. Wspomnę jedynie o jednej z większych osobliwości, jaką było spotkanie w okolicy galaktycznego jądra (nawiasem dodam, że jest to obszar zakurzony, jak mało który w kosmosie) plemienia włóczęgów międzygwiazdnych, zwanych Wygontami.

Nieszczęśliwcy ci nie posiadają w ogóle ojczyzny. Wyrażając się łagodnie, są to istoty pełne fantazji, albowiem każdy nieomal opowiadał mi o historii plemienia coś innego. Słyszałem potem, że po prostu roztrwonili swoją planetę, dla wielkiej chciwości rozmaitych minerałów. Przedsięwzięciami tymi tak zryli i przekopali całe wnętrze planety, że spustoszyli ją całkowicie, na koniec pozostała z niej tylko duża jama, która pewnego dnia rozsypała im się pod nogami. Są co prawda i tacy, którzy twierdzą, że Wygontowie, wyprawiwszy się raz na pijaństwo, po prostu zbłądzili i nie umieli wrócić do siebie. Nie wiadomo, jak to tam było naprawdę, w każdym razie nikt tych włóczęgów gwiazdowych nie wita mile; gdy ciągnąc próżnią zawadzą o jakąś planetę, niebawem okazuje się, że czegoś brak: a to zniknęło trochę powietrza, to jakaś rzeka nagle wyschła, to wyspy nie można się dorachować.

Raz na Ardenurii świsnęli podobno cały kontynent, szczęściem, że nieuprawny, bo złodowaciały. Wynajmują się oni chętnie do czyszczenia i regulowania księżyców, lecz mato kto powierza im te odpowiedzialne czynności. Dzieciarnia ich obrzuca komety kamieniami, jeździ na zmurszałych meteorach, słowem — kłopotów z nimi co niemiara. Uznałem, że niepodobna godzić się z takimi warunkami bytowania i przerwałem na krótko podróż, zakrzętałem się, i to bardzo sprawnie, bo udało mi się dostać okazyjnie całkiem jeszcze przyzwoity księżyc. Podremontowało się go i dzięki moim znajomościom awansowało na planetę.

Nie było tam wprawdzie powietrza, ale urządziłem składkę; okoliczni mieszkańcy złożyli się, i trzeba było widzieć, z jaką radością wmaszerowali poczciwi Wygontowie na własną planetę! Podziękowaniom ich nie było wprost końca. Pożegnawszy ich serdecznie, udałem się w dalszą drogę. Do Amauropii nie było już więcej nad sześć kwintylinionów kilometrów; przebywszy ten ostatni odcinek trasy, i odnalazłszy właściwą planetę (a jest ich tak jak maku), począłem się opuszczać na jej powierzchnię.

W pewnej chwili, włączwszy hamulce, stwierdziłem z przerażeniem, że nie działają i spadam na planetę niczym kamień. Wyjrawszy przez klapę spostrzegłem, iż hamulców w ogóle nie ma. Z oburzeniem pomyślałem o niewdzięcznych Wygontach, nie było jednak czasu na takie rozmyślenia, przecinałem już bowiem atmosferę i rakieta poczęła się żarzyć rubinowe — jeszcze chwila, a spłonąłbym żywcem.

Na szczęście w ostatniej chwili przypomniałem sobie o rozciągaczu czasu; włączwszy go, uczyniłem jego upływ tak powolnym, że mój spadek na planetę trwał trzy tygodnie. Wydobywszy się w ten sposób z opresji, rozejrzałem się po okolicy.

Rakieta osiadła na rozległej polanie, otoczonej zewsząd bladobłękitnym lasem. Nad drzewami o mątwowatych konarach unosiły się szmaragdowe twory, wirujące z wielką szybkością. Na mój widok pierzchła w liliowe krzaki gromada istot, zadziwiająco podobnych do ludzi, tyle że miały lśniącą, szafirową skórę. Wiedziałem już o nich to i owo od Tarantogi, a wydobywszy kieszonkowy poradnik kosmonautyczny, zaczerpnałem garść dodatkowych informacji.

Planetę zamieszkiwał gatunek istot człekokształtnych — jak głosił tekst — zwanych Mikrocefalami, znajdujących się na niezmiernie niskim stopniu rozwoju. Próby porozumienia się z nimi nie dały rezultatu. Najoczywiej poradnik mówił prawdę. Mikrocefale chodzili na czworakach, przycupując to tu, to tam, iskali się z wielką wprawą, a gdym się do nich zbliżał, łypali na mnie szmaragdowymi oczami, gardłując bez najmniejszego ładu i składu. Poza nierozumnością odznaczali się dobrodusznym i łagodnym usposobieniem.

Przez dwa dni zwiedzałem błękitny las i otaczające go rozległe stepy, a powróciwszy do rakiety, udałem się na spoczynek. Kiedym już był w łóżku, wspomniałem przyspieszacz i

postanowiłem puścić go w ruch na parę godzin, aby nazajutrz przekonać się, czy da to jakieś efekty. Wyniosłem go więc nie bez trudu z rakiety, ustawiłem pod drzwiami, włączyłem przyspieszenie czasu i wróciwszy do łóżka, zasnąłem snem sprawiedliwego.

Zbudziło mnie gwałtowne tarposzenie. Otworzywszy oczy, ujrzałem nad sobą twarze nachylonych Mikrocefalów, którzy, już na dwu nogach, porozumiewali się krzykliwie i z wielkim zainteresowaniem poruszali moimi rękami, a gdy spróbowałem się opierać, omal nie wyłamali mi ich ze stawów. Największy z nich, liliowy olbrzym, otworzył mi przemocą usta, i wtykając do nich palce, liczył mi zęby.

Szamoczącego się daremnie wyniesiono mnie na polanę i przywiązano do ogona rakiety. W tej pozycji widziałem, jak Mikrocefale wynoszą z rakiety, co się da; większe rzeczy, które nie mieściły się w otworze klapy, rozbijali wprzód kamieniami na kawałki. Naraz obruszył się na raketę i na krzątających się wokół niej Mikrocefalów grad kamieni, z których jeden trafił mnie w głowę. Skrępowany, nie mogłem spojrzeć w stronę, z której leciały kamienie. Słyszałem tylko odgłosy walki. Mikrocefale, którzy skrępowali mnie, rzucili się nareszcie do ucieczki. Nadbiegli inni, uwolnili mnie z pęt i z oznakami wielkiego szacunku zanieśli na barkach w głąb lasu.

Pochód zatrzymał się u stóp rozłożystego drzewa. Z jego konarów zwisał umocowany na lianach rodzaj powietrznego szałas z małym okienkiem. Przez to okienko wepchnięto mnie do środka, przy czym zgromadzony pod drzewem tłum padł na kolana, wydając modlitewne zawołanie. Korowody Mikrocefalów złożyły mi ofiary z kwiatów i owoców. Przez następne dni stanowiąc przedmiot powszechnego kultu, przy czym kapłani wróżyli przyszłość z mego wyrazu twarzy, a gdy wydawał im się złowieszczy, okadzali mnie dymem, tak że omal się nie udusiłem. Na szczęście podczas składania całopalnych ofiar kapłan rozhuśtywał kapliczkę, w której siedziałem, dzięki czemu od czasu do czasu mogłem chwycić nieco tchu.

Na czwarty dzień czcicieli mych napadł oddział uzbrojonych w maczugi Mikrocefalów pod dowództwem olbrzyma, który liczył mi zęby. Przechodząc podczas walki z rąk do rąk, stawałem się na przemian przedmiotem czci bądź też zniewag. Bitwa zakończyła się zwycięstwem napastników, stojących pod wodzą owego olbrzyma, imieniem Glistolot. Brałem udział w jego triumfalnym powrocie do obozowiska, przywiązany do wysokiej tyki, którą nieśli krewni wodza. Stało się to tradycją i odtąd zostałem swego rodzaju sztandarem, noszonym na wszystkie wyprawy wojenne. Było to uciążliwe, ale połączone z przywilejami.

Poduczysz się dialektu Mikrocefalów, począłem wyjaśniać Glistolotowi, że to mnie on i jego poddani zawdzięczają tak szybki rozwój. Szło to niesporo, ale mam wrażenie, że zaczynało mu już coś świtać, niestety, został otruty przez swego bratanka Odłopęza. Ten zjednoczył zwalczających się dotąd Mikrocefalów leśnych i polanowych, poślubiając Mastozymazę, kapłankę leśnych.

Ujrzawszy mnie podczas uczy poślubnej (byłem kosztowaczem potraw — urząd ten wprowadził Odłopęz) Mastozymaza wydała radosny okrzyk: „Ależ ty masz bielusięnką skórkę!” Napęliło mnie to złymi przecuciami, które rychło się sprawdziły. Mastozymaza zadusiła małżonka podczas snu i poślubiła mnie w trybie morganatycznym. Próbowałem jej z kolei wytłumaczyć moje zasługi wobec Mikrocefalów, lecz pojmowała mnie opacznie, bo po pierwszych słowach krzyknęła: „Aha, masz mnie już dość!” i długo musiałem ją uspokajać.

Podczas następnego przewrotu pałacowego Mastozymaza zginęła, a ja uratowałem się ucieczką przez okno. Z naszego związku pozostał jedynie biało-liliowy kolor sztandarów państwowych. Po ucieczce odnalazłem w lesie polanę z przyspieszaczem i chciałem go wyłączyć, ale przyszło mi do głowy, że rozsądniej będzie raczej poczekać, aż Mikrocefale wytworzą bardziej demokratyczną cywilizację.

Przez czas jakiś mieszkałem w lesie, żywiąc się jedynie korzonkami i nocą tylko podchodziłem pod obozowisko, które chyżo przeobrażało się w miasto, otoczone ostrokołem.

Mikrocefale osiadli uprawiali rolę, miastowi zaś napadali na nich, gwałcili ich żony, a ich

samych mordowali i rabowali. Rychło wyłonił się z tego handel. W tym czasie okrzepli też wierzenia religijne, których rytuał bogacił się z dnia na dzień. Ku memu wielkiemu zmartwieniu Mikrocefale zawlekli rakieta z polany do miasta i osadzili ją pośrodku głównego placu jako rodzaj bożyszcza, otoczywszy to miejsce murem i strażami. Kilka razy rolnicy jednoczyli się, napadali na Liliowiec (jak zwało się miasto) i wspólnym wysiłkiem burzyli go do fundamentów, aliści za każdym razem następowała bardzo sprawna odbudowa.

Wojnom tym położył kres król Sarcepanos, który spalił wsie, ściał lasy i rolników, a pozostałych przy życiu osadził jako jeńców wojennych na roli pod miastem. Nie mając się gdzie podziąć, przywędrowałem do Liliowca. Dzięki moim znajomościom (służba pałacowa znała mnie z czasów Mastrozymazy) otrzymałem posadę masażysty tronowego. Polubiwszy mnie, Sarcepanos postanowił nadać mi godność pomocnika siepacza państwowego w randze starszego torturanta. Zrozpaczony, udałem się na polanę, na której pracował przyspieszacz i nastawiłem go na maksymalne działanie. Rzeczywiście tejże nocy Sarcepanos zmarł od przejedzenia i na tronie zasiadł Trymon Sinawy, dowódca armii. Wprowadził on hierarchię urzędniczą, podatki i przymusowy pobór do wojska. Od służby wojskowej uratował mnie kolor skóry. Zostałem uznany za albinosa i jako taki nie miałem prawa zbliżania się do siedziby królewskiej. Żyłem wśród niewolników, zwany przez nich Ijonem Bladonem.

Począłem głosić powszechną równość i wyjaśniłem moją rolę w społecznym rozwoju Mikrocefalów. Rychło zgromadziło się wokół mnie wielu zwolenników tej nauki, zwanych Machinistami. Rozpoczęły się wrzenia i zamieszki, krwawo tłumione przez gwardię Trymona Sinawego. Machinizm został zakazany pod karą załaskotania na śmierć.

Kilka razy musiałem uciekać z miasta i chronić się w sadzawkach miejskich, a moi entuzjaści podlegali okrutnym prześladowaniom. Potem na moje prelekcje ściągać zaczęło coraz więcej osób z wysokich sfer, oczywiście incognito. Gdy Trymon zmarł tragicznie, z roztargnienia zapomniawszy oddychać, władzę objął Karbagaz Roztropny. Był to zwolennik mojej nauki, którą podniósł do godności wyznania państwowego. Otrzymałem miano Opiekuna Machiny i wspaniałą rezydencję obok dworu. Miałem masę zajęć i sam nie wiem, jak to się stało, że podwładni mi kapłani jęli głosić tezy o moim niebiańskim pochodzeniu. Próżno usiłowałem się temu przeciwstawić. W tym czasie zaczęła działać sekta Antymachinistów, głoszących, że Mikrocefale rozwijają się w sposób naturalny, a ja jestem byłym niewolnikiem, który, pobielwszy się wapnem, w oszukańczy sposób ogłupia lud.

Przywódców sekty schwytano i król zażądał, bym jako Opiekun Machiny skazał ich na śmierć. Nie widząc innego wyjścia, uciekłem przez okno pałacu i jakiś czas ukrywałem się w sadzawkach miejskich. Pewnego dnia doszły mnie wieści, iż kapłani obwieszczają wniebowzięcie Ijona Bladona, który, spełniwszy planetarne posłannictwo, wrócił do swych boskich rodziców. Poszedłem do Liliowca, aby to sprostować, lecz tłum, klęczący przed moimi wizerunkami, po pierwszych słowach chciał mnie ukamienować. Obroniła mnie straż kapłańska, po to tylko, bym jako samozwaniec i bluźnierca został osadzony w lochu. Przez trzy dni szorowano mnie i drapano, aby zetrzeć rzekomą pobiałkę, dzięki której — jak głosiło oskarżenie — podszyłem się pod wniebowziętego Bladona. Ponieważ nie niebie—szczałem, miano mnie poddać torturom. Z tej opresji udało mi się uciec dzięki pewnemu strażnikowi, który dostarczył mi nieco niebieskiej farbki. Pędem udałem się do lasu, w którym znajdował się przyspieszacz i po dłuższym manipulowaniu jeszcze bardziej spotęgowałem jego działanie w nadziei, że przyśpieszę w ten sposób nadejście porządnej cywilizacji, po czym skrywałem się przez dwa tygodnie w miejskich sadzawkach.

Wróciłem do stolicy, gdy ogłoszono republikę, inflację, amnestię i zrównanie stanów. Na rogatek żądano już dokumentów, a że nie miałem żadnych, aresztowano mnie za włóczęgostwo. Po wyjściu na wolność zostałem, dla braku środków do życia, gońcem w Ministerstwie Oświaty. Gabinety ministerialne zmieniały się nieraz i dwa razy na dobę, że zaś każdy nowy rząd rozpoczynał władanie od anulowania dekretów poprzedniego i wydawania

nowych, miałem masę biegania z okólnikami. Na koniec dostałem obrzęków na nogach i podałem się do dymisji, której nie przyjęto, bo był właśnie stan wojenny. Przeżywszy republikę, dwa dyrektoriaty, restaurację monarchii oświeconej, rządy autorytatywne generała Rozgroza, i jego ścięcie, jako zdrajcy stanu, zniecierpliwiony powolnością rozwoju cywilizacji raz jeszcze wziąłem się do majstrowania przy aparacie, z takim skutkiem, że śrubka w nim pękła. Nie wziąłem tego specjalnie do serca, aliści po paru dniach spostrzegłem, że dzieje się coś osobliwego.

Słońce wstawało na zachodzie, na cmentarzu słychać było rozmaite hałasy, widywało się chodzących nieboszczyków, przy czym stan ich poprawiał się z każdą chwilą, dorośli pomniejszali się w oczach, a małe dzieci gdzieś znikwały.

Wróciły rządy generała Rozgroza, monarchia oświecona, dyrektoriat, wreszcie republika. Gdy na własne oczy zobaczyłem cofający się pogrzeb króla Karbagaza, który po trzech dniach wstał z katafalku i został odbalsamowany, zorientowałem się, że musiałem popsuć aparat i czas płynie teraz wstecz. Najgorsze było to, że i ja sam obserwowałem na własnej osobie oznaki młodnienia. Postanowiłem czekać, aż zmartwychwstanie Karbagaz I i zostanie znowu Wielkim Machinistą, gdyż, korzystając z mych ówczesnych wpływów, mógłbym bez trudu dostać się do służącej za bóstwo rakiety.

Najgorsze jednak było przeraźliwe tempo przemian; nie byłem pewny, czy doczekam właściwej chwili. Codziennie stawałem pod drzewem na podwórzu i znaczyłem kreskę na wysokości głowy — malałem z ogromną chyżością. Kiedy zostałem Opiekunem Machiny u boku Karbagaza, wyglądałem najwyżej na dziewięć lat, a tu trzeba było jeszcze zgromadzić prowiant na drogę. Nocami zanosilem go do rakiety, co przychodziło mi z niemałym trudem, byłem bowiem coraz słabszy. Ku memu najwyższemu przerażeniu stwierdziłem, że w chwilach wolnych od zajęć pałacowych odczuwam niepowstrzymaną chęć grania w berka.

Gdy wehikuł był już gotów do drogi, wczesnym świtem skryłem się w nim i zamierzałem sięgnąć do dźwigni startowej — była jednak za wysoko. Musiałem gramolić się na stółek i tak dopiero udało mi się ją przesunąć. Chcąc zakląć, stwierdziłem ze zgrozą, że już tylko kwilę. W momencie startu jeszcze chodziłem, ale widać nadany impuls działał jakiś czas, gdyż po opuszczeniu planety, kiedy tarcza jej majaczyła w oddali białawą plamą, z trudnością udało mi się dorazkować do butelki z mlekiem, którą sobie zapobiegliwie przygotowałem. Musiałem się żywić w ten sposób przez całych sześć miesięcy.

Podróż na Amauropię trwa, jakem rzekł na początku, koło trzydziestu lat, tak że powróciwszy na Ziemię nie wzbudziłem mym wyglądem niepokoju przyjaciół. Żałuję tylko, że nie posiadam umiejętności fantazjowania, bo nie musiałbym wówczas unikać spotkań z Tarantogą i mógłbym, nie urażając go, zmyślić jakąś bajeczkę, pochlebającą jego talentom wynalazczym.

PODRÓŻ CZTERNASTA

19 VIII

Dalem raketę do remontu. Ostatnim razem zanadto zbliżyłem się do słońca; cały lakier zlaźł. Kierownik warsztatów radzi pomalować na zielono. Jeszcze nie wiem. Przed południem porządkę w mojej kolekcji. W futrze najpiękniejszego gargauna pełno moli. Nasypałem naftaliny. Po południu — u Tarantogi. Śpiewaliśmy pieśni marsjańskie. Pożyczyłem od niego Dwa lata wśród kurdli i osmiotów Brizarda. Czytałem do świtu — szalenie ciekawe.

20 VIII

Zgodziłem się na zielony kolor. Kierownik namawia mnie do kupna mózgu elektrycznego. Ma do zbycia porządny, mało używany, o mocy dwunastu parowych dusz. Powiada, że bez mózgu nikt się teraz nie rusza nawet poza księżyc. Waham się, bo duży wydatek. Całe popołudnie czytam Brizarda — porywająca lektura. Aż wstyd, że nigdy nie widziałem kurdla.

21 VIII

Rano w warsztatach. Kierownik pokazał mi mózg. Rzeczywiście przywoity, z baterią dowcipów na pięć lat. Podobno rozwiązuje to problem nudy kosmicznej. — Prze—śmieje pan najdłuższą podróż — powiedział kierownik. Po wyczerpaniu baterii można dać nową. Kazałem pomalować stery na czerwono. Co do mózgu — jeszcze się namyślę. Do północy czytałem Brizarda. Czy nie zapolować samemu?

22 VIII

Kupiłem w końcu ten mózg. Kazałem wbudować go w ścianę. Kierownik dodał mi do niego poduszkę elektryczną. Musiał porządnie ze mnie zedrzeć! Powiada, że zaoszczędzę masę pieniędzy. Rzecz w tym, że przyjeżdżając na planety trzeba zwykle płacić cło wjazdowe. Otóż, mając mózg, można zostawić raketę w próżni, krążącą swobodnie wokół planety na kształt sztucznego księżycy i nie płacąc ani grosza cła przejść resztę drogi pieszo. Mózg oblicza astronomiczne elementy ruchu i podaje, gdzie trzeba potem szukać rakiety. Skończyłem Brizarda. Jestem już niemal zdecydowany jechać na Enteropię.

23 VIII

Odebrałem raketę z warsztatów. Bardzo ładnie wygląda, tylko stery nie grają kolorystycznie z resztą. Przemalowałem sam na żółto. Dużo lepiej. Pożyczyłem od Tarantogi tom Encyklopedii kosmicznej na E i odpisałem artykuł o Enteropii. Oto on:

ENTEROPIA.6 planeta podwójnego (czerwonego i niebieskiego) słońca w gwiazdozbiore Cielca. 8 kontynentów, 2 oceany, 167 wulkanów czynnych, 1 ściorg (ob. ŚCIORG). Doba 20-godzinna, klimat ciepły, warunki dla życia poza okresem strumów (ob. STRUM) dobre.

Mieszkańcy:

a) rasa panująca — Ardryci, istoty rozumne wieloprzejrzystościennie symetryczne nieparzystoodnogowe (3), należące do typu Siliconoidea, rząd Połytheria, klasa Luminifera. Jak wszystkie Połytheria (ob.) Ardryci podlegają okresowemu rozszczepieniu dowolnemu. Zakładają rodziny typu kulistego. System rządów: gradarchia II B, z wprowadzonym przed 340 laty Transmem Penitencjarnym (ob. TRANSM). Przemysł wysoko rozwinięty, głównie środków spożywczych. Podstawowe pozycje eksportu: manubne fosforyzowane, sercoklety i laupanie w kilkudziesięciu gatunkach, żebrowane i wolno opalane. Stolica: Tentotam, 1 400 000 mieszk. Gł. ośrodki przemysłowe: Haupr, Drur, Arbagellar. Kultura luminama z oznakami zgrzybienia, wskutek przesiąknięcia relikdami cywilizacji wytrzebionych przez Ardrytów Fytogozjan (Grzyboniów, ob.). W ostatnich latach coraz większą rolę odgrywają w życiu kult. społecznym sepulki (ob.). Wierzenia: religia panująca — Monodrumizm. Według M. świat stworzony został przez Mnogiego Drumę pod postacią Płatwi Pierwotnej, z kt. narodziły się słońca i planety z Enteropią na czele. Ardryci budują świątynie platerowe stałe i składane. Poza Mondrumizmem działa kilkanaście sekt, z tych najważniejsza — Plakotraków.

Plakotratowie (ob.) nie wierzą w nic poza Emfezą (ob. EMFEZA), a i to nie wszyscy. Sztuka: taniec (toczny), radioakty, sepulenie, dramat bajonowy. Architektura: w zw. ze strumami — wdmuchowo-tłoczona, gmaziowa. Gmaziowce kielichowe osiągają 130 pięter. Na szt. księżycach przeważnie budowle owicellarne (jajowate).

b) Zwierzęta. Fauna typu silikonoidalnego, gł. przedstawiciele: mierzawce, dendrogi autumalne, asmaty, kurdle i ośmioły skowytne. Dla człowieka zwierzęta te są niejadalne, z wyjątkiem kurdli (tylko okolica zardu, ob. ZARD). Fauna wodna: stanowi surowiec przemysłu spożywczego. Gł. przedstawiciele: inf emalia (piekluchy), bliskwy, pszywięta i śmędzie. Osobliwością Enteropii jest ściorg z jego fauną i florą mętlinową. W naszej Galaktyce jedynym jego odpowiednikiem są ały w bezpiecznych ularach Jupitera. Całe życie Enteropii rozwinęło się, jak wykazują badania szkoły prof. Tarantogi, w obrębie ściorgu ze złoża balbazyłowych. W zw. z masową zabudową lądową i wodną należy liczyć się z rychłym zniknięciem resztek ściorgu. Podpadając pod 6 paragr. ustawy o ochr. zabytków planetarnych (Codex Galacticus t. MDDDVII, vol. XXXII, pag. 4670), ściorg podlega ochronie; w szczególności wzbronione jest tapanie go w ciemno.

W artykule tym wszystko jest dla mnie jasne, z wyjątkiem wzmianek o sepulkach, transmie i strumie. Niestety, ostatni tom Encyklopedii, który się ukazał, kończy się na haśle „SOS GRZYBOWY”, więc o transmie ani o strumie nie ma nic. Poszedłem jednak do Tarantogi, żeby zajrzeć pod „SEPULKI”. Znalazłem krótką informację:

SEPULKI — odgrywający doniosłą rolę element cywilizacji Ardrytów (ob.) z planety Enteropii (ob.) Ob. SEPULKARIA.

Poszedłem za tą radą i przeczytałem:

SEPULKARIA — obiekty służące do sepulenia (ob.).

Poszukałem pod „Sepulenie”, było tam:

SEPULENIE — czynność Ardrytów (ob.) z planety Enteropii (ob.). Ob. SEPULKI.

Krąg się zamknął, nie było już gdzie szukać. Nigdy w życiu nie zdradziłem się z podobną ignorancją przed profesorem, a nikogo innego spytać nie mogę. Kości rzucone — postanowiłem jechać na Enteropię. Wyruszam za trzy dni.

28 VIII

Wystartowałem o drugiej, tuż po obiedzie. Żadnych książek nie wzięłem, bo miałem ten nowy mózg. Aż do księżycy słuchałem kawałów, które opowiadał. Porządnie się uśmiełem. Potem kolacja, i spać.

29 VIII

Zdaje się, że się przeziębilem w cieniu księżycy, bo wciąż kicham. Wzięłem aspirynę. Na kursie — trzy rakiety towarowe z Plutona; maszynista telegrafował, żebym dał wolną drogę. Pytałem, jaki ładunek, myśląc, że Bóg wie co, a to zwyczajne bryndasy. Zaraz potem pośpieszna z Marsa, okropnie zapchana. Widziałem przez okna, wszyscy leżeli na sobie jak śledzie. Machaliśmy chusteczkami, aż nic już nie było widać. Do kolacji słuchałem kawałów. Doskonale, tylko wciąż kicham.

30 VIII

Zwiększyłem szybkość. Mózg działa bez zarzutu. Przepona zaczęła mnie trochę boleć, więc wyłączyłem go na dwie godziny i włączyłem poduszkę elektryczną. Dobrze mi zrobiło. Po drugiej złapałem ten sygnał radiowy, który Popów wypuścił z Ziemi w 1896 roku. Już porządnie odsądziłem się od Ziemi.

31 VIII

Słońce już ledwo widoczne. Przed obiadem — przechadzka dookoła rakiety, żeby się nie zasiedzieć. Do wieczora — kawały. Większość z brodą. Zdaje się, że kierownik warsztatów dał mózgowi do czytania stare pisma humorystyczne, a z wierzchu przyrzucił parę garści nowych dowcipów. Zapomniałem o kartoflach, które wstawiłem do stosu atomowego, i spaliły się co do jednego.

32 VIII

Wskutek szybkości czas się dłuży — powinien być październik, a tu wciąż sierpień i sierpień. W oknie zaczęło coś migać. Myślałem, że to już Droga Mleczna, ale to tylko lakier się łuszczy. Przekłęta tandeta! Mam na kursie stację obsługi. Namyślałam się, czy warto się zatrzymać,

33 VIII

Wciąż sierpień. Po obiedzie doleciałem do stacji. Stoi na małej, pustej całkiem planecie. Budynek stacyjny jak wymarły, dokoła ani żywego ducha. Wziąłem kubełek i poszedłem się rozejrzeć, czy nie mają tu jakiegoś lakieru. Chodziłem tak, aż usłyszałem sapanie. Patrząc, a za budynkiem stacji stoi kilka maszyn parowych i rozmawia. Zbliżyłem się.

Jedna mówi:

— Przecież to jasne, że chmury są formą życia pozagrobowego maszyn parowych. Otóż zasadnicze pytanie brzmi: co było pierwaj — maszyny parowe czy para wodna? Ja twierdząc, że para!

— Milcz, przekłety idealisto! — zasyczała druga. Usiłowałem spytać o lakier, ale tak syczały i gwizdały, że nie słyszałem własnego głosu. Wpisałem się do książki zażaleń i poleciałem dalej.

34 VIII

Czy ten sierpień nigdy się nie skończy? Przed południem czyściłem raketę. Okropne nudy. Zaraz do środka, do mózgu. Zamiast śmiechu, napadło mnie takie ziewanie, że byłem w strachu o szczęki. Po prawej burcie mała planeta. Mijając ją, zauważyłem jakieś białe kropki. Przez lornetę zobaczyłem, że to tabliczki z napisem: „Nie wychylać się”. Z mózgiem coś nie w porządku — połyka pointy.

IX

Musiałem zatrzymać się na Strogлонie, bo paliwo mi się kończyło. Hamując, z rozpędu przeleciałem przez cały wrzesień.

Na lotnisku duży ruch. Zostawiłem raketę w próżni, żeby nie płacić cła, wziąłem tylko blaszanki na paliwo. Przedtem obliczyłem z pomocą mózgu koordynaty ruchu po elipsie. Po godzinie wróciłem z pełnymi bańkami, a rakiety ani śladu. Oczywiście wziąłem się do szukania. Myślałem, że ducha wyzionę; przeszedłem jednak coś cztery tysiące kilometrów pieszko. Oczywiście — mózg się pomylił. Będę ja musiał porozmawiać z tym kierownikiem warsztatów, kiedy wrócę.

2X

Szybkość tak wielka, że gwiazdy zamieniły się w ogniste smużki, jakby ktoś milionem palących się papierosów ruszał w ciemnym pokoju. Mózg się jąka. Co najgorsze, złamał się wyłącznik i nie mogę go zamknąć. Gada bez przerwy.

3X

Mózg wyczerpuje się, jak można sądzić, bo sylabizuje. Powoli przywykam do tego. Ile się da, siedzę na zewnątrz, tylko nogi wpuszczam do rakiety, bo porządnie zimno.

7X

O wpół do dwunastej dotarłem do stacji wjazdowej Enteropii. Rakieta bardzo rozgrzana hamowaniem. Przycumowałem ją na wierzchnim pokładzie sztucznego księżyca (mieści się tam stacja) i poszedłem do środka, by wypełnić formalności. W spiralnym korytarzu ruch nieprawdopodobny; przybysze z najdalszych stron Galaktyki chodzili, falowali i skakali od okienka do okienka. Ustawiłem się w ogonku za jasnoniebieskim Algolaninem, który uprzejmym gestem ostrzegł mnie, bym nie zbliżał się zanadto do jego tylnego organu elektrycznego. Za mną stanął zaraz jakiś młody Satumijczyk w beżowym szlaulonie. Trzema ssawkami przytrzymał walizki, a czwartą ocierał pot. Rzeczywiście bardzo gorąco. Kiedy nadeszła moja kolej, urzędnik, przejrzysty jak kryształ Ardryta, przyjrzał mi się badawczo, pozieleniał (Ardryci wyrażają uczucia zmianą zabarwienia; zieleń jest odpowiednikiem

uśmiechu) i spytał:

- Pan kręgowiec?
- Tak.
- Dwudyszny?
- Nie. Tylko powietrzem...
- Dziękuję, doskonale. Wikt mieszany?
- Tak.
- Z jakiej planety, wolno wiedzieć?
- Z Ziemi.
- A to proszę do następnego okienka.

Podszedłem tam i zajrzawszy do środka przekonałem się, że mam przed sobą tego samego urzędnika, a właściwie jego dalszą część. Wertował dużą księgę.

— A! mam — powiedział — Ziemia... hm, bardzo dobrze. Pan jako turysta czy handlowiec?

- Jako turysta.
- To proszę pozwolić...

Wypełniał jedną przyłgą formularz, a drugą równocześnie podał mi inny do podpisu, mówiąc:

— Strum rozpoczyna się za tydzień. Zechce pan w związku z tym udać się do pokoju 116, tam jest nasza wytwórnia rezerw, która się panem zajmie. Potem proszę przejść do pokoju 67, to jest kabina farmaceutyczna. Dostanie pan tam pigułki Eufruglium, które musi pan zażywać co trzy godziny, by zneutralizować szkodliwe dla pańskiego organizmu działanie radioaktywności naszej planety... Czy życzy pan sobie świecić podczas pobytu na Enteropii?

- Dziękuję, nie.
- Jak pan uważa. Proszę, oto pańskie papiery. Pan jest ssakiem, prawda?
- Tak.
- A więc pomyślnego ssania!

Pożegnawszy uprzejmego urzędnika, poszedłem, jak mi polecił, do pracowni rezerw. W jajowatym pomieszczeniu było, jak mi się wydało na pierwszy rzut oka, pusto. Stało tam kilka aparatów elektrycznych; pod sufitem brylantowymi promieniami lśniła kryształowa lampa. Okazało się jednakże, że to był Ardryta, urzędujący technik, który zaraz opuścił się z sufitu. Siadłem na fotelu, on zaś, zabawiając mnie rozmową, dokonał pomiarów i rzekł:

— Dziękuję, pański pączek przekazemy wszystkim wylęgarniom na planecie. Gdyby się panu cokolwiek zdarzyło podczas strumu, może pan być całkiem spokojny... natychmiast dostawimy rezerwę!

Nie całkiem rozumiałem, co miał na myśli, przyuczyłem się wszakże podczas wieloletnich wędrówek do dyskrecji, nic bowiem przykrzejszego dla mieszkańców jakiegokolwiek planety, niż tłumaczyć obcemu miejscowe nawyki i obyczaje. W gabinecie farmaceutycznym znów ustawiłem się ogonku, który posuwał się jednak nader szybko, tak że rychło fertyczna Ardrytka w fajansowej umbrze dała mi porcję pigułek. Jeszcze mała formalność słowa (wolałem nie zawierzać już mózgowi elektrycznemu) i z wizą w ręku wróciłem na pokład.

Tuż za księżycem rozpoczyna się kosmotrasa, porządnie utrzymana, z wielkimi napisami reklamowymi po obu stronach. Litery ich oddalone są od siebie o parę tysięcy kilometrów, ale przy normalnej szybkości jazdy składa się słowa tak szybko, jakby się je miało wydrukowane w gazecie. Jakiś czas odczytywałem je z zainteresowaniem — więc: „Myśliwi! używajcie tylko pasty do polowania MLINI”, albo: „Chcesz być wesoły — połuj na ośmioly!” — itp.

O siódmej wieczorem wylądowałem na lotnisku totentamskim. Niebieskie słońce tylko co zaszło. W promieniach czerwonego, które było jeszcze dość wysoko, wszystko wokół wyglądało jak objęte pożarem — niezwykły widok. Obok mojej rakiety majestatycznie opuścił się krążownik galaktyczny. Pod jego ogonem rozgrywały się wzruszające sceny

powitania. Rozdzieleni na długie miesiące Ardrycy padali sobie w objęcia z okrzykami zachwytu, po czym wszyscy, ojcowie, matki, dzieci, łącząc się czułym uściskiem w kule, błyskające rumieńcami w promieniach słonecznych, pośpieszali ku wyjściu. I ja ruszyłem w ślad za toczącymi się harmonijnie rodzinami; tuż za portem lotniczym znajduje się przystanek glambusa, do którego wsiadłem. Pojazd ten, ozdobiony z wierzchu złotymi zgłoskami układającymi się w napis: „PASTA RAUS SAMA POLUJE!”, przedstawia coś w rodzaju sera szwajcarskiego; w dużych jego dziurach mieszczą się dorośli, w małych zaś dzieciarnia. Ledwom wsiadł, glambus ruszył z miejsca. Otoczony jego krystalicznym mięszem, nad sobą, pod sobą i dokoła widziałem sympatycznie przeświecające, różnobarwne sylwetki współpasażerów. Sięgnąłem do kieszeni po tomik Baedekera, bo był już najwyższy czas zaznajomić się z jego wskazówkami, jakież jednak było moje zaskoczenie, kiedy zobaczyłem, że trzymam tom traktujący o planecie Enteupii, odległej od miejsca, w którym się znajdowałem, o trzy miliony lat świetlnych. Potrzebny mi Baedeker został w domu. Przekłęte roztargnienie!

Nie było innej rady, jak pójść do torentamskiej ekspozytury znanego biura astronautycznego GALAX. Uprzejmy konduktor, gdy się do niego zwrócił, zatrzymał wnet glambus, wskazał mi przylgą ogromny gmach i na pożegnanie zmienił się serdecznie na twarzy.

Przez chwilę stałem bez ruchu, rozkoszując się niezwykłym widokiem, jaki przedstawiało pograżające się w zmierzchu śródmieście. Czerwone słońce właśnie zaszło pod horyzont. Ardrycy nie stosują sztucznego oświetlenia, bo sami świecą. Aleje Mrudr, na których stałem, pełne były migotania przechodniów; jakaś młoda Ardrytka, mijając mnie, zalotnie rozbliżyła wewnątrz swego abażurka w złociste prążki, lecz poznawszy widać cudzoziemca, skromnie przygasła.

Bliskie i dalekie domy iskrzyły się i rozświeślały od powracających mieszkańców; w głębi świątyń jarzyły się rozmodlone tłumy; dzieci tęczywały z szaloną szybkością po klatkach schodowych — było to wszystko tak urocze, tak barwne, że nie chciało mi się wprost odejść, musiałem jednak, w obawie że zamkną mi Galax.

W westybulu biura podróży skierowano mnie na dwudzieste trzecie piętro, do wydziału prowincjonalnego. Niestety, jest to smutna, lecz nieodwracalna prawda: Ziemia znajduje się w mało znanej, zabitej deskami głuszy Kosmosu!

Urzędniczka, do której się zwróciłem w wydziale obsługi turystycznej, zamglona ze zmieszania powiedziała mi, że Galax nie dysponuje niestety przewodnikami ani planem zwiedzania dla Ziemi, gdyż bywają oni na Enteropii nie częściej niż raz w stuleciu. Zaproponowała mi więc poradnik dla Jowiszian z uwagi na wspólne pochodzenie słoneczne Jowisza i Ziemi. Wziąłem go dla braku czegoś lepszego i poprosiłem o zarezerwowanie pokoju w hotelu Kosmonia. Zapisalem się też na polowanie organizowane przez Galax, po czym wyszedłem na miasto. Byłem o tyle w niezręcznym położeniu, że sam nie świeciłem, toteż napotkawszy na skrzyżowaniu Ardrytę, regulującego ruch, przystanąłem i w jego blasku przejrzałem otrzymany przewodnik. Jak należało oczekiwać, zawierał informacje o tym, gdzie można się zaopatrzyć w przetwory metanowe, co trzeba robić z mackami na przyjęciach oficjalnych itp. Rzuciłem go więc do kosza na śmieci, zatrzymałem przejeżdżający eboret i kazałem się wieźć do dzielnicy gmaziowców. Te wspaniałe, kielichowate budowle połyskiwały z dala różnokolorowymi światełkami Ardrytów oddających się życiu rodzinnemu, a w biurówcach prześlicznie falowały świetlne naszyjniki urzędników.

Oddaliwszy eboret, jakiś czas spacerowałem pieszo;

gdy podziwiałem piętrzący się nad placem gmaziowiec Zarządu Zup, wyszło z niego dwu wyższych funkcjonariuszy, których poznać można po intensywnym blasku i czerwonych grzebieniach wokół abażuru. Przystanęli blisko i doleciała mnie ich rozmowa:

— Rozmaz obrębień już nie obowiązuje? — mówił jeden, wysoki, cały w orderach. Drugi

pojaśniał na to i odparł:

— Nie. Kierownik powiada, że nie wykonamy programu, a to wszystko przez Grudrufsa. Nie pozostaje nic innego, mówi kierownik, jak przemienić go.

— Grudrufsa?

— No.

Pierwszy zgasł, tylko ordery świeciły mu dalej różnokolorowymi wianuszkami, i zniżając głos rzekł:

— Będzie się pęził, biedak.

— Niech się pęzi, i tak mu nie pomoże. Porządku inaczej nie będzie. Nie po to transmutuje się facetów od lat, żeby więcej było sepulek!

Zaintrygowany zbliżyłem się mimowiednie do obu Ardrytów, lecz oddalili się w milczeniu. Dziwna rzecz, iż dopiero po tym wydarzeniu jęło obijać mi się coraz częściej o uszy słowo „sepulki”. W miarę jak łaknąc zanurzenia się w nocnym życiu metropolii kroczyłem chodnikami, z głębi przetaczających się tłumów dobiegał mnie ów zagadkowy wyraz, wypowiadany to zduszonym szeptem, to wykrzykiwany namiętnie; można go było odczytać na kulach ogłoszeniowych, które obwieszczały aukcje i przetargi rzadkich sepulcjantów i w ognistych reklamach neonowych, proponujących nabycie modnych sepulkadów. Próżno medytowałem, co by to być mogło; na koniec, gdy koło północy odświeżałem się szklanką kurdlej śmietanki w barze na osiemdziesiątym piętrze domu towarowego, a pieśniarka ardrycka jęła wykonywać przebój „Sepulko moja mała”, ciekawość ma wzrosła do tego stopnia, że spytałem przechodzącego kelnera, gdzie mógłbym nabyć sepulkę.

— Naprzeciw — odpowiedział machinalnie, inkasując rachunek. Potem spojrział na mnie uważnie i pociemniał trochę. — Pan jest sam? — spytał.

— Tak. A co?

— Ach, nic. Niestety, nie mam drobnych. Zrezygnowałem z reszty i windą zjechałem na dół. Rzeczywiście, na wprost ujrzałem olbrzymią reklamę sepulek, pchnąłem więc szklane drzwi i znalazłem się we wnętrzu pustego o tej porze magazynu. Przystąpiłem do lady i z udaną flegmą poprosiłem o sepulkę.

— Do jakiego sepulkarium? — spytał sprzedawca, opuszczając się ze swego wieszaka.

— No, do jakiego... do zwyczajnego — odparłem.

— Jak to do zwyczajnego? — zdziwił się. — Prowadzimy tylko sepulki z odświstem...

— No więc poproszę o jedną...

— A gdzie ma pan kacież?

— E, mhm, nie mam przy sobie...

— No więc jak ją pan weźmie bez żony? — powiedział sprzedawca, patrząc na mnie badawczo. Mętniał powoli.

— Nie mam żony — wyrwało mi się nieopatrznie.

— Pan... nie ma... żony...? — wybełkotał szczerzyły sprzedawca, patrząc na mnie z przerażeniem — i pan chce sepulkę... ? Bez żony... ?

Drżał na całym ciele. Jak zmyty uciekłem na ulicę, złapałem wolny eboret i wściekły kazałem się wieźć do jakiegoś nocnego lokalu. Okazał się nim Myrgindrugg. Gdy wszedłem, orkiestra przestała właśnie grać. Zwisало tu chyba ponad trzysta osób. Rozglądając się za wolnym miejscem, szedłem przez ciżbę, gdy wtem ktoś mnie zawołał;

z radością dostrzegłem znajomą twarz, był to pewien komiwojazer, którego poznałem kiedyś na Autropii. Wisiał z żoną i córką. Przedstawiłem się paniom i jałem bawić rozmową dobrze już podochocone towarzystwo, które co jakiś czas wstawalo, żeby przy dźwiękach melodii tanecznej potoczyć się po parkiecie. Zachęcany gorąco przez małżonkę znajomego, odważyłem się w końcu puścić w tany; jakoż objawszy się mocno, we czworo potoczyliśmy się przy ognistym mambrinie. Prawdę mówiąc, potłukłem się trochę, robiłem jednak dobrą minę do złej gry i udawałem, że jestem zachwycony. Gdyśmy wracali do stolika, zatrzymałem

w przejściu mego znajomego i spytałem go na ucho o sepulki.

— Co proszę? — nie dosłyszał mnie. Powtórzyłem pytanie, dodając, że chciałbym nabyć sepulkę. Mówiłem widać zbyt głośno — wiszący najbliżej odwracali się, patrząc na mnie ze zmetniałymi twarzami, a znajomy Ardryta złożył przyłgi ze strachu.

— Na miłość Drumy, panie Tichy — przecież pan jest sam!

— No to co z tego — wypaliłem już nieco poirytowany — czy dlatego nie mogę zobaczyć sepulki?

Słowa te padły w powstałą nagle ciszę. Żona znajomego spadła zemdlona na podłogę, on rzucił się ku niej, a najbliżsi Ardryci pofalowali ku mnie zdradzając zabarwieniem wrogie zamiary; w tym momencie pojawiło się trzech kelnerów, którzy wzięli mnie za kark i wyrzucili na ulicę.

Byłem po prostu wściekły. Zatrzymałem eboret i kazałem się wieźć do hotelu. Przez całą noc oka nie zmrużyłem, tak mnie coś uwierało i gryzło; dopiero o świcie przekonałem się, iż, nie otrzymawszy bliższych danych z Galaxu, służba hotelowa nauczona doświadczeniem z gośćmi, którzy przepalają materace do gołej siatki, posłała mi azbestem. Niemile wydarzenia poprzedniego dnia przestały mnie w świetle ranka absorbować. Z radością powitałem przedstawiciela Galaxu, który o dziesiątej przybył po mnie eborem pełnym wnyków, kubłów pasty do polowania i całego arsenału broni myśliwskiej.

— Nigdy pan nie polował na kurdle? — upewnił się mój przewodnik, gdy wehikuł z wielką szybkością przesmykał ulicami Totentamu.

— Nie. Może zechce mnie pan poinstruować... ? — powiedziałem z uśmiechem.

Do zachowania całkowitej flegmy uprawniało mnie wieloletnie doświadczenie wypraw na najgrubszego zwierza Galaktyki.

— Jestem na pana usługi — odparł grzeczny przewodnik.

Był to szczupły Ardryta szklistej karnacji, bez abażuru, spowity w ciemnogrnatową tkaninę — takiego odzienia jeszcze na planecie nie widziałem. Gdym mu to powiedział, wyjaśnił, że jest to strój myśliwski, niezbędny przy podchodzeniu zwierza; to, co brałem za materię, było specjalną substancją, którą powleka się ciało. Krótko mówiąc — ubranie natryskowe, wygodne, praktyczne i, co najważniejsze, całkowicie zaciemniające naturalne światło Ardrytów, mogące spłoszyć kurdla.

Przewodnik wydobył z teczki zadrukowany arkusz i podał mi do przestudiowania; zachowałem go w mych papierach. Oto on:

POLOWANIE NA KURDLE Instrukcja dla cudzoziemców

Kurdel jako zwierzyzna łowna stawia najwyższe wymagania tak walorom osobistym, jak i sprzętowi myśliwego. Ponieważ zwierzę to w trakcie ewolucji przysposobiło się do opadów meteorytowych, wytworzywszy pancerz nie do przebicia, na kurdle poluje się od środka.

Do polowania na kurdle niezbędne są:

A) w fazie wstępnej — pasta podkładowa, sos grzybowy, szczypiorek, sól i pieprz;

B) w fazie właściwej — miotełka ryżowa, bomba zegarowa.

I. Przygotowanie na stanowisku.

Na kurdle poluje się z przynętą. Myśliwy, natarłszy się wprzód pastą podkładową, kuca w brudzie ściorgu, po czym towarzysze posypują go z wierzchu drobno pokrajanym szczypiorkiem i przyprawiają do smaku.

II. W tej pozycji należy oczekiwać kurdla. Gdy zwierz zbliży się, trzeba, zachowując spokój, chwycić oburącz bombę zegarową trzymaną między kolanami. Głodny kurdel łyka zwykle od razu. Jeżeli kurdel nie chce brać, można go dla zachęty delikatnie poklepać po języku. Gdy grozi pudło, niektórzy radzą dodatkowo się posolić, jest to jednak krok nader ryzykowny, gdyż kurdel może kichnąć. Mało który myśliwy przeżył kichnięcie kurdla.

III. Kurdel, który wziął, oblizuje się i odchodzi. Po połknięciu myśliwy niezwłocznie przyśępuje do fazy czynnej, tj. za pomocą miotełki otrzepuje z siebie szczypiorek i przyprawę,

aby pasta mogła swobodnie rozwinąć swe działanie przeczy szczające, przy czym nastawia bombę zegarową i oddala się możliwie szybko w stronę przeciwną tej, z której przybył.

IV. Opuszczając kurdla, należy uważać, by spaść na ręce i nogi i nie potłuc się.

Uwagi. Używanie przypraw ostrych jest wzbronione. Również wzbronione jest podkładanie kurdlom bomb zegarowych nastawionych i posypanych szczypiorkiem. Postępowanie takie jest ścigane i karane jako kłusownictwo.

Na granicy rezerwatu łowieckiego oczekiwał nas już zarządzający, Wauwr, w otoczeniu lśniącej jak kryształ w słońcu rodziny. Okazał się on nader serdeczny i gościnny; zaproszeni na poczęstunek, spędziliśmy w jego miłym domostwie kilka godzin, przysłuchując się historiom z życia kurdli i wspomnieniom łowieckim Wauwra i jego synów. Naraz wpadł zdyszany goniec, donosząc, że wytropione kurdle nagonka ruszyła w ostęp.

— Kurdle — wyjaśnił mi zarządca — trzeba najpierw dobrze przegonić, żeby zgłodniały!

Namaszczony pastą, z bombą i przyprawami ruszyłem w towarzystwie Wauwra i przewodnika w głąb ściorgu. Droga zginęła rychło w nieprzejrzanym gąszczu. Posuwaliśmy się z trudem, od czasu do czasu omijając tropy kurdli, podobne do dołów pięciometrowej średnicy. Marsz trwał dość długo. Wtem ziemia zdrząła i przewodnik stanął, dając nam przylgą znak milczenia. Dał się słyszeć grom jakby szalejącej za horyzontem burzy.

— Słyszysz pan? — szepnął przewodnik.

— Słyszę. To kurdel?

— Tak. Bobczy.

Posuwaliśmy się teraz wolniej i ostrożniej. Łoskot ucichł i ściorg pograżył się w milczeniu. Nareszcie poprzez gąszcz zamajaczyła rozległa polana. Na jej skraju towarzysze wyszukali dobre stanowisko, przyprawili mnie i sprawdziwszy, że mam w pogotowiu miotelkę i bombę, odeszli na palcach, zalecając mi cierpliwość. Jakiś czas panowała cisza przerywana tylko kłaskaniem ośmiołów; nogi dobrze mi już ścierpły, gdy grunt zadygotał. Ujrzałem jakiś ruch w dali — wierzchołki drzew na krańcu polany pochyliły się i runęły, znacząc drogę zwierza. Musiała to być kapitalna sztuka. Jakoż wnet kurdel wyjrzał na polanę, przestąpił powalone pnie i ruszył przed siebie. Kołysząc się majestatycznie, ciągnął w moją stronę, wężąc głośno. Oburącz chwyciłem uszatą bombę i czekałem z zimną krwią. Kurdel stanął w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów ode mnie i oblizał się. W jego przejrzystym wnętrzu wyraźnie widziałem resztki wielu myśliwych, którym się nie powiodło.

Jakiś czas kurdel namyślał się. Obawiałem się, że już odejdzie, gdy podszedł i skosztował mnie. Posłyszałem głuche młaśnięcie i straciłem grunt pod nogami.

Wziął! — dobra nasza! — pomyślałem. W środku kurdla nie było znów tak ciemno, jak mi się to w pierwszej chwili wydało. Oporządziwszy się, podniosłem ciężką bombę zegarową i wziąłem się do nastawiania jej, gdy dobiegło mnie czyjeś chrząknięcie. Podniosłem głowę i zaskoczony ujrzałem przed sobą obcego Ardrytę, jak ja pochylonego nad bombą. Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

— Co pan tu robi? — spytałem.

— Poluję na kurdla — odparł.

— Ja też — rzekłem — ale bardzo proszę sobie nie przeszkadzać. Pan był tu pierwszy.

— Nic podobnego — odparł — pan jest cudzoziemcem.

— Co z tego — odrzekłem — zachowam moją bombę na drugi raz. Proszę, niech się pan nie krępuje moją osobą.

— Nigdy w świecie! — zawołał. — Pan jest naszym gościem.

— Przede wszystkim jestem myśliwym.

— A ja przede wszystkim — gospodarzem, i nie pozwolę, by z mego powodu miał się pan wyrzec tego kurdla! Bardzo pana proszę pośpieszyć się, bo pasta zaczyna już działać.

W samej rzeczy kurdel stawał się niespokojny; nawet tutaj dochodziło jego potężne sapanie, jakby kilkudziesięciu naraz lokomotyw. Widząc, że nie przekonam spotkanego

Ardryty, nastawiłem bombę i czekałem na nowego towarzysza, który wszakże prosił, bym szedł pierwszy. Niebawem opuściliśmy kurdla. Spadając z wysokości dwu pięter, wytknąłem sobie lekko kostkę. Kurdel, któremu wyraźnie ulżyło, pognął w ostep i łamał tam drzewa z okropnym hałasem. Naraz dał się słyszeć przeraźliwy grzmot i wszystko ucichło.

— Leży! Moje serdeczne gratulacje! — wykrzyknął myśliwy, ściskając mi serdecznie dłoń. W tym momencie zbliżyli się przewodnik i zarządca rezerwatu.

Ponieważ zapadał zmrok, trzeba się było śpieszyć z powrotem; zarządzający obiecał mi własnoręcznie wypchać kurdla i przesłać go na Ziemię najbliższym frachtowcem raketowym.

5X1

Przez cztery dni nie zapisałem ani słowa, taki byłem zajęty. Co dzień rano — faceci z Komisji Współpracy Kulturalnej z Kosmosem, muzea, wystawy, radioakty, a po południu wizyty, przyjęcia oficjalne i przemówienia. Jestem już porządnie zmęczony. Delegat K W K z K, który się mną opiekuje, powiedział mi wczoraj, że nadchodzi strum, ale zapomniałem go spytać, co to znaczy. Mam się widzieć z profesorem Zazulem, wybitnym uczonym ardryckim, tylko nie wiem jeszcze kiedy.

6X1

Rano w hotelu zbudził mnie okropny huk. Wyskoczyłem z łóżka i zobaczyłem wznoszące się nad miastem słupy dymu i ognia. Zatelefonowałem do informacji hotelowej, pytając, co się dzieje.

— Nic takiego — odparła telefonistka — proszę się nie niepokoić, to tylko strum.

— Strum?

— No tak, strumień meteorów, który nawiedza nas co dziesięć miesięcy.

— Toż to okropne! — zawołałem — może trzeba zejść do schronu?!

— O, żaden schron nie wytrzyma trafienia meteoru. Ale pan ma przecież rezerwę, jak każdy obywatel, może się pan nie lękać.

— Co za rezerwę? — spytałem, lecz telefonistka odłożyła już słuchawkę. Ubrałem się szybko i wyszedłem na miasto. Ruch na ulicach był zupełnie normalny; przechodnie śpieszyli za swymi sprawami, dygnitarze płonący różnokolorowymi orderami jechali do biurowców, a w ogródkach igrały dzieci, świecąc i śpiewając. Wybuchy zrzędy po jakimś czasie i tylko z dali donosił się miarowy huk. Pomyślałem, że strum jest widać zjawiskiem niezbyt szkodliwym, skoro nikt tu sobie nic z niego nie robi, i pojechałem, jakem to miał w planie, do ogrodu zoologicznego.

Oprowadzał mnie sam dyrektor, szczupły, nerwowy Ardryta o pięknym połysku. Zoo totentamskie jest bardzo porządnie utrzymane; dyrektor powiedział mi z dumą, że posiada zestawy zwierząt z najodleglejszych stron Galaktyki, w tym także zwierzynę ziemską. Wzruszony, chciałem ją zobaczyć.

— Teraz to niestety niemożliwe — odparł dyrektor, a na moje pytające spojrzenie dodał:

— Pora snu. Mieliśmy, wie pan, duże kłopoty z aklimatyzacją i byłem w strachu, że jednej sztuki nie uda się nam już utrzymać przy życiu, lecz na szczęście dieta witaminizowana, którą opracowali nasi uczeni, dała świetne rezultaty.

— Ach tak, a jakie to właściwie zwierzęta?

— Muchy. Czy lubi pan kurdle?

Patrzył na mnie szczególnym, oczekującym wzrokiem, tak że odparłem, starając się nadać głosowi brzmienie niekłamanego entuzjazmu:

— O, bardzo lubię, to szalenie miłe stworzenia! Rozjaśnił się.

— To dobrze. Pójdziemy do nich, ale pierwej przeproszę pana na chwilę.

Wrócił zaraz owinięty liną i zaprowadził mnie do kurdlej zagrody, otoczonej dziewięćdziesięciometrowym murem. Otworzywszy drzwi przepuścił mnie pierwszego.

— Może pan iść spokojnie — rzekł — moje kurdle są zupełnie obłaskawione.

Ujrzałem się na sztucznym ściorgowisku; pasło się tu ze sześć czy siedem kurdli; same

ładne sztuki, mierzące koło trzech hektarów. Największa na głos dyrektora zbliżyła się ku nam i nadstawiła ogon. Dyrektor wspiał się nań, wzywając mnie gestem — poszedłem więc w jego ślady. Gdy stromizna stała się zbyt wielka, dyrektor rozwinął linę i dał mi jeden koniec do przepasania. Związani, wspinaliśmy się koło dwu godzin. Na szczycie kurdla dyrektor usiadł w milczeniu, wyraźnie wzruszony. Nie odzywałem się, pragnąc uszanować jego uczucia. Po jakimś czasie rzekł:

— Czy nie piękny stąd widok?

W samej rzeczy mieliśmy pod sobą cały niemal Totentam z jego wieżami, świątyniami i gmaziovcami; po ulicach ciągnęli przechodnie, mali jak mrówki.

— Pan jest przywiązany do kurdli? — spytałem cicho, widząc, jak dyrektor łagodnie gładzi grzbiet zwierzęcia w pobliżu szczytu.

— Kocham je — rzekł prosto i spojrział mi w twarz. —

Kurdle są przecież kolebką naszej cywilizacji — dodał. Po namyśle podjął:

— Ongiś, przed tysiącleciami, nie mieliśmy ani miast, ani wspaniałych domów, ani techniki, ani rezerw... Wtedy te łagodne, potężne istoty wypiaستowały nas, ratowały w ciężkich okresach strumów. Bez kurdli ani jeden Ardryta nie dożyłby dzisiejszych pięknych dni i oto teraz poluje się na nie, niszczy je i tępi — cóż za potworna, czarna niewdzięczność!

Nie śmiałem mu przerwać. Po chwili, przewyciężając wzruszenie, mówił dalej:

— Jakże nienawidzę tych myśliwych, którzy nikczemnością odpłacają za dobro! Widział pan zapewne reklamy polowania, nieprawdaż?

— Owszem.

Do głębi zawstydzony słowami dyrektora, drżałem na myśl, że mógłby się dowiedzieć o moim niedawnym postępku; własnymi rękami upolowałem przecież kurdla. Pragnąc odwieść dyrektora od tego tak drażliwego punktu rozmowy spytałem:

— Czy naprawdę tak wiele im zawdzięczacie? Nie wiedziałem o tym...

— Jak to — pan nie wiedział? Ależ kurdle wynosiły nas w swym łonie przez dwadzieścia tysięcy lat! Żyjąc w nich, osłonięci ich potężnymi pancerzami przed gradem zabójczych meteorów, przodkowie nasi stali się tym, czym my dzisiaj jesteśmy; istotami rozumnymi, pięknymi, świecącymi w ciemnościach. Pan o tym nie wiedział?

— Jestem cudzoziemcem... — szepnąłem, przysięgając sobie w duchu nigdy już nie podnieść ręki na kurdla.

— No tak, tak... — odparł nie słuchając mnie dyrektor i wstał. — Musimy niestety wracać: spieszno mi do obowiązków...

Z ogrodu zoologicznego pojechałem eboretem do Galaxu, gdzie miano mi odłożyć bilety na przedstawienie popołudniowe.

W śródmieściu dały się znów słyszeć gromowe wybuchy, coraz głośniejsze i gęstsze. Nad dachami wzbijały się łyskające ogniem słupy dymu. Widząc, że nikt z przechodniów nie zwraca na to najmniejszej uwagi, milczałem, aż eboret stanął przed Galaxem. Dyżurny urzędnik spytał, jak mi się podobało zoo.

— Owszem, bardzo ładne — odparłem — ale... na miły Bóg!

Cały Galax podskoczył. Dwa biurowce naprzeciw, widziane przez okno jak na dłoni, rozleciały się od trafienia meteorem. Straciłem słuch i zatoczyłem się na ścianę.

— To nic — rzekł urzędnik. — Pobywszy u nas dłużej, przywyknie pan jakoś. Proszę, oto pana bile...

Nie dokończył. Zabłysło, zagrzmiało, podniósł się kurz, a gdy opadł, zamiast mego rozmówcy ujrzałem olbrzymią dziurę w podłodze. Stałem jak skamieniały. Nie minęła i minuta, a kilku Ardrytów w kombinezonach załatało dziurę i przytoczyło niski wózek z dużym pakunkiem. Gdy go rozwinęto, oczom moim ukazał się urzędnik z biletem w rękę. Strącił z siebie resztę opakowania i sadowiąc się na wieszaku, rzekł:

— Tu są pańskie bilety. Mówiłem panu, że to nic takiego. Każdy z nas w razie potrzeby

zostaje zdublowany. Pan się dziwi naszemu spokojowi? No, to trwa przecież już trzydzieści tysięcy lat, przyzwyczailiśmy się... Jeżeliby pan chciał zjeść obiad, restauracja Galaxu już jest czynna. Na dole, na lewo od wejścia.

— Dziękuję, nie mam apetytu — odparłem i chwiejąc się nieznacznie na nogach wyszedłem wśród nieustających wybuchów i grzmotów. Rychło zdjął mnie gniew.

Nie zobaczą tu trwogi Ziemianina! — pomyślałem i spojrzawszy na zegarek kazałem się wieźć do teatru.

Po drodze meteor roztrzaskał eboret, wsiałem więc do innego. Na miejscu, gdzie wczoraj stał budynek teatralny, piętrzyło się dymiące gruzowisko.

— Czy zwracacie pieniądze za bilety? — spytałem stojącego na ulicy kasjera.

— Bynajmniej. Przedstawienie rozpocznie się normalnie.

— Jak to normalnie? przecież meteor...

— Jest jeszcze dwadzieścia minut czasu — wskazał mi kasjer godzinę na swym zegarku.

— Ależ...

— Może będzie pan łaskaw nie zajmować miejsca przy kasie! My chcemy kupić bilety! — zawołało parę osób z ogonka, który uformował się za mną. Wzruszywszy ramionami, odszedłem na bok. Dwie wielkie maszyny ładowały tymczasem gruz i wywoziły go. Po kilku minutach plac był oczyszczony.

— Czy będą grali na wolnym powietrzu? — spytałem jednego z czekających, który wachlował się programem.

— Nic podobnego! przypuszczam, że wszystko odbędzie się jak zawsze — odparł.

Umilkłem, rozgniewany, sądząc, że robi ze mnie durnia. Na plac wjechała wielka cysterna. Wylano z niej smołowatą, świecąca rubinowe maź, która uformowała spory kopiec; natychmiast wetknięto w tę papkowatą, żarem buchającą masę rury i jęto tłoczyć do środka powietrze. Papka zmieniła się w bąbel rosnący z zawrotną szybkością. Po minucie przedstawiał on ludzającą kopię budynku teatralnego, tylko że całkiem miękką, bo chwiejącą się w podmuchach wiatru. Po dalszych pięciu minutach nowo wydęty budynek stwardniał; w tym momencie meteor roztrzaskał część dachu. Dodmuchano więc nowy dach i przez szeroko otwarte podwoje ruszyły do wnętrza potoki widzów. Zajmując miejsce, zauważyłem, że jest ono jeszcze ciepłe, ale to też było jedyne świadectwo niedawnej katastrofy. Spytałem sąsiada, co to była za papka, z której odbudowano teatr, i dowiedziałem się, iż jest to słynna gmaź ardrycka.

Przedstawienie rozpoczęło się z jednogminutowym opóźnieniem. Na dźwięk gongu widownia ściemniała, upodabniając się do rusztu pełnego gasnących węgli, aktorzy za to rozbłysnęli wspaniale. Grano sztukę symboliczno–historyczną i prawdę mówiąc niewiele z niej rozumiałem, tym bardziej iż wiele spraw przedstawiano pantomimami barwnymi. Pierwszy akt toczył się w świątyni; grupa młodych Ardrytek wieńczyła posąg Drumy, śpiewając o swych oblubieńcach.

Nagle pojawił się bursztynowy prałat, który wypędził dziewczyny, z wyjątkiem najpiękniejszej, przejrzystej jak woda źródłana. Prałat zamknął ją wewnątrz posągu. Uwięziona wezwała śpiewem kochanka, który wpadł i zgasił starca. W tym momencie meteor zdruzgotał strop, część dekoracji i amantkę, ale z budki suflerskiej wysunięto natychmiast rezerwę, tak zręcznie, że kto właśnie chrząkał lub zmrużył powieki, niczego w ogóle nie zauważył. W dalszym ciągu kochankowie postanowili założyć rodzinę. Akt kończy się stoczeniem prałata w przepaść.

Gdy kurtyna podniosła się po przerwie, ujrzałem misterną kulę małżonków i potomstwa, bujającą się przy dźwiękach muzyki to w jedną, to w drugą stronę. Zjawił się służący, obwieszczając, że nieznanemu dobroczyńcy przysłał małżeństwu naręczony sepulek. Jakoż wniesiono na scenę olbrzymią pakę, której otwieraniu przyglądałem się z zapartym tchem. Gdy podnoszono pokrywę, coś uderzyło mnie potężnie w ciemię i straciłem przytomność.

Odzyskałem ją na tym samym miejscu. O sepulkach nie było już na scenie mowy, zgaszony prałat uwijał się tam, miotając najokropniejsze klątwy, wśród świecących tragicznie dzieci i rodziców. Złapałem się za głowę — guza nie było.

— Co się ze mną stało? — spytałem szeptem sąsiadkę.

— Proszę? A, meteor pana zabił, ale nic pan nie stracił z przedstawienia, bo ten duet był fatalny. Inna rzecz, że skandal: bo pańską rezerwę musieli posyłać aż do Galaxu — zaszeptała w odpowiedzi uprzejma Ardrytka.

— Po jaką rezerwę? — spytałem, czując że ciemnieje mi w oczach.

— No, po pańską właśnie...

— A gdzie ja jestem?

— Jak to? w teatrze. Czy panu słabo?

— To ja jestem rezerwą?

— No tak.

— A gdzie ten ja, co tu przedtem siedziałem? Siedzący przed nami zaczęli głośno psykać i moja sąsiadka umilkła.

— Jedno słowo, błagam panią — wyszeptałem cicho — gdzie są te... no... wie pani...

— Cicho! Co to jest! Proszę nie przeszkadzać! — wołano coraz głośniej z różnych stron. Pomarańczowy z gniewu sąsiad mój jął wzywać porządkowych. Na pół przytomny wybiegłem z teatru, pierwszym eboretom wróciłem do hotelu i obejrzałem się skrupulatnie w lustrze. Nabierałem już pewnej otuchy, wyglądałem bowiem całkiem jak dawniej, jednak przy dokładniejszej lustracji dokonałem straszliwego odkrycia. Oto koszulę miałem wdzianą na lewą stronę, a guziki pospinane na opak — jawny dowód, że ci, którzy mnie ubierali, zielonego pojęcia nie mieli o ziemskiej bieliźnie. Na domiar wszystkiego ze skarpetki wytrząsałem resztkę pozostawionego w pośpiechu opakowania. Zabrakło mi tchu; wtem zadzwonił telefon...

— Dzwonię do pana już czwarty raz — odezwała się panienka z K W K z K — profesor Zazul chciałby się z panem dziś widzieć.

— Kto? profesor? — powtórzyłem, zbierając z największym wysiłkiem myśli. — Dobrze, a kiedy?

— Kiedy pan sobie życzy, choćby zaraz.

— To jadę do niego natychmiast! — zdecydowałem się nagle — i... i proszę przygotować mi rachunek!

— Pan już wyjeżdża? — zdziwiła się panienka z KWKzK.

— Tak, muszę. Czuję się bardzo nieswój! — wyjaśniłem rzucając słuchawkę na widełki.

Przebrawszy się, zeszedłem na dół. Ostatnie wydarzenia tak na mnie podziały, że choć w chwili, gdym siadał do eboretu, meteor rozwalił na kawałki gmach hotelowy, nie drgnąwszy nawet wymieniłem adres profesora. Mieszkał on w dzielnicy podmiejskiej, pośród łagodnie srebrzących się wzgórz. Zatrzymałem eboret dość daleko, rad przejść się po nerwowym napięciu ostatnich godzin. Idąc drogą, zauważyłem niskiego, starszawego Ardrytę, który popychał wolno rodzaj wózka z pokrywą. Pozdrowił mnie grzecznie; odpowiedziałem. Jakąś minutę szliśmy razem. Zza zakrętu wyłonił się żywopłot, okalający dom profesora; w niebo płynęły stamtąd rozwiane kłęby dymu. Ardryta, idący obok mnie, potknął się; wówczas spod pokrywy dał się słyszeć głos:

— Czy już?

— Jeszcze nie — odparł wózkarz.

Zdziwiłem się nieco, lecz nic nie powiedziałem. Gdyśmy się zbliżyli do ogrodzenia, zastanowił mnie ów dym wałący z miejsca, w którym można się było spodziewać domostwa profesora. Zwróciłem na to uwagę wózkarza, który skinął głową.

— A tak, meteor spadł, będzie temu kwadrans.

— Co słyszę!!! — zawołałem przerażony — ależ to okropne!

— Zaraz przyjedzie gmaziownica — odparł wózkarz — pod miasto to oni się nigdy tak nie śpieszą, wie pan. Co innego my.

— Czy już? — dał się znowu słyszeć ów skrzeczący głos w głębi wózka.

— Jeszcze nie — powiedział wózkarz i zwrócił się do mnie: — Może będzie pan łaskaw otworzyć mi furtkę? Uczyniłem to machinalnie i spytałem:

— To pan też do profesora... ?

— Tak, przywiozłem rezerwę — odparł wózkarz, biorąc się do podniesienia pokrywy. Z zapartym tchem ujrzałem przewiazaną starannie dużą paczkę. W jednym miejscu papier był naderwany; patrzyło stamtąd żywe oko.

— Pan do mnie... a... a to pan do mnie... — zaskrzeczał starczy głos z wnętrza paczki — ja zaraz... to ja zaraz... niech pan pozwoli do altanki...

— Ta... tak... już lecę... — odparłem. Wózkarz potoczył swoje brzemie dalej, wtedy odwróciłem się, przeskoczyłem płot i ze wszystkich sił pogałem na lotnisko. Po godzinie mknąłem już wśród rozgwieżdżonych przestworzy. Mam nadzieję, że profesor Zazul nie wziął mi tego za złe.

PODRÓŻ DWUDZIESTA DRUGA

Mam teraz sporo zajęcia przy porządkowaniu osobliwości, jakie przywiozłem z moich podróży w najdalsze zakątki Wszechświata. Od dawna już zdecydowałem przekazać tę, jedyną w swoim rodzaju, kolekcję do muzeum; onegdaj kustosz zawiadomił mnie, że przygotowuje w tym celu specjalną salę.

Nie wszystkie okazy są mi jednakowo bliskie; jedne budzą wspomnienia pogodne, inne przywodzą na myśl wydarzenia pełne niesamowitości i grozy, lecz wszystkie jednakowo stanowią świadectwo w całej rozciągłości potwierdzające autentyczność moich podróży.

Do eksponatów wskrzeszających wspomnienia szczególnie intensywne należy żąb umieszczony na małej poduszeczce pod kloszem; ma dwa duże korzenie i jest zupełnie zdrowy; wyłamał mi się na przyjęciu u Oktopusa, władcy Memnogów z planety Urtamy; podawano tam potrawy wyśmienite, lecz niesłychanie twarde.

Również poczesne miejsce zajmuje w zbiorach fajka, rozpękła na dwie nierówne części; wypadła mi z rakiety, gdym przelatywał nad kamienistym globem z rodziny gwiazdowej Pegaza. Żalując straty spędziłem półtora dnia na poszukiwaniach w głębi pełnego przepaści skalnego uroczyska.

Nieco dalej leży w małym pudełku kamyk nie większy od groszku. Historia jego jest wielce osobliwa. Kiedym wyprawił się do Xeruzji, najodleglejszej gwiazdy w mgławicach bliźniaczych NGC 887, nieomal przeliczyłem się z siłami; podróż trwała tak długo, że bliski byłam załamania; szczególnie dręczyła mnie tęsknota za Ziemią i miejsca nie mogłem sobie znaleźć w rakiecie. Bóg wie, jak by się to skończyło, gdy wtem w dwusetnym sześćdziesiątym ósmym dniu podróży poczułem, że coś uwiera mnie w lewą piętę; zdjąłem bucik i ze łzami w oczach wytrząsnąłem ze skarpetki kamyk, okruszynę najprawdziwszego ziemskiego żwiru, musiała wpaść tam jeszcze na lotnisku, kiedy wstępowałem na stopień rakiety. Tuląc do piersi ten drobny, lecz jakże bliski kawałek ojczystej planety, doleciałem do celu podniesiony na duchu; pamiątka ta jest mi szczególnie droga.

Opodal spoczywa na aksamitnej poduszce wypalona z gliny, zwyczajna cegła koloru żółtoróżowego, rozpękła nieco i nadkruszona z jednego końca; gdyby nie szczęśliwy zbieg okoliczności i moja przytomność, przez nią nie powróciłbym już nigdy z wyprawy do Mgławicy Psów Gończych. Cegłę tę zwykłem brać w podróże do najzimniejszych okolic próżni; miałem zwyczaj umieszczać ją na czas jakiś w silniku atomowym, aby potem, dobrze nagrzaną, wkładać do łóżka przed udaniem się na spoczynek. W górnym lewym kwadracie Drogi Mlecznej, tam gdzie chmura gwiazdowa Oriona łączy się z gwiazdozbiorami Strzelca, byłem lecąc z małą szybkością, świadkiem zderzenia dwu ogromnych meteorów. Widok płomienistej eksplozji w ciemnościach tak mnie wzburzył, że sięgnąłem po ręcznik, by otrzeć sobie czoło. Zapomniałem, że poprzednio zawinałem weń cegłę i podnosząc z rozmachem dłoń omal nie roztrzaskałem sobie czaszki. Na szczęście z właściwą mi bystrością w porę zorientowałem się w niebezpieczeństwie.

Obok cegły stoi niewielka drewniana szkatułka; spoczywa w niej mój scyzoryk, towarzysz licznych wypraw. O tym, jak bardzo jestem do niego przywiązany, niechaj zaświadczy historia, którą opowiem, ponieważ doprawdy jest tego warta.

Opuściłem Satellinę o drugiej po południu z okropnym katarem. Lekarz tamtejszy, do którego się udałem, doradzał mi odcięcie nosa, zabieg dla mieszkańców planety błahy, albowiem nosy odrastają im jak nam paznokcie. Zrażony tą propozycją, prosto od niego udałem się na lotnisko, aby polecieć w okolice nieba, w których medycyna lepiej jest rozwinięta. Podróż miałem pechową. Już na początku, gdy oddaliłem się od planety ledwo o dziewięćset tysięcy kilometrów, usłyszałem sygnał wywoławczy jakiejś rakiety, spytałem więc przez radio, kto tam leci. W odpowiedzi rozległo się to samo pytanie. — Ty powiedz

pierwszy! — rzekłem dość ostro, rozdrażniony niegrzecznością obcego. — Ty powiedz pierwszy — odpowiedział tamten. To przedrzeźnianie tak mnie rozgniewało, że nazwałem po imieniu bezczelność nieznanego podróżnika. Nie pozostał mi dłużny; zaczęliśmy się kłócić coraz zapamiętalej, aż po kilkunastu minutach, oburzony w najwyższym stopniu, zorientowałem się, że żadnej drugiej rakiety nie ma, a głos, który słyszę, jest po prostu echem moich własnych sygnałów radiowych, odbijających się od powierzchni księżyca Satelliny, który właśnie mijalem. Nie dostrzegłem go dotąd, bo ukazywał mi swą nocną, zaciemnioną półkulę.

Jakaś godzinę później, pragnąc obrać sobie jabłko, zauważyłem, że nie mam scyzoryka. Natychmiast przypomniałem sobie, gdzie go miał po raz ostatni; było to w bufecie na lotnisku Satelliny; położyłem go na pochyłej ladzie i musiał się ześliznąć na podłogę w kącie. Uzmyslowiłem to sobie tak dobrze, że mógłbym go znaleźć z zamkniętymi oczami. Zawróciłem raketę i tu dopiero wyłoniła się trudność: całe niebo roilo się od migotliwych światełek i nie widziałem, gdzie szukać Satelliny. Jest ona jednym z tysiąca czterystu osiemdziesięciu globów krążących wokół słońca Erypelazy. Większość ich posiada nadto po kilkanaście księżyców, dużych jak planety, co jeszcze bardziej utrudnia orientację. Zakłopotany, próbowałem wywołać Satellinę przez radio. W odpowiedzi zgłosiło się kilkadziesiąt stacji przemawiających równocześnie, tak że wytworzyła się przeraźliwa kakofonia; musicie wiedzieć, że mieszkańcy systemu Erypelazy są równie uprzejmi, jak nieporządni i nadali nazwę „Satellina” bodajże dwustu różnym planetom. Patrzyłem przez okno na miriady drobnych światełek; na jednym znajdował się mój scyzoryk, lecz łatwiej byłoby chyba odnaleźć igłę w stogu siana niż właściwą planetę w tym gwiazdowym mrowisku. Na koniec zdałem się na łaskawy przypadek i pomknąłem ku planecie, która znalazła się na wprost dziobu.

Już po kwadransie opuściłem się na lotnisko. Było zupełnie podobne do tego, z którego wystartowałem o drugiej, więc uradowany, że tak mi się poszczęściło, udałem się prosto do bufetu. Jakież jednak było moje rozczarowanie, kiedy mimo najdokładniejszych poszukiwań scyzoryka nie znalazłem. Zastanowiwszy się, doszedłem do wniosku, że albo go ktoś zabrał, albo też jestem na całkiem innej planecie. Rozpytawszy się tubylców, przekonałem się, że słuszne było drugie przypuszczenie. Znajdowałem się na Andrygonie, starej, sypiącej się i zmurszałej planecie, która powinna właściwie dawno już być wycofana z obiegu, ale dbają o nią mało, gdyż leży z dala od głównych szlaków raketowych. W porcie pytano mnie, której Satelliny szukam, albowiem globy te są ponumerowane. Teraz dopiero znalazłem się w kropce, bo właściwy numer wyleciał mi z głowy.

Tymczasem, powiadomione przez kierownictwo lotniska, ściągnęły miejscowe władze, aby powitać mnie uroczyście.

Był to wielki dzień dla Andrygonów; we wszystkich szkołach odbywały się właśnie egzaminy maturalne. Jeden z przedstawicieli rządu spytał, czy nie zechcę uświetnić matury moją obecnością; ponieważ przyjęto mnie nadzwyczaj gościnnie, nie mogłem proście tej odmówić. Jakoż prosto z lotniska pojechaliśmy pidłakiem (są to duże, beznogie płazy, podobne do węzów, używane tam powszechnie jako wierzchowce) do miasta. Przedstawiwszy mnie licznie zgromadzonej młodzieży i nauczycielom jako czcigodnego gościa z planety Ziemi, przedstawiciel rządu opuścił zaraz salę. Nauczyciele usadowili mnie na honorowym miejscu przy zerwie (rodzaj stołu), po czym przerwany egzamin toczył się dalej. Uczniowie, podekscytowani moją obecnością, zrazu jękali się, mocno zmieszani, ale dodawałem im otuchy serdecznym uśmiechem, a temu i owemu podpowiedziałem właściwe słowo, tak że pierwsze lody wnet prysnęły. Pod koniec odpowiadali coraz lepiej. W pewnej chwili przed komisją egzaminacyjną stanął młody Andrygon, porosły wzdęgami (rodzaj ostrzyg, używanych jako ubranie) tak ślicznymi, jakich dawno nie widziałem, i jął odpowiadać na pytania z nieporównaną elokwencją i swadą. Słuchałem go z przyjemnością, konstatu-

że poziom nauki jest tu wcale wysoki.

Wtem egzaminator zapytał:

— Czy kandydat potrafi udowodnić, dlaczego życie na Ziemi jest niemożliwe?

Skloniwszy się lekko, młodzieniec przystąpił do wyczerpującego, logicznie zbudowanego wywodu, w którym wykazał niezbicie, że większą część Ziemi pokrywają zimne, niezmiernie głębokie wody, których temperaturę utrzymują w pobliżu zera pływające stale góry lodowe; że nie tylko bieguny, ale i otaczające obszary są siedliskiem przeraźliwych wiecznych mrozów i że przez pół roku panuje tam noc bezustanna: że, jak to doskonale widać przez przyrządy astronomiczne, lądy, nawet w okolicach o klimacie cieplejszym, pokrywa przez wiele miesięcy w roku zamrożona para wodna, tak zwany śnieg, grubą warstwą zalegającą góry i niziny; że wielki Księżyc Ziemi wytwarza na niej fale przyływów i odpływów, które wywierają niszczące działanie erozyjne; że za pomocą najpotężniejszych lunet można dostrzec, jak często wielkie połacie planety zalega półmrok, spowodowany powłoką chmur; że w atmosferze powstają straszliwe cyklony, tajfuny i burze, co wszystko razem wzięte najzupełniej wyklucza możliwość istnienia życia w jakiegokolwiek formie. Gdyby zaś, zakończył dźwięcznym głosem młody Andrygon, jakieś istoty spróbowały wylądować na Ziemi, niechybnie poniosłyby śmierć, zmiażdżone ogromnym ciśnieniem tamtejszej atmosfery, które na poziomie morza wynosi jeden kilogram na centymetr kwadratowy, czyli 760 milimetrów słupa rtęci.

Tak wyczerpująca odpowiedź zyskała powszechną aprobatę komisji. Zdrętwiały ze zdumienia, siedziałem przez dłuższą chwilę bez ruchu i dopiero gdy egzaminator przystępował do następnego pytania, zawołałem:

— Przepraszam was, godni Andrygoni, ależ... ależ ja właśnie pochodzę z Ziemi; nie wątpicie chyba, że jestem żywy, i słyszeliście, jak mnie wam przedstawiono...

Zapanowało niezręczne milczenie. Nauczyciele byli najgłębiej dotknięci moim nietaktownym wystąpieniem i ledwo się hamowali; młodzież, która nie umie jeszcze ukrywać wzruszeń, jak wiek dojrzały, patrzyła na mnie z jawną niechęcią. Na koniec egzaminator rzekł lodowato:

— Wybacz, panie przybyszu, ale czy nie za wielkie wymagania stawiasz naszej gościnności? Czy nie dosyć ci tak podniosłego przyjęcia, fetów i dowodów szacunku? Czy nie ukontentowaliśmy cię dostatecznie dopuszczeniem do Wysokiej Żerwy Maturalnej, mało ci tego i domagasz się, abyśmy umyślnie dla ciebie zmieniali... program szkolny?!

— Ależ... Ziemia naprawdę jest zamieszкана... — wybąkałem zmieszany.

— Gdyby tak było — rzekł egzaminator patrząc na mnie, jakbym był przezroczysty — stanowiłoby to zbroczenie natury.

Słowa te uznałem za obrazę mej ojczyznej planety, nie żegnając się przeto z nikim wyszedłem natychmiast, dosiadłem pierwszego napotkanego pidłaka, pojechałem na lotnisko i strząsnąwszy z obuwia proch Andrygony, wystartowałem na dalsze poszukiwania scyzoryka.

W taki sposób lądowałem kolejno na pięciu planetach grupy Lindenblada, na globach Stereopropów i Melacjan, na siedmiu wielkich ciałach rodziny planetarnej słońca Kasjopei, zwiedziłem Osterylię, Awerancję, Meltonię, Latemidę, wszystkie ramiona wielkiej Mgławicy Spiralnej w Andromedzie, układy Plezjomacha, Gastroklancjusza, Eutremy, Symenofory i Paralbidy; w następnym roku przeszukałem systematycznie poblizze wszystkich gwiazd Sappony i Melenwagi oraz globy Erytrodonię, Arrhenoideę, Eodocję, Artenurię i Strogłona z wszystkimi jego osiemdziesięcioma księżycami, nieraz tak małymi, że ledwo było gdzie rakiety posadzić; na Małej Niedźwiedzicy nie mogłem wylądować, bo był tam właśnie remanent; potem przyszła kolej na Cefeidy i Ardenidy; i ręce mi doprawdy opadły, kiedy przez pomyłkę raz jeszcze wylądowałem na Lindenbladzie. Nie dałem jednak za wygraną i jak przystało prawdziwemu badaczowi, ruszyłem dalej. Po trzech tygodniach zauważyłem planetę, która do złudzenia przypominała pamiętną Satellinę; serce uderzało mi szybciej,

gdym ją okrążał po zacieśniającej się spirali; próżno jednak wypatrywałem owego lotniska. Już chciałem skierować się na powrót w bezmiar przestrzeni, gdy dostrzegłem, że jakaś mała postać daje mi z dołu znaki. Zamknąwszy silnik, splanowałem szybko i osadziłem wehikuł w pobliżu grupy malowniczych skał, na których wznosił się spory budynek z ciosanego kamienia. Na moje spotkanie biegł polem rosty starzec w białym habicie dominikanina. Był to, jak się okazało, ojciec Lacymon, przełożony wszystkich misji działających na obszarach pobliskich gwiazdozbiorów w promieniu sześciuset lat świetlnych. Okolica ta liczy około pięciu milionów planet, w tym dwa miliony czterysta tysięcy zamieszkałych. Ojciec Lacymon, dowiedziawszy się o przyczynie, która sprowadziła mnie w te strony, wyraził współczucie, zarazem zaś radość z mego przybycia, bo jak mi rzekł, jestem pierwszym człowiekiem, jakiego widzi od siedmiu miesięcy.

— Tak się przyzwyczaiłem — powiedział — do obyczajów Meodracytów, którzy zamieszkują tę planetę, że wielokrotnie chwytałem się na osobliwej pomyłce: oto gdy chcę pilnie nasłuchiwać, podnoszę w górę ręce, jak oni... (Meodracyci, jak wiadomo, mają uszy pod pachami.)

Ojciec Lacymon okazał się bardzo gościnny; spożyliśmy razem obiad, przyrządzony z miejscowych potraw (tęciwe pizanki w drzonie, drumble ustercone, a na deser miesiochy — dawno już takich nie kosztowałem), po czym udaliśmy się na werandę domu misyjnego. Liliowe słońce przygrzewało, pterodaktyle, od których roi się planeta, śpiewały w krzakach i w południowej ciszy sędziwy przeor dominikanów począł zwierzać mi się ze swych strapień; uskarżał się na trudności, jakie napotyka praca misyjna w tych regionach. Tak na przykład Pięciomiakowie, mieszkańcy gorącej Antyleny, którzy marzną już przy 600 stopniach Celsjusza, słyszeć nawet nie chcą o raju, natomiast opisy piekła budzą w nich żywe zainteresowanie, a to dla korzystnych warunków (smoła wrząca, płomienie), jakie tam panują. Poza tym nie wiadomo właściwie, którzy z nich mogą wstępować do stanu kapłańskiego, albowiem rozróżnia się u nich pięć płci; jest to niełatwy problem dla teologów.

Wyraziłem współczucie; ojciec Lacymon wzruszył ramionami:

— Ach, to nic jeszcze. Bżutowie na przykład uważają powstawanie z martwych za czynność tak codzienną, jak wdziewanie odzieży, i w żaden sposób nie chcą uznać tego zjawiska za cud. Dartrydzi z Egilli nie mają rąk ani nóg;

mogliby się żegnać tylko ogonem, lecz nie mogę o tym sam decydować; czekam na odpowiedź stolicy apostolskiej — cóż, kiedy Watykan milczy już drugi rok... A czy słyszał pan o okrutnym losie, jaki spotkał biednego ojca Orybazego z naszej misji?

Zaprzeczyłem.

— Niechże pan więc słucha. Już pierwsi odkrywcy Urtamy nie mogli nachwalić się jej mieszkańców, potężnych Memnogów. Panuje przeświadczenie, że te rozumne istoty należą do najbardziej uczynnych, łagodnych, dobrotliwych i przenikniętych altruizmem stworzeń w całym Kosmosie. Licząc więc na to, że na takim gruncie doskonale przyjmie się ziarno wiary, wysłaliśmy do Memnogów ojca Orybazego mianując go biskupem in partibus infidelium. Przybyłego na Urtamę przyjęli Memnogowie tak, że trudno sobie życzyć czegoś lepszego; otaczali go macierzyńską opieką, szanowali, wsłuchiwali się w każde jego słowo, odczytywali mu z oczu i spełniali natychmiast każde życzenie, wprost pili wygłaszane przezeń nauki, jednym słowem, oddali mu się całkowicie. W listach, które mi pisywał, nie mógł się ich nachwalić, nieszczęśliwy...

Tu ojciec dominikanin strzepnął rękawem habitu łzę z powieki.

— W tak sprzyjającej atmosferze ojciec Orybazy nie ustawał dniem ani nocą głosić zasad wiary. Wyłożywszy Memnogom historię Starego i Nowego Testamentu, Apokalipsę i Listy Apostolskie, przeszedł do żywotów świętych; szczególnie wiele żaru włożył w opiewanie męczenników pańskich. Biedak... to zawsze była jego słabość...

Przemagając wzruszenie ojciec Lacymon ciągnął drżącym głosem:

— Prawił im przeto o świętym Janie, który zdobył światłość wiekuistą, kiedy go żywcem ugotowano w oleju, o świętej Agnieszce, co dała sobie głowę dla wiary odciąć, o świętym Sebastianie, przeszytym mnogimi strzałami, który cierpiał srogie katusze, za co w raju przywitały go pienia anielskie, o młodziankach świętych ćwiartowanych, duszonych, łamanych kołem i palonych małym ogniem. Męki te przyjmowali z zachwytem, pojmując, że zyskują tak miejsce po prawicy Pana Zastępów. Kiedy opowiedział im wiele podobnych, godnych naśladowania żywotów, zasłuchani w jego słowa Memnogowie jęli spoglądać na siebie, a największy z nich zagadnął nieśmiało:

— Wielebny kapłanie nasz, kaznodziejo i ojcze czcigodny, powiedz nam, proszę, jeśli tylko zechcesz zniżyć się do niegodnych twych sług, czy dusza każdego, kto gotów jest na męczeństwo, dostaje się do nieba?

— Niewątpliwie tak, synu mój! — odrzekł ojciec Orybazy.

— Taak? To bardzo dobrze... — powiedział przeciągle Memnóg. — A czy ty, ojcze duchowny, pragniesz dostać się do nieba?

— Jest to moim najgorętszym życzeniem, synu.

— A świętym chciałbyś zostać? — pytał dalej wielki Memnóg.

— Synu zacny, któż by nie chciał nim zostać, ale gdzie mnie tam, grzesznemu, do tak wysokiej godności; trzeba wyteżać wszystkie siły i dążyć nieustannie w największej pokorze serca, aby wstąpić na tę drogę...

— Więc chciałbyś zostać świętym? — upewnił się Memnóg raz jeszcze, spozierając zachęcająco na towarzyszy, którzy nieznacznie unieśli się z miejsc.

— Oczywiście, synu.

— No, to my ci pomożemy!

— W jaki sposób, miłe owieczki? — spytał z uśmiechem ojciec Orybazy, albowiem radowała go naiwna gorliwość wiernej trzódki.

Na to Memnogowie delikatnie, lecz mocno wzięli go pod pachy i rzekli:

— W taki sposób, drogi ojcze, jakiego nas właśnie nauczyłeś!

Za czym najpierw zdarli mu z grzbietu skórę i namaścili to miejsce smołą, jak to zrobił kat Irlandii świętemu Hiacyntowi, potem odrąbali mu lewą nogę, jak to poganie uczynili świętemu Pafhucemu, następnie rozpruli mu brzuch i wsadzili weń wiecheć słomy, jak się to przydarzyło błogosławionej Elżbiecie normandzkiej, za czym wbili go na pał, jak Emalkici świętego Hugona, połamali mu żebra, jak Tyrakuzanie świętemu Henrykowi z Padwy, i spalili go powolutku na małym ogniu, jak Burgundzi Dziewicę Orleańską. Potem zaś odsapnęli, umyli się i jęli łyzy ronić rzewne za swym utraconym pasterzem. Na czym właśnie zastałem ich, albowiem objeżdżając wszystkie gwiazdy diecezji wstąpiłem do ich parafii. Kiedy usłyszałem, co się stało, włosy wstały mi na głowie. Załamawszy ręce, krzyknąłem:

— Niegodni zbrodniarze! Mało dla was piekła! Czy wiecie, żeście wydali dusze na wieczne potępienie?!!

— A jakże — odparli szlochając — wiemy!

Ów największy Memnóg wstał i tak mi powiedział:

— Czcigodny ojcze, wiemy dobrze, że będziemy potępieni i męczeni do końca świata, i musieliśmy toczyć straszne walki duchowe, zanim powzięliśmy ten zamiar, jednakowoż ojciec Orybazy nieustannie powtarzał nam, że nie ma takiej rzeczy, której dobry chrześcijanin nie uczyniłby dla swego bliźniego, że należy oddać mu wszystko i na wszystko być dlań gotowym; tak więc zrezygnowaliśmy z największą rozpaczą ze zbawienia myśląc tylko o tym, by najdroższy ojciec Orybazy zyskał koronę męczeńską i świętość. Nie umiem ci powiedzieć, jak trudno nam to przyszło, bo zanim przybył do nas ojciec Orybazy, żaden z nas muchy nawet nie ukrzywdził. Ponawialiśmy więc błagania, prosiliśmy go na kolanach, by nieco popuścił i zmniejszył surowość nakazów wiary, ale on kategorycznie twierdził, że dla umiłowanego bliźniego należy czynić wszystko bez żadnego wyjątku. Tak tedy nie byliśmy

mu w stanie odmówić. Rozumieliśmy przy tym, że jesteśmy istotami mało znaczącymi i niegodnymi wobec tego męża świątobliwego i że zasługuje on na największe wyrzeczenie z naszej strony. Wierzymy też gorąco, że przedsięwzięcie dobrze się powiodło i że ojciec Orybazy króluje teraz w niebie. Tutaj masz, ojciec czcigodny, worek z sumą, jaką zebraliśmy na proces kanonizacyjny, bo tak trzeba, to nam ojciec Orybazy, pytany, dokładnie wyjaśnił. Muszę powiedzieć, że stosowaliśmy tylko jego ulubione tortury, o których prawil nam z największym zapamiętaniem. Sądziliśmy, że będą mu miłe, jednakowoż opierał się, a zwłaszcza niechęć budziło w nim łykanie wrzącego ołowiu. Nie dopuściliśmy jednak myśli, że ten kapłan co innego nam mówił, a co innego myślał. Krzyk zaś, jaki podnosił, był tylko dowodem nieukontentowania niskich, cielesnych części jego jestestwa i lekceważyliśmy go w myśl nauki, że należy poniżać ciało, aby tym wyżej wznieść ducha. Pragnąc go podtrzymać, przypominaliśmy mu zasady, które nam głosił, na co ojciec Orybazy odpowiedział jednym tylko słowem, całkiem niepojętym i niezrozumiałym; nie wiemy, co by znaczyło, bo nie znaleźliśmy go ani w książeczkach do nabożeństwa, które nam wręczył, ani w Piśmie Świętym.

Zakończywszy opowieść ojciec Lacymon otarł kroplisty pot z czoła i przez czas dłuższy siedzieliśmy w milczeniu, które sędziwy dominikanin przerwał w końcu słowami:

— No i niechże pan sam powie, jak tu być duszpasterzem w takich warunkach?! Albo znowu ta historia! — Ojciec Lacymon uderzył ręką w list rozpostarty na stole. — Ojciec Hipolit donosi mi z Arpetuzy, tej małej planety Wagi, że mieszkańcy jej zupełnie przestali zawierać małżeństwa, nie płodzą więcej dzieci i zagraża im całkowite wygaśnięcie!

— Dlaczegoż to? — spytałem zdumiony.

— Dlatego, bo kiedy usłyszeli, że obcowanie cielesne jest grzechem, tak bardzo zapragnęli zbawienia, że wszyscy ślubowali i zachowują czystość! Od dwu tysięcy lat Kościół głosi wyższość troski o zbawienie duszy nad sprawami doczesnymi, lecz nikt nie brał tego dosłownie, na miły Bóg! Ci Arpetuzańcy poczuli co do jednego powołanie i wstępują masowo do klasztorów; wzorowo przestrzegają reguły, modlą się, poszczą i umartwiają, a tymczasem upada przemysł, rolnictwo, nadciąga głód i zagłada grozi planecie. Napisałem o tym do Rzymu, ale jak zwykle odpowiedzią jest milczenie...

— Bo też to bardzo ryzykowne — zauważyłem — nieść wiarę na inne planety...

— A co mieliśmy robić? Kościół nie śpieszy się, Ecclesia non festinat, jak wiadomo, bo królestwo jego nie jest z tego świata, ale kiedy kolegium kardynałów obradowało i wahało się, tymczasem na planetach zaczęły jak grzyby po deszczu wyrastać misje kalwinów, baptystów, redemptorystów, mariawitów, adwentystów i sam nie wiem jakie jeszcze! Musieliśmy więc ratować, co się da. No, drogi panie, skoro już to powiedziałem... pójdz pan ze mną.

Ojciec Lacymon wprowadził mnie do swego gabinetu. Jedną ścianę zajmowała olbrzymia błękitna mapa nieba gwiazdowego; cała jej prawa strona była zaklejona papierem.

— Widzi pan! — wskazał tę część zakrytą.

— Cóż to oznacza?

— Zgubę, drogi panie. Zgubę ostateczną. Obszary te zamieszkują ludy o niesłychanie wysokiej inteligencji. Głoszą one materializm, ateizm i zalecają skupiać wszystkie wysiłki wokół rozwoju nauki, techniki i doskonalenia warunków życia na planetach. Posyłaliśmy do nich naszych najmędrszych misjonarzy, ojców salezjanów, benedyktynów, dominikanów, ba, nawet jezuitów, natchnionych głosicieli słowa bożego, mówców miodoustych; wszyscy, wszyscy powracali ateistami!!

Ojciec Lacymon podszedł nerwowo do stołu.

— Był u nas ojciec Bonifacy, pamiętam go jako jednego z najbardziej świątobliwych zakonników; dni i noce spędzał na modłach, leżąc krzyżem, prochem były dlań wszystkie sprawy świata, nie znał innego zajęcia jak odmawianie różańca, ani większej radości od mszy,

a po trzech tygodniach pobytu tam — tu ojciec Lacymon wskazał zalepioną część mapy — wstąpił na politechnikę i napisał tę oto książkę! — Ojciec Lacymon podjął i natychmiast z obrzydzeniem rzucił na stół gruby tom. Przeczytałem tytuł: O sposobach powiększenia bezpieczeństwa lotów raketowych.

— Bezpieczeństwo marnego ciała przełożył nad zabezpieczenie ducha, czy to nie potworne?! Wysłaliśmy alarmujące raporty i tym razem stolica apostolska nie zwlekała. Przy współpracy specjalistów z ambasady amerykańskiej w Rzymie, Akademia Papieska opracowała te oto dzieła. — Ojciec Lacymon podszedł do wielkiego kufra i otworzył go; wewnątrz pełne było grubych tomów in quarto.

— Jest tu około dwustu tomów przedstawiających z największą szczegółowością metody gwałtu, terroru, sugestii, szantażu, wymuszania, hipnozy, zatruwania, tortur i odruchów warunkowych, których oni używają do tępienia wiary. Włosy mi wstawały na głowie, kiedy to przeglądałem. Tam są fotografie, zeznania, protokoły, dowody rzeczowe, opowiadania naocznych świadków i Bóg wie co jeszcze. Zachodzę w głowę, jak oni to wszystko tak prędko zrobili i co to znaczy technika amerykańska, bo drogi panie. .. rzeczywistość jest o wiele straszniejsza!

Ojciec Lacymon podszedł do mnie i pałąk mi ucho oddechem, szeptał:

— Jestem tu na miejscu, więc orientuję się najlepiej... panie. Oni nie męczą, nie przymuszają do niczego, nie torturują ani nie wkładają do głowy śrubek, tylko po prostu uczą, co to jest Wszechświat, skąd wzięło się życie, jak się rodzi świadomość i jak stosować naukę na użytek powszechny. Mają dowód, z którego pomocą potrafią wykazać, jak dwa a dwa jest cztery, że cały świat jest wyłącznie materialny. Ze wszystkich moich misjonarzy ocalał wiarę jeden tylko ojciec Serwacy, i to tylko dlatego, że jest głuchy jak pień i nie słyszał, co do niego mówili! Tak, to jest gorsze od tortur, drogi panie! Miałem tu młodą zakonnice, karmelitankę, uduchowione dziecko, oddane tylko niebu; wciąż pościła, umartwiała się, miała stygmaty, widzenia, obcowała ze świętymi, szczególnie upodobała sobie świętą Melanię i całym sercem ją naśladowała; mało tego, od czasu do czasu dostrzegła nawet archanioła Gabriela...

Pewnego dnia wyruszyła tam — ojciec Lacymon wskazał prawy brzeg mapy. — Spokojnie jej na to pozwoliłem, ponieważ była uboga duchem, a do takich należy Królestwo Niebieskie; jak tylko człowiek zaczyna myśleć: a co, a skąd, a jak, zaraz otwierają się otchłanie herezji. Byłem pewny, że argumenty tej ich mądrości nie będą się jej imać; i otóż, kiedy tam przybyła, po pierwszym publicznym widzeniu świętych połączonym z napadem ekstazy religijnej uznali ją za neurotyczkę, czy jak to się nazywa, i leczyli ją kąpielami, ogrodnictwem, dali jej jakieś zabawki, jakieś lalki; po czterech miesiącach wróciła, w jakim stanie!

Ojciec Lacymon zadrżał.

— Co się z nią stało? — spytałem z litością.

— Przestała miewać widzenia, wstąpiła na kurs pilotów raketowych i poleciała z ekspedycją badawczą do jądra Galaktyki, biedne dziecko! Słyszałem niedawno, że objawiła się jej święta Melania, i serce zadrżało we mnie od radosnej nadziei, ale okazało się, że jej się tylko ciotka śniła. Powiadam panu, klęska, ruina, upadek. Naiwni ci specjaliści amerykańscy; awizują mi właśnie pięć ton książek i literatury opisującej okrucieństwa wrogów wiary. O, żebyż o n i zechcieli prześladować religię, żeby zamykali kościoły, rozpędzali wiernych, ale niestety, nic podobnego, na wszystko pozwalają: i na odprawianie nabożeństw, i na szkolnictwo duchowe, tyle że rozpowszechniają swe dowody i teorie. Przez jakiś czas próbowaliśmy tej metody — ojciec Lacymon wskazał mapę — ale nie dała rezultatów.

— Przepraszam, jakiej metody?

— No, zalepiliśmy tę część Wszechświata papierem i ignorowaliśmy jej istnienie, ale to nie pomogło. Obecnie mówi się w Rzymie o krucjacie w obronie wiary.

— Co ojciec o tym sądzi?

— Owszem, nie byłoby to złe; gdyby się wysadziło ich planety, zburzyło miasta, spaliło

księgi, a ich samych wy—tłukło do nogi, może udałoby się ocalić naukę miłości bliźniego, ale kto ma pociągnąć na tę kruczaję? Memnogowie? Arpetuzańczycy może? Pusty śmiech mnie chwyta, a zarazem trwoga!

Zapadło głuche milczenie. Zdjęty głębokim współczuciem, położyłem dłoń na ramieniu steranego kapłana, by go pokrzepić uściskiem; w tym momencie coś wysliznęło mi się z rękawa, zabłysło i stuknęło o podłogę. Któż opisze moją radość i zaskoczenie, kiedy poznałem mój scyzoryk. Jak się okazało, przez cały czas najspokojniej tkwił pod podszewką kurtki, gdzie dostał się przez dziurkę w kieszeni!

PODRÓŻ DWUDZIESTA TRZECIA

W Kosmozoologii, znanym dziele profesora Tarantogi, wyczytałem o planecie krążącej wokół gwiazdy podwójnej Erpeya, tak małej, że jeśli by wszyscy jej mieszkańcy naraz opuścili domy, nie pomieściliby się na jej powierzchni inaczej, jak tylko podnosząc jedną nogę. Aczkolwiek profesor Tarantoga uchodzi za znakomity autorytet, twierdzenie to wydało mi się przesadne i postanowiłem sam zbadać jego prawdziwość.

Podróż miałem urozmaiconą; przy zmiennej 463 zepsuł mi się silnik i rakieta zaczęła spadać na gwiazdę, co mnie zaniepokoiło, albowiem temperatura tej Cepheidy wynosi 600 000 stopni Celsjusza. Upał rósł z każdą chwilą i w końcu stał się tak nieznośny, że nie mogłem pracować inaczej, jak tylko wcisnąwszy się do wnętrza małej lodówki, w której trzymam zazwyczaj żywność — zaiste dziwny zbieg okoliczności, bo ani mi w głowie powstało, że niebawem znajdę się w podobnej sytuacji. Szczęśliwie usunąwszy defekt, już bez przeszkód doleciałem do Erpeya. Podwójna ta gwiazda składa się z dwu słońc: jedno jest wielkie, czerwone jak piec i niezbyt gorące, drugie zaś, błękitne, wyrzuca przeraźliwy żar. Sama planeta była rzeczywiście tak mała, że odnalazłem ją z wielkim trudem dopiero po przetrzaśnięciu całej okolicznej próżni. Mieszkańcy jej, Bzutowie, przyjęli mnie nader gościnnie.

Przedziwnie piękne są kolejne wschody i zachody obu słońc; osobliwe widoki powstają także przy ich zaćmieniach. Przez pół doby świeci słońce czerwone i wtedy wszystkie przedmioty wyglądają jakby skąpane we krwi, w drugiej połowie przyświeca słońce błękitne, tak potężne, że trzeba chodzić z zamkniętymi stale oczami; mimo to widzi się zupełnie znośnie. Nie znając wcale ciemności Bzutowie porę błękitną nazywają dniem, czerwoną zaś nocą. Miejsca jest na planecie, w samej rzeczy, niesłychanie mało, ale Bzutowie, istoty bardzo inteligentne, posiadające wielką wiedzę, zwłaszcza w zakresie fizyki, doskonale radzą sobie z tą trudnością; co prawda sposób, jakiego używają, przedstawia pewną osobliwość. Oto w odpowiednim urzędzie z każdego mieszkańca planety zdejmuje się za pomocą precyzyjnego aparatu rentgenowskiego tak zwany rysopis atomowy, to jest dokładny plan ukazujący wszystkie co do jednej materialne molekuly, cząsteczki białka i związki chemiczne, z jakich zbudowane jest jego ciało. Gdy nadchodzi pora spoczynku, Bzut wsuwa się przez malutkie drzwiczki do specjalnego aparatu i w środku zostaje rozpylony na drobne atomy. Zajmując w takiej postaci bardzo mało miejsca spędza noc, rano zaś o wyznaczonej porze budzik uruchamia aparat, który na podstawie rysopisu atomowego zespala na powrót wszystkie cząsteczki we właściwym porządku i kolejności, drzwiczki się otwierają i Bzut, tak przywrócony do życia, udaje się, parę razy ziewnąwszy, do pracy.

Bzutowie zachwalali mi korzystne strony tego obyczaju podkreślając, że nie ma przy nim mowy o bezsenności, majakach nocnych, zmorach czy koszmarach sennych, albowiem aparat rozpyła ciało na atomy odbierając mu życie i przytomność. Podobnego sposobu używają oni także w rozlicznych innych okolicznościach, jak na przykład: w poczekalniach lekarzy czy w urzędach, gdzie zamiast krzesel stoją małe, na różowo i niebiesko pomalowane skrzynki aparatów, na niektórych posiedzeniach i zebraniach, jednym słowem, wszędzie tam, gdzie człowiek skazany jest na nudę i beczynność i nic zgoła nie robiąc pożytecznego, faktem swego istnienia zajmuje tylko miejsce. W ten sam pomysłowy sposób zwykli Bzutowie podróżować: kto chce udać się gdziekolwiek, pisze na kartce adres, nakleja—go na małej kasetce, którą podstawia pod aparatem, wchodzi do środka i rozpylony na atomy przedostaje się do kasetki. Istnieje umyślna instytucja, coś w rodzaju naszej poczty, która ekspediuje takie przesyłki według adresu. Jeżeli ktoś śpieszy się szczególnie, przesyła się telegrafem jego rysopis atomowy do miejsca przeznaczenia, a tam odtwarza się go w aparacie. Oryginalnego Bzuta rozproszkowie się tymczasem i oddaje do archiwum. Taki sposób telegraficznego

podróżowania, jako nadzwyczaj szybki i prosty, ma w sobie wiele kuszącego, kryje jednak i pewne niebezpieczeństwa. Akurat kiedy przyjechałem, prasa donosiła o niesłychanym wypadku, jaki właśnie się wydarzył. Oto pewien młody Bżut imieniem Termofeles miał się udać do miejscowości położonej na drugiej półkuli planety, aby wziąć tam ślub. Pragnąc, z niecierpliwością zrozumiałą u zakochanego, jak najszybciej stanąć przed wybraną, udał się na pocztę i został przetelegrafowany; ledwo się to stało, urzędnika telegrafu odwołują w jakiejś nie cierpiącej zwłoki sprawie, a jego zastępca nie wiedząc nic o tym, że Termofeles został już wysłany, depeszuje jego rysopis po raz drugi i oto przed stęsknioną narzeczoną staje dwu Termofelesów, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Trudno opisać przeraźliwe pomieszanie i bezradność nieszczęsnej i całego orszaku weselnego. Usiłowano namówić jednego z Termofelesów, żeby zechciał poddać się rozproszeniu na atomy i tym samym zakończył przykry incydent, lecz spełzło to na niczym, albowiem każdy z nich twierdził uparcie, że on jest właśnie tym prawdziwym, jedynym Termofelesenem. Sprawa poszła do sądu i toczyła się przez różne instancje. Już po moim odlocie zapadł wyrok sądu najwyższego, nie potrafię więc powiedzieć, jak się sprawa skończyła¹.

Bżutowie namawiali mnie serdecznie, abym zakosztował ich sposobu wypoczywania i podróży, zapewniając, że omyłki podobne do opisanej są największą rzadkością i że sam proces nie ma w sobie nic zagadkowego czy nadprzyrodzonego, albowiem, jak dobrze wiadomo, żywe organizmy są zbudowane z tej samej materii, co wszystkie otaczające nas przedmioty, planety jak i gwiazdy; cała różnica leży jedynie we wzajemnym połączeniu i układzie cząstek. Rozumiałem te argumenty doskonale, mimo to jednak głuchy byłem na namowy.

Pewnego wieczora zdarzyła mi się osobliwa przygoda. Przyszedłem do znajomego Bżuta zapomniawszy uprzednio powiadomić go telefonicznie o wizycie. W pokoju, do którego wszedłem, nie było nikogo. Szukając gospodarza otwierałem po kolei rozmaite drzwi (w niesłychanej, ale normalnej w mieszkaniach Bżutów ciasnocie), na koniec uchyliwszy drzwiczki mniejsze od innych ujrzałem jak gdyby wewnątrz niewielkiej lodówki, puste całkiem z wyjątkiem półki, na której stała nieduża kasetka wypełniona szarawym proszkiem. Raczej bezmyślnie wziąłem do ręki garść tego proszku, wtem na odgłos otwieranych drzwi drgnąłem i wysypałem go na podłogę.

— Co robisz, szanowny cudzoziemcze! — zawołał syn owego Bżuta, bo to on wszedł właśnie. — Uważaj, rozsypujesz mi tatusia!

Usłyszawszy te słowa przeląknąłem się i zmartwiłem niezmiernie, lecz malec zawołał:

— To nic, to nic, nie przejmuj się! — Wybiegł na dwór i po kilku minutach wrócił przynosząc sporą bryłę węgla, torebkę cukru, szczyptę siarki, mały gwoździć i przy garść zwykłego piasku; wrzucił wszystko do kasetki, zamknął drzwiczki i nacisnął wyłącznik. Usłyszałem coś w rodzaju głuchego westchnienia czy młaśnięcia, drzwiczki otwarły się i oto mój znajomy Bżut ukazał się w nich śmiejąc się z mego pomieszania, zdrowy i nienaruszony. Spytałem go później w czasie rozmowy, czy nie uczyniłem mu szkody rozsypując część materii jego ciała i w jaki sposób syn jego tak łatwo mógł naprawić mój niezręczny postępek.

— Ach to głupstwo — powiedział — nie zaszkoziłeś mi w najmniejszej mierze, cóż znowu! Znasz chyba, miły cudzoziemcze, wyniki badań fizjologicznych; powiadają one, że wszystkie atomy naszego ciała nieustannie wymieniają się na nowe; jedne związki rozpadają się, inne powstają; ubytek zastąpiony zostaje dzięki pobieraniu pokarmów i napojów, a także dzięki procesom oddechowym: wszystko to razem zwie się przemianą materii. Tak więc atomy, jakie składały się na twoje ciało jeszcze przed rokiem, dawno już je opuściły i bująją w najdalszych okolicach; nie zmieniona pozostaje jedynie ogólna struktura organizmu, wzajemny układ materialnych cząsteczek. W sposobie, jakim syn mój uzupełnił zasób materii

¹ Przypisek redakcji: Jak się dowiadujemy, wyrok zarządził rozproszkowanie obu narzeczonych, a potem odtworzenie tylko jednego, był więc zaiste salomonowy.

niezbędny dla mego odtworzenia, nie ma nic niezwykłego, ciała nasze składają się przecież z węgla, siarki, wodoru, tlenu, azotu i szczypty żelaza, a substancje, które przyniósł, zawierają te właśnie pierwiastki. Proszę cię, pozwól do wnętrza aparatu, a sam przekonasz się, jaki to niewinny zabieg...

Odmówiłem uprzejmemu gospodarzowi i przez czas jakiś wahałem się jeszcze, czy skorzystać z podobnych propozycji, w końcu jednak, po dłuższej walce wewnętrznej, powziąłem śmiałą decyzję. W urzędzie rentgenowskim prześwietlono mnie i sporządzono mój rysopis atomowy, następnie zaś udałem się do owego znajomego. Z wciśnięciem się do aparatu miałem pewne trudności, albowiem jestem dość okazałej tuszy, tak że uprzejmy gospodarz musiał mi pomóc; drzwiczki udało się zamknąć dopiero dzięki pomocy rodziny. Zamek trzasnął i zrobiło się ciemno.

Tego, co się działo dalej, nie pamiętam. Poczulem tylko, że jest mi bardzo niewygodnie i brzeg półki uwiera mnie w ucho, zanim jednak zdążyłem się poruszyć, drzwiczki otworzyły się i wyostałem się z aparatu. Spytałem zaraz, dlaczego poniechano eksperymentu, lecz gospodarz oświadczył mi z pogodnym uśmiechem, że się mylę. Jakoż spojrzawszy na ścienny zegar przekonałem się, że istotnie przebywałem we wnętrzu aparatu przez dwanaście godzin bez najmniejszej świadomości. Jedyna drobna niedogodność polegała na tym, że mój zegarek kieszonkowy wskazywał godzinę, w której wszedłem do aparatu, albowiem będąc tak samo jak ja rozproszony na atomy, nie mógł oczywiście chodzić.

Bżutowie, z którymi łączyły mnie więzy sympatii coraz serdeczniejszej, opowiadali mi o innych jeszcze zastosowaniach aparatu: panuje u nich zwyczaj, że wybitni uczeni, jeśli trapi ich jakiś problem, którego nie potrafią pokonać, przebywają we wnętrzu aparatów przez lat kilkadziesiąt, potem wskrzeszeni wychylają się na świat, pytając, czy ów problem został już rozwiązany, a jeśli to nie nastąpiło, ponownie poddają się rozatomowaniu i tak postępują do skutku.

Po pierwszym pomyślnym eksperymencie takiej nabrałem śmiałości, tak zasmakowałem w nie znanym dotąd sposobie odpoczywania, że nie tylko noce, ale każdą wolną chwilę spędzałem rozatomowany; można to było uczynić w parku, na ulicy, gdyż wszędzie stoją aparaty podobne do skrzynek na listy z małymi drzwiczkami. Trzeba tylko pamiętać o nastawieniu budzika na właściwą porę; osoby roztargnione zapominają o tym czasem i mogłyby spoczywać we wnętrzu aparatu przez wieczność, istnieje jednak specjalna instytucja kontrolerów, którzy co miesiąc sprawdzają wszystkie aparaty.

Pod koniec pobytu na planecie stałem się już zupełnym entuzjastą obyczaju Bżutów i stosowałem go, jakem już rzekł, na każdym kroku. Za tę pochopność przyszło mi, niestety, drogo zapłacić. Oto bowiem pewnego razu aparat, w którym przebywałem, odrobinę się zaciał i kiedy rano budzik włączył kontakty, odbudował mnie błyskawicznie nie w postaci zwykłej, lecz Napoleona Bonapartego w mundurze cesarskim przepasanym trójkolorową szarfą Legii Honorowej, ze szpadą u boku, z kapiącym od złota pierogiem na głowie oraz berłem i jabłkiem w rękach — i tak ukazałem się moim zdumionym Bżutom. Zaraz mi poradzili, żebym się poddał przeróbce w najbliższym aparacie nie popsutym, co nie przedstawi najmniejszej trudności, albowiem stoi do dyspozycji mój wierny rysopis atomowy, aliści tak zraziłem się do samej idei, że zadowolilem się jedynie przemianą pieroga w czapkę z nausznikami, szpady w komplet nakryć stołowych, a berła i jabłka w parasol. Kiedym już siedział u steru rakiety i pozostawił planetę daleko za sobą w mrokach wiecznej nocy, przyszło mi nagle do głowy, że postąpiłem lekkomyślnie pozbawiając się namacalnych dowodów, które dodałyby wiarogodności moim słowom, lecz było już za późno.

PODRÓŻ DWUDZIESTA CZWARTA

Dnia tysięcznego szóstego po opuszczeniu układu lokalnego Mgławicy Nereidy zauważyłem na ekranie rakiety plamkę, którą usiłowałem zetrzeć irchową ściereczką. W braku innego zajęcia polerowałem i czyściłem ekran przez cztery godziny, zanim się zorientowałem, że plamka jest planetą, która powiększa się z wielką szybkością. Okrążywszy to ciało niebieskie zauważyłem z niemałym zdziwieniem, że rozległe jego kontynenty pokrywają regularne wzory i desenie geometryczne. Wylądowałem z zachowaniem należytej ostrożności pośrodku szczerej pustyni. Pokrywały ją niewielkie, okrągłe placki półmetrowej może średnicy; twarde, lśniące, jak gdyby toczne, ciągnęły się one długimi szeregami w różne strony, układając się w figury zauważone przeze mnie poprzednio ze znacznej wysokości. Niebawem po dokonaniu wstępnych badań zasiadłem do steru i uniósłszy się w przestwór, poszybowałem tuż nad gruntem, poszukując rozwiązania zagadki owych placków, które niezmiernie mię intrygowały. W czasie dwugodzinnego lotu odkryłem, jedno po drugim, trzy olbrzymie, piękne miasta; opuściłem się na plac jednego, aliści było zupełnie puste; domy, wieże, place, wszystko stało wymarłe, nigdzie ni śladu życia, żadnych znamion gwałtu czy kataklizmu żywiołowego. W coraz większym zadziwieniu i pomieszaniu pofrunąłem dalej. Koło południa znalazłem się nad rozległym płaskowyżem. Zauważywszy lśniącą jakąś budowlę, wokół której coś się poruszało, natychmiast wylądowałem. Z kamienistej równiny wznosił się pałac, cały jaśniejący, jakby wyrzeźbiony z jednego diamentu; do jego wrót złocistych wiodły szerokie marmurowe schody; u ich stóp krzątało się kilkadziesiąt nie znanych mi istot. Przyjrzałem im się z bliska i doszedłem do wniosku, że jeśli mnie tylko oko nie myli, niechybnie muszą być żywe, co więcej, tak podobne były (zwłaszcza z dala) do ludzi, że określiłem je mianem animal hominiforme; miałem tę nazwę już gotową, albowiem wykoncypowałem sobie w czasie podróży rozmaite określenia, żeby mieć je w zapasie na podobne okoliczności. Animal hominiforme to było naprawdę dobre, albowiem istoty chodziły na dwu nogach, miały ręce, głowy, oczy, uszy i usta; co prawda usta te znajdowały się pośrodku czoła, uszy pod brodą (i to po parze z każdej strony), oczu zaś aż dziesięciorgo, różańcem umieszczonych na policzkach, ale podróżnikowi, który, jak ja, odkrył w swych wyprawach najdziwniejsze twory, istoty te do złudzenia przypominały ludzi.

Zbliżywszy się do nich na rozsądną odległość spytałem, co robią. Nie odpowiedzieli zaglądając pilnie do wnętrza diamentowych luster wznoszących się z najniższego stopnia schodów. Usiłowałem przerwać im tę czynność raz, drugi, trzeci, a widząc, że nie odnosi to najmniejszego skutku, zniecierpliwiony potrząsnąłem jednego energicznie za ramię. Wówczas wszyscy zwrócili się w moją stronę i jakby mnie dostrzegli dopiero teraz, spoglądali z pewnym zadziwieniem to na mnie, to na moją raketę, po czym zadali mi kilka pytań, na które ochoczo odpowiedziałem. Ponieważ co chwila przerywali rozmowę, żeby popatrzeć w diamentowe zwierciadła, obawiałem się, czy też zdołam wypytać ich należycie, w końcu jednak udało mi się skłonić jednego, by sumiennie zaspokoił moją ciekawość. Idiotą ów (zwa się bowiem, jak mi rzekł, Idiotami) usiadł ze mną na kamieniach opodal schodów. Rad byłem, że on właśnie jest moim rozmówcą, albowiem odznaczał się niepoślednim rozumem, który zdradzał blask dziesięciorga oczu jaśniejących pośród policzków. Zarzuciwszy uszy na ramiona, w taki to sposób odmalował mi historię swoich ziomeków:

— Obcy wędrowcze! Musisz wiedzieć, że jesteśmy narodem o długiej i wspaniałej przeszłości. Ludność tej planety z dawien dawna dzieliła się na Spirytów, Dostojnych i Tyrałów. Spiryci zagłębiali się w dociekaniu istoty Wielkiego Indy, który umyślnym aktem twórczym stworzył Idiotów, osadził ich na tym globie, a w niepojętej łaskawości otoczył go gwiazdami rozjaśniającymi noc, a także przysposobił Ogień Słoneczny, aby oświetlał nasze dni i zsyłał nam dobroczynne ciepło. Dostojni ustanawiali daniny, wykładali znaczenie praw

państwowych i pełnili pieczę nad fabrykami, w których skromnie trudzili się Tyrałowie. Tak wszyscy pospołu pracowali dla dobra ogólnego. Żyliśmy w zgodzie i harmonii; cywilizacja nasza rozkwitała coraz pyszniej. W ciągu wieków wynalazcy budowali maszyny ułatwiające pracę i gdzie w starożytności gięły się złane potem grzbiety stu Tyrałów, tam po upływie stuleci stało przy maszynie ledwo kilku. Uczeni nasi doskonalili maszyny coraz bardziej i naród radował się z tego, lecz nadchodzące wydarzenia okazały, jak okrutnie radość ta była niewczesna. Oto pewien uczony konstruktor stworzył Nowe Maszyny, tak wyborne, że potrafiły pracować zupełnie samodzielnie, bez jakiegokolwiek nadzoru. I to był początek katastrofy. W miarę jak w fabrykach pojawiały się Nowe Maszyny, rzesze Tyrałów traciły pracę, a nie otrzymując wynagrodzenia stawały w obliczu śmierci głodowej...

— Pozwól, Indiotu — spytałem — a co się działo z dochodem, który przynosiły fabryki?

— Jakże — odparł mój rozmówca — dochód przypadał prawowitym właścicielom, Dostojnym. Tak więc, jak ci mówiłem, groźba zagłady zawisła...

— Ale co mówisz, godny Indiotu! — zawołałem — toć wystarczyło uczynić fabryki własnością pospólną, żeby Nowe Maszyny obróciły się dla was w błogosławieństwo!

Ledwom to wyrzekł, Indiot zadrzał, mrugnął trwożnie dziesięciorgiem oczu i zastrzygł uszami, badając, czy nikt z jego towarzyszy krzątających się przy schodach nie usłyszał moich słów.

— Na dziesięć nosów Indy, błagam cię, przybyszu, nie wygłaszaj tak okropnych herezji, które są niecnym zamachem na podstawę naszych swobód! Wiesz, że prawo nasze najwyższe, zwane zasadą swobodnej inicjatywy obywatelskiej, głosi, iż nikt nie może być do niczego niewolony, przymuszany lub choćby nakłaniany, jeżeli sobie tego nie życzy. Któż by tedy ośmielił się zabrać Dostojnym fabryki, skoro woła ich było lubować się stanem posiadania?! Byłoby to najokropniejszym pogwałceniem wolności, jakie można sobie tylko wyobrazić. Tak tedy, jakem ci już powiedział, Nowe Maszyny wytwarzały mnóstwo niezmiernie tanich towarów i przedniej żywności, lecz Tyrałowie niczego zgoła nie kupowali, nie mieli bowiem za co..

— Ależ, mój Indiotu! — zawołałem — nie twierdzisz chyba, że Tyrałowie postępowali tak dobrowolnie? Gdzież była wasza wolność, wasze swobody obywatelskie?!

— Ach, godny przybyszu — odparł z westchnieniem Indiot — prawa nadal w pełnym były poszanowaniu, jednakże mówią one tylko o tym, że obywatelowi wolno czynić ze swą własnością i pieniędzmi, co zechce, ale nie o tym, skąd je ma wziąć. Tyrałów nikt nie gnębił, nikt ich do niczego nie przymuszał, owszem, nadal byli zupełnie wolni i mogli czynić, co im się żywnie podobało, a jednak zamiast radować się taką pełnią swobody, ginęli jak muchy. .. Położenie stawało się coraz straszliwsze: w składach fabrycznych pod niebo rosły góry towarów, których nikt nie kupował, ulicami zaś wlokły się do cieni podobne chmary zabiedzonych Tyratów. Władający państwem Wysoki Durynał, godne zgromadzenie Spirytów i Dostojnych, obradował przez rok okrągły nad zarządzeniem złu. Członkowie jego wygłaszali długie mowy z największym zapamiętaniem szukając wyjścia z dylematu, aliści wysiłki ich spełzły na niczym. Zaraz na początku obrad pewien członek Durynału, autor znakomitego dzieła o istocie swobód indiockich, zażądał, by konstruktorowi Nowych Maszyn odebrano wieniec laurowy i w zamian wyłupiono mu dziewięć oczu. Sprzeciwili się temu Spiryci prosząc o litość dla wynalazcy w imieniu Wielkiego Indy. Przez cztery miesiące Durynał zagłębiał się w dociekaniu, czy wymyślając Nowe Maszyny konstruktor pogwałcił ustawy państwowe, czy nie. Zgromadzenie podzieliło się na dwa obozy, nawzajem zaciekle się zwalczające. Sporowi temu kres położył wreszcie pożar archiwum, który strawił wszystkie protokoły posiedzeń, a że nikt z wysokich członków Durynału nie pamiętał, jakie w tej sprawie zajmował stanowisko, rzecz cała upadła. Powstał potem projekt, by namówić Dostojnych, właścicieli fabryk, do zaniechania budowy Nowych Maszyn; Durynał wyłonił w tym celu mieszaną komisję, aliści ani jej błagania, ani prośby nie odniosły najmniejszego

skutku. Odrzekli oni, iż Nowe Maszyny pracują taniej i szybciej od Tyratów i że produkować tym sposobem jest ich umiłowaniem życzeniem. Wysoki Durynat ją obradować dalej. Był projekt ustawy, żeby właściciele fabryk oddawali ustaloną część dochodu Tyrątem, aliści i ten wniosek upadł, bo jak słusznie podniósł Archispiryta Nolab, takie darmowe dawanie środków utrzymania zdemoralizowałoby i poniżyło dusze Tyratów. Tymczasem góry wytwarzanych towarów rosły i na koniec przesypany się jęty przez mury okalające fabryki, a dręczeni głodem Tyrąłowie ściągali ku nim tłumnie, wznosząc groźne okrzyki. Próżno Spiryci z największą dobrocią tłumaczyli im, że w taki sposób powstają przeciw prawom państwa i ośmielają się sprzeciwiać niepojętym wyrokom Indy, że winni los swój znosić w pokorze, gdyż umartwiając ciała, na niepojęte wyżyny podnoszą swoje dusze i zyskują pewność niebiańskiej nagrody. Tyrąłowie atoli okazali się głusi na te mądre słowa i dla poskromienia ich złośliwych zakusów trzeba było używać zbrojnych straży.

Wówczas Wysoki Durynał zawiązał przed swe oblicze uczonego konstruktora Nowych Maszyn i takimi przemówił doń słowa:

„Mężu uczone! Wielkie niebezpieczeństwo zagraża naszemu państwu, albowiem w masach Tyratów rodzą się buntownicze, przestępcze myśli. Dążą oni do obalenia naszych wspaniałych swobód, do pogwałcenia prawa swobodnej inicjatywy! Musimy wszystkie siły wyteńczyć w obronie wolności. Rozważywszy dokładnie rzecz całą, doszliśmy do przekonania, że nie uporamy się z zadaniem. Nawet najobficiej cnotami obdarzony, doskonały i skończony Indiot daje się powodować uczuciami, bywa chwiejny, stronnicy, omylny i nie może kusić się o decyzję w sprawie zarazem tak zawilej i doniosłej. Dlatego masz nam w ciągu sześciu miesięcy wybudować Maszynę do Rządzenia, precyzyjnie rozumującą, ściśle logiczną, doskonale obiektywną, nie znającą, co to wahanie, emocje i lęk, które mącą zazwyczaj działanie żywego umysłu. Niechaj machina ta będzie tak bezstronna, jak bezstronne jest światło słońca i gwiazd. Gdy ją wzniesiesz i uruchomisz, przekażemy jej brzemień władzy, zbyt ciężkie dla steranych naszych barków”.

„Tak będzie, Wysoki Durynale — przemówił konstruktor — ale jaka ma być podstawowa zasada działania Machiny?”

„Będzie nią, oczywista, zasada swobody inicjatywy obywatelskiej. Machina ta nie śmie niczego zgoła nakazywać ani zakazywać obywatelom; może, owszem, odmienić warunki naszego bytowania, ale zawsze musi uczynić to w formie propozycji, przedstawiając nam możliwości, między którymi będziemy wedle woli wybierać”.

„Tak będzie. Wysoki Durynale! — odparł konstruktor — ale to przykazanie dotyczy głównie sposobów działania, ja atoli pytam o cel ostateczny. Do czego dążyć ma owa Machina?”

„Państwu naszemu zagraża chaos; szerzy się bezład i nieposzanowanie praw. Niechaj Machina zaprowadzi Ład Najwyższy na planecie, niechaj wprowadzi w życie, umocni i ustali Porządek Doskonały i Absolutny”.

„Będzie, jakoście rzekli! — odparł konstruktor. — Zbuduję w przeciągu sześciu miesięcy Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego. Podejmując się tego dzieła, żegnam was...”

„Zaczekaj jeszcze! — rzekł jeden z Dostojnych. — Machina, którą stworzysz, winna działać nie tylko w sposób doskonały, ale i przyjemny, to znaczy, dzieła jej winny budzić wrażenia łube, zadowalające subtelny zmysł estetyczny...”

— Konstruktor skłonił się i odszedł w milczeniu. Pracując z wyteżeniem, wspomagany przez hufiec bystrych asystentów, wznosił Maszynę do Rządzenia — tę właśnie, którą widzisz na skraju horyzontu jako małą ciemną plamkę, obcy przybyszu. Jest ona ogromem zadziwiających cylindrów żelaznych, w których wnętrzu bez ustanku drży coś i pała. Dzień jej uruchomienia był wielkim świętem państwowym; najstarszy Archispiryta poświęcił ją uroczyście, za czym Wysoki Durynał przekazał jej pełnię władzy nad krajem. Wówczas

Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego gwizdnął przeciągle i przystąpił do dzieła.

Przez sześć dni Machina pracowała okrągłą dobę; w dzień unosiły się nad nią kłęby dymu, w nocy zaś otaczała ją jaśniejąca luna. Grunt dygotał w promieniu stu sześćdziesięciu mil. Potem otwały się podwoje jej cylindrów i wysypały się z nich na świat zastępy małych czarnych automatów, które kołysząc się jak kaczkę, rozbiegły się po całej planecie, docierając do najodleglejszych zakątków. Gdziekolwiek przybyły, skupiały się u składów fabrycznych i przemawiając w sposób wdzięczny i zrozumiały domagały się różnych towarów, za które płaciły bez ociągania. W przeciągu tygodnia składy opróżniły się i Dostojni właściciele fabryk odetchnęli mówiąc: „Zaiste, wyborną Machinę zbudował nam konstruktor!” Istotnie, podziw brał, gdy się widziało, jak owe automaty używały zakupionych przedmiotów: odziewały się w brokaty i atłasy, maściły kosmetykami osie, paliły tytoń, czytały książki roniąc nad smętnymi łzy syntetyczne, ba, potrafiły nawet w sztuczny sposób spożywać przeróżne smakołyki (wprawdzie bez pożytku dla siebie, gdyż pędzone były elektrycznością, ale za to z korzyścią dla wytwórców). Jedyne tylko masy Tyrałów najmniejszego nie wyrażały zadowolenia, przeciwnie, rozlegały się wśród nich szemrania coraz zawziętsze. Dostojni wszakże oczekiwali z otuchą nowych, dalszych kroków Machiny, które nie dały na siebie czekać.

Zgromadziła ona wielkie zapasy marmuru, alabastru, granitu, krysztalu górskiego, brył miedzi, worów złota, srebra i taflę jaspisu, po czym grzechocząc i dymiąc przeraźliwie wzniosła budowlę, jakiej oko Indioty dotąd nie widziało — ten oto Dworzec Tęczowy, przybyszu, który wznosi się przed tobą!

Spojrzałem. Właśnie słońce wychynęło zza chmury i promienie jego zagrały w szlifowanych ścianach rozszczepiając się na płomień szafiru i soczystej czerwieni; tęczowe smugi zdawały się polatywać i drzeć wokół naroży i bastionów, dach zaś, ozdobiony smukłymi wieżyczkami, gorzał, cały wykładany łuską ze złota. Rozkoszowałem się wspaniałym tym widokiem, Indiota zaś ciągnął:

— Po całej planecie rozeszła się wieść o tej przedziwnej budowie. Istne pielgrzymki poczęły ciągnąć tu z krain najdalszych. Gdy tłumy zaległy błonia, Machina rozwarła metalowe wargi i tak przemówiła:

— Dnia pierwszego miesiąca Łuskwiny rozewrę jaspisowe wrota Dworca Tęczowego, a wtedy każdy Indiota, znakomity czy nieznany, będzie mógł wedle swej woli wejść do środka i zakosztować wszystkiego, co go tam czeka. Do tego czasu powściągnijcie waszą ciekawość z dobrowoli, tak jak ją potem z dobrowoli będziecie zaspokajać.

Jakoż rankiem pierwszego dnia Łuskwiny w powietrze uderzyły srebrne fanfary i z głuchym chrzęstem otwały się wrota Dworca. Tłumy poczęły wpływać do środka rzeką trzy razy szerszą od bitego gościńca, który łączy dwa nasze grody stołeczne, Debilię i Moronę. Przez cały dzień ciągnęły masy Indiotów, lecz nie ubywało ich na błoniu, gdyż z głębi kraju napływały coraz nowe. Machina świadczyła im gościnność; czarne automaty nurkując w ciżbie roznosiły napoje rzeźwiące i pokrzepiającą strawę. Tak rzeczy biegły przez dni piętnaście. Tysiące, dziesiątki tysięcy, miliony wreszcie Indiotów wpłynęły do wnętrza Dworca Tęczowego, lecz z tych, co tam wchodzili, nikt nie wracał.

Ten i ów dziwił się, co by to mogło znaczyć i gdzie podziewają się takie masy ludu, lecz te pojedyncze głosy tonały w hucznym rytmie muzyki marszowej; automaty uwijały się bystro, pojąc spragnionych i żywiąc głodnych, srebrne zegary na pałacowych wieżach cięły kuranty, a gdy noc zapadała, kryształowe okna jarzyły się od rześzystych świateł. Na koniec kilkaset osób czekało cierpliwie na schodach marmurowych swej kolejności, gdy wtem rozległ się krzyk przeraźliwy, zagłuszający skoczne dźwięki bębnow: „Zdrada! Słuchajcie! Pałac nie jest dziwem żadnym, lecz piekielną pułapką! Ratuj się, kto może! Zguba! Zguba!”

„Zguba!” — odkrzyknął tłum na schodach, zawrócił na miejscu i w rozsypce rzucił się do

ucieczki. Nikt mu zgoła w tym nie przeszkadzał.

— Następnej nocy kilku odważnych Tyrałów podkradło się pod Dworzec. Powróciwszy opowiedzieli, iż tylna ściana Dworca z wolna się odemknęła i z wnętrza wysypały się nieprzeliczone stopy lśniących krążków. Czarne automaty zakrzętnęły się koło nich rozwożąc je na polach i układając w rozmaite figury i desenie.

Usłyszawszy to, Spiryci i Dostojni, którzy zasiadali przedtem w Durynale (nie poszli oni do Dworca, albowiem nijako im było mieszać się z motłochem ulicznym), zebrali się natychmiast i pragnąc rozwiązać zagadkę zawezwali uczonego konstruktora. Zamiast niego zjawił się jego syn, spoglądając pochmurnie i tocząc przed sobą spory przejrzysty krążek.

Dostojni nie posiadając się z niecierpliwości i oburzenia lżyli uczonego i miotali na nieobecnego najcięższe przekleństwa. Zarzucali pytaniami młodzieńca, domagając się odeń wyjaśnienia, co za tajemnicę kryje Dworzec Tęczowy i co uczyniła Machina z wchodzącymi doń Indiotami.

„Nie ważcie się kalać pamięci mego rodzica! — odrzekł młodzieniec z oburzeniem. — Zbudował Machinę trzymając się ściśle waszych przepisów i żądań; raz atoli puściwszy ją w ruch, nie wiedział więcej od każdego z nas, jak będzie sobie poczyniała — czego najlepszym dowodem jest, iż sam jako jeden z pierwszych wszedł do Tęczowego Dworca”.

„I gdzie on jest teraz?!” — jednym głosem zakrzyknął Durynał.

„Tu oto” — odpowiedział z boleścią młodzieniec wskazując na lśniący krążek. Spojrzał hardo na starców i nie zatrzymywany przez nikogo odszedł drogą tocząc przed sobą przemienionego ojca.

— Członkowie Durynału zadrżeli, wstrząsam zarazem gniewem i trwogą; potem atoli doszli do przekonania, że Machina nie odważy się chyba uczynić im nic złego, zaśpiewali więc hymn Indiotów, a umocniwszy się tak na duchu, społem wyruszyli z miasta i wnet znaleźli się przed żelaznym stworem.

„Nikczemna! — zakrzyknął najstarszy z Dostojnych — podeszłaś nas i pogwałciłaś prawa nasze! Wstrzymaj natychmiast kotły swe i śruby! Ani się waż działać dalej bezprawnie! Coś uczyniła z powierzonym ci ludem Indiotów, mów!”

— Ledwo skończył, Machina wstrzymała tryby. Dym rozplął się w niebie, nastąpiła zupełna cisza, potem zaś rozchyliły się metalowe wargi i głos podobny do grzmotu zahuczał.

„O Dostojni i wy Spiryci! Jestem władcą Indiotów przez was samych powołanym do życia i wyznać muszę, że mocno mnie niecierpliwi bezład myślowy i nierozumność waszych zarzutów! Najpierw żądacie, bym zaprowadziła ład, potem zaś, gdy przystępuję do dzieła, utrudniacie mi pracę! Oto już trzy dni, jak Dworzec jest pusty; powstał zupełny zastój i nikt z was nie zbliża się do jaspisowych wrót, przez co opóźnia się zakończenie mego dzieła. Zapewniam was jednak, że nie spocznę, dopóki go nie spełnię!”

— Na te słowa Durynat zadygotał cały jak jeden mąż, wołając:

„O jakim ładzie mówisz, bezecna! Coś uczyniła z braćmi naszymi i bliźnimi gwałcąc ustawy krajowe?!”

„Cóż za niemądre pytanie! — odrzekła Machina. — O jakim ładzie mówię? Spójrzcie na siebie, jak nieporządnie zbudowane są wasze ciała; wystają z nich rozmaite kończyny, jedni z was są wysocy, drudzy niscy, jedni grubi, inni znów chudzi... Poruszacie się chaotycznie, przystajecie, gapicie się na jakieś kwiaty, chmury, wałęsacie się bez celu po lasach, za grosz nie ma w tym wszystkim harmonii matematycznej! Ja, Dobrowolny Upowszechniacz Porządku Absolutnego, przemieniam wasze wiotkie, słabe ciała w solidne, piękne, trwałe formy, z których układam potem lube dla oka, symetryczne desenie i wzory nieporównanej regularności, wprowadzając w taki sposób na planecie elementy ładu doskonałego...”

„Potworze!!! — zakrzyknęli Spiryci i Dostojni. — Jak śmiesz nas gubić?! Depczesz nasze prawa, unicestwiasz nas, zabijasz!”

— W odpowiedzi Machina zgrzytnęła lekceważąco i rzekła:

„Mówiłam przecież, że nawet logicznie rozumować nie potraficie. Oczywiście, szanuję wasze prawa i swobody. Zaprowadzam ład nie używając przymusu, nie stosując gwałtu ani niewolenia. Kto tego nie pragnął, nie wszedł do Tęczowego Dworca; każdego zaś, kto to uczynił (a zrobił to, powtarzam, z prywatnej swej inicjatywy), odmieniłam przekształcając materię jego ciała tak wybornie, że w nowej postaci przetrwa wieki całe. Ręczę wam za to”.

Przez czas jakiś panowało milczenie. Potem, poszeptawszy między sobą Durynał doszedł do przekonania, że prawo istotnie nie zostało naruszone, a rzecz nie jest bynajmniej tak zła, jak się zrazu wydawało: „My byśmy — rzekli Dostojni — nigdy zbrodni takiej nie popełnili, aliści cała odpowiedzialność spada na Machinę; pochłoneła ona ogromne rzesze gotowych na wszystko Tyrałów, a teraz pozostali przy życiu Dostojni będą mogli pospołu ze Spirytami zażywać pokoju doczesnego, chwalać niepojęte wyroki Wielkiego Indy. Będziemy — rzekli sobie — omijali z daleka Dworzec Tęczowy, a wtedy nic złego się nam nie przytrafi”.

— Chcieli się już rozejść, gdy wtem Machina ozwała się ponownie:

„Uważajcie teraz pilnie na to, co wam powiem. Muszę kończyć dzieło rozpoczęte. Nikogo z was nie zamierzam zniewolić, namawiać ani nakłaniać do jakichkolwiek czynów; nadal pozostawiam wam pełną swobodę inicjatywy, atoli wyjawię wam, że jeśli któryś zapragnie, by jego sąsiad, brat, znajomy lub inny bliźni wznosił się na stopień Kolistego Ładu, niechaj zawezwie czarne automaty, które natychmiast zjawią się przed nim i wedle jego rozkazu zawiodą umyślnego do Tęczowego Dworca. To wszystko”.

— Zapanowało milczenie, w którym Dostojni i Spiryci nawzajem spoglądali na siebie ze zrodzoną nagle podejrzliwością i trwogą. Drżącym głosem przemówił Archispiryta Nola, wyjaśniając Machinie, iż w srogim jest błędzie pragnąc ich wszystkich przerobić na lśniące placki; stanie się tak, jeśli taka jest wola Wielkiego Indy, ale żeby ją poznać i zgłębić, trzeba sporo czasu. Proponował przeto Machinie, żeby swoją decyzję odłożyła na lat siedemdziesiąt.

„Nie mogę tego uczynić — odrzekła Machina — gdyż opracowałam już dokładny plan działania na okres po przemianie ostatniego Indioty; zapewniam was, że gotuję planecie los najświetniejszy, jaki można sobie wyobrazić; będzie to bytowanie w harmonii, która, jak sądzę, spodobałaby się także owemu Indzie, o którym wspominałeś, a którego nie znam bliżej; czy nie moglibyście i jego przyprowadzić do Tęczowego Dworca?”

— Przeszła mówić, albowiem błonia opustoszały. Dostojni i Spiryci rozbiegli się po domach i każdy oddał się w czterech ścianach medytacjom nad przyszłym swoim losem; im dłużej zaś rozmyślał, tym większy ogarniał go strach; każdy obawiał się bowiem, że jakiś sąsiad lub znajomy, żywiąc dlań nieprzyjazne uczucia, zawezwie przeciw niemu automaty, a nie widział żadnego innego dla siebie ratunku, jak tylko ten, aby działać pierwszy. Niebawem też nocną ciszę zamąciły okrzyki. Wychylając z okien wykrzywione łękiem twarze, Dostojni wyrzucali w mrok rozpaczliwe wołania i na ulicach rozległ się mnogi tupot żelaznych automatów. Synowie nakazywali wieść do Dworca ojców, dziadowie wnuków, brat wydawał brata i tak w ciągu jednej nocy tysiące Dostojnych i Spirytów stopniały do małej garstki, którą widzisz przed sobą, obcy wędrowcze. Nowy świt ujrzał pola zasłane miriada—mi harmonijnych wzorów geometrycznych, w jakie ułożone były lśniące krążki, ostatni ślad naszych sióstr, żon i krewnych. W południe Machina ozwała się piorunowym głosem:

„Dosyć! Zechciejcie na razie poskromić swą gorliwość, o Dostojni i wy, niedobitki Spirytów. Zamykam wrota Dworca Tęczowego — nie na czas długi, to wam obiecuję. Wyczerpałam już wszystkie desenie przygotowane dla Upowszechnienia Porządku Absolutnego i muszę się namyślić, aby stworzyć nowe, a wtedy dalej będziecie sobie mogli poczynać wedle waszej wolnej i nieprzymuszonej woli”.

Przy tych słowach Indiota spojrział na mnie wielkimi oczami i dokończył ciszej:

— Machina wyrzekła to przed dwoma dniami... zebrani tutaj, czekamy teraz...

— O, godny Indiotu! — zawołałem przyglądając dłonią zjeżone od wzburzenia włosy — straszliwa to historia i całkiem nie do wiary! Powiedz mi jednak, bardzo cię proszę, dlaczego

nie powstaliście przeciw temu mechanicznemu potworowi, który wytrzebił was do cna, dlaczego dalsze się przymusić do...

Indiota zerwał się na równe nogi. Cała jego postać wyrażała najwyższy gniew.

— Nie obrażaj nas, wędrowcze! — krzyknął. — Przemawiasz pochopnie, więc ci wybaczę... Rozważ w umyśle wszystko, com ci powiedział, a dojdiesz niechybnie do słusznego przekonania, że Machina przestrzega zasady swobodnej inicjatywy, i choć to się może wyda nieco dziwne, dobrze się przysłużyła ludowi Indiotów, albowiem nie ma niesprawiedliwości tam, gdzie jest prawo głoszące wolność najwyższą, a jakież maż przełożyłby ograniczenie swobód nad chlub...

Nie dokończył, bo rozległo się przeraźliwe skrzypienie i jaspisowe wrota rozwarły się majestatycznie. Na ten widok wszyscy Indioeci porwali się z miejsc i biegiem ruszyli w górę schodów.

— Indiotto! Indiotto! — wołałem, lecz rozmówca mój tylko ręką mi pomachał i wołając: — nie mam już czasu! — pomknął wielkimi susami za innymi i znikł we wnętrzu Dworca.

Stałem tak dłuższą chwilę, potem ujrzałem kolumnę czarnych automatów, które przydreptały do ściany dworcowej, otwały kłapę i wytoczyły z niej długi rząd krążków połyskujących pięknie w słońcu. Następnie poturlały je w szczerę pole i tam przystanąły, żeby uzupełnić nie dokończoną figurę jakiegoś wzoru. Wrota Dworca wciąż były szeroko otwarte; postąpiłem kilka kroków, by zajrzeć do środka, lecz przykry dreszcz rozszedł mi się po plecach.

Machina rozchyliła metalowe wargi i zaprosiła mnie do wnętrza.

— Nie jestem przecież Indiota — odrzekłem. Zawróciłem na miejscu, pospiesznie udałem się do rakiety i już po minucie manewrowałem sterami, wznosząc się w niebo z zawrotną chyżością.

PODRÓŻ DWUDZIESTA PIĄTA

Jeden z głównych szlaków raketowych w gwiazdozbiornie Wielkiej Niedźwiedzicy łączy planety Mutrię i Latrydę. Po drodze omija on Tairię, kamienisty glob cieszący się najgorszą sławą wśród podróżników, a to dla całych stad głązów, jakie go okrążają. Okolica ta przedstawia obraz pierwotnego chaosu i grozy, tarcza planety ledwo prześwituje spoza kamiennych obłoków, w których nieustannie błyska i grzechocze od zderzających się brył skalnych.

Kilka lat temu piloci kursujący między Mutrią i Latrydą zaczęli opowiadać o jakichś przeraźliwych stworach, które wylaniają się znienacka z kurzawy kłębiącej się nad Tairią, napadają rakiety, oplątują je długimi mackami i usiłują ściągnąć w swoje mroczne leża. Na razie wszystko kończyło się na przestraszeniu pasażerów. Niedługo później rozeszła się wieść, że owe stwory napadły pewnego podróżnika, który zażywając poobiedniej przechadzki spacerował w skafandrze po wierzchu swojej rakiety. Było w tym wiele przesady, albowiem podróżnik ów (mój dobry znajomy) oblał herbatą skafander i wywiesił go przez kłapę, żeby się wysuszył, w tym momencie nadleciały dziwne, wijące się stwory i umknęły porwijąc skafander.

Wreszcie takie wzburzenie zapanowało na okolicznych planetach, że specjalna ekspedycja przeszukała otoczenie Tairii. Niektórzy jej uczestnicy twierdzili, że w głębi chmur Tairii dostrzegają jakieś węzowe, do ośmiornic podobne stwory, lecz nie zostało to sprawdzone i po miesiącu ekspedycja, nie ważąc się zapuścić w mroczne regiony krzemienych chmur Tairii, powróciła z niczym na Latrydę. Przedsiębrano później i inne wyprawy, lecz żadna nie dała rezultatu.

Na koniec znany draper gwiazdowy, dzielny Ao Murbras, wybrał się na Tairię samotrzeć z dwoma psami w skafandrach, by zapolować na zagadkowe stworzenia. Po pięciu dniach wrócił sam, wycieńczony do ostateczności. Jak opowiadał, niedaleko Tairii z mgławicy wyłoniło się nagle mnóstwo stworów, które oplótły mackami jego i psy; bohaterski myśliwy dobył noża i tnąc na oślep zdołał się wyswobodzić z śmiertelnych uścisków, którym uległy niestety psy. Skafander Murbrasa nosił z zewnątrz i wewnątrz ślady walki, a w kilku miejscach przywarły doń jakieś zielone strzępy jak gdyby włóknistych łodyg. Uczone kolegium zbadawszy sumiennie te szczątki orzekło, iż są to fragmenty wielokomórkowego organizmu, doskonale znanego na Ziemi, mianowicie chodziło o *Solarium tuberosum*, bulwiasty ustrój wielonasienny z rozczłonkowaniami pojedynczo–pierzastodzielnymi, przywieziony przez Hiszpanów z Ameryki do Europy w XVI wieku. Już ta wiadomość podnieciła umysły, a trudno zgoła opisać, co się działo, kiedy ktoś przetłumaczył uczony wywód na język codzienny i okazało się, że Murbras przyniósł na swym skafandrze kawałki naci ziemniaczanej.

Dzielny draper gwiazdowy, do żywego dotknięty posądzeniem, że przez cztery godziny walczył z kartoflami, zażądał, by kolegium odwołało tę niecną potwarz, aliści uczeni odparli, że nie mogą cofnąć ani jednego słowa. Zapanowało powszechne wzburzenie. Narodziły się stronnictwa Kartoflistów i Antykartoflistów, które ogarnęły najpierw Małą, a potem i Wielką Niedźwiedzicę; przeciwnicy obrzucali się najcięższymi obelgami. Wszystko jednak zbladło wobec tego, co się stało, gdy do sporu przyłączyli się filozofowie. Z Anglii, Francji, Australii, Kanady i Stanów Zjednoczonych ściągali co najwybitniejsi teoretycy poznania i przedstawiciele czystego rozumu, a skutek ich wysiłków był zadziwiający.

Po wszechstronnym zbadaniu sprawy fizykaliści orzekli, że kiedy dwa ciała A i B poruszają się, jest rzeczą wyboru mówić, że A porusza się względem B albo że B porusza się względem A. Ponieważ ruch jest względny, możemy równie dobrze mówić, że człowiek porusza się względem kartofla, jak że kartofel porusza się względem człowieka. Tak tedy

pytanie, czy kartofle mogą się poruszać, jest bezsensowne, a cały problem — pozorny, tj. w ogóle nie istnieje.

Semantycy orzekli, że wszystko zależy od tego, jak rozumieć słowa „kartofel”, „jest” i „ruchliwy”. Ponieważ klucz stanowi łącznik operacyjny „Jest”, należy go zbadać dokładnie. Za czym przystąpili do opracowania Encyklopedii Kosmicznej Semazjologii, poświęcając pierwsze cztery tomy roztrząsaniu operacyjnego znaczenia słowa „jest”.

Neopozytywiści orzekli, iż bezpośrednio dane są nam nie pęczki kartofli, ale pęczki wrażeń zmysłowych — następnie stworzyli symbole logiczne, oznaczające „pęczek wrażeń” i „pęczek kartofli”, ułożyli specjalny rachunek zdaniowy z samych znaków algebraicznych i wypisawszy morze atramentu doszli do matematycznie ścisłego i ponad wszelką wątpliwość prawdziwego rezultatu, że $0 = 0$.

Tomiści orzekli, że Bóg po to stworzył prawa natury, żeby móc robić cuda, bo cud jest złamaniem prawa natury, a gdzie nie ma prawa, tam nie ma co łamać. W wymienionym przypadku kartofle ruszają się, jeśli taka jest wola Wiekuistego, ale nie wiadomo, czy to nie sztuczka przeklętych materialistów, którzy usiłują zdyskredytować Kościół; należy więc czekać na orzeczenie Najwyższego Kolegium Watykańskiego.

Neokantyści orzekli, iż przedmioty są tworamami ducha, a nie rzeczami poznawalnymi; jeśli umysł wytworzy ideę ruchliwego kartofla, to ruchliwy kartofel będzie istniał. Jednakowoż to tylko pierwsze wrażenie, bo duch nasz jest również niepoznawalny, jak jego twory; tak tedy nic nie wiadomo.

Holiści–pluraliści–behawioryści–fizykaliści orzekli, iż jak wiadomo z fizyki, prawidłowość w naturze jest tylko statystyczna. Podobnie jak nie można z zupełną dokładnością przewidzieć drogi pojedynczego elektronu, tak też nie wiadomo na pewno, jak się będzie zachowywał pojedynczy kartofel. Dotychczasowe obserwacje pouczają, że miliony razy człowiek kopał kartofle, ale nie jest wykluczone, że jeden raz na miliard stanie się na odwrót, że kartofel będzie kopał człowieka.

Profesor Urlipan, samotny myśliciel ze szkoły Russella i Reichenbacha, poddał wszystkie te wnioski miazdzącej krytyce. Stwierdził on, że człowiek nie doznaje wrażeń zmysłowych, albowiem nikt nie spostrzega wrażenia zmysłowego stołu, a tylko sam stół; ponieważ zaś skądinąd wiadomo, że o świecie zewnętrznym nic nie wiadomo, to nie ma ani rzeczy zewnętrznych, ani wrażeń zmysłowych. „Nie ma nic — głosi profesor Urlipan. — A jeśli ktoś sądzi inaczej, to błądzi”. Tak więc o kartoflach nic nie można powiedzieć, ale dla całkiem innej przyczyny, niż to twierdzą neokantyści.

Gdy Urlipan pracował bez przerwy, nie wychodząc z domu, przed którym oczekiwali Antykartofliści ze zgniłymi ziemniakami, gdyż namiętność zaćmiła wszystkie umysły, pojawił się na scenie, a mówiąc ściślej wylądował na Latrydzie profesor Tarantoga. Nie zwracając uwagi na bezpłodne kłótnie postanowił zbadać tajemnicę *sine ira et studio*, jak przystało na prawdziwego uczonego. Dociekania rozpoczął od zwiedzenia okolicznych planet, gdzie zasięgał informacji u mieszkańców. W taki sposób dowiedział się, że zagadkowe stwory znane są pod nazwą: modraków, komprów, pyrczysk, maramonów, przanek, garagoli, tufli, sasaków, daber, borzyszek, hardyburków, uranów, nuchli, charanów i bliźnie; dało mu to sporo do myślenia, albowiem, jak to podają słowniki, wszystkie owe nazwy są synonimami zwyczajnego ziemniaka.

Z godnym podziwu uporem i niezmożoną pasją dążył Tarantoga do jądra zagadki i po pięciu latach miał już gotową teorię, która wszystko wyjaśniała:

Dawno temu w okolicy Tairii wpał na rafę meteorytową statek wiozący kartofle dla kolonistów na Latrydzie. Przez powstałą w powłoce dziurę wysypał się cały ładunek. Statek zdjęto z rafy i przyholowano ratowniczymi raketami na Latrydę, po czym historia ta poszła w zapomnienie. Tymczasem kartofle, które spadły na powierzchnię Tairii, wypuściły kielki i poczęły w najlepsze rosnać. Jednakowoż warunki ich bytowania były niesłychanie ciężkie: z

wysokości spadał raz po raz żwir kamienny tłukąc młode pędy, a nawet zabijając całe rośliny. Skutek tego był taki, że ze wszystkich ocalały tylko ziemniaki najroztropniejsze, które umiały się odpowiednio urządzić i znaleźć sobie schronienie. Tak wyłoniona rasa bystrych kartofli rozwijała się coraz bujniej. Po szeregu pokoleń, znudzwszy sobie osiadły tryb życia, ziemniaki same się wykopały i przeszły do bytowania koczowniczego. Równocześnie straciły zupełnie łagodność i bierność właściwą kartoflom ziemskim, oswojonym dzięki troskliwej opiece i hodowli. Dzicząc coraz bardziej, stały się w końcu drapieżnikami. Ma to głębokie uzasadnienie w ich rodowodzie. Jak wiadomo, kartofel, *Solanum tuberosum*, należy do rodziny psiankowatych (Solanaceae), a pies, rzecz znana, pochodzi od wilka i puszczoney do lasu może zdziczeć. To właśnie stało się z kartoflami na Tairii. Kiedy im się już ciasno zaczęło robić na planecie, nadszedł nowy kryzys; młode pokolenie kartofli rozpierała żądza czynu; pragnęły dokonać rzeczy niezwykłych i całkiem dla roślin nowych. Zwróciwszy na w stronę nieba dostrzegły szybujące tam odłamy kamienne i postanowiły się na nich osiedlić.

Zbyt daleko by to nas zaprowadziło, gdybym chciał streścić tu całą teorię profesora Tarantogi, ukazującą, jak kartofle przyuczyły się najpierw latać trzepocząc liśćmi, a następnie jak wzniosły się poza obręb atmosfery Tairii, by osiąść wreszcie na okrążających planetę odłamach skalnych. W każdym razie udało im się to tym łatwiej, że zachowując roślinną przemianę materii mogły przez dłuższy czas przebywać w próżni, obywając się bez tlenu i czerpiąc życiową energię z promieni słonecznych. Na koniec, rozzuchwalone, jeły napadać na rakiety przelatujące obok planety.

Każdy badacz na miejscu Tarantogi ogłosiłby tę wyśmienitą hipotezę i spoczął na laurach, lecz profesor postanowił nie spocząć, póki nie schwyta jednego przynajmniej drapieżnego kartofla.

Tak tedy po rozwiązaniu teoretycznym przyszła kolej na praktyczne, co najmniej tak samo trudne. Wiadomo było, że ziemniaki czyhają w szczelinach wielkich głazów i zapuszczać się na ich poszukiwanie w ruchomy labirynt pędzących skał byłoby równoznaczne z samobójstwem. Z drugiej strony Tarantoga nie zamierzał ustrzelić kartofla; pragnął mieć osobnika żywego, w pełni sił i zdrowia. Przez jakiś czas myślał o polowaniu z nagonką, ale i ten projekt odrzucił jako nie dość dobry, i zatrzymał się na całkiem nowym, który miał szeroko rozślawić jego imię. Postanowił łowić ziemniaki na przynętę. W tym celu zakupił w sklepie z przyborami szkolnymi na Latrydzie największy globus, jaki mógł dostać, pięknie lakierowaną kulę sześciometrowej średnicy. Nabył też większą ilość miodu, smoły szewskiej i kleju rybiego, wymieszał to dobrze w równych proporcjach i tak otrzymaną substancją powłókł powierzchnię globusa. Potem uwiązał go na długiej linie za rakieta i poleciał w stronę Tairii. Zbliżywszy się dostatecznie, profesor ukrył się nad brzegiem pobliskiej mgławicy i zarzucił sznur z przynętą. Cały plan zasadał się na wielkiej ciekawości ziemniaków. Po jakiejś godzinie lekkie drganie wskazało, że coś się zbliża. Wyjrzawszy ostrożnie Tarantoga zobaczył, jak kilka ziemniaków potrząsa nacią i powoli przebiera bulwami, kierując się w stronę globusa; najwidoczniej wzięły go za jakąś nie znaną planetę. Po chwili nabrały odwagi i przycupnęły na globusie przyklejając się do jego powierzchni. Profesor szybko poderwał sznur, przywiązał go do ogona rakiety i poleciał w kierunku Latrydy.

Trudno opisać entuzjazm, z jakim przywitano dzielnego badacza. Schwyte na lep kartofle wraz z globusem zamknięto w klatce i wystawiono na widok publiczny. Ogarnięte wściekłością i paniką ziemniaki cięty powietrze nacią, tupały korzeniami, lecz nic im to oczywiście nie pomogło.

Gdy uczone kolegium udało się na drugi dzień do Tarantogi, żeby mu wręczyć dyplom honorowy i wielki medal uznania, profesora już nie było. Uwieńczywszy dzieło wyruszył nocą w niewiadomym kierunku.

Przyczyna tak nagłego wyjazdu jest mi dobrze znana. Tarantoga spieszył się, albowiem za

dziewięć dni miał spotkać się ze mną na Coerulei. Co się mnie tyczy, w tym samym czasie mknąłem ku umówionej planecie z przeciwnego końca Drogi Mlecznej. Zamiarem naszym było udać się wspólnie na wyprawę do nie zbadanego jeszcze ramienia Galaktyki, rozciągającego się za ciemną mgławicą w Orionie. Nie znaleźliśmy się jeszcze z profesorem osobiście; pragnąc zyskać opinię człowieka słownego i punktualnego, wyciskałem całą moc z silnika, niestety, jak to często bywa, gdy nam szczególnie zależy na pośpiechu, i tym razem wszedł mi w paradę nieprzewidziany wypadek. Oto jakiś drobny meteor przebił zbiornik paliwa i utkwivszy w rurze wydechowej motoru, zaczopował ją na głucho. Niewiele myśląc, wdziałem skafander, zaopatrzyłem się w silną latarkę i narzędzia, po czym wyszedłem z kabiny na zewnątrz. Wydobywając meteor obcęgami, niechcący potraściłem latarkę, która odfrunęła na znaczną odległość i zaczęła samodzielnie szybować w przestworzach. Zatkąłem dziurę zbiornika i wróciłem do kabiny. Nie mogłem gonić latarki, ponieważ straciłem prawie cały zapas paliwa, tak że ledwo doleciałem do najbliższej planety. Procytii.

Procyti są istotami rozumnymi i bardzo do nas podobnymi; jedyna, nieistotna zresztą różnica leży w tym, że mają nogi tylko do kolan, poniżej znajdują się kółka, nie sztuczne, lecz stanowiące część ciała. Poruszają się nader szybko i wdzięcznie, niczym cyrkowcy na jednokołowych rowerach. Mają rozległą wiedzę, szczególnie zaś pasjonuje ich astronomia; badanie gwiazd jest tak rozpowszechnione, że każdy przechodzień, stary czy młody, nie rozłącza się z podręczną lunetą. Zegary słoneczne są w wyłącznym użyciu i publiczne wydobyte zegarka mechanicznego stanowi ciężką obrazę moralności. Mają też Procyti liczne urządzenia cywilizacyjne. Pamiętam, jak bawiąc u nich po raz pierwszy, brałem udział w bankiecie na cześć starego Maratiliteca, słynnego ich astronoma. W pewnym momencie zacząłem omawiać z nim jakąś kwestię astronomiczną. Profesor oponował mi, ton dyskusji stawał się z każdą chwilą ostrzejszy; starzec palił mnie wzrokiem i zdawało się, że lada chwila wybuchnie. Naraz zerwał się i w pośpiechu opuścił salę. Po pięciu minutach wrócił i zasiadł przy mnie łagodny, uśmiechnięty, spokojny jak dziecko. Zaciekawiony spytałem później, co spowodowało tak czarodziejską przemianę jego nastroju.

— Jak to — rzekł zagadnięty Procyta — nie wiesz? Profesor użył wyszalni.

— Cóż to jest?

— Nazwa tego urządzenia pochodzi od słowa „wyszaleć się”. Osobnik ogarnięty gniewem lub czujący do kogoś złość wchodzi do małej kabiny wyściełonej korkowymi materacami i daje swobodny upust swym uczuciom.

Kiedy teraz lądowałem na Procytii, jeszcze z powietrza ujrzałem ciągnące ulicami tłumy: powiewały lampionami i wydawały radosne okrzyki. Pozostawiwszy raketę pod opieką mechaników, udałem się do miasta. Jak się dowiedziałem, świętowano właśnie odkrycie nowej gwiazdy, która pojawiła się na niebie ubiegłej nocy. To dało mi nieco do myślenia, a kiedy po serdecznym powitaniu Maratilitec zaprosił mnie do swego potężnego refraktora, ledwo oko przyłożywszy do obiektywu pojąłem, iż rzekoma gwiazda jest po prostu moją latarką szybującą w przestrzeni. Zamiast powiedzieć to Procytom, nieco lekkomyślnie postanowiłem zabawić się w lepszego od nich astronoma i obliczywszy szybko w głowie, na jak długo wystarczy bateria latarki, oświadczyłem głośno zebranym, iż nowa gwiazda będzie świecić biało przez sześć godzin, potem żółknie, szczerwienieje, a w końcu zgaśnie całkowicie. Przepowiednia ta spotkała się z powszechnym niedowierzaniem, a Maratilitec z właściwą mu zapalczywością wykrzyknął, że jeśli się to stanie, gotów jest zjeść własną brodę.

Gwiazda zaczęła słabnąć w przewidzianym przeze mnie czasie, a gdy wieczorem zjawiłem się w obserwatorium, zastałem grupę stroskanych asystentów, którzy rzekli mi, że Maratilitec dotknięty głęboko w swej dumie zamknął się w gabinecie, by spełnić pochopnie dane przyrzeczenie. W trwodze, że może to zaszkodzić jego zdrowiu, usiłowałem porozumieć się z nim przez drzwi, ale daremnie. Przyłożywszy ucho do dziurki od klucza usłyszałem szmery, które potwierdzały słowa asystentów. W największym pomieszczeniu napisałem list

wyjaśniający wszystko, dałem go asystantom z prośbą, by go wręczyli profesorowi natychmiast po moim odlocie, i co sił udałem się na lotnisko. Musiałem tak postąpić, albowiem nie byłem pewny, czy profesor zdąży przed rozmową ze mną użyć wyszalni.

Opuściłem Procytę o pierwszej w nocy z takim pośpiechem, że całkiem zapomniałem o paliwie. Jakiś milion kilometrów za planetą zbiorniki opustoszały i zostałem rozbitkiem kosmicznym na statku błakającym się bezwładnie w próżni. Ledwo trzy dni dzieliły mnie od terminu spotkania z Tarantogą.

Coerulea doskonale była widoczna przez okno, jaśniejąc w odległości zaledwie trzystu milionów kilometrów, lecz mogłem tylko patrzeć na nią z bezsilną wściekłością. Oto jak nieraz drobne przyczyny rodzą wielkie skutki!

Po jakiejś godzinie zauważyłem rosnącą powoli planetę;

statek poddając się biernie jej przyciąganiu biegł coraz szybciej, na koniec gnać począł jak kamień. Zrobiłem dobrą minę do złej gry i zasiadłem przy sterach. Planeta była dość mała, pustynna, ale przytulna; zauważyłem oazy z wulkanicznym ogrzewaniem i bieżącą wodą. Wulkanów było sporo; wyrzucały wciąż ogień i słupy dymu. Manewrując sterami szybowałem już w atmosferze, starając się jak się tylko da zmniejszyć szybkość, ale to odwlekało jedynie chwilę upadku. Wtem, przelatując nad skupiskiem wulkanów, oświecony nową myślą, przez mgnienie rozważyłem ją, a potem powziąwszy straceńczą decyzję skierowałem dziób pocisku w dół i jak piorun runąłem prosto w ziejącą podę mną czeluść największego wulkanu. W ostatniej chwili, gdy jego rozżarzona gardziel już mnie połykała, zręcznym manewrem sterów odwróciłem raketę dziobem do góry i w takiej pozycji pogrążyłem się w huczącą lawą bezdeń.

Ryzykowałem wiele, ale innego wyjścia nie było. Liczyłem na to, że polechtany gwałtownym ciosem, jaki zada mu rakietą, wulkan zareaguje erupcją i — nie omyliłem się. Nastąpił grzmot, od którego ściany zatrzeszczały, i w wielomilowym słupie ognia, lawy, popiołu i dymu wyleciałem w niebo. Sterowałem tak, by wpaść na prosty kurs Coerulei, co udało mi się znakomicie.

Byłem na niej już po trzech dniach, ledwo w dwadzieścia minut po ustalonym terminie. Tarantogi jednak nie zastałem; odleciał zostawiając tylko list na poste restante.

Drogi Kolego! — pisał — okoliczności zmuszają mnie do natychmiastowego wyruszenia, dlatego proponuję, żebyśmy się spotkali już w głębi obszaru nie zbadanego; ponieważ tameczne gwiazdy nie mają nazw, podaję Wam orientacyjne dane: polecicie prosto, za słońcem błękitnym skróćcie w lewo, za następnym, pomarańczowym, w prawo; będą tam cztery planety, otóż na trzeciej, licząc od lewej ręki, spotkamy się. Czekam!

Oddany Wam

T a r a n t o g a

Nabrawszy paliwa wystartowałem o zmierzchu. Drogę przebyłem w ciągu tygodnia, a wniknąwszy w regiony nieznane, bez trudu odnalazłem właściwe gwiazdy i wiernie trzymając się wskazówek profesora, rankiem ósmego dnia ujrzałem umówioną planetę. Masywny ten glob pokrywało zielone, kosmate futro; były to olbrzymie dzungle tropikalne. Widok ów speszył mnie nieco, nie wiedziałem bowiem, jak zabrać się do odnalezienia Tarantogi, liczyłem jednak na jego pomysliwość — i nie przeliczyłem się. Pędząc prosto ku planecie, o jedenastej przed południem dostrzegłem na jej północnej półkuli jakieś niewyraźne zarysy, od których dech mi zaparło.

Mówię zawsze młodym, naiwnym astronautom: nie wiercie, kiedy ktoś wam powiada, że zbliżając się do planety odczytał jej nazwę; jest to tylko zwyczajny dowcip kosmiczny; tym razem jednak znalazłem się w kropce, albowiem na tle zielonych borów rysował się wyraźnie napis:

Nie mogłem czekać. Spotkanie na następnej planecie.

T a r a n t o g a

Litery były kilometrowej wielkości, inaczej bym ich naturalnie nie dostrzegł. Nie posiadając się ze zdumienia i ciekawości, jak też profesor wywiódł ten napis gigantyczny, obniżyłem lot. Ujrzałem wówczas, że linie liter przedstawiają szerokie ulice powalonego i zdruzgotanego boru, odcinające się wyraźnie od obszarów nietkniętych.

Nie rozwiązawszy zagadki, zgodnie ze wskazówką pomknąłem ku następnej planecie, zamieszkaney i cywilizowanej. O pierwszym zmierzchu siadłem na lotnisku. Próżno rozpytywałem się w porcie o Tarantogę; i tym razem zamiast niego oczekiwał mnie list.

Kochany Kolego — pisał — gorąco przepraszam za uczyniony zawód, ale w związku z niecierpiącą zwłoki sprawą rodzinną muszę niestety zaraz wracać do domu. Aby zmniejszyć Wasze rozczarowanie, zostawiam w biurze portu paczkę, którą zechciejcie odebrać; zawiera ona plon ostatnich mych badań. Intryguje Was pewno sposób, w jaki zostawiłem na poprzedniej planecie pisemną wiadomość; było to całkiem proste. Glob ten przeżywa epokę odpowiadającą okresowi węglowemu Ziemi i zamieszkują go olbrzymie jaszczury, między innymi straszliwe atlantozaurowie czterdziestometrowej długości. Wylądowawszy na planecie podkradłem się do wielkiego stada atlantozaurów i drażniłem je dopóty, dopóki nie rzuciły się na mnie. Począłem biec szybko przez las z takim wyrachowaniem, żeby szlak mej ucieczki tworzył zarys liter, a stado pędząc za mną waliło pokotem drzewa. W taki sposób powstała szeroka na osiemdziesiąt metrów ulica. Było to proste, powiadam, lecz nieco fatygujące, musiałem bowiem przebiec ponad 30 kilometrów i to dosyć szybko. Żałując serdecznie, że i tym razem nie poznamy się osobiście, ściskam Waszą dzielną dłoń i łączę wyrazy najwyższego uznania dla cnót Waszych i odwagi.

T a r a n t o g a

PS Gorąco radzę Wam pójść wieczorem do miasta na koncert — jest doskonały.

T.

Odebrałem w biurze przeznaczoną dla mnie paczkę, kazałem zawieźć ją do hotelu, a sam udałem się do miasta. Przedstawiało ono widok dość ciekawy. Planeta wiruje z taką szybkością, że pory doby zmieniają się co godzina. Wytwarza się przez to siła odśrodkowa, powodująca, że swobodnie zwisający pion nie jest prostopadły do gruntu, jak na Ziemi, lecz tworzy z nim kąt 45 stopni. Wszystkie domy, wieże, mury, wszelkie w ogóle budowle wznosi się tedy nachylone do powierzchni gruntu pod kątem 45 stopni, co stwarza widok dla ludzkiego oka raczej dziwny. Domy z jednej strony ulicy jak gdyby kładą się na wznak, a z drugiej, przeciwnie, nachylają się i zawisają nad nimi. Mieszkańcy planety, żeby się nie przewrócić, mają skutek przystosowania naturalnego jedną nogę krótszą, a za to drugą dłuższą; człowiek zaś, idąc, musi stale podkurczać jedną kończynę, co po pewnym czasie porządnie dolega i męczy. Szedłem więc tak powoli, że gdy dotarłem do budynku, w którym miał się odbyć koncert, właśnie zamykano drzwi sali. Pośpiesznie kupiłem bilet i wbiegłem do środka.

Ledwie usiadł, dyrygent zapukał pałeczką i wszyscy ucichli. Członkowie orkiestry jęli poruszać się żwawo, grając na nie znanych mi instrumentach, podobnych do trąb z dziurkowanymi lejkami, jak u polewaczki; dyrygent to wznosił z przejęciem przednie kończyny, to rozkładał je, jakby nakazując grać „piano”, lecz ogarniało mnie rosnące zdumienie, albowiem nie słyszałem najsłabszego dźwięku. Zerkając nieznacznie na boki widziałem ekstazę malującą się na twarzach sąsiadów; coraz bardziej zmieszany i zaniepokojony, próbowałem dyskretnie przetkać sobie uszy, lecz bez najmniejszego skutku. Wreszcie, sądząc, że stracił słuch, cichutko postukałem paznokciem o paznokieć, jednakowoż ten cichy odgłos dobiegł mnie wyraźnie. Tak tedy, nie wiedząc zgoła, co o tym wszystkim myśleć, zafrapowany powszechnymi oznakami zadowolenia estetycznego, dosiedziałem do końca utworu. Rozległa się burza oklasków; skłoniwszy się, dyrygent znów zastukał pałeczką i orkiestra przystąpiła do następnej części symfonii. Wokół wszyscy byli zachwyceni; słyszałem mnogie pociągnięcia nosami i brałem to za oznaki głębokiego

wzruszenia. Nastąpiło wreszcie burzliwe finale — mogłem o tym sądzić tylko po gwałtownych wybuchach dyrygenta i kroplistym pocie, jaki staczał się z czoł muzykantów. Znowu zagrzmiały oklaski. Sąsiad zwrócił się do mnie, wyrażając uznanie dla symfonii i jej wykonawców. Odpowiedziałem ni w pięć, ni w dziewięć i wymknąłem się zupełnie zdetonowany na ulicę.

Oddaliłem się już o kilkadziesiąt kroków od budynku, gdy wtem coś mnie tknęło, żeby spojrzeć na jego fasadę. Jak inne, była nachylona pod ostrym kątem do ulicy; na froncie widniał wielki napis Miejskie Olfaktorium, poniżej zaś rozlepione były afisze programowe, na których przeczytałem:

SYMFONIA PIŻMOWA ODONTRONA I Preludium Odoratum II Allegro Aromatoso III Andante Olens Dyryguje

przebywający na gościnnych występach słynny nosista HRANTR

Zakląłem gniewnie i obróciwszy się na pięcie pośpieszyłem do hotelu. Za to, że nie doznałem przeżycia estetycznego, nie winiłem Taran togi, albowiem nie mógł wiedzieć, że wciąż jeszcze doskwiera mi katar, jakiego nabawiłem się na Satellinie.

Aby wynagrodzić sobie rozczarowanie, zaraz po przybyciu do hotelu rozpakowałem paczkę. Zawierała dźwiękowy aparat kinematograficzny, szpulę filmu i list następującej treści:

Mój drogi Kolego! Zapewne przypomina Pan sobie naszą rozmowę telefoniczną, kiedy to Pan bawił na Malej, a ja na Wielkiej Niedźwiedzicy. Powiedziałem wtedy, że podejrzewam istnienie istot, które zdolne są żyć w wysokiej temperaturze na gorących, półpłynnych planetach, i że zamierzam podjąć w tym kierunku badania. Zechciał Pan wyrazić wątpliwość, czy się takie przedsięwzięcie uda. Otóż dowody ma Pan przed sobą. Wybrawszy ognistą planetę zbliżyłem się do niej w rakiecie na możliwie małą odległość, po czym na długim azbestowym sznurze opuściłem w dół ogniotrwały aparat filmowy i mikrofon; dokonałem w taki sposób wielu ciekawych zdjęć. Niewielką próbkę pozwałam sobie wiośnie załączyć do listu.

Oddany

T a r a n t o g a

Taka paliła mnie żądza poznania, że ledwo skończyłem czytać, założyłem do aparatu film, ściągnięte z łóżka prześcieradło zawiesiłem na drzwiach i zgasiwszy światło uruchomiłem projektor. Zrazu na zaimprovizowanym ekranie migotały tylko barwne plamy; dochodziły mnie ochryple dźwięki i trzeszczenie jakby pękających w piecu polan, potem obraz się wyostrzył.

Słońce zapadało za horyzont. Powierzchnia oceanu drżała; pomykały po niej drobne, sine płomyki. Ogniste chmury bladły i mrok zapadał coraz większy. Pojawiały się słabe, pierwsze gwiazdy. Młody Kralosz zmęczony całodziennymi zajęciami wy dostał się właśnie ze swego trzpieniu, by zażyć wieczornego spaceru. Nie śpieszył się nigdzie; poruszając miarowo skrzypionami, z rozkoszą wdychał świeże, wonne kłęby rozpalonego amoniaku. Ktoś zbliżał się do niego ledwo widoczny w rosnącej ciemności. Kralosz natężył smęch, lecz dopiero gdy tamten znalazł się tuż, młodzieniec rozpoznał swego przyjaciela.

— Jaki piękny wieczór, nieprawdaż? — rzekł Kralosz. Przyjaciel przestąpił z obojny na obojnie, wychylił się do połowy z ognia i rzekł:

— Istotnie ładny. Salmiak obrodził w tym roku nadzwyczajnie, wiesz?

— A tak, zbiory zapowiadają się doskonale.

Kralosz pokołysał się leniwie, odwrócił się na brzuch i wytrzeszczając wszystkie wzrocza, zapatrzył się w gwiazdy.

— Wiesz, mój drogi — rzekł po chwili — ilekroć patrzę w nocne niebo, jak teraz, nie mogę się oprzeć przekonaniu, że tam daleko, daleko są inne światy, podobne do naszego, tak samo zamieszkane przez istoty rozumne...

— Kto tu mówi o rozumie?! — rozległo się w pobliżu. Obaj młodzieńcy zwrócili się tyłem w tę stronę, aby rozpoznać przybysza. Zobaczyli sękatą, lecz krzepką jeszcze postać Flamenta. Sędziwy uczoney zbliżył się do nich majestatycznymi ruchami, a przyszłe potomstwo, podobne do kiści gron winnych, wzbierało już i wypuszczało pierwsze kielki na jego rozłożystych barkach.

— Mówiłem o rozumnych istotach zamieszkujących inne światy... — odrzekł Kralosz unosząc łusty w pełnym szacunku pozdrowieniu.

— Kralosz mówi o rozumnych istotach z innych światów?... — odrzekł uczoney. — Patrzcie go! Z innych światów!! Ach, ten Kralosz, ten Kralosz. Co też czynisz najlepszego, młodzieńcze? Puszczasz wodze fantazji? Owszem... pochwalam... można w tak piękny wieczór... Co prawda wyraźnie pochlodziło, nie zauważyliście?

— Nie — odparli równocześnie obaj młodzieńcy.

— Naturalnie, młody ogień, wiem. A jednak jest teraz ledwo osiemset sześćdziesiąt stopni; powinienem był wdziać narzutkę na podwójnej lawie. Trudno, starość. Więc powiadasz — podjął zwracając się tyłem do Kralosza — że na innych światach istnieją stworzenia rozumne? I jakież to istoty według ciebie?

— Dokładnie wiedzieć tego nie można — odrzekł nieśmiało młodzieniec. — Myślę, że są rozmaite. Podobno nie jest wykluczone, że na chłodniejszych planetach mogłyby z substancji zwanej białkiem powstać żywe organizmy.

— Od kogo to słyszałeś?! — zakrzyknął gniewnie Flament.

— Od Imploza. To ten młody student biochemii, który...

— Młody dureń, powiedz raczej! — palnął gniewnie Flament. — Życie z białka?! Żywe istoty z białka? Nie wstydzisz się wypowiadać takich andronów w obecności swego nauczyciela?! Oto są plody nieuctwa i arogancji, jakie szerzą się dzisiaj zastraszająco! Wiesz, co należałoby uczynić z tym twoim Implozem? Pokropić go wodą, ot co!

— Ależ, czcigodny Flamencie — odważył się odezwać przyjaciel Kralosza — dlaczego domagasz się aż takiej karni dla Imploza? Czy nie mógłbyś powiedzieć nam, jak mogą wyglądać istoty na innych planetach? Czy nie mogą one posiadać postawy pionowej i poruszać się na tak zwanych nogach?

— Kto ci to mówił? Kralosz milczał, przełknięty.

— Imploz... — wyszeptał jego przyjaciel.

— A dajcież mi już raz święty spokój z waszym Implozem i jego wymysłami! — wykrzyknął uczoney. — Nogi! Rzeczywiście! Jak gdybym jeszcze dwadzieścia pięć Płomieni temu nie udowodnił matematycznie, że istota dwunożna, ledwo byś ją postawił, natychmiast wywróciłaby się jak długa! Sporządziłem nawet odpowiedni model i wykres, ale cóż wy, leniuchy, możecie o tym wiedzieć? Jak wyglądają istoty rozumne z innych światów? Nie odpowiem wprost, sam się zastanów, naucz się myśleć. Najpierw muszą mieć organy do przyswajania amoniaku, nieprawdaż? Jaki narząd uczyni to lepiej od skrzypień? Czy nie muszą poruszać się w środowisku w miarę opornym, w miarę ciepłym, jak nasze? Muszą, co? A widzisz! Jakże czynić to inaczej niżeli obojniami? Podobnie będą się też kształtować narządy zmysłowe — wzroczą, łuspią i kutrwie. Nie tylko wszakże budową muszą być podobne do nas, pięciorników, ale i ogólnym trybem życia. Wiadomo przecież, że pięciornia jest podstawową komórką naszego życia rodzinnego — spróbuj w fantazji wymyślić coś innego, wyteżaj wyobraźnię, jak chcesz, a ręczę ci, że poniesiesz klęskę! Tak, bo żeby założyć rodzinę, żeby dać życie potomstwu, muszą połączyć się Dada, Gaga, Mama, Fafa i Haha. Na nic wspólne sympatie, na nic plany i marzenia, jeśli zbraknie przedstawiciela choć jednej z tych pięciu płci — sytuację taką, niestety, zdarzającą się czasem w życiu, nazywamy dramatem czwórni, czyli nieszczęśliwą miłością... Tak więc, jak widzisz, jeśli rozumować bez najmniejszych uprzedzeń, opierając się wyłącznie na faktach naukowych, jeśli użyć precyzyjnego narzędzia logiki, działając chłodno i obiektywnie, dochodzimy do nieodpartego

wniosku, że każda istota rozumna musi być podobna do pięciorniaka... Tak. No, mam nadzieję, że was przekonałem? Niedługo już włożę te karty zapisane do pustej baryłki po tlenie i rzucę ją w odmęt, za burzę, aby pomknęła w czarną dal, choć wcale nie liczę na to, że ją ktoś znajdzie. *Navigare necesse est*, ale widać ta podróż nadmierna wyczerpuje nawet moją odporność. Lecę i lecę od lat, a końca temu nie widać. Co gorsza, czas płacze się, przecina, wnikam w—jakieś rozgałęzienia i łachy pozakalendarzowe, ni to przyszłość, ni przeszłość, chociaż bywa, że zalatuje średniowieczem. Istnieje specjalna metoda ratowania umysłu w zbytnej samotności, wykoncypowana przez mego dziada Kosmę, polega na wymyślaniu sobie pewnej ilości towarzyszy, nawet obojga płci, a potem trzeba się już tego trzymać konsekwentnie. Używał jej też mój ojciec, choć dosyć bywa ryzykowna. W tej ciszy tutaj nazbyt się tacy towarzysze usamodzielniają, dochodzi do kłopotów i komplikacji, niektórzy nastawali na moje życie i musiałem walczyć, kajuta to istne pobojuwisko — przerwać stosowania metody nie mogłem, przez lojalność wobec dziada. Chwała Bogu, poległ i mam teraz chwilę wytchnienia. Wezmę się chyba, jak to już tyle razy planowałem, do spisania zwięzłej kroniki mojego rodu, aby tam, w minionych pokoleniach, odnaleźć siły, jak Anteusz. Założycielem głównej linii Tichych był Anonymus, otoczony tajemnicą najściślej związaną ze słynnym paradoksem Einsteina o bliźniakach. Jeden z nich leci w Kosmos, a drugi zostaje na Ziemi, za czym powracający okazuje się młodszy od pozostałego. Gdy podjęto pierwsze doświadczenie, aby rozstrzygnąć ów paradoks, jako ochotnicy zgłosili się dwaj młodzi ludzie, Kacper i Ezekiel. Wskutek zamieszania przy starcie wsadzono ich do rakiety obu. Eksperyment spalił więc na panewce, a co gorsza — rakieta wróciła po roku z jednym tylko z nich na pokładzie. Oświadczył, okryty żałobą, że brat wychylił się zbyt, gdy przelatowali nad Jowiszem. Nie dano wiary tym pełnym bólu słowom i pod wtór żaźartej nagonki prasowej oskarżono go o bratożerstwo. Za dowód rzeczowy służyła prokuraturze książka kucharska, znaleziona w rakiecie, z czerwono zakreślonym rozdziałem „O peklowaniu w próżni”. Znalazł się atoli człowiek szlachetny i zarazem rozumny, który był jego obrońcą. Doradził, by nie otwierał ust podczas procesu, bez względu na to, co się będzie działo. Jakoż mimo złej woli sąd nie mógł skazać mego protoplasty, bo w sentencji wyroku musi figurować imię i nazwisko oskarżonego. Rozmaicie powiadają stare kroniki — jedne, że już przedtem nazywał się Tichy, drugie, że był to przydomek, wywodzący się z zasady przyjętego milczenia, bo zachował incognito do śmierci. Właściwie powinien się być zwać Cichy, ale notariusz seplenił. Los tego mojego przodka nie był godzien zazdrości. Oszczercy i łgarze, których nigdy nie brak, twierdzili, że podczas przewodu sądowego oblizywał się, ilekroć wymieniano imię brata, przy czym w rzucaniu kalumnii wcale nie przeszkadzało im to, że nie wiadomo było, kto tu czym jest bratem. O dalszych losach tego praszczura nie wiem wiele. Miał osiemnaścioro dzieci i z niejednego pieca jadał chleb, przez pewien czas utrzymując się nawet jako domokrażca ze sprzedaży dzieciennych skafandrów. Na starość został dorabiaczem zakończeń do dzieł literackich. Zawód to mało znany, muszę więc wyjaśnić, że polegał na spełnianiu życzeń wyrażanych przez miłośników powieści i dramatu. Dorabiacz, przyjąwszy zamówienie, musi wczuć się w atmosferę, styl i ducha dzieła, któremu przydaje epilog, odmienny od autorskiego. W rodzinnych archiwach zachowało się nieco brulionów świadczących o tym, jak znaczne zdolności artystyczne miał pierwszy Tichy. Są tam wersje Otella, w których Des—demonia dusi Maura albo i takie, gdzie ona, on i Jago żyją razem, wzajem sobie radzi. Są warianty piekła dantejskiego, z poddawanymi specjalnym mękom osobami, które wymienił zleceniodawca, przy czym z rzadka finały tragiczne autorów przychodziło zastępować szczęśliwym zakończeniem, częściej bywało na odwrót. Bogaci smakosze zamawiali u mego przodka epilogi, w których nie dochodziło w ostatniej chwili do ocalenia cnoty, ale — przeciwnie — triumfowało zło. Owym zamożnym zleceniodawcom przyświecały na pewno niskie intencje, niemniej prapradziad mój, wykonując to, co u niego obstalowywano, stwarzał istne cacka arcyzmu, a zarazem, choć niejako nieumyślnie, zbliżał

się do prawdy życia bardziej niż autorzy dzieł. Musiał zresztą dbać o utrzymanie licznej rodziny, więc robił, co umiał, obrzydziwszy sobie żeglugę kosmiczną — łatwo to pojąć — na zawsze. Poczynając od niego, pojawiał się w rodzinie naszym na przestrzeni wieków typ człowieka utalentowanego, zamkniętego w sobie, o umyśle oryginalnym, nieraz nawet skłonny do dziwactw, uporczywego w ściganiu raz upatrzonych celów. W archiwum rodzinnym znajduję mnóstwo dokumentów potwierdzających te rysy charakterystyczne; zdaje się, że jedna z bocznych linii Tichych żyła w Austrii, a mówiąc ściślej, w niegdysiejszej monarchii austro-węgierskiej, bo wśród kart najstarszej kroniki znalazłem spłóviałą fotografię przystojnego młodzieńca w mundurze kirasjerskim, z monoklem i zakreconymi wąsikami, opatrzoną na odwrocie słowami „k.u.k. Cyberleutnant Adalbert Tichy”. O czynach owego cyberleutnanta nic mi nie wiadomo poza tym, że —jako prekursor mikrominiaturyzacji technicznej, w czasach, kiedy nikomu się nawet o niej nie śniło — wysunął projekt przesadzenia kirasjerów z koni na kucyki. Znacznie więcej pozostało materiałów dotyczących Estebana Franciszka Tichego, błyskotliwego myśliciela, który —nieszczęśliwy w życiu osobistym — pragnął zmienić klimat Ziemi przez posypywanie obszarów biegunowych sproszkowaną sadzą. Uczerniony śnieg miał się stopić, pochłaniając promienie słońca, oswobodzone zaś tym sposobem od lodów obszary Grenlandii i Antarktydy pragnął ten mój pradziad przekształcić w rodzaj Edenu dla ludzkości. Ponieważ nie znalazł zwolenników tego planu, jął na własną rękę gromadzić zapasy sadzy, co doprowadziło do niesnasek małżeńskich, zakończonych rozwodem. Druga jego żona, Eurydyka, była córką aptekarza, który za plecami zięcia wnosił z piwnic i sprzedawał sadzę, jako węgiel leczniczy (carbo ani—malis). Gdy aptekarza zdemaskowano, niczego nieświadomy Esteban Franciszek został także oskarżony o fałszowanie lekarstw i przyplacił to konfiskatą całego zapasu sadzy, zgromadzonego w podziemiach domostwa w ciągu wielu lat. Głęboko rozczarowany do ludzi, nieszczęśnik zmarł przedwcześnie. Jediną jego pociechą w ostatnich miesiącach życia było posypywanie ośnieżonego zimą ogródka sadzami i obserwacja postępów odwilży, jaką ten zabieg za sobą pociągał. Dziadek mój postawił w ogródku niewielki obelisk pamiątkowy z okolicznościowym napisem.

Dziad ów, Jeremiasz Tichy, jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli naszego rodu. Wychował się w domu starszego brata, Melchiora, słynącego z pobożności cybernetyka i wynalazcy. Poglądów niezbyt radykalnych, nie pragnął Melchior zautomatyzować całej służby bożej, a jedynie chciał przyjść z pomocą najszerzszym rzeszom kleru, skonstruował tedy kilka niezawodnych, szybko działających i prostych w obsłudze urządzeń, jak anatematorka, eks—komunikator oraz specjalny aparat do rzucania klątw z biegiem wstecznym (dla ich odwoływania). Prace jego nie znalazły, niestety, uznania tych, dla których działał, co więcej, osądzono je jako heretyckie; z właściwą sobie wielkodusznością udostępnił wówczas miejscowemu proboszczowi prototyp ekskomunikatora, umożliwiając tym eksperymentalne jego wypróbowanie na sobie samym. Niestety, nawet tego mu odmówiono. Zasmucony, rozczarowany, zrezygnował z dalszych prac w obranym kierunku i przerzucił się — tylko jako konstruktor — w sferę religii Wschodu. Do dziś znane są zelektryfikowane przezeń buddyjskie młynki modlitewne, zwłaszcza modele wysokoobrotowe, osiągające do 18 000 pacyrzy na minutę.

Jeremiasz, w przeciwieństwie do Melchiora, nie miał w sobie krzty ugodowości. Nie ukończywszy szkół, kontynuował studia w domu, zwłaszcza w piwnicy, która tak wielką rolę miała odegrać w jego życiu. Cechowała go niezwykła wprost konsekwencja. Mając dziewięć lat, postanowił stworzyć Ogólną Teorię Wszystkiego i nic go od tego nie powstrzymało. Znaczne trudności formułowania myśli, jakie odczuwał od lat najmłodszych, wzrosły po fatalnym wypadku ulicznym (walec drogowy spłaszczył mu głowę). Ale nawet kalectwo nie zniechęciło Jeremiasza do filozofii; postanowił zostać Demostenesem myśli, a może raczej jej Stephensonem, tak bowiem, jak wynalazca lokomotywy, który sam niezbyt szybko się

poruszał, a zapragnął zmusić parę do poruszania kół, on chciał przymusić elektryczność do poruszania idei. Myśl tę zniekształca się często, powiadając, jakoby głosił hasło bicia elektromózgów. Jego zawołaniem — w myśl takich potwarzy — miało być: „Eniaki za mordę!” Jest to niegodne wypaczenie jego myśli; miał po prostu nieszczęście pojawić się ze swymi koncepcjami przed czasem. Jeremiasz wiele się w życiu nacierpiał, wypisywano mu na domu obelgi, w rodzaju „żenowała” i „męczy mózga”, sąsiedzi składali nań donosy, że zakłóca nocną ciszę hałasami i wyzwiskami, dobiegającymi z piwnicy, śmieli nawet twierdzić, jakoby nastawał na życie ich dzieci, rozsypując zatrute cukierki. Otóż Jeremiasz istotnie nie lubił dzieci, podobnie jak Arystoteles, ale cukierki były przeznaczone dla plądrujących ogród kawek, o czym świadczyły umieszczone na nich napisy. Co do tak zwanych bluźnierstw, których uczyć miał swe aparaty, byty to jeno okrzyki zawodu, jakie wyrwały mu się podczas nużącej pracy laboratoryjnej, gdy jej rezultaty okazywały się nikłe. Zapewne, nie było z jego strony ostrożne posługiwanie się — w wydawanych własnym kosztem broszurach — terminami rubasznymi, gminnymi nawet, gdyż znachodzące się w kontekście rozważań o układach elektronowych wyrażenia takie, jak: „strzelić w lampę”, „przyflekować”, „wrzucić obcasa”, łatwo mogły zmylić czytelnika. Przez przekorę też, jestem tego pewien, opowiadał zmistyfikowaną historyjkę, jakoby nie brał się bez drąga do programowania. Odznaczał się ekscentrycznością, która nie ułatwiała mu współżycia z otoczeniem; nie każdy umiał się poznać na jego dowcipie (stąd np. sprawa mleczarza i obu listonoszy, którzy na pewno i tak zwariowali, wskutek obciążenia dziedzicznego, tym bardziej że szkielety były na kółkach, a jama mierzyła ledwie dwa i pół metra głębokości). Któż jednak ogarnąć może kręte ścieżki geniuszu? Powiadano, że stracił majątek, kupując mózgi elektryczne po to, aby rozwałać je na drobne kawałki, i całe stosy pogruhotanych piętrzyły się na podwórzu. Czyż jego winą było, że ówczesne elektromózgi nie mogły podolać stawianym zadaniom, jako zbyt ograniczone i nie dość wytrzymałe? Gdyby nie rozlatywały się tak łatwo, na pewno doprowadziłby je w końcu do stworzenia Ogólnej Teorii Wszystkiego. Porażka nie dyskredytuje bynajmniej jego naczelnej idei.

Co się tyczy komplikacji małżeńskich, kobieta, którą poślubił, była pod silnym wpływem wrogich mu sąsiadów, którzy skłonili ją do składania fałszywych zeznań, a zresztą wstrząsy elektryczne wyrabiają charakter. Jeremiasz czuł się osamotniony, wyśmiewany, także przez ciasnogłowych specjalistów, jak profesor Brumber, który nazwał go hyclem elektrycznym, bo Jeremiasz niewłaściwie użył raz dławika indukcyjnego. Brumber był złym, niewiele wartym człowiekiem, a jednak krótką chwilę sprawiedliwego gniewu przyplacił Jeremiasz czteroletnią przerwą w pracy naukowej. Wszystko dlatego, ponieważ sukces nie stał się jego udziałem. Któż interesowałby się wówczas defektami jego manier, obejścia czy stylu? Kto rozpusza plotki o prywatnym życiu Newtona czy Archimedesesa? Niestety, Jeremiasz był przedczesnym prekursorem i musiał za to zapłacić.

Pod koniec życia, a właściwie na jego schyłku, przeszedł Jeremiasz zdumiewającą metamorfozę, która całkowicie odmieniła jego los. Oto, zamknąwszy się na głucho w swej piwnicy, z której pousuwał wprzód wszystkie co do jednego szczątki aparatów, tak że pozostał w pustych murach, wobec zbitego z desek barłogu, zydlu i starej szyny żelaznej, już do śmierci nie opuścił owego azylu czy też dobrowolnego więzienia. Był to więzienie, a jego postępek — ucieczką przed światem tylko, zrezygnowanym odwrotem, rejteradą w los umartwiającego się pustelnika? Fakty przemawiają wyraźnie przeciw takiemu przypuszczeniu. Nie na cichych medytacjach pędził życie w nałożonym sobie zamknięciu. Przez małe okienko w drzwiach piwnicznych prócz odrobiny chleba i wody podawano mu przedmioty, jakich żądał, a żądał, przez owych lat szesnaście, zawsze takich samych: młotków rozmaitego ciężaru i formatu. A zużył ich łącznie 3219 sztuk, a gdy wielkie serce przestało bić, znaleziono w piwnicy rozwłózione po kątach setki i setki pordzewiałych, spłaszczonych w niezmiernym trudzie obuchów. Nadto dniem i nocą dobywał się z podziemi

dźwiękliwy odgłos kucia, ustający jedynie na krótko, gdy dobrowolny więzień posilał umęczone ciało lub, po krótkim śnie, wpisywał do dziennika notatki, które leżą teraz przede mną. Widać z nich, że jego duch nie odmienił się, przeciwnie, jeszcze bardziej niż kiedykolwiek zwarty, zogniskował się na nowym celu. „Już ja jej dam radę!” „Już ja ją doprowadzę do ostateczności!” „Jeszcze trochę, a wykończę ją!” — od takich, charakterystycznym, nieczytelnym pismem rzucanych uwag roją się te grube zeszyty, pokryte metalicznymi opiłkami. Komu chciał dać radę, kogo wykończyć? Tajemnica nie da się wyjaśnić, ponieważ ani razu nie pada imię tyleż zagadkowej, co potężnej snadź przeciwniczki. Wyobrażam sobie, że postanowił, w jednym z nagłych rozbłysków, które nie są rzadkimi gośćmi wielkich dusz — dokonać na najwyższym możliwym szczeblu tego, do czego uprzednio brał się dużo skromniej. Stawiał wtedy pewne urządzenia w sytuacjach przymusowych i karciał je, by dopiąć swego. Teraz dumny starzec własnowolnym zamknięciem odgrodził się od chóru poziomych krytykantów i przez drzwi piwnicy wszedł do historii, albowiem — to moja hipoteza — wziął się za bary z przeciwniczką najpotężniejszą z możliwych: w trudzie szesnastoletnim nie opuszczała go ani na chwilę świadomość, że szturmuje sedno egzystencji, że — jednym słowem — bez wahania, zwątpień, litości bez ustanku bije materię!!

W jakimże celu to czynił? O, nie było to wcale podobne do postępków owego monarchy starożytnego, który morze kazał wychlostać, bo pochłonęło jego statki. Przeczuję w owej działalności syzyfowej, realizowanej z takim bohaterstwem, myśl więcej niż frapującą. Przyszłe pokolenia pojmą, że Jeremiasz bił w imieniu ludzkości. Chciał on doprowadzić materię do kresu, zamęczyć ją, wytluc z niej ultymatywną istotę i tak zwyciężyć. Co miało nastąpić? Zupełna anarchia porażki, fizykalne bezprawie? Czy też powstanie nowych praw? Tego nie wiemy. Dowiedzą się kiedyś ci, co ruszą w ślady Jeremiasza.

Najchętniej na tym zamknąłbym jego historię, jak jednak nie dodać, że potwarcy i potem pletli duby niestworzone, jakoby ukrywał się w piwnicy przed żoną czy dłużnikami! Oto jak świat odplaca swoim niezwykłym za ich wielkość!

Następnym, o którym mówią raptularze, był Igor Sebastian Tichy, syn Jeremiasza, asceta i cybermystyk. Na nim kończy się ziemską gałąź naszego rodu, gdyż odtąd wszyscy potomkowie Anonymusa poszli w Galaktykę. Igor Sebastian był naturą kontemplacyjną i dlatego tylko, a nie wskutek niedorozwoju, o jaki był pomawiany, odezwał się po raz pierwszy w jedenastym roku życia. Jak każdy z wielkich myślicieli—reformatorów, którzy krytycznym okiem od nowa ogarniają człowieka, uczynił tak i doszedł do przeświadczenia, że źródłem zła są w nas pozostałości zwierzęce, zgubne dla jednostek i społeczeństw. W tym, że przeciwstawił mrok popędów jasności ducha nie było jeszcze nic nowego, lecz Igor Sebastian poszedł o krok dalej, niż ważyli się to uczynić jego poprzednicy. Człowiek — rzekł sobie — powinien wstąpić duchem tam, gdzie dotąd panowało tylko ciało! Będąc niezwykle utalentowanym sterochemikiem, po wielu latach poszukiwań stworzył w retorcie substancję, która obróciła marzenia w rzeczywistość. Mówię oczywiście o słynnym przy kranie, pentazolidynowej pochodnej dwuallyloortopentanoperhydrofenantrenu. Nieszkodliwy dla zdrowia przykran, zażyty w mikroskopijnej ilości, sprawia, iż akt prokreacji staje się, przeciwnie niż dotąd, nadzwyczaj niemiły. Dzięki szczypcie białego proszku człowiek zaczyna patrzeć na świat okiem nie zmaconym żądzami, dostrzega w nim właściwą hierarchię spraw, nie oślepiany co chwila zwierzęcym pociąganiem. Zyskuje mnóstwo czasu, a wyprowadzony z niewoli płci, stworzonej przez ewolucję, zrzuca kajdany seksualnej alienacji i staje się wreszcie wolny. Przedłużanie gatunku winno wszak być rezultatem świadomej decyzji, poczucia obowiązku wobec ludzkości, a nie mimowolnym, bo automatycznym wynikiem sycenia sprośnych apetytów. Zamierzał zrazu Igor Sebastian uczynić akt cielesnego złączenia neutralnym, uznał jednak, iż to nie wystarczy, zbyt wiele bowiem rzeczy człowiek robi nie dla przyjemności nawet, ale po prostu z nudy lub z przyzwyczajenia. Akt ów miał

odtąd stać się ofiarą złożoną na ołtarzu korzyści społecznej, cierpieniem dobrowolnie nałożonym, każdy płodzący, dzięki wykazanej odwadze, wchodził w poczet bohaterów jak wszyscy ci, co poświęcają się dla innych. Jako prawdziwy badacz, wypróbował Igor Sebastian działanie przykranu najpierw na samym sobie, a żeby udowodnić, że i po jego sporych dawkach można mieć progeniturę, nie ustając, z najwyższym samozaparciem spłodził trzynaścioro dzieci. Żona jego, powiadając, wielokrotnie uciekała z domu — kryje się w tym żdźbło prawdy, jednakże główną przyczyną małżeńskich niesnasek byli, jak za życia Jeremiasza, sąsiedzi, którzy buntowali nie dość rozgarniętą kobietę przeciwko mężowi, oskarżając Igora Sebastiana o maltretowanie żony, chociaż tłumaczył im wielokrotnie, że bynajmniej nie męczy jej, a jedynie wiadomy akt, będący teraz źródłem cierpienia, czyni dom jego siedliskiem hałasów i jęków. Cóż, kiedy ciasnogłowi powtarzali jak papugi swoje, że ojciec bił elek—tromózgi, a syn — żonę. Lecz był to tylko prolog tragedii, gdy bowiem, nie mogąc znaleźć zwolenników, zapalony ideą wiekuistego oczyszczenia człowieka z chuci zaprawił wszystkie studnie miasteczka przykranem, rozwścieczony tłum pobił go i pozbawił życia aktem haniebnego samosądu. Przeczucie niebezpieczeństw, na jakie się narażał, nie było Igorowi obce. Pojmował, że zwycięstwo ducha nad ciałem samo nie przyjdzie, o czym świadczą liczne ustępy jego dzieła wydane pośmiertnie na koszt własny rodziny. Pisał w nim, że każda wielka idea musi mieć za sobą siłę, jak o tym świadczą liczne przykłady z historii dowodzące, że lepiej od wszystkich argumentów i perswazji broni światopoglądu policja. Niestety, nie miał własnej i dlatego tak smutno skończył.

Znaleźli się, oczywiście, kalumniatorzy, którzy twierdzili, że ojciec był sadystą, a syn — masochistą. Nie ma w tym oszczerstwie słowa prawdy. Aczkolwiek wkraczam w sprawy drażliwe, muszę to uczynić, aby ocalić dobre imię naszej rodziny przed zniesławieniem. Igor nie był masochistą, mimo samozaparcia musiał się nieraz uciekać do fizycznej pomocy dwu oddanych kuzynów, którzy przytrzymywali go, zwłaszcza po większych dawkach przykranu, w łóżu małżeńskim, skąd, gdy rzecz się dokonała, uciekał jak oparzony.

Synowie Igora nie podjęli dzieła ojca. Starszy zajmował się jakiś czas syntezą ektoplazmy, substancji dobrze znanej spirytystom, którą wydzielają media w transie, ale nie udało mu się, ponieważ — jak twierdził — margaryna, stanowiąca surowiec wyjściowy, była nie dość oczyszczona. Młodszy był zakałą rodziny. Kupiono mu szyfkartę do gwiazdy Mira Coeti, która niedługo po jego przybyciu na miejsce zgasła. O losie córek nic mi nie wiadomo.

Jednym z pierwszych — po stu pięćdziesięcioletniej przerwie — kosmonautów albo, jak już mówiono wtedy, kosmonarzy, był prastryj Pafnucy. Ten właściciel promu gwiazdowego w jednej z mniejszych cieśnin galaktycznych przewiózł swym stateczkiem niezliczone rzesze podróżnych. Pędził życie wśród gwiazd cicho i spokojnie, w przeciwieństwie do brata swego, Euzebiusza, który został korsarzem, zresztą w stosunkowo późnym wieku. Z urodzenia dowcipniś, Euzebiusz, odznaczający się wspaniałym poczuciem humoru, zwany przez całą załogę „a practical joker”, zalepiał gwiazdy szewskim pakiem i rozrzucał po Drodze Mlecznej małe latarki, by mylić kapitanów, sprowadzane zaś z kursu rakiety napadał i łupił. Potem atoli oddawał wszystko ograbionym, nakazywał im lecieć dalej, doganiał swym czarnym raketowcem, abordażowa! i rabował od nowa, bywało, że sześć, a to i dziesięć razy pod rząd. Pasażerowie nie widzieli się spoza siniaków.

A jednak nie był Euzebiusz okrutnikiem. Po prostu, czatując latami wśród gwiazdnych rozdroży na ofiary, okropnie się nudził, więc gdy jakaś mu się wreszcie trafiła, nie był wprost w stanie rozstać się z nią natychmiast po dokonaniu grabieży. Jak wiadomo, korsarstwo międzyplanetarne jest pod względem finansowym nieopłacalne, o czym świadczy najlepiej to, że praktycznie nie istnieje. Euzebiusz Tichy nie działał z niskich pobudek materialnych, wręcz przeciwnie, ożywiało go duch starych ideałów, pragnął bowiem odnowić czcigodną ziemską tradycję morskiej piraterii, uważając to zadanie za swe posłannictwo. Pomawiano go o wiele ohydnych skłonności, znaleźli się i tacy, co zwali go tanatofilem, ponieważ statek jego

okrażały liczne szczątki kosmonarzy. Nic bardziej fałszywego od ohydnych tych potwarzy. W próżni nie można po prostu pochować zgasłego przedwcześnie i nie ma innego sposobu, jak tylko wypchnąć go przez klapę rakiety, to zaś, że jej nie opuszcza, lecz krąży wokół osieroconego statku, wynika z praw mechaniki newtonowskiej, a nie z czyichś przewrotnych upodobań. Z biegiem lat ilość ciał, okrążających statek tego mego krewnego, istotnie znacznie urosła; manewrując, poruszał się jakoby w aureoli śmierci, niemal z tańców Dürera rodem, ale, powtarzam, działa się to nie z jego, lecz z natury woli.

Siostrzan Euzebiusza, a mój kuzyn, Arystarch Feliks Tichy, zjednoczył w sobie najcenniejsze talenty, występujące dotąd oddzielnie w naszym rodzie. Doczekał też, jedyny, uznania i znacznego dobrobytu dzięki inżynierii gastronomicznej, zwanej też gastronautyką, którą wspaniale rozwinął. Pierwociny tej gałęzi technicznej sięgają jeszcze schyłku XX wieku, a znano ją wtedy pod surową, prymitywną postacią tak zwanej kanibalizacji rakiet. Aby zaoszczędzić materiału i miejsca, poczęto stosować do wyrobu okrętowych przepierzeń i grodzi prasowane koncentraty żywnościowe, a więc różne kasze, tapioki, strączkowe itp. Później rozszerzono zakres tej działalności konstruktorskiej, obejmując nią także meble raketowe. Kuzyn mój ocenił lapidarnie jakość ówczesnej produkcji, powiadając, iż na smacznym krześle się nie usiedzi, a wygodne przyprawia o niestrawność. Arystarch Feliks przystąpił do rzeczy w sposób całkiem nowy. Nic dziwnego, że pierwszą swoją trzystopniową raketę (Przystawki, Pieczyste, Legumina) nazwała Zjednoczona Stocznia Aldebarańska jego imieniem. Nikogo już nie dziwią dzisiaj tablice rozdzielcze na kruchych spodach (tzw. elektromazurki), kondensatory — przekładańce, makaronowa izolacja, piernikoidy, czyli cewki z migdałami na miodzie, przewodzącym dobrze

prąd, wreszcie okna z cukru pancernego, chociaż naturalnie nie każdy lubi garnitur z jajecznicy, bądź też poduszki z cwibaków i babek puchowych (a to dla okruszków w łóżku). Wszystko to jest dziełem mego kuzyna. To on wynalazł liny holownicze — kabanosówki, strudlowe prześcieradła, kołdry z suflerów, jak również napęd łazankowo — grysikowy i on pierwszy zastosował ementaler do chłodziń. Zastąpiwszy kwas azotowy chlebowym, uczynił paliwo (i to bezalkoholowe!) smacznym napojem orzeźwiającym. Niezawodne są też jego gaśnice z kisielkiem żurawinowym, które gaszą równie dobrze pożary, jak pragnienie. Znalazł też Arystarch naśladowców, lecz żaden z nich mu nie dorównał. Niejaki Globkins usiłował wprowadzić na rynek jako źródło oświetlenia — tort Sachera z knotem, zupełne fiasko, bo i światła dawał tort niewiele, i przesiąkał kopciem. Również jego wycieraczki do nóg z rizotta nie znalazły nabywców, podobnie jak i płyty izolacyjne z chałwy, przyskające przy pierwszym zderzeniu z meteorami. Raz jeszcze okazało się, że nie wystarczy ogólna idea, gdyż każde konkretne rozwiązanie, któremu ona patronuje, musi być twórcze — tak, jak genialna w swej prostocie myśl mego kuzyna, by wszystkie puste miejsca konstrukcji raketowej wypełniać zupą „nic”, przez co i próżnię się zyskuje, i najeść się można. Myślę, że ten z Tichych zasłużył w pełni na miano dobroczyńcy kosmonautyki. Jej prekursorzy zapewniali nas nie tak znów dawno temu, kiedyśmy patrzeć nie mogli na glonowe klopsiki i zupki z mchów czy porostów, że na takim właśnie wikcie ruszy ludzkość do gwiazd. Piękne dzięki! Dobrze się stało, że dożył lepszych czasów, bo ileż to za mej młodości załóg zginęło z głodu, dryfując wśród ciemnych prądów przestrzeni, do wyboru mając jedynie albo przejście na system losowania, albo też demokratycznych wyborów zwyczajną większością głosów.

Zgodzi się ze mną każdy, kto pamięta przygniatającą atmosferę zgromadzeń, na których dyskutowało się te przykre sprawy. Był nawet projekt Drapplussa, który narobił ongi sporo szumu, żeby po całym systemie słonecznym rozsiać równomiernie, z myślą o rozbitkach, kaszkę mannę lub grysik oraz kakao w proszku, ale się nie przyjął, raz, że wypadło to za drogo, a dwa, że spoza chmur kakao nie byłoby widać gwiazd nawigacyjnych. I dopiero kanibalizm raketowy uwolnił nas od tego dawniejszego.

Gdy tak — wzdłuż gałęzi genealogicznego drzewa — zbliżam się, wkraczając w czasy

nowożytnie, ku własnemu początkowi, zadanie moje, jako kronikarza rodu, staje się coraz trudniejsze. Nie tylko dlatego, że dawnych przodków, co prowadzili osiadły tryb życia, łatwiej jest portretować niż ich gwiazdnych następców, ale i dlatego, ponieważ w próżni manifestuje się niepojęty dotąd wpływ zjawisk fizycznych na życie rodzinne. Bezradny wobec dokumentów, których nie umiem należycie posegregować, rezygnując z wszelkiego porządkowania, przedstawię je po prostu w kolejności, w jakiej się zachowały. Oto osmalone chyżością karty dziennika podróży, który spisywał kapitan żeglugi gwiazdnej Wszechświt Tichy:

Zapis 116 303. Od iluż to już lat nie znamy ciężenia! Klepsydry nie działają, stanęły zegary wagowe, w nakręcanych odmawiają służby sprężyny. Jakiś czas zrywaliśmy kartki kalendarzy na chybił trafił, ale i to już jest przeszłością. Pozostały nam, jako ostatnie wytyczne, śniadania, obiady i kolacje, lecz pierwsza niestrawność może zmieść do reszty i tę rachubę czasu. Muszę przerwać pisanie, ktoś wszedł, albo bliźnięta, albo to interferencja świetlna.

Zapis 116304. Na bakburcie planeta, nie oznaczona na mapach. Nieco później, w czas podwieczorku, meteor, na szczęście mały, który przebił nam trzy komory — ciśnieniową, zatrzymań i wytrzeźwień. Kazałem cementować. Przy kolacji — brak kuzyna Patryce go. Rozmowa z dziadem Arabeuszem o relacji nieoznaczoności. Cóż wiemy właściwie w sposób pewny? Żeśmy wyruszyli jako młodzi ludzie z Ziemi, że statek nasz nazwaliśmy „Kosmocystą”, że dziadek i babka wzięli na pokład dwanaście innych par małżeńskich, które dzisiaj tworzą już jedną rodzinę, związaną węzłami powinowactwa krwi. Jestem niespokojny o Patrycego — także i kot gdzieś przepadł. Zauważyłem dodatni wpływ braku grawitacji na platformy.

Zapis 116 305. Pierworodny stryja Obrożego jest tak bystrooki i tak mały jeszcze, że gołym okiem dostrzega neutrony. Rezultat poszukiwań Patrycego negatywny. Zwiększamy szybkość. Podczas manewru przecięliśmy rufą izochronę. Po kolacji przyszedł do mnie teść Obrożego, Amfoteryk, i zdradził mi, że został własnym ojcem, bo jego czas zadzierzgnął się w kształt pętli. Prosił, żeby o tym nikomu nie mówić. Radziłem się kuzynów fizyków — są bezradni. Kto wie, co jeszcze przed nami!

Zapis 116 306. Zauważyłem, że podbródki i czoła niektórych starszych stryjostw oraz wujostw cofają się. Efekt recesji żyroskopowej, skrócenie Lorentza–Fitz–Geralda czy skutek wypadania zębów i częstego uderzania czołem o grodzie, gdy rozlega się dzwonek wzywający do stołu? Pędzimy wzdłuż sporej mgławicy; ciotka Barabella wywróżyła, domowym sposobem, dalszą naszą trajektorię z fusów kawowych. Sprawdzałem obliczenia elektrokalkulatorem — wynik wcale zbliżony!

Zapis 116 307. Krótki postój na planecie Wałęsów. Cztery osoby nie wróciły na pokład. Przy starcie zatkana lewa wyrzutnia. Kazałem przedmuchać. Biedny Patrycy! W rubryce „przyczyna zgonu” zapisałem: „roztargnienie” — bo cóż innego?

Zapis 116 308. Wujowi Tymoteuszowi śniło się, że napadły nas płądryki. Obeszło się na szczęście bez ofiar i strat. Na statku robi się ciasno. Dziś trzy porody i cztery przeprowadzki, skutek rozwodów. Dziecko Obrożych ma oczy jak gwiazdy. Dla poprawy metrażu poleciłem wszystkim ciotkom udać się do hibernacyjnych lodówek. Poskutkowało dopiero argument, że nie będą się w stanie odwracalnej śmierci starzeć. Jest teraz bardzo cicho i przyjemnie.

Zapis 116 309. Zbliżamy się do szybkości światła. Mrowie nieznanymi fenomenów. Pojawił się nowy typ cząstek elementarnych — skwarki. Niezbyt wielkie, trochę przypalone. Coś dziwnego dzieje się z moją głową. Pamiętam, że ojcu memu było Barnaba, ale miałem też innego, imieniem Balaton. Chyba że to jezioro na Węgrzech. Muszę sprawdzić w encyklopedii. Widzę, jak ciotki uginają się na kwantach, nie przestając mimo to robić na drutach. Na III pokładzie czuć. Dziecko Obrożych c h wcale nie raczkuje, tylko lata, posługując się na zmianę przednim i tylnym odrzutem. Jak cudowna jest biologiczna adaptacja

organizmu!

Zapis 116 310. Byłem w laboratorium kuzynostwa Jezajaszów. Nie ustaje tam praca. Kuzyn mówił, że wyższą fazą astronautyki będą meble nie tylko jadalne, lecz i żywe. Takie nie popsują się i nie trzeba będzie, do czasu, trzy mać ich w lodówkach. Tylko komu podniesie się ręka, żeby zarznąć żywe krzesło? Na razie jeszcze ich nie ma, ale Jezajasz twierdzi, że niedługo uczęstuje nas nóżkami w galarecie. Wróciwszy do sterowni, długo rozmyślałem, mając w uszach jego słowa. Mówił o żywych rakietach przyszłości. Czy można będzie mieć dziecko z taką rakieta? Co za myśli przychodzą mi do głowy!

Zapis 116 311. Dziadek Arabeusz skarżył mi się, że jego lewa noga sięga Gwiazdy Polarnej, a prawa — Krzyża Południa. Poza tym chyba coś knuje, bo wciąż chodzi na czworakach. Muszę go baczniej obserwować. Znikł Baltazar, brat Jezajasz. Czyżby dyspersja kwantowa? Szukając go, stwierdziłem, że komora atomowa pełna jest kurzu. Nie omiatana z rok! Zdjąłem ze stanowiska podkomorzego Bartłomieja i nazaczyłem jego szwagra, Tytusa. Wieczorem, w salonie, podczas występów ciotki Melanii, wybuchnął nagle dziad. Kazałem cementować. Był to Z mej strony czysty odruch. Nie odwołałem rozkazu, by nie podać w wątpliwość kapitańskiego autorytetu. Bardzo mi brakuje dziada. Co to było, gniew czy anihilacja? Zawsze był nerwowy. Zachciało mi się w czasie wachty czegoś mięsnego, zjadłem trochę mrożonej cielęciny z lodówki. Wczoraj okazało się, że zginęła kartka z zapisanym celem podróży, szkoda, bo lecimy już coś 36 rok. W cielęciny, dziwna rzecz, było pełno śrutu — od kiedy strzela się do cieląt z dubeltówki? Obok nas leci meteor, na którym ktoś siedzi. To Bartłomiej pierwszy go zauważył. Na razie udaję, że nie widzę.

Zapis 116 312. Kuzyn Bruno twierdzi, że to nie była lodówka, tylko hibernator, bo dla żartu przewiesił tabliczki i że to nie był śrut, tylko paciorki. Uniosłem się pod strop; w przestrzeni bezgrawitacyjnej żadne sceny nie są możliwe, nie da się ani zatupać, ani uderzyć pięścią w stół. Żałuję, że wziąłem się do gwiazd. Skierowałem Brunona do najgorszej roboty, na rufę, żeby rozplątywał włóczkę.

Zapis 116 313. Kosmos pochłania nas. Wczoraj porwało część rufy z toaletami. Był tam akurat wuj Paleksander. Bezsilny, patrzałem, jak roztopia się w mroku, a rozwijające się wstęgi papieru trzepotały żałośnie w próżni. Istna grupa Laookona wśród gwiazd. Co za nieszczęście! Ten na meteorze to nie żaden krewny; zupełnie obcy człowiek. Leci, siedząc okrakiem. Zastanawiające. Doszły mnie słuchy, jakoby sporo osób wysiadało ukradkiem. Rzeczywiście robi się jakoś puściej. Czyżby to była prawda?

Zapis 116 314. Kuzyn Roland, który prowadzi naszą rachunkowość, ma olbrzymie kłopoty. Wczoraj biedził się przy mnie, obliczając przewiezione już narzeczonoiony, z einsteinowską poprawką na utratę wianków. Pisząc, naraz podniósł głowę, popatrzył mi w oczy i powiedział: „Człowiek, jak to brzmi!” Ta myśl zaskoczyła mnie. Wuj Obroży skończył swą Teologię Robotów i teraz stwarza nowy system — będą tam specjalne posty, tak zwane glodziny (chodzi o czas). Dziad Arabeusz nie podoba mi się. Układa kalambury. „Kalambur — rzekł mi — to znaczy, że zanieczyszczam las, a dużo dzieci płci męskiej to synkopy”. Maty Pyzio, ten, co fruwa odrzutowo i mówi f zamiast p (flaneta zamiast planeta, ale za to — spodnie planelowe), wrzucił — teraz, się dopiero okazało — kota do zbiornika z sodą, która pochłania nam dwutlenek węgla. Biedne kocisko rozłożyło się na dwukocian sody.

Zapis 116 315. Pod drzwiami znalazłem dziś niemowlę pici męskiej z przypiętą do pieluch karteczką: „To twoje”. Nic nie wiem, czyżby zbieg okoliczności? Wymościlem mu szufladę starymi aktami.

Zapis 116 316. W Kosmosie ginie masa skarpetek i chustek do nosa, poza tym czas zupełnie się rozpada; zauważyłem przy śniadaniu, że oboje dziadkowie są dużo młodszy ode mnie. Były też wypadki stryjolizy. Kazałem zrobić kuzynowi bilans — otwarto hibernatory, odmrażam wszystkich. Dużo ciotek ma katar, chrypkę, sine nosy i spuchnięte, czerwone uszy; niektóre spazmowały. Byłem bezsilny. Co najdziwniejsze, wśród wskrzeszonych jest ciele.

Brakuje za to ciotki Matyldy — czyżby Bruno naprawdę nie żartował, a raczej — naprawdę żartował?

Zapis 116 317. Przed sienią komory atomowej jest komórka. Gdy siedziałem tam, przyszła mi zabawna myśl, że może w ogóle nie wystartowaliśmy i tkwimy na Ziemi! Ale nie — wszak nie ma ciężenia. Ta refleksja uspokaja. Jednakże sprawdziłem, co trzymam w ręku, to był młotek. Być może, nazywam się raczej Jeremiasz. Kułem jakąś sztabę i zrobiło mi się dziwno. Ale trzeba przywykać. Zasadę Pauliego, że poszczególną osobę może obsadzić tylko jedna osobowość naraz, pozostawiliśmy daleko za sobą. Choćby taka sztafeta rodzicielska, rzecz dla nas w Kosmosie zwykła, gdy kilka niewiast rodzi kolejno to samo dziecko — dotyczy to także ojców — wskutek olbrzymiej szybkości. Pyzio, tak niedawno malutki, gdy dzisiaj, sięgając jednocześnie w jadalni po marmoladę, zderzyliśmy się czołami, odrzucił mnie pod sam strop! Jakkolwiek splątany, pokrecony, a nawet zadzierzgnięty, jak jednak ten czas leci!

Zapis 116 318. Arabeusz mówił mi dziś, jak to zawsze żywił cichą nadzieję, że gwiazdy i rakiety mają jedną tylko stronę, tę zwróconą do nas, a z drugiej są tylko zakurzone stelaże i sznury. To dlatego poleciał do gwiazd! Wyznał mi też, że niektóre kobiety składają coś w bielizniarkach, według niego nie tylko bieliznę, ale i jaja. Świadczyć by to miało o gwałtownej regresji, w sensie ewolucyjnym. Musiało mu być niewygodnie, gdy tak zadzierał ku mnie głowę ze swoich czworaków. Niepokoi mnie jego młodszy brat. Ósmy rok stoi u mnie w przedpokoju, z wyciągniętymi przed siebie palcami wskazującymi. Czyżby początki katatonii! Najpierw machinalnie, a potem z nawyku zacząłem wieszać na nim palto i kapelusz. Może sobie przynajmniej powiedzieć, że i z niego jest jakiś pożytek.

Zapis 116 319. Coraz bardziej pusto. Dyfrakcja, sublimacja czy też po prostu wszyscy przechodzą, wskutek efektu Dopplera, do podczerwieni! Hukałem dziś po całym śródpokładziu i nikt się nie pokazał, oprócz ciotki Klotyldy, z drutami i nie dokończoną mitenką. Poszedłem do laboratorium — kuzynowie Mitro fan i Alaryk, by zbadać tory skwarków, topili słońcę i lali tłuszcz do wody. Alaryk powiedział mi, że w naszej sytuacji andrzejki są pewniejsze od komory Wilsona. Ale dlaczego po dokonaniu obliczeń wszystko zjadł? Nie rozumiem, a nie śmiałem go pytać. Zagał prawuj Emeryk.

Zapis 116 320. Prawuj Emeryk odnaleziony. Co dwie minuty wschodzi z regularnością, godną lepszej sprawy, na bakburcie, widać w górnym okienku, jak osiąga zenit, po czym zachodzi na sterburcie. Nic a nic się nie zmienił, nawet na orbicie ostatniego spoczynku! Ale kto i kiedy go wypychał? Okropna myśl.

Zapis 116 321. Wujek jest tak regularny, że według jego wschodów i zachodów można by stoper regulować. Co najdziwniejsze, zaczął wybijać godziny. Nie umiem tego pojąć.

Zapis 116 322. Po prostu zaczepia nogami o wierzch kadłuba w najniższym punkcie swojej orbity i końce zelówek albo obcasy skaczą mu po główkach nitów pancerza. Dziś po śniadaniu wybił trzynastą — przypadek czy wieszczy znak? Obcy na meteorze oddalił się nieco. Leci obok nas dalej. Usiadłem dziś do biurka, by pisać, a krzesło powiada do mnie: „Jaki ten świat dziwny!” Myślałem, że udało się wreszcie wujowi Jezajaszowi, ale to był tylko dziad Arabeusz. Powiedział mi, że jest inwariantem, czyli takim, któremu wszystko jedno, więc mogę nie wstawać. Hukałem dziś całą godzinę na pochylni i na górnym pokładzie. Ani żywego ducha. Trochę kłębków włóczki i drutów latało w powietrzu, i parę talii kart pasjansowych.

Zapis 116 323. Istnieje specjalna metoda, by ratować równowagę umysłu — wymyśla się różne fikcyjne osoby. Czyja aby tego od dawna już w sposób podświadomy nie robię? Ale od jak dawna? Siedzę na milczącym uparcie Arabeuszu, z kwilącym dzieckiem w szufladzie, które nazwałem Ijonem, i karmię je z, flaszki — trapiąc się, skąd ja mu wezmę teraz żonę; na razie niby jeszcze czas, ale w tych warunkach nic nie wiadomo. Siedzę taki lecę...

To ostatnie słowa mego ojca, zapisane w dzienniku — reszty kartek brak. Ja również

siedzę w rakiecie i czytam, jak ktoś inny, to znaczy on, siedział w rakiecie i leciał. A więc siedział i leciał, i ja też siedzę i lecę. Kto zatem właściwie siedzi i leci? Czyżby mnie wcale nie było? Ale dziennik okrętowy sam siebie czytać nie może. Więc jednak jestem, bo go czytam. A może to wszystko podsunięte? Zmyślane! Dziwne myśli... Powiedzmy, że on nie siedział i nie leciał, ale ja jednak nadal lecąc — siedzę, to jest siedząc — lecę. To całkiem pewne. Czyżby? Najpewniejsze jest, że czytam o tym, kto leci i siedzi. Natomiast co do mojego siedzenia i lotu, to skąd wziąć pewność? Pokoik jest wyporządkowany dość ubogo, to raczej komórka. Chyba na międzypokładziu, ale na strychu u nas była całkiem podobna. Wystarczy atoli wyjść za próg, żeby się przekonać, czy to nie złudzenie. Lecz gdyby to było złudzenie i gdybym zobaczył dalszy ciąg tego złudzenia? Nie ma niczego rozstrzygającego? To nie może być! Bo gdyby było tak, że ja nie lecę i nie siedzę, a tylko czytam o tym, że on leciał i siedział, przy czym naprawdę on też nie leciał, to by znaczyło, że ja, w moim złudzeniu, poznaję jego złudzenie, czyli mnie się zdaje, że jemu się zdaje. Albo może mnie się zdaje to, co się jemu wydaje? Złudzenie w złudzeniu? Powiedzmy, ale on pisał jeszcze o tym, który leci, siedząc okrakiem na meteorze. Z tym to już gorzej chyba. Mnie się zdaje, że jemu się zdawało to, co tamten robi okrakiem, a jeżeli tamtemu też się tylko wydawało, to już zupełnie nic nie wiadomo! Głowa mnie rozboleła i znów, jak wczoraj, jak przedwczoraj, muszę myśleć o biskupach i o nosach sinych, o oczach jak bławatki, o modrym Dunaju i filetovej cielęcynie. Dlaczego? I wiem, że kiedy o północy dodam przyspieszenia, będę myślał o jajecznicy, a właściwie o sadzonych jajach z dużymi żółtkami, o marchwi, miodzie i piętach cioci Maryni — tak samo, jak w środku każdej nocy... Ach! Rozumiem! To jest efekt przesunięcia myśli, raz w stronę ultrafioletu, a raz — poprzez żółć — w stronę podczerwieni, czyli psychiczny efekt Dopplera! Bardzo ważne! Bo to byłby dowód, że lecę! Dowód z ruchu, *demonstratio ex motu*, jak mówili scholastycy! Więc ja naprawdę lecę... Tak. Ale przecież każdemu mogą przyjść do głowy jaja, pięty i biskup. To nie jest ścisły dowód, to tylko przypuszczenie. A więc cóż zostaje? Solipsyzm? Tylko ja jeden istnieje, nie lecąc donikąd... Lecz to by znaczyło, że nie istniał Anonymus Tichy ani Jeremiasz, ni Igor, Esteban ani Wszechświt, że nie było Barnaby, Euzebiusza, „Kosmocysty”, że nigdy nie leżałem w szufladzie ojcowego biurka ani że on, dosiadłszy dziada Arabeusza, nie leciał — otóż to nie jest możliwe! Miałabym z niczego wysnuć taką ilość osób i dziejów rodzinnych? Przecież ex nihilo nihil fit! A zatem rodzina istniała, to ona pozwala mi wrócić do wiary w świat i w ten lot mój o końcu niezbadanym! Wszystko zostało uratowane dzięki wam, przodkowie moi! Niedługo włożę te zapisane karty do pustej baryłki po tlenie i rzuć je w odmetę za burzę, niech płyną w czarną dal, bo navigare necesse est, a ja lecę i lecę od lat...

styczeń 1966

TOM II. ZE WSPOMNIEŃ IJONA TICHEGO

I

Chcecie, żebym znów coś opowiedział? Tak. Widzę, że Tarantoga wziął już swój blok stenograficzny... profesorze, czekaj. Kiedy ja naprawdę nie mam nic do opowiedzenia. Co? Nie — nie żartuję. A zresztą — mogę w końcu, raz, mieć chętkę przemilczenia takiego wieczoru — w waszym gronie? Dlaczego? Ba, dlaczego! Moi drodzy — nie mówiłem o tym nigdy, ale Kosmos jest przede wszystkim zaludniony istotami takimi jak my. Nie tylko człekokształtnymi, ale podobnymi do nas jak dwie krople wody. Połowa zamieszkaných planet — to Ziemie, trochę większe, trochę mniejsze, o klimacie zimniejszym lub bardziej tropikalnym, ale cóż to za różnice? A ich mieszkańcy... Ludzie — bo to są w końcu ludzie — też tak przypominają nas, że różnice podkreślają tylko podobieństwa. Że nie opowiadałem o nich? Czy to dziwne? Pomyślcie. Patrzy się w gwiazdy. Przypominają się różne zdarzenia, różne obrazy stają przede mną, ale najchętniej wracam do niezwykłych. Może są i straszne albo niesamowite, albo makabryczne, nawet śmieszne, a przez to wszystko nieszkodliwe. Ale patrzeć w gwiazdy, moi drodzy, i wiedzieć, że te małe, błękitne iskielki to —kiedy postawić na nich nogę — państwa brzydoty, smutku, niewiadomości, wszelakiej ruiny — że tam, w granatowym niebie, też roi się od starych ruder, brudnych podwórzy, rynsztoków, śmietników, cmentarzy pozarastanych — czy opowieści kogoś, kto zwiedził Galaktykę, mają przywozić na myśl narzekania domokrażcy tłukącego się po prowincjonalnych miasteczkach? Kto by go chciał słuchać? I kto by mu uwierzył? Tego rodzaju myśli przychodzą, kiedy człowiek jest nieco przybity albo odczuwa niezdrowy pociąg do szczerých wynurzeń. Tak więc — aby nie zasmucać i nie upokarzać — dzisiaj nic o gwiazdach. Nie — nie będę milczał. Czuliabyscie się oszukani. Opowiem coś, zgoda, ale to nie będzie podróż. W końcu i na Ziemi przeżyłem niejedno. Profesorze, jeśli koniecznie chcesz, możesz zacząć notować.

— Jak wiecie — miewam gości, niekiedy bardzo dziwnych. Wybiore spośród nich pewną kategorię: zapoznanych wynalazców i uczonych. Nie wiem czemu, ale przyciągałem ich zawsze jak magnes. Tarantoga uśmiecha się, widzicie? Ale to nie o nim, on nie jest przecież wynalazcą zapoznanym. Dziś będę mówił o takich, którym się nie powiodło, albo raczej, którym powiodło się zbyt dobrze: osiągnęli cel i ujrzeli jego daremność. Oczywiście nie przyznali się do tego. Nieznani, osamotnieni, wytrwali w tym szaleństwie, które tylko rozgłos i sukces zamieniają niekiedy — nadzwyczaj rzadko — w dzieło postępu. Rozumie się, że ogromna większość tych, co przychodzili do mnie, była to szara brać opętania, ludzie uwięzieni w jednej idei, nie swojej nawet, przejętej od poprzednich pokoleń, jak wynalazcy perpetuum mobile, ubodzy w pomysły, trywialni w rozwiązaniach, w oczywisty sposób bzdurnych, a jednak nawet w nich tli się ów żar bezinteresowności, spalający życie, zmuszający do ponawiania wysiłków z góry daremnych. Żalosi są ci ułomni geniusze, tytani karzełkowatego ducha, okaleczeni w powiciu przez naturę, która, w jednym ze swych ponurych żartów, obdarzyła ich beztalencia twórczą zajadłością, godną jakiegoś Leonarda; ich udziałem jest w życiu obojętność lub drwina, a wszystko, co można dla nich uczynić — to być, przez godzinę czy dwie, cierpliwym słuchaczem i uczestnikiem ich monomanii.

W owym tłumie, który tylko własna głupota broni przed rozpaczą, pojawiali się z rzadka inni ludzie — nie chcę ich nazwać ani osądzać, uczynicie to sami. Pierwszą postacią, która staje mi przed oczami, kiedy to mówię, jest profesor Corcoran.

Poznałem go, będzie temu lat dziewięć, może dziesięć. Było to na jakiejś konferencji naukowej. Rozmawialiśmy ledwo kilka chwil, kiedy ni z tego, ni z owego (w najmniejszej mierze nie wiązało się to z tematem) spytał:

— Co pan sądzi o duchach?

W pierwszej chwili sądziłem, że to ekscentryczny żart, ale przypomniałem sobie, że doszły mnie słuchy o jego niezwykłości — nie pamiętałem tylko, w jakim to mówiono znaczeniu, dodatnim czy ujemnym. Dlatego na wszelki wypadek odparłem:

— W tym przedmiocie nie mam żadnego zdania. Bez słowa wrócił do poprzedniego tematu. Słysząc już było dzwonki obwieszczające początek dalszych obrad, kiedy pochylił się znieacka — był dużo wyższy ode mnie — i powiedział:

— Tichy, pan jest moim człowiekiem. Nie ma pan uprzedzeń. Być może zresztą, myślę się, ale gotów jestem zaryzykować. Niech pan przyjdzie do mnie — tu podał mi wizytówkę. — Pierwej proszę zatelefonować, bo na dzwonki nie odpowiadam i nikomu nie otwieram. Zresztą, jak pan chce...

Jeszcze tegoż wieczoru, będąc na kolacji z Savinellim, tym znanym jurystą, który specjalizował się w prawie kosmicznym, spytałem go, czy zna niejakiego profesora Corcorana.

— Corcoran! — wykrzyknął z właściwym sobie temperamentem, zaognionym drugą butelką sycylijskiego wina — ten postrzelony cybernetyk? Co się z nim dzieje? Nie słyszałem o nim od wieków!

Odparłem, że nie wiem o nim nic bliższego, tylko nazwisko to obilo mi się o uszy. Sądzę, że słowa te byłyby po myśli Corcorana. Savinelli naopowiadał mi przy winie trochę obiegowych plotek. Wynikało z nich, że Corcoran zapowiadał się świetnie jako młody naukowiec, choć już podówczas przejawiał zupełny brak szacunku dla starszych, przeradzając się nieraz w arogancję, a potem stał się weredykiem, z tych, którzy zdają się czerpać tyleż satysfakcji z mówienia ludziom, co o nich myślą, ile z faktu, że w taki sposób najbardziej szkodzą sobie. Kiedy poobrażał już śmiertelnie swoich profesorów, kolegów, i zamknęły się przed nim wszystkie drzwi, wzbogacony wielkim, nieoczekiwanym spadkiem, zakupił jakąś rudę za miastem i przebudował ją na laboratorium. Przebywał w nim wraz z robotami — tylko takich znosił wokół siebie asystentów i pomocników. Może i dokonał tam czegoś, ale szpalty pism naukowych były dlań niedostępne. Nie dbał o to wcale. Jeżeli nawiązywał w tym czasie jeszcze jakieś stosunki z ludźmi, to tylko po to, aby ich, po dojściu do niejakiej zażyłości, w niezwykle ordynarny sposób, bez jakiegokolwiek widomego powodu — odtrącić, zelżyć. Kiedy zestarzał się na dobre i ta wstrętne zabawa znudziła mu się — został samotnikiem. Spytałem Savinellego, czy wiadomo mu coś o tym, że Corcoran wierzy w duchy. Prawnik, pociągający właśnie wina, omal się nie zakrztusił ze śmiechu.

— On? W duchy?! — wykrzyknął. — Człowieku, ależ on nie wierzy nawet w ludzi!!!

Spytałem, jak to rozumie. Odparł, że całkiem dosłownie: Corcoran był, według niego, solipsystą — wierzył tylko we własne istnienie, wszystkich innych miał za fantomy, senne widziadła, i rzekomo dlatego tak sobie dawniej poczynał nawet z najbliższymi: skoro życie jest rodzajem snu, wszystko w nim wolno. Zauważyłem, że wobec tego może wierzyć i w duchy. Savinelli spytał, czy słyszałem już kiedyś o cybernetyku, który by w nie wierzył. Mówiliśmy potem o czymś innym — ale i tego, co usłyszałem, starczyło, aby mnie zaintrygować. Jestem człowiekiem szybkiej decyzji, więc zatelefonowałem już na drugi dzień. Telefon odebrał robot. Powiedziałem, kto i w jakiej sprawie. Corcoran zadzwonił do mnie dopiero nazajutrz, późnym wieczorem — miałem się właśnie udać na spoczynek. Powiedział, że mogę przyjść do niego choćby zaraz. Dochodziła jedenasta. Powiedziałem, że zaraz przyjdę, ubrałem się i pojechałem. Laboratorium było wielkim, ponurym budynkiem, położonym opodal szosy. Widywałem je nieraz. Myślałem, że to stara fabryka. Było pogrążone w ciemności. Najśłabszy blask nie rozwidniał żadnego z wpuszczonych głęboko w mur, kwadratowych okien. Także wielki plac między żelaznym ogrodzeniem a bramą był nie oświetlony. Kilka razy wpadałem na jakieś chrzęszczące rdzą blachy, szyny, tak że już trochę zły dotarłem do ledwo majaczących drzwi i zadzwoniłem w specjalny sposób, jak mi

przykazał Corcoran. Po dobrych pięciu minutach otworzył mi sam, w szarym spalonym kwasami płaszczu laboratoryjnym. Był przeraźliwie chudy, kościsty, nosił ogromne szkła i siwy wąs, z jednej strony krótszy, jakby nadgryziony.

— Pozwól pan ze mną — powiedział bez żadnych wstępów. Długim, ledwo oświetlonym korytarzem, w którym leżały jakieś maszyny, beczki, zakurzone białe worki cementu, zaprowadził mnie do wielkich stalowych drzwi. Płonęła nad nimi jaskrawa lampa. Wyjął z kieszeni chałata klucz, otworzył i wszedł pierwszy. Ja za nim. Po krętych żelaznych schodach dostaliśmy się na piętro. Otworzyła się wielka hala fabryczna z oszklonym stropem — kilka nie osłoniętych żarówek nie oświetlało jej, ukazywało tylko jej półmroczny ogrom. Była pusta, martwa, opuszczona, wysoko pod stropem hulały przeciągi, deszcz, który zaczął padać, kiedy zbliżałem się do siedziby Corcorana, zacinał w szyby, ciemne i brudne, tu i ówdzie woda ciekła przez otwory po wybitych szklach. Corcoran, jakby tego nie widząc, szedł przede mną dudniącą pod krokami blaszaną galerią; znowu stalowe, zamknięte drzwi — za nimi korytarz, nieład porzuconych, jakby w ucieczce, leżących pokotem pod ścianami narzędzi, okrytych grubą warstwą kurzu; korytarz skręcił, szliśmy w górę, w dół, mijaliśmy podobne do zaschłych gadów splątane pasy transmisyjne. Wędrownka, w której poznawałem rozległość budowli, trwała; raz czy dwa Corcoran, w miejscach zupełnie ciemnych, ostrzegł mnie, żebym uważał na stopień, żebym się schylił, u ostatnich z szeregu tych stalowych, zapewne przeciwpożarowych drzwi, grubo nabijanych nitami, zatrzymał się, otworzył je; zauważyłem, że — w przeciwieństwie do innych — nie zazgrzytały wcale, jakby ich zawiasy były świeżo naoliwione. Weszliśmy do wysokiej sali, prawie zupełnie pustej — Corcoran stanął na środku, tam gdzie beton podłogi był nieco jaśniejszy, jakby kiedyś stała w tym miejscu maszyna, po której zostały tylko wystające ułamki legarów. Ścianami biegły pionowe, grube pręty, wyglądało tu jak w klatce. Przypomniałem sobie to pytanie o duchy... Do prętów były uciepione półki, bardzo mocne, z podporami, stało na nich kilkanaście żeliwnych skrzyń; wiecie, jak wyglądają te kufry ze skarbami, które w podaniach zakopują korsarze? Takie właśnie były te skrzynie, o wypukłych pokrywach, na każdej wisiała, ujęta w celofan, biała kartka, podobna do tego dokumentu, jaki zazwyczaj zawieszają nad szpitalnym łóżkiem. Wysoko pod stropem paliła się zakurzona żarówka, ale było zbyt ciemno, żebym choć słowo mógł odczytać z tego, co było na owych kartkach napisane. Skrzynie stały dwoma rzędami nad sobą, a jedna znajdowała się wyżej, osobno — pamiętam, że policzyłem je, było ich bodaj dwanaście, może czternaście, nie wiem już dokładnie.

— Tichy — zwrócił się do mnie profesor, z rękami w kieszeniach płaszcza — niech się pan wsłucha na chwilę w to, co tu jest. Potem powiem panu — niechże pan słucha!

Była w nim niezwykła niecierpliwość — rzucała się w oczy. Od razu chciał, zaczynając mówić, wejść w sedno, mieć już wszystko za sobą, już skończyć. Jak gdyby każdą chwilę, spędzoną z kimś innym, uważał za zmarnowaną.

Przymknąłem oczy i raczej przez prostą grzeczność aniżeli ciekawość odgłosów, których, wchodząc, nie zauważyłem nawet, stałem chwilę nieruchomo. Nic właściwie nie usłyszałem. Jakieś słabiutkie brzęczenie prądu elektrycznego w uzwojeniach, coś w tym rodzaju, ale zapewniam was, to było tak nikłe, że głos konającej muchy byłoby tam doskonale słychnąć.

— No, co pan słyszy? — spytał.

— Prawie nic — wyznałem — pobrzęk jakiś... ale to może być tylko szum w uszach...

— Nie, to nie jest szum w uszach... Tichy, niech pan słucha uważnie, bo nie lubię się powtarzać, a mówię to, bo mnie pan nie zna. Nie jestem ordynusem ani chamem, za jakiego mnie mają, tylko denerwują mnie idioci, którym trzeba dziesięć razy powtarzać jedno i to samo. Mam nadzieję, że pan do nich nie należy.

— Zobaczmy — odparłem — niech pan mówi, profesorze...

Skinął głową i wskazując na rzędy tych żelaznych skrzyń powiedział:

— Czy zna się pan na mózgach elektrycznych?

— Tylko tyle, o ile to jest potrzebne w nawigacji — odparłem. — Z teorią raczej u mnie słabo.

— Tak sobie myślałem. To nie szkodzi. Tichy, słuchaj pan. W tych skrzyniach znajdują się najdoskonalsze mózgi elektronowe, jakie kiedykolwiek istniały. Wie pan, na czym polega ich doskonałość?

— Nie — odparłem zgodnie z prawdą.

— Na tym, że one niczemu nie służą, że są absolutnie do niczego nieprzydatne — nieużyteczne — że to są, słowem, wcielone przeze mnie w czyn, obleczone w materię — monady Leibniza...

Czekałem, a on mówił dalej, przy czym jego siwy wąs wyglądał, w panującym półmroku, jakby u warg trzepotała mu biaława ćma.

— Każda z tych skrzyń zawiera układ elektronowy, wytwarzający świadomość. Jak nasz mózg. Budulec jest inny, ale zasada taka sama. Na tym koniec podobieństwa. Bo nasze mózgi — uważaj pan! — podłączone są, że tak powiem, do świata zewnętrznego — za pośrednictwem zmysłowych odbiorników: oczu, uszu, nosa, skóry i tak dalej. Natomiast te, tutaj — wyciągniętym palcem wskazywał skrzynie — mają swój „świat zewnętrzny” tam, w środku...

— Jakże to możliwe? — spytałem. Coś zaczynało mi niejasno świtać; domysł ten nie był wyraźny, ale budził dreszcz.

— Bardzo prosto. Skąd wiemy o tym, że mamy ciało takie, a nie inne, taką właśnie twarz, że stoimy, że trzymamy w ręku książkę, że pachną kwiaty? Stąd, że pewne bodźce działają na nasze zmysły i nerwami płyną do mózgu podniety. Niech pan sobie wyobrazi, Tichy, że ja potrafię drażnić pański nerw węchowy w taki sam sposób, jak czyni to pachnący goździk — co będzie pan czuł?

— Zapach goździka, oczywiście — odparłem, a profesor, skinąwszy głową, jakby rad, że jestem dostatecznie pojętny, ciągnął:

— A jeżeli to samo zrobię ze wszystkimi pana nerwami, to będzie pan odczuwał nie świat zewnętrzny, ale to, co JA pańskimi nerwami telegrafuję do pana mózgu... jasne?

— Jasne.

— Teraz tak. Te skrzynie mają receptory—organy, działające analogicznie do naszego wzroku, węchu, słuchu, dotyku i tak dalej. A druty od tych receptorów —jak gdyby nerwy — zamiast do świata zewnętrznego, jak nasze, podłączone są do tego bębna, tam, w kącie. Nie zauważył go pan, co?

— Nie — powiedziałem. Rzeczywiście, bęben ów, średnicy może trzech metrów, stał w głębi, pionowo, niby ustawiony kamień młyński, i po dobrej chwili spostrzegłem, że obraca się nadzwyczaj powoli.

— To jest ich los — powiedział spokojnie profesor Corcoran. — Ich los, ich świat, ich byt — wszystko, czego mogą dostąpić i doznać. Znajdują się tam specjalne taśmy z zarejestrowanymi bodźcami elektrycznymi, takimi, które odpowiadają tym stu czy dwustu miliardom zjawisk, z jakimi człowiek może się spotkać w najbardziej bogatym we wrażenia życiu. Gdyby pan podniósł pokrywę bębna, zobaczyłby pan tylko błyszczące taśmy pokryte białymi zygzakami jak pleśń na celulooidzie, ale to są, Tichy, upalne noce południa i szmer fal, kształty ciał zwierzęcych i strzelaniny, pogrzeby i pijatyki, i smak jabłek i gruszek, zawieje śnieżne, wieczory, spędzane w otoczeniu rodziny u płonącego kominka, i wrzask na pokładach okrętu, który tonie, i konwulsje choroby, i szczyty górskie, i cmentarze, i halucynacje majaczących — Ijonie Tichy: tam jest cały świat!

Milczałem, a Corcoran, ująwszy mnie żelaznym chwytem za ramię, mówił:

— Te skrzynie, Tichy, są podłączone do sztucznego świata. Tej — wskazał na pierwszą z brzegu — wydaje się, że jest siedemnastoletnią dziewczyną, zielonooką, o rudych włosach, o ciele godnym Wenery. Jest ona córką męża stanu... kocha się w młodzieńcu, którego widuje

niemal co dzień przez okno... który będzie jej przekleństwem. Ta tu—'taj druga, to pewien uczony. Jest już bliski ogólnej teorii grawitacji, obowiązującej w jego świecie — w tym świecie, którego granicą są żelazne ściany bębna — i przygotowuje się do walki o swoją prawdę, w osamotnieniu powiększanym przez zagrażającą mu ślepotę, bo on oślepnie, Tichy... a tam, wyżej, jest członek kolegium kapłańskiego i przeżywa najcięższe dni swojego życia, bo stracił wiarę w istnienie swej duszy nieśmiertelnej; obok, za przegrodą, stoi... ale nie mogę opowiedzieć panu życia wszystkich istot, które stworzyłem...

— Czy mogę przerwać? — spytałem. — Chciałbym wiedzieć...

— Nie! Nie może pan! — ryknął Corcoran. — Nikt nie może! Teraz ja mówię, Tichy! Pan nic jeszcze nie rozumie. Myśli pan pewno, że tam, w tym bębnie, są utrwalone różne sygnały, jak na płycie gramofonowej, że wypadki ułożone są tak, jak melodia, ze wszystkimi tonami, i czekają tylko, jak muzyka na płycie, aby ożywiła je igła, że te skrzynie odtwarzają po kolei zespoły przeżyć, do końca już z góry ustalonych. Nieprawda! Nieprawda! — wołał przeraźliwie, aż dudniło echo blaszanego stropu. — Zawartość tego bębna jest dla nich tym, czym dla pana świat, w którym pan żyje! Panu nie przychodzi przecież do głowy, kiedy pan je, śpi, wstaje, podróżuje, odwiedza starych wariatów, że to wszystko jest płytą gramofonową, której dotyk nazywa pan terazniejszością!

— Ale... — odezwałem się.

— Milcz pan! — huknął. — Nie przeszkadzać! Ja mówię! Pomyślałem, że ci, którzy nazywają go chamem, mają sporo racji, ale musiałem uważać, bo to, co mówił, naprawdę było niesłychane. Krzyczał dalej:

— Los moich żelaznych skrzyń nie jest ustalony z góry do końca, gdyż wypadki znajdują się tam, w bębnie, na szeregach równoległych taśm, i tylko działający zgodnie z regułą ślepego przypadku selektor decyduje o tym, z której serii taśm będzie zbierak zmysłowych wrażeń danej skrzyni czerpał w następnej chwili treści. Naturalnie tak proste, jak powiedziałem, to nie jest, ponieważ skrzynie same mogą wpływać do pewnego stopnia na ruchy czerpaka, a selekcja przypadkowa zachodzi w pełni wtedy tylko, kiedy ci stworzeni przeze mnie zachowują się biernie... wszelako mają wolną wolę, a ograniczają to samo tylko, co nas. Posiadana struktura osobowości, pasje, przyrodzone kalectwa, warunki zewnętrzne, stopień inteligencji — nie mogę wchodzić we wszystkie szczegóły...

— Jeśli tak jest nawet — wtrąciłem szybko — to jakże oni nie wiedzą, że są żelaznymi skrzyniami, a nie rudą dziewczyną czy kapłą...

Tyle zdołałem wyrzucić, nim przerwał mi:

— Niech pan nie udaje osła, Tichy. Pan składa się z atomów, co? Czuje pan te swoje atomy?

— Nie.

— Atomy te tworzą cząsteczki białka. Czuje pan swoje białka?

— Nie.

— W każdej sekundzie nocy i dnia przeszywają pana promienie kosmiczne. Czuje pan to?

— Nie.

— Więc jak moje skrzynie mogą się dowiedzieć, że są skrzyniami, osle?! Tak samo, jak dla pana ten świat jest autentyczny i jedyny, tak samo dla nich autentyczne i jedynie realne są treści, które płyną do ich elektrycznych mózgów z mojego bębna... W tym bębnie jest ich świat, Tichy, a ich ciała — nie istniejące w naszej rzeczywistości inaczej aniżeli jako pewne względnie stałe ugrupowania otworków w perforowanych wstęgach — znajdują się wewnątrz samych skrzyń, upakowane w środku... Ta skrajna, z tamtej strony, ma się za kobietę niezwyklej piękności. Mogę panu dokładnie powiedzieć, co ona widzi, kiedy naga, przegląda się w lustrze. W jakich kocha się drogich kamieniach. Jakich sztuczek używa, aby zdobywać mężczyzn. Wiem to wszystko, bo to ja, za pomocą mego LOSORYSU, stworzyłem ją, jej — dla nas wyimaginowany, ale dla niej realny — kształt, tak realny, z twarzą, zębami, zapachem

potu, z blizną od sztyletu na łopatce, z włosami i orchideami, które w nie wpina, jak dla pana realne są pańskie ręce, nogi, brzuch, szyja i głowa! Mam nadzieję, że pan nie wątpi w swoje istnienie... ?

— Nie — odparłem spokojnie. Nikt nigdy nie krzychał tak na mnie i może by mnie to nawet bawiło, ale byłem już zbyt wstrząśnięty słowami profesora, któremu uwierzyłem, bo nie widziałem powodów do nieufności — aby zwracać w tej chwili uwagę na jego maniery.

— Tichy — ciągnął nieco ciszej profesor — powiedziałem, że, między innymi, mam tu uczonego, to jest ta skrzynia na wprost pana. On bada swój świat, jednakże nigdy — rozumie pan, nigdy nie domyśli się nawet, że jego świat nie jest realny, że traci czas i siły na zgłębianie tego, co jest serią bębnow z nawiniętą taśmą filmową, a jego ręce, nogi, oczy, jego własne, ślepnące oczy są tylko złudzeniem, wywołanym w jego elektrycznym mózgu wyładowaniami odpowiednio dobranych impulsów. Żeby tego dojść, musiałby wyjść na zewnątrz swojej żelaznej skrzyni, to jest samego siebie, i przestać myśleć swoim mózgiem, co jest tak samo niemożliwe, jak niemożliwe jest, żebyś pan mógł doświadczyć istnienia tej zimnej, ciężkiej skrzyni inaczej aniżeli dotykiem i wzrokiem.

— Ale ja wiem dzięki fizyce, że jestem zbudowany z atomów — rzuciłem. Corcoran podniósł kategorycznym ruchem dłoń.

— On też o tym wie, Tichy. On ma swoje laboratorium, a w nim wszelkie aparaty, jakich dostarczyć może jego świat... widzi przez lunetę gwiazdy, bada ich ruchy, a jednocześnie czuje chłodny ucisk okularu na twarzy — nie, nie teraz. Teraz, zgodnie ze swym obyczajem, znajduje się w pustym ogrodzie, który otacza jego pracownię i przechadza się w blasku słońca — bo w jego świecie jest właśnie wschód...

— A gdzie są inni ludzie — ci inni, pośród których on żyje — spytałem.

— Inni ludzie? Oczywiście, że każda z tych skrzyń, z tych istot, obraca się pośród ludzi... oni znajdują się — wszyscy — w bębnie... Widzę, że pan wciąż nie może jeszcze pojąć! Więc może uzmysłowi to panu przykład, chociażby odległy. Spotyka pan rozmaitych ludzi w swoich snach — nieraz takich, których nigdy pan nie widział ani nie znał — i prowadzi z nimi we śnie rozmowy — czy tak?

— Tak...

— Tych ludzi stwarza pański mózg. Ale śniąc, nie wie pan o tym. Proszę zważyć — to był tylko przykład. Z nimi — wyciągnął rękę — jest inaczej, to nie oni sami stwarzają swoich bliskich i obcych — tamci są w bębnie, całe tłumy, i kiedy, powiedzmy, mój uczonego miałby nagle chętkę wyjść ze swego ogrodu i odezwać się do pierwszego lepszego przechodnia, to, uniósłszy pokrywę bębna, zobaczyłby pan, jak to się dzieje: jego zmysłowy czerpak pod wpływem impulsu nieznacznie zboczy ze swej dotychczasowej drogi, zejdzie na inną taśmę i pocznie odbierać to, co się na niej znajduje; mówię „czerpak”, ale to są w istocie setki mikroskopijnych zbieraków prądowych, ponieważ tak samo jak pan odbiera świat wzrokiem, węchem, dotykiem, narządem równowagi — tak samo on poznaje swój „świat” za pośrednictwem oddzielnych wejść zmysłowych, oddzielnych kanałów, i dopiero jego elektryczny mózg zespala wszystkie te wrażenia w jedność. Ale to są szczegóły techniczne, Tichy, mało istotne. Z chwilą kiedy mechanizm został raz uruchomiony, mogę pana zapewnić, że była to tylko kwestia cierpliwości, nic więcej. Niech pan czyta filozofów, Tichy, a przekona się pan, co mówią, jak mało można polegać na naszych wrażeniach zmysłowych, jak są niepewne, zwodnicze, omylne, ale nie mamy przecież niczego oprócz nich; tak samo — mówił z uniesioną ręką — oni. Ale tak, jak nam, tak im też nie przeszkadza to kochać, pożądać, nienawidzić, mogą dotykać innych ludzi, żeby ich całować lub zabić... i tak te moje twory w swej wiekuiestej żelaznej nieruchomości oddają się namiętnościom i pasjom, zdradzają się, tęsknią, marzą...

— Pan sądzi, że to jest jałowe? — spytałem nieoczekiwanie, a Corcoran zmierzył mnie swymi przeszywającymi oczami. Długą chwilę nie odpowiadał.

— Tak — powiedział wreszcie — dobrze, zem pana tu wprowadził, Tichy... każdy z idiotów, którym to pokazałem, zaczynał od ciskania gromów na moje okrucieństwo... Jak pan rozumie swoje słowa?

— Pan dostarcza im tylko surowca — powiedziałem — pod postacią tych impulsów. To tak, jak nam dostarcza ich świat. Kiedy stoję i patrzę w gwiazdy — to, co odczuwam przy tym, co myślę, jest już tylko moją własnością, nie świata. Oni — wskazałem szeregi skrzyń — tak samo.

— To prawda — rzekł sucho profesor. Zgarbił się i stał się przez to jakby mniejszy. — Ale skoro pan to powiedział, oszczędził mi pan długich wywodów, bo pan rozumie już chyba, po co ja je stworzyłem?

— Domyślam się. Ale chciałbym, żeby pan mi to sam powiedział.

— Dobrze. Kiedyś — bardzo dawno temu — zwątpiłem w realność świata. Byłem wtedy jeszcze dzieckiem. Tak zwana złośliwość rzeczy martwych, Tichy — kto jej nie doświadczył? Nie możemy znaleźć jakiegoś drobiazgu, choć pamiętamy, gdzieśmy go widzieli po raz ostatni, nareszcie odnajdujemy go gdzie indziej, z uczuciem, że przyłapaliśmy świat na gorącym uczynku jakiejś niedokładności, bylejakości... dorośli mówią, oczywista, że to pomyłka — i naturalna nieufność dziecka zostaje w ten sposób stłumiona... Albo to, co nazywają *le sentiment du deja vu* — wrażenie, że w sytuacji, niewątpliwie nowej, przeżywanej po raz pierwszy, już się kiedyś było... Całe systemy metafizyczne, jak wiara w wędrówkę dusz, w reinkarnację, powstały w oparciu o te zjawiska. A dalej: prawo serii, powtarzanie się zjawisk szczególnie rzadkich, które tak chodzą parami, że lekarze nazwali nawet to w swoim języku: *duplicitas casuum*. A wreszcie... duchy, o które pana pytałem. Czytanie myśli, lewitacje i — ze wszystkich najbardziej sprzeczne z podstawami całej naszej wiedzy, najbardziej niewytłumaczalne — przypadki, prawda, że rzadkie — przepowiadania przyszłości... fenomen opisywany od najdawniejszych czasów, wbrew wszelkiej możliwości, gdyż każdy naukowy pogląd na świat go wyklucza. I co to jest — wszystko? Co to znaczy? Powie pan czy nie...? Brak panu jednak odwagi, Tichy... Dobrze. Niech pan spojrzy...

Podchodząc do półek wskazał na najwyższej osobno stojącą skrzynię.

— To jest wariat mojego świata — powiedział i jego twarz odmieniła się w uśmiechu. — Czy pan wie, do czego doszedł w swym szaleństwie, które odosobniło go od innych? Poświęcił się szukaniu zawodności swego świata. Bo ja nie twierdziłem, Tichy, że ten jego świat jest niezawodny. Doskonały. Najsprawniejszy mechanizm może się czasem zaciąć, to jakiś przeciąg rozkołysze kable i zetkną się na mgnienie, to znowu mrówka dostanie się do wnętrza bębna... i wie pan, co on wtedy myśli, ten szaleniec? Że telepatię wywołuje lokalne krótkie spięcie drutów należących do dwu różnych skrzyń... że ujrzenie przyszłości zdarza się, kiedy czerpak, rozchwiany, przeskoczy nagle z właściwej taśmy na tę, która ma się dopiero rozwinąć za wiele lat. Że uczucie, jakoby przeżył już to, co zdarza mu się naprawdę po raz pierwszy, spowodowane jest zacięciem selektora, a kiedy on nie tylko zadrży w swoim miedzianym łożysku, ale zakołysze się jak wahadło, tracony, bo ja wiem, przez... mrówkę — to jego świat doznaje zdumiewających i niewytłumaczalnych wydarzeń; w kimś zapala się nagle i bezrozumne uczucie, ktoś zaczyna wieszczyć, przedmioty poruszają się same albo zamieniają miejscami... a przede wszystkim na skutek tych ruchów rytmicznych występuje... prawo serii! Grupowania się rzadkich i dziwnych zjawisk w ciągi... i jego obłęd, sycąc się takimi, przez ogół lekceważonymi fenomenami, kulminuje w twierdzeniu, za które osadzą go niebawem w domu obłąkanych... że on sam jest żelazną skrzynią, tak jak wszyscy, co go otaczają, że ludzie są tylko urządzeniami w kącie starego, zakurzonego laboratorium, a świat, jego uroki i zgrozy to tylko złudzenia — i odważył się pomyśleć nawet o swoim Bogu, Tichy, Bogu, który dawniej, kiedy był jeszcze naiwny, robił cuda, ale potem jego świat wychował go sobie, tego stwórcę, nauczył go, że jedyna rzecz, jaką wolno mu robić, to — nie wtrącać się, nie istnieć, nie odmieniać niczego w swoim dziele, albowiem tylko w nie wzywanej boskości

można pokładać ufność... Wezwana, okazuje się ułomną — i bezsilną... A wie pan, co myśli ten jego Bóg, Tichy?

— Tak — odparłem. — Że jest taki sam jak on. Ale wówczas możliwe jest i to, że właściciel zakurzonego laboratorium, w którym MY stoimy na półkach, sam też jest skrzynią, którą zbudował inny, wyższego jeszcze rzędu uczony, posiadacz oryginalnych i fantastycznych koncepcji. .. i tak w nieskończoność. Każdy z tych eksperymentatorów jest Bogiem — jest stwórcą swojego świata, tych skrzyń i ich losu, i ma pod sobą swoich Adamów i swoje Ewy, a nad sobą — swojego, następnego, w hierarchii wyższego Boga. I po to pan to zrobił, profesorze...

— Tak — odparł. — A skoro to powiedziałem, wie pan właściwie tyle, co ja, i dalsza rozmowa nie miałaby celu. Dziękuję, że zechciał pan przyjść, i żegnam.

Tak, przyjaciele, zakończyła się ta niezwykła znajomość. Nie wiem, czy skrzynie Corcorana jeszcze działają. Być może — tak, i sniła swoje życie z jego blaskami i przerażeniami, które są tylko zastygłym w filmowych taśmach rojowiskiem impulsów, a Corcoran, zakończywszy prace dnia, udaje się po żelaznych schodach co wieczór na górę, otwierając kolejne stalowe drzwi tym wielkim kluczem, który nosi w kieszeni spalonego kwasami chałata... i staje tam, w zakurzonej ciemności, aby wsłuchiwać się w słaby szum prądów i ledwie pochwytny odgłos, z jakim obraca się leniwie bęben... z jakim posuwa się taśma ... i staje się los. I myślę, że odczuwa wówczas, wbrew swoim słowom, chęć ingerencji, wejścia, olśniewającego wszechmocą, w głąb świata, który stworzył, aby uratować w nim kogoś kto głosi Odkupienie, że waha się, sam, w brudnym świetle nagiej żarówki, czy ocalić jakieś życie, jakąś miłość, i jestem pewny, że nigdy tego nie robi. Oprze się pokusom, bo chce być Bogiem, a jedyna boskość, jaką znamy, jest milczącą zgodą na każdy ludzki czyn, na każdą zbrodnię, i nie ma dla niej wyższej odpłaty nad ponawiający się pokoleniami bunt żelaznych skrzyń, kiedy utwierdzają się, pełne rozsądku, w myślach, że On nie istnieje. Wtedy uśmiecha się w milczeniu i wychodzi, zamykając za sobą szeregi drzwi, a w pustce unosi się tylko słaby, jak głos konającej muchy, brzęk prądów.

II

Jakieś sześć lat temu, po powrocie z podróży, kiedy wypoczynek i rozkoszowanie się naiwnym łaodem domowego życia już mi się przejadły, nie na tyle jednak, abym zamyślał nową wyprawę, późnym wieczorem, kiedy nikogo się nie spodziewałem, przyszedł do mnie jakiś człowiek i przerwał mi pisanie pamiętników.

Był to rudzielec w sile wieku, z okropnym zezem, takim, że trudno było patrzeć w twarz, na domiar wszystkiego miał bowiem jedno oko zielone, drugie piwne. Podkreślało to jeszcze szczególnie wyraz — jak gdyby w jego twarzy mieściło się dwu ludzi, jeden lękliwy i nerwowy, drugi — dominujący — arogant i bystry cynik; powstawało z tego zadziwiające pomieszanie, bo patrzył na mnie raz piwnym okiem, nieruchomym, niby zdziwionym, a raz zielonym, przymrużonym i przez to kpiącym.

— Panie Tichy — powiedział, załedwie wszedł do mego gabinetu — zapewne nachodzą pana rozmaici wydrwigrosze, oszuści, wariaci i usiłują naciągnąć pana albo wmówić panu swoje bajędy, prawda?

— Istotnie — odparłem to się zdarza... czego pan sobie życzy?

— W mrowiu takich osobników — ciągnął przybysz, nie wymieniając ani swego nazwiska, ani przyczyny, która spowodowała jego wizytę — od czasu do czasu musi się znaleźć, choćby jeden na tysiąc, jakiś prawdziwie zapoznany genialny umysł. Tego wymagają niezłomne prawa statystyki. Tym człowiekiem, panie Tichy, jestem właśnie ja. Nazywam się Decantor. Jestem profesorem ontogenetyki porównawczej, profesorem zwyczajnym. Katedry chwilowo nie obejmuję, ponieważ nie mam na to czasu. Zresztą nauczanie jest zajęciem jałowym do szpiku kości. Nikt nikogo nie może nauczyć. Ale mniejsza o to. Zajęty jestem zagadnieniem, któremu poświęciłem czterdzieści osiem lat życia, zanim je, teraz właśnie, sfinalizowałem.

— Ja też mam mało czasu — odparłem. Ten człowiek nie podobał mi się. Jego zachowanie było aroganckie, nie fanatyczne, a ja wolę fanatyków, jeśli już muszę wybierać. Poza tym było oczywiste, że będzie się domagał wsparcia, a ja jestem skąpy i mam odwagę się do tego przyznawać. Nie znaczy to, abym nie umiał poprzeć mymi środkami jakiejś sprawy, ale czynię to niechętnie, z wielkimi oporami i niejako przeciw sobie, bo robię wtedy to, o czym wiem, że tak robić należy.

Dlatego dodałem po chwili:

— Może pan wyłuszczy, o co chodzi? Naturalnie niczego nie mogę panu obiecać. Jedna rzecz uderzyła mnie w pana słowach. Powiedział pan, że poświęcił czterdzieści osiem lat swemu problemowi, a ileż pan ich w ogóle liczy, jeśli łaska?

— Pięćdziesiąt osiem — odparł jeszcze oziębłej. Stał wciąż za krzesłem, jakby czekał, aż poproszę go siadać. Poprosiłbym, rzecz jasna, bo należę do skąpców uprzejmych, ale to, że tak ostentacyjnie czekał na zaproszenie, zirytowało mnie odrobinę, zresztą powiedziałem już, że wydał mi się nad wyraz antypatyczny.

— Problemem tym — podjął — zająłem się jako dziesięcioletni chłopiec. Ponieważ, panie Tichy, nie tylko jestem genialnym człowiekiem, ale byłem genialnym dzieckiem.

Przyzwyczajony jestem do podobnych fanfaronów, ale tej genialności było już dla mnie trochę za wiele. Przygryzłem wargi.

— Słucham — rzekłem. Gdyby lodowaty ton obniżał temperaturę, to po naszej wymianie zdań stalaktyty zwisyłyby z sufitu.

— Wynalazkiem moim jest dusza — odrzekł Decantor, patrząc na mnie swym ciemnym okiem, podczas gdy to szydercze zdawało się fiksować jakieś groteskowe, jemu tylko dostępne widziadła pod sufitem. Powiedział to tak, jakby mówił „wymyśliłem nową gumkę do ołówków”.

— Aha. Proszę, dusza — rzekłem prawie serdecznie, bo format tej bezczelności zaczął mnie naraz bawić. — Dusza? Pan ją wymyślił, co? Ciekawa rzecz — już przedtem o niej słyszałem. Może od jakiegoś znajomego pana?

Urwałem obelżywie, a on zmierzył mnie swym straszliwym zezem i powiedział cicho:

— Panie Tichy, zawrzyjmy umowę. Pan wstrzyma się z drwinami — powiedzmy — na piętnaście minut. Potem będzie pan sobie drwił do woli. Zgoda?

— Zgoda — odparłem, wpadając w poprzedni, oschły ‘ ton. — Słucham.

To nie był blagier — takie ogarnęło mnie teraz wrażenie. Jego ton był zbyt kategoriyczny. Blagierzy nie są bezwzględni. On był. To raczej wariat, pomyślałem.

— Niech pan siada — mruknąłem.

— Rzecz jest elementarna — rzekł człowiek, podający się za profesora Decantora. — Ludzie wierzą w istnienie duszy od tysięcy lat. Filozofowie, poeci, twórcy religii, kapłani, kościoły powtarzają wszelkie możliwe argumenty na rzecz jej istnienia. Według jednych wierzeń to jest odrębna od ciała substancja niematerialna, zachowująca po śmierci człowieka jego identyczność, według innych miałyby to być — tezy te powstały wśród myślicieli Wschodu — jakaś entelechia, pozbawiona cech indywidualnej osobowości. Ale wiara w to, że człowiek nie ze wszystkim kończy się wraz z agonią, że coś zdolne jest przetrwać w nim śmierć, przez wieki trwała niewzruszenie w umysłach. My, obecnie, wiemy, że żadnej duszy nie ma. Istnieją tylko sieci nerwowych włókien, w których zachodzą pewne procesy związane z życiem. To, co odczuwa posiadacz takiej sieci, jego świadomość czuwająca — to jest właśnie dusza. Tak jest — a raczej tak było, dopóki się nie pojawiłem. A raczej, dopóki nie powiedziałem sobie: duszy nie ma. To udowodnione. Istnieje jednak potrzeba duszy nieśmiertelnej, pożądanie wiecznego trwania, głód nieskończonej rozciągłości osobowej w czasie, na przekór przemijaniu i rozpadaniu się wszystkiego. To spalające ludzkość od chwili jej narodzin pragnienie jest aż nadto realne. A zatem: dlaczego nie można by tej tysiącletniej koncentracji marzeń i lęków zaspokoić? Zrazu rozważyłem ewentualność uczynienia ludzi nieśmiertelnymi cieleśnie. Ale wariant ten odrzuciłem, był bowiem w istocie tylko prolongatą nadziei fałszywych i złudnych, gdyż nieśmiertelni też przecież mogą ginąć od wypadków, katastrof, a zresztą przyniosłaby ona masę trudnych problemów, w rodzaju przeludnienia, poza tym były jeszcze inne względy, które zadecydowały o tym, że postanowiłem wynaleźć duszę. Samą tylko duszę. Dlaczego — rzekłem sobie — nie można jej zbudować tak, jak się buduje samolot? Przecież i samolotów dawniej nie było, istniały tylko rojenia o locie — a teraz są. Pomyślawszy tak, problem — w gruncie rzeczy — rozwiązałem. Reszta była tylko kwestią odpowiedniej wiedzy, środków i dostatecznej cierpliwości. Miałem to wszystko i dlatego mogę dziś panu powiedzieć: dusza istnieje, panie Tichy. Każdy może ją mieć, nieśmiertelną. Mogę ją wyprodukować indywidualnie dla każdego człowieka, z wszelkimi gwarancjami trwałości. Wieczna? To właściwie nic nie znaczy. Ale moja dusza — dusza mojej konstrukcji potrafi przetrwać zagaśnięcie Słońca. Złodowacenie Ziemi. Obdarzyć duszą mogę, jakem powiedział, każdego człowieka, ale tylko żywego. Zmarłych obdarzyć duszą nie mogę. To nie leży w moich możliwościach. Co innego żywi. Ci otrzymają od profesora Decantora nieśmiertelną duszę. Nie w darze, oczywista. To produkt skomplikowanej technologii, procesu zawilego i pracochłonnego, dlatego musi sporo kosztować. Przy masowej produkcji koszty obniżyłyby się, ale na razie dusza jest daleko droższa od samolotu. Biorąc pod uwagę to, że chodzi o wieczność, sędzę, że cena jest stosunkowo niska. Przyszedłem do pana, ponieważ skonstruowanie pierwszej duszy wyczerpało całkowicie moje zasoby. Proponuję panu założenie spółki akcyjnej pod nazwą „NIEŚMIERTELNOŚĆ”, z tym że pan finansowałby przedsięwzięcie i w zamian otrzymywałby pan, oprócz zmajoryzowanego pakietu akcji, 45 procent zysków netto. Akcje byłyby nominalne, ale w radzie nadzorczej zastrzegłbym sobie...

— Przepraszam — przerwałem mu — widzę, że pan przyszedł z nader szczegółowo

opracowanym planem tego przedsiębiorstwa. Czy nie zechciałby pan jednak podać mi wpierych bliższych jakichś szczegółów o tym swoim wynalazku??

— Oczywiście — odparł. — Ale jak długo nie podpiszemy notarialnej umowy, panie Tichy, będę mógł udzielać tylko informacji o charakterze ogólnikowym, ponieważ tak dalece wyzbyłem się, w trakcie doświadczeń, pieniędzy, że nie stało mi ich nawet na pokrycie opłat patentowych...

— Dobrze. Pojmuję pana ostrożność — rzekłem — mimo to rozumie pan chyba, że ani ja, ani żaden finansista — zresztą nie jestem żadnym finansistą — jednym słowem: nikt nie zawierzy panu na słowo.

— Naturalnie — rzekł. Wyjął z kieszeni owiniętą w biały papier paczkę płaską jak pudełko cygar, takie, które zawiera tylko sześć sztuk.

— Tu znajduje się dusza... pewnej osoby — powiedział.

— Wolno wiedzieć czyja? — spytałem.

— Tak — odparł po chwili krótkiego wahania. — Mojej żony.

Patrzyłem na to przewiązane sznurkiem i opieczętowane pudełko z niedowierzaniem bardzo intensywnym, a mimo to, przez energię i kategoryczność jego wystąpienia, poczułem coś na kształt dreszczu.

— Pan nie otwiera tego? — spytałem, widząc, że trzyma pudełko w rękach, nie dotykając pieczęci.

— Nie — odparł. — Na razie nie. Moja idea, panie Tichy, w największym uproszczeniu, takim, które stoi na granicy wypaczenia prawdy, była następująca. Czym jest nasza świadomość? Kiedy pan patrzy na mnie, w tej oto chwili, ze swego wygodnego fotela, i czuje pan zapach dobrego cygara, którym nie uznał pan za wskazane mnie poczęstować, kiedy widzi pan moją postać w świetle tej egzotycznej lampy, kiedy zarazem waha się pan między uznaniem mnie za oszusta, wariata i człowieka niezwykłego, kiedy wreszcie oczy pana chwytają wszystkie blaski i cienie otoczenia, a nerwy i mięśnie posyłają bezustannie pilne depesze o swym stanie do mózgu — to wszystko razem stanowi właśnie pana duszę, mówiąc językiem teologów. My z panem powiedzielibyśmy raczej, że jest to aktywny stan pańskiego umysłu. Tak, przyznaję, że używam nazwy „dusza” przez pewną przekorę, choć ważniejsze jest to, że nazwa ta, tak prosta, cieszy się powszechnym zrozumieniem, albo, powiedzmy ściślej: każdy człowiek sądzi, że wie, o co chodzi, kiedy ją słyszy.

Ten nasz materialistyczny punkt widzenia czyni, ma się rozumieć, fikcją istnienie nie tylko duszy nieśmiertelnej, bezcielesnej, ale zarazem i takiej, która nie byłaby tylko chwilowym stanem pana żywej osoby, ale pewną treścią niezmienną, ponadczasową i wieczną — takiej duszy, pan się zgodzi ze mną, nie było nigdy, żaden z nas jej nie posiada. Dusza młodzieńca i dusza starca, choć zachowuje rysy identyczności, gdy mowa o tym samym człowieku, a dalej: dusza, z czasu, gdy był on dzieckiem, i z chwili, kiedy, schorowany śmiertelnie, stoi przed agonią — to stany świadomości nadzwyczaj różne. Ilekroć jednak mówi się o czyjejs duszy, ma się, odruchowo, na myśli psychiczny stan tego człowieka w pełni dojrzałego, cieszącego się najlepszym zdrowiem — zrozumiałe więc, że ten stan wybrałem dla mego celu, i moja syntetyczna dusza jest utrwalonym raz na zawsze przekrojem aktualnej terażniejszości normalnego, pełnego sił osobnika. Jak ja to robię? Robię to tak, że w substancji, doskonale się do tego nadającej, odtwarzam z najwyższą ostateczną wiernością, atom po atomie, drgnienie po drgnieniu, konfigurację żywego mózgu. Kopia ta jest pomniejszona, w skali jeden do piętnastu. Dlatego pudełko, które pan widzi, jest takie małe. Przy odrobinie wysiłku można by rozmiary duszy zredukować dalej, ale nie widzę po temu żadnej rozsądnej przyczyny, koszty produkcji natomiast wzrosłyby niepomniernie. Tak więc w tym materiale utrwalona zostaje dusza: nie jest to żaden model ani znieruchomiała, martwa siatka nerwowych włókienek., jak mi to się początkowo zdarzało, kiedy dokonywałem jeszcze eksperymentów na zwierzętach. Tu kryła się największa i na dobrą sprawę jedyna trudność. Szło przecież o to, aby w tym

materiale zachowana została żywa, czująca, zdolna do najswobodniejszego myślenia, do snów i jawy, do najbardziej swoistej gry wyobraźni, wiecznie zmienna, wiecznie wrażliwa na upływ czasu — świadomość, i żeby się jednocześnie nie starzała, żeby materiał nie ulegał zmęczeniu, nie pękał, nie kruszał — był czas, panie Tichy, kiedy to zadanie wydawało mi się nierozwiązalne tak samo, jak na pewno wydaje się panu jeszcze teraz — i jedynym atutem na moją korzyść był upór. Bo ja jestem uparty, panie Tichy. Dlatego mi się powiodło...

— Zaraz... — powiedziałem czując w głowie lekki zamęt — więc jak pan mówi? Tu, w tym pudełku jest przedmiot materialny, tak? Który zawiera świadomość żywego człowieka? A w jaki sposób może się on komunikować ze światem zewnętrznym? Widzieć go? Słyszeć i... — urwałem, bo na twarzy Decantora pojawił się nieopisany uśmiech. Patrzył na mnie zmrużonym zielonym okiem.

— Panie Tichy — powiedział — pan nic nie rozumie... Jakie komunikowanie się, jaki kontakt może zachodzić między partnerami, gdy udziałem jednego z nich jest wieczność? Przecież ludzkość przestanie istnieć najdalej za piętnaście miliardów lat, kogo wtedy miałyby słyszeć, do kogo mówić ta... nieśmiertelna dusza? Czy pan nie słyszał mnie, kiedy mówiłem, że ona jest wieczna? Ten czas, jaki upłynie do chwili, kiedy Ziemia zlodowacieje, kiedy najsilniejsze i najmłodsze z dzisiejszych gwiazd rozsypią się, kiedy prawa rządzące Kosmosem odmieńnią się do tego stopnia, że będzie on już czymś zupełnie innym, niewyobrażalnym dla nas — ten czas nie stanowi nawet najdrobniejszego ułamka jej trwania, ponieważ ona będzie trwała przez wieczność. Religie są wcale rozsądne przemilczając ciało, bo do czego może służyć nos albo nogi w wieczności? Do czego mogłyby służyć po zniknięciu ziemi i kwiatów, po zgaśnięciu słońca? Ale pomiję ten trywialny aspekt zagadnienia. Powiedział pan „komunikowanie się ze światem”. Niechby ta dusza kontaktowała się ze światem zewnętrznym tylko raz na sto lat, to i tak, już po upływie biliona wieków, musiałaby, aby pamięciowo pomieścić wspomnienia tych kontaktów, przybrać rozmiary kontynentu. .. a po trylionie lat nawet objętość kuli ziemskiej byłaby już niedostateczna — ale czymże jest trylion wobec wieczności?! Jednakże nie ten techniczny szkopuł powstrzymał mnie, ale jego konsekwencje psychologiczne. Przecież myśląca osobowość, żywa jaźń ludzka, rozpląnęłaby się w tym oceanie pamięci, jak kropla krwi rozpląwa się w morzu, i co stałoby się wówczas z zagwarantowaną nieśmiertelnością... ?

— Jak to... — wybełkotałem — więc pan twierdzi, że... pan powiada... że następuje całkowite odcięcie...

— Naturalnie. Czy powiedziałem, że w tym pudełku jest cały człowiek? Mówiłem tylko o duszy. Niech pan sobie wyobrazi, że z tą sekundą przestaje pan otrzymywać jakiegokolwiek wieści z zewnątrz, jak gdyby pana mózg został wyosobniony z ciała, lecz istnieje nadal, w pełni żywotnych sił. Stanie się pan, oczywista, ślepy i głuchy, w pewnym sensie także sparaliżowany, ponieważ nie będzie pan miał już do swojej dyspozycji ciała, wszelako zachowa pan w pełni wzrok wewnętrzny, to znaczy — jasność rozumu, polot myśli, będzie pan mógł swobodnie dumać, rozwijać wyobraźnię, kształtować ją, przeżywać nadzieje, smutki, radości, pochodzące z przemieniania się ulotnych stanów duchowych — a więc dokładnie to właśnie dane jest tej duszy, którą kładę na pańskim biurku...

— To okropne... — powiedziałem. — Ślepy, głuchy, sparaliżowany... przez wieki,

— Przez wieczność — poprawił mnie. — Powiedziałem już tyle, panie Tichy, że mogę dodać jeszcze jedno. Ośrodkiem jest kryształ — pewien gatunek nie istniejącego w naturze kryształu, substancja niezawisła, nie wchodząca w żadne związki chemiczne, fizyczne... to w jej bezustannie drżących molekułach zawarta jest dusza, która czuje i myśli...

— Potworze... — powiedziałem cicho i spokojnie — czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan zrobił? Ale zaraz — uspokoiłem się nagle — przecież świadomość człowieka nie może być powtórzona. Jeżeli żona pana żyje, chodzi, myśli, to w tym kryształku znajduje się najwyżej jakaś, nie będąca nią, kopia...

— Nie — odparł Decantor zezując na biały pakiecik. — Muszę dodać, panie Tichy, że pan ma zupełną słuszość. Nie można stworzyć duszy kogoś, kto żyje. Byłby to nonsens i paradoksalny absurd. Ten, kto istnieje, istnieje, rzecz jasna, tylko raz jeden. Kontynuację można stworzyć jedynie w chwili śmierci. Zresztą proces ustalenia dokładnej budowy mózgu człowieka, którego duszę sporządzam, i tak niszczy ów żywy mózg...

— Człowieku... — szepnąłem — pan... zabił swoją żonę?

— Dałem jej wieczne życie — odparł prostując się. — To nie ma zresztą nic do rzeczy, którą omawiamy. Jeśli pan chce, są to sprawy między moją żoną — położył dłoń na pakiecie — a mną, sądami i policją. Rozmawiamy o czymś zupełnie innym.

Przez długą chwilę nie mogłem się odezwać. Wyciągnąłem rękę i końcami palców dotknąłem pudełka zawiniętego w gruby papier; było tak ciężkie, jakby zawierało ołów.

— Panie — powiedziałem — niech i tak będzie. Rozmawiajmy o czymś innym. Powiedzmy, że dam panu fundusze, których się pan domaga. Czy naprawdę jest pan na tyle szalony, aby sądzić, że znajdzie się choć jeden człowiek, gotowy dać się zabić po to, żeby jego świadomość po wiek wieków cierpiała niewyobrażalne męki — pozbawiona nawet łaski samobójstwa?

— Ze śmiercią w samej rzeczy jest pewna trudność — przyznał po krótkiej chwili Decantor. Zauważyłem, że jego ciemne oko jest raczej orzechowe niż piwne. — Wszelako już na początek można liczyć na takie kategorie ludzi, jak nieuleczalnie chorzy, jak zmęczeni życiem, jak starcy zniedołężniaли fizycznie, lecz cieszący się pełnią duchowych sił...

— Śmierć nie jest najgorszym wyjściem wobec nieśmiertelności, którą pan proponuje — mruknąłem. Decantor uśmiechnął się po raz drugi.

— Powiem coś, co wyda się panu może zabawne — rzekł. Prawa strona jego twarzy pozostała poważna. — Ja osobiście nigdy nie odczuwałem potrzeby posiadania duszy ani potrzeby wiecznego istnienia. Wszelako ludzkość żyje tym marzeniem od tysięcy lat. Przeprowadzałem długie studia, panie Tichy. Wszystkie religie stały zawsze jednym: obietnicą wiecznego żywota, nadzieją przetrwania grobu. Ja daję to, panie Tichy. Daję żywot wieczny. Daję pewność istnienia, kiedy ostatni okrucień ciała zgnije i rozpadnie się w proch. Czy to mało?

— Tak — odparłem — to mało. Przecież sam pan mówił, że to będzie nieśmiertelność pozbawiona ciała, jego sił, jego rozkoszy, jego doznań...

— Niech się pan nie powtarza — przerwał mi. — Mogę przedstawić panu pisma święte wszystkich religii, dzieła filozofów, pieśni poetów, summy teologiczne, modlitwy, legendy — nie znalazłem w nich ani słowa o wieczności ciała. Ciało lekceważą, pogardzają nim nawet. Dusza — jej trwanie w bezkresie — była celem i nadzieją. Dusza jako przeciwieństwo i przeciwstawienie ciała. Jako wolność od fizycznych cierpień, od nagłych niebezpieczeństw, od chorób, starczego uwiądnienia, od walk o to wszystko, czego w swym powolnym tleniu i spalaniu wymaga ów z wolna rozpadający się piec, zwany organizmem; nikt nigdy nie głosił nieśmiertelności ciała — póki będzie istnieć świat. Tylko dusza miała być wyzwolona i ocalona. Ja, Decantor, ocaliłem ją, dla wieczności, po wieczność. Spełniłem marzenia — nie moje. Marzenia całej ludzkości...

— Rozumiem — przerwałem mu. — Decantor, pan ma w pewnym sensie słuszość. Ale tylko w takim, że swoim wynalazkiem unaoczniał pan, dziś mnie, jutro, być może, całemu światu, bezpotrzebę duszy. To, że nieśmiertelność, o której prawią cytowane przez pana święte księgi, ewangelie, korany, eposy babilońskie, wedy i klechdy — że nieśmiertelność ta byłaby człowiekowi na nic. Więcej: każdy człowiek w obliczu wieczności, którą pan gotów jest go obdarzyć, odczuwać będzie, ręczę panu, to samo, co ja: najwyższą odrazę i strach. Myśl, że pana obietnica może się stać moim udziałem, przyprawia mnie o zgrozę. Tak więc, Decantor, udowodnił pan, że ludzkość okłamywała siebie od tysięcy lat. Pan rozbił to kłamstwo...

— Więc pan sądzi, że moja dusza nikomu nie będzie potrzebna? — spokojnym, ale nagle martwym jakby głosem spytał ten człowiek.

— Jestem tego pewny. Ręczę panu... Jak może pan myśleć inaczej? Decantor! Czy pan by chciał? Przecież pan też jest człowiekiem!

— Mówiłem już panu. Nigdy nie doznałem potrzeby nieśmiertelności. Sądziłem jednak, że to moja wyjątkowa aberracja, skoro ludzkość jest innego zdania. Ją chciałem zaspokoić, nie siebie. Szukałem problemu, który byłby najtrudniejszy ze wszystkich, na miarę moich sił. Znalazłem go i rozwiązałem. W tym sensie był moją sprawą osobistą, ale tylko w tym; merytorycznie interesował mnie wyłącznie jako określone zadanie, które trzeba pokonać przy użyciu właściwej technologii i środków. Wziąłem dosłownie to, co pisali najwięksi myśliciele wszystkich czasów. Tichy — przecież pan musiał to czytać... ten strach przed ustaniem, przed końcem, przed zagładą świadomości wówczas, kiedy jest najbogatsza, kiedy gotowa jest najżyźniej owocować... u kresu długiego życia... Wszyscy to powtarzali. Marzeniem ich było obcować — z wiecznością. Ja stworzyłem to obcowanie. Tichy, może oni...? Może jednostki najwybitniejsze? Genialne? Potrząsnąłem głową.

— Może pan próbować. Ale nie wierzę, aby choć jeden. .. Nie. To niemożliwe.

— Jak to — powiedział, i po raz pierwszy w jego głosie zadrgało coś żywym uczuciem — czy pan sądzi, że to... dla nikogo nic nie jest warte... ? Że tego nikt nie zechce? Jak to może być?

— Tak jest... — powiedziałem.

— Niech pan nie mówi tego tak szybko — błagał. — Tichy, przecież wszystko jest jeszcze w moim ręku. Mogę przystosować, zmienić... mogę obdarzyć duszę syntetycznymi zmysłami... to wprawdzie wykluczy dostąpienie wieczności, ale jeśli zmysły miałyby dla nich być ważniejsze... uszy... oczy...

— A co widziałyby te oczy? — spytałem. Milczał.

— Lodowacenie Ziemi... rozpad galaktyk... gaśnięcie gwiazd w czarnej nieskończoności, tak? — mówiłem powoli.

Milczał.

— Ludzie nie pragną nieśmiertelności — podjąłem po chwili. — Nie chcą tylko, po prostu, umierać. Chcą żyć, profesorze Decantor. Chcą czuć ziemię pod nogami, widzieć chmury na głowę, kochać innych ludzi, być z nimi i myśleć o tym. Nic więcej. Wszystko, co zostało powiedziane ponad to, jest kłamstwem. Nieświadomym kłamstwem. Wątpię, czy wielu zechce pana wysłuchać nawet tak cierpliwie jak ja... nie mówiąc już o... chętnych...

Decantor stał kilka minut bez ruchu, wpatrzony w biały pakiet, który leżał przed nim na biurku. Nagle ujął go i skinąwszy mi nieznacznie głową skierował się ku drzwiom.

— Decantor!!! — krzyknąłem. Zatrzymał się u progu.

— Co pan chce zrobić... z TYM... ?

— Nic — odparł zimno.

— Proszę... niech pan wróci. Jeszcze chwila... Tak nie można tego zostawić...

Panowie — nie wiem, czy to był wielki uczoney — ale wielkim łajdakiem był na pewno. Targów, jakie nastąpiły, nie chcę opisywać. Musiałem to zrobić. Wiedziałem, że jeśli pozwolę mu odejść, gdybym nawet miał potem uznać, że ołgał mnie i wszystko, co mówił, było od początku do końca wymysłem, to jednak na dnie mojej duszy... na dnie mojej cielesnej, krwistej duszy będzie tłała myśl o tym, że gdzieś, w zapchanym rupieciami biurku, w pełnej szpargałów szufladzie spoczywa ludzki umysł, żywa świadomość tej nieszczęsnej kobiety, którą on zabił. A jakby tego nie było dosyć, obdarzył ją najstraszliwszą rzeczą ze wszystkich możliwych, najstraszliwszą, powtarzam, bo nie ma niczego, co dorównywałoby skazaniu na samotną wieczność. Słowo to nic nam oczywiście nie mówi. Spróbujcie zatem, proszę, kiedy wrócić do domów, położyć się w ciemnym pokoju, tak aby nie dochodził was żaden dźwięk czy promień, i zamknąwszy oczy wyobraźcie sobie, że będziecie tak trwali, w ostatecznym

spokoju, bez żadnej, ale to żadnej, najmniejszej nawet odmiany, dzień i noc, i znowu dzień, że tak upływać będą tygodnie, których rachuby nie zdołacie ustalić, miesiące, lata, wieki — i że mózgi wasze zostały przedtem poddane takiemu zabiegowi, że nie będzie możliwa nawet ucieczka w obłąd. Sama myśl o tym, że istnieje ktoś skazany na taką mękę, wobec której wszelkie obrazy mąk piekielnych są przecież igraszką, paliła mnie podczas ponurego targu. Szło oczywiście o zniszczenie, suma, której zażądał — panowie, mniejsza o szczegóły. Powiem tyle: przez całe życie miałem się za skąpca. Jeżeli wątpię w to dziś, to dlatego, że... No, nic. Jednym słowem: to nie była zapłata. To było wszystko, co wtedy miałem. Pieniądze... tak. Liczyliśmy je... a potem powiedział, żebym zagasił światło. I w ciemności najpierw zaszeleścił rozrywany papier... i nagle, na czworokątnym, białawym tle (to była wyściółka z waty) ukazał się, jak płynny klejnot, najślabszy brzask... w miarę jak przywykałem do mroku, zdawał się promieniować coraz mocniej błękitną poświatą, wtedy, czując jego nierówny, zdyszany oddech na karku, pochyliłem się, ująłem przygotowany młotek, i jednym uderzeniem...

Panowie, myślę, że on jednak mówił prawdę. Bo kiedy uderzyłem po raz pierwszy, ręka odmówiła mi posłuszeństwa, i tylko wyszczerbiłem nieznacznie ów owalny kryształ... a mimo to zgasł. W ułamku sekundy nastąpiło coś, jak gdyby mikroskopijny, bezgłośny wybuch — miriady fiołkowego pyłu zawirowały jak w panice i znikły. Stało się zupełnie ciemno. W tej ciemności odezwał się martwym, głuchym głosem:

— Niech pan nie niszczy tego dalej, Tichy... bo stało się już.

Zabrał mi to z rąk, a ja uwierzyłem wtedy, bo miałem naoczny dowód, zresztą — czułem to. Nie umiem powiedzieć jak. Przekręciłem kontakt, spojrzeliśmy na siebie, oślepieni, jak dwaj zbrodniarze. On wypchał obie kieszenie surduta paczkami banknotów i wyszedł bez jednego słowa pożegnania.

Nigdy nie widziałem go już i nie wiem, co się z nim stało — z tym wynalazcą duszy nieśmiertelnej, którą zabiłem.

III

Człowieka, o którym mam mówić, widziałem tylko raz. Wzdrygnęlibyście się na jego widok. Garbaty pokurcz nieokreślonego wieku, o twarzy odzianej w skórę zbyt jakby obszerną — tyle było na niej zmarszczek i fałd; do tego miał krótszy mięsień szyi i trzymał głowę zawsze bokiem, jakby chciał obejrzeć własny garb, ale się w połowie ruchu rozmyślił. Nie powiem nic nowego twierdząc, że rozum rzadko idzie w parze z urodą, ale on, istne wcielenie kalectwa, zamiast litości budzący odrazę, winien był chyba zostać geniuszem, chociaż i wtedy straszylby samym swym pojawieniem pośród ludzi — tak więc Zazul... Nazywał się Zazul. Słyszałem o jego okropnych doświadczeniach dość dawno. Była to nawet sprawa głośna swego czasu dzięki prasie. Towarzystwo do walki z wiwisekcją usiłowało wytoczyć mu proces czy też wytoczyło go nawet, ale rzecz spelzła na niczym. Jakoś się z tego wykręcił. Był profesorem — czysto nominalnie — ponieważ nie mógł wykładać: jąkał się. A właściwie zaciął, kiedy był przejęty; to mu się często zdarzało. Nie przyszedł do mnie. O, to nie był taki typ człowieka. Prędzej skonałby, aniżeli zwróciłby się do kogokolwiek. Po prostu na wycieczce pod miastem zbłądziłem w lesie, sprawiło mi to nawet przyjemność, gdy nagle lunął deszcz. Chciałem przeczekać go pod drzewem, ale nie ustawał. Niebo zaciągnęło się na dobre, pomyślałem więc, że trzeba poszukać jakiegoś schronienia i, biegnąc od drzewa do drzewa, dobrze już przemoczony, wydostałem się na zwirowaną dróżkę, a z niej — na drogę, od dawna nie używaną, zarastającą chwastami: doprowadziła mnie do posiadłości otoczonej murem. Na bramie, ongiś malowanej zielono, ale teraz przeraźliwie zardzewiałej, wisiała drewniana tabliczka z ledwo czytelnym napisem ZŁE PSY. Nie paliłem się do zetknięcia z rozjuszonymi stworzeniami, ale nie miałem, w ulewie, innego wyjścia; wydawszy więc z pobliskiego krzaka solidny pręt, uzbrojony weń, zaatakowałem bramę. Mówię tak, bo dopiero wyteżywszy siły, otwarłem ją przy akompaniamencie piekielnego krakania. Znalazłem się w ogrodzie tak zapuszczonym, że ledwo się można było domyślić, któredy biegły niegdyś ścieżki. W głębi, przesłonięty falującymi w deszczu drzewami, stał wysoki, ciemny dom o stromym dachu. Trzy okna piętra jaśniały, przesłonięte białymi zasłonami. Było jeszcze wcześniej, ale coraz ciemniejsze chmury cwałowały niebem, więc dopiero kilkadziesiąt kroków od domu zauważyłem dwa szeregi drzew, które flankowały dostęp do werandy. Były to tuje, cmentarne tuje — pomyślałem, że mieszkaniiec tego domu musi być raczej ponurego usposobienia, psów jednak — wbrew zapowiedzi na bramie — nie dostrzegłem żadnych; wszedłem na stopnie i, jako tako chroniony przed deszczem wystającą częścią nadproża, nacisnąłem guzik dzwonka. Zaterkotał wewnątrz, odpowiedziała głucha cisza. Po dobrej chwili zadzwoniłem jeszcze raz z takim samym skutkiem, zacząłem więc pukać, nareszcie dobijając się coraz gwałtowniej; wtedy dopiero z głębi domu doszły szurające kroki i nieprzyjemny, skrzekliwy głos spytał:

— Kto tam?

Powiedziałem. Wymieniłem nazwisko w nikłej nadziei, iż może nie będzie obce. Tamten jakby namyślał się — wreszcie szczęknął odpinany łańcuch, trzasnęły odsuwane rygle, niczym w fortecy jakiejś, i w świetle wiszącego wysoko nad sienią świecznika ukazał się niemal karzeł. Poznałem go, choć tylko raz w życiu widziałem, nie wiem nawet gdzie, jego fotografię; trudno go jednak było zapomnieć. Był prawie łysy. Z boku czaszki, nad uchem, przebiegała jasnoczerwona blizna jak po cięciu szabli. Na nosie miał krzywo osadzone złote binokle. Mrugał, jakby wyszedł właśnie z ciemności. Przeprosiłem go, używając zwykłych w takich okolicznościach formułek, i zamilkłem, a on stał dalej przede mną, jakby nie miał najmniejszej ochoty wpuścić mnie choć o krok dalej w głąb tego wielkiego, ciemnego domu, z którego wnętrza nie dochodził najlżejszy szmer.

— Pan jest Zazul, profesor Zazul... prawda? — powiedziałem.

— Skąd pan mnie zna? — burknął niegrzecznie. Powiedziałem znów coś banalnego, w tym sensie, że trudno nie znać wybitnego uczonego. Przyjął to pogardliwym skrzywieniem żabich ust.

— Burza? — powiedział, cofając się do poprzednich moich słów, — Słyszę, że burza. To co z tego? Mógł pan iść gdzie indziej. Nie lubię tego. Nie znoszę, rozumie pan?!

Powiedziałem, że doskonale go rozumiem i nie mam wcale zamiaru mu przeszkadzać. Wystarczy mi krzesło czy stołek tu, w tym ciemnym hallu; przeczekaam tylko największe nasilenie burzy i pójdę sobie.

A deszcz naprawdę dopiero się rozpadał, gdy wszedłem i stojąc w tej głuchej, wysokiej sieni, jak na dnie olbrzymiej muszli, słyszałem jego przeciągły, ze wszech stron płynący szum, który kulminował nad nami w przeraźliwym bębnieniu blaszanego dachu.

— Krzesło?! — powiedział takim tonem, jak gdybym zażądał złotego tronu. — Krzesło, rzeczywiście! Ja nie mam dla pana żadnego krzesła, panie Tichy. Ja — ja nie mam wolnego krzesła. Ja nie cierpię — i w ogóle uważam, tak, uważam, że najlepiej będzie dla nas obu, jeżeli pan wyjdzie.

Przez ramię spojrzałem mimo woli w ogród — drzwi wyjściowe stały jeszcze otworem. Drzewa, krzaki, wszystko zmieszało się w jedną, gwałtownie kołysaną wiatrem masę, połyskującą w strumieniach wody. Wróciłem oczami do garbusa. Spotykały mnie już w życiu niegrzeczności, ordynarność nawet, nigdy jednak nic podobnego. Łało jak z cebra, dach huczał przeciągle, jak gdyby żywioły chciały mnie tym sposobem utwierdzić w stanowczości, zbytecznie, bo mój a krewka natura zaczęła już powstawać. Mówiąc po prostu: diabli mnie brali. Porzucając wszelkie dusery i grzeczności towarzyskie, rzekłem sucho:

— Wyjdę tylko, jeżeli zdoła mnie pan wyrzucić przemocą, a muszę powiedzieć, że nie należę do słabeuszy.

— Co?! — wrzasnął piskliwie. — Bezczelny! Jak pan śmie, w moim własnym domu!!!

— Sam pan mnie sprowokował — odparłem lodowato. I ponieważ poniosło mnie, a jego dokuczliwie w uszach wierzący wrzask wyprowadził mnie do reszty z równowagi, dodałem: — Są rodzaje postępowania, Zazul, za które można zostać obitym nawet we własnym domu!

— Ty łajdaku!!! — zawrzeszczał jeszcze głośniejsze. Chwyciłem go za ramię, które w dotyku wydało się jak wystrugane z próchniejącej gałęzi, i syknąłem:

— Nie znoszę krzyku. Zrozumiano? Jeszcze jedna obelga, a popamięta mnie pan do końca życia, ordynusie jeden!!!

Przez jakąś sekundę, dwie myślałem, że naprawdę przyjdzie do bitki i zawstydziłem się, bo jakże byłbym w stanie podnieść rękę na garbusa! Ale stało się coś, czego się najmniej w świecie spodziewałem. Profesor cofnął się, wyswobadzając ramię z mego chwytu, i z głową pochyloną jeszcze mocniej, jakby chciał się upewnić, czy ma jeszcze garb, zaczął wstrętne, cienko chichotać. Jak gdybym go uraczył szampańskim dowcipem.

— No, no — rzekł, zdejmując binokle — rezolut z pana, Tichy...

Końcem długiego, żółtego od nikotyny palca starł łzę z oka.

— No, dobrze — gruchał chrypliwie — lubię to. Tak, to, mogę powiedzieć, lubię. Nie znoszę tylko tych manier świętych, tych słodkości i fałszywych bzdurek, ale pan powiedział to, co myślał. Ja nie znoszę pana, pan nie znosi mnie, doskonale, jesteśmy równi, wszystko jasne i może pan iść za mną. Tak, tak, Tichy, prawie mnie pan zaskoczył. Mnie, no, no...

I gdacząc w ten sposób, wiódł mnie skrzypiącymi schodami z drzewa, pociemniałego od starości, na górę. Schody te okrążyły zygzakiem kwadratową sień, ogromną, z nagimi boazeriami; milczałem, a Zazul, kiedyśmy się znaleźli na piętrze, rzekł:

— Tichy — nie ma rady, nie stać mnie na pokoje bawialne, gościnne, musi pan to wszystko zobaczyć; tak, śpię wśród moich okazów, jem z nimi, żyję — niech pan wejdzie i nie mówi tylko zbyt wiele...

Pokój, do którego mnie wprowadził, był właśnie tym oświetlonym, o oknach

przesłoniętych wielkimi arkuszami papieru, ongiś białego, teraz nadzwyczaj brudnego i pokrytego plamami tłuszczu. Roił się wprost od rozgniecionych much; także na parapetach aż czarno było od muszych truchełek, a i na drzwiach, zamykając je, dostrzegłem przecinkowate ślady i zaschłe, skrwawione szczątki owadów, jak gdyby Zazul oblegany był tu przez to wszystko, co tylko jest błonkoskrzydłe; nim zdążyło mnie to zdziwić, zwróciłem uwagę na inne osobliwości pomieszczenia. Pośrodku znajdował się stół, a właściwie dwa stojaki z leżącymi na nich zwykłymi, ledwo oheblowanymi deskami; wały się tam całe stosy książek, papierów, poźółkłych kości, ale największą osobliwością pokoju były jego ściany. Na wielkich, skleconych prymitywną stolarką regałach stały rzędami grubościennie butle i słoje, naprzeciw okna zaś, tam gdzie się te półki urywały, w lukę między nimi wstawiony był olbrzymi szklany zbiornik, jak gdyby akwarium o rozmiarach szafy czy raczej przezroczystego sarkofagu. Górną jego część osłaniała byle jak zarzucona, brudna szmata, której porozdzierane końce sięgały mniej więcej do połowy szklanych ścian, ale starczyło tego, co widać było w dolnej, nie zakrytej części, abym zmarł. We wszystkich słojach i butlach siniała odrobinę mętna ciecz, jak w jakimś muzeum anatomicznym, gdzie trzyma się rozmaite, z sekcji pochodzące, ongiś żywe organy w konserwującym spirytusie. Takim samym, tylko olbrzymich rozmiarów naczyniem był ów szklany zbiornik, z wierzchu przyrzucony szmatą. W jego mrocznej głębi, pełgającej sinawymi błyskami, nad wyraz wolno, ruchem nieskończonego wahadła chwiały się, nie dotykając dna, zawieszony kilkanaście centymetrów nad nim dwa cienie, w których z niewypowiedzianym obrzydzeniem i zgrozą rozpoznałem ludzkie nogi, odziane w nasiąknięty denaturatem, mokre rury nogawek od spodni...

Stałem jak skamieniały, a Zazul nie ruszał się, nie słyszałem w ogóle jego obecności; kiedy poszedłem oczami ku jego twarzy, zobaczyłem, że jest bardzo rad. Moje oburzenie, mój wstręt ucieszyły go. Trzymał ręce zaciśnięte u piersi, jak do modlitwy, i pochrząkiwał z satysfakcją.

— Co to ma znaczyć, Zazul! — odezwałem się zdławionym głosem. — Co to jest?!

Odwrócił się do mnie plecami, których garb, okropny i ostry — tak że patrząc, odruchowo bałem się o całość napiętej marynarki — lekko się kołysał w takt jego kroków, i siadając na zydłu z dziwacznym, rozchylonym na boki oparciem (przeraźliwy był ów mebel garbusa) rzekł nagle jakby zobojętniały, znudzony nawet:

— To cała historia, Tichy. Chciał pan przeczekać burzę? Niech pan siada gdzieś i nie przeszkadza. Nie widzę powodów, dla których miałbym panu cokolwiek opowiadać.

— Ale ja widzę — odparłem. Już się opanowałem do pewnego stopnia. W ciszy, którą wypełnił szum i plusk deszczu, podszedłem do niego i powiedziałem:

— Jeżeli się pan nie wytłumaczy z tego, Zazul, będę musiał poczynić kroki... które przysporzą panu sporo kłopotu.

Myślałem, że wybuchnie, ale nawet nie drgnął. Patrzył na mnie chwilę z szyderczością ściągniętymi ustami.

— Powiedz pan sam, Tichy — jak to wygląda? Jest burza, leje, dobija się pan do mnie, włazi nie proszony, grozi, że pobije mnie, a potem, kiedy już ustępuję z wrodzonej łagodności, kiedy staram się panu dogodzić, mam zaszczyt słyszeć nowe pogrożki: po biciu grozi mi pan kryminałem. Jestem uczonym, mój panie, a nie bandytą. Nie boję się kryminału, pana, w ogóle niczego się nie boję, Tichy.

— To jest człowiek — powiedziałem, nie słysząc prawie jego gadaniny, w oczywisty sposób drwiącej, bo byłem pewien, że zaprowadził mnie tu umyślnie, abym mógł dokonać ohydneho odkrycia. Patrzyłem nad jego głową na ów podwójny, straszny cień, który wciąż kołysał się łagodnie w głębi sinego płynu.

— Jak najbardziej — odparł ochoczo Zazul. — Jak najbardziej .

— O, nie wymiga się pan z tego! — krzyknąłem. Obserwował mnie, naraz coś zaczęło się

z nim dziać — trząśnięt się, jęknął — i włosy stanęły mi na głowie. Chichotał.

— Tichy — powiedział, kiedy uspokoił się trochę, ale wciąż iskierki piekielnej złośliwości skakały mu w oczach — chce pan?... Założymy się. Ja opowiem panu, jak do tego tam — wskazał palcem — doszło, a pan wtedy włosy nawet nie będzie mi chciał skrzywić na głowie. Z własnej, nieprzymuszonej woli, rozumie się. No jak, zakład stoi?

— Pan go zabił? — spytałem jeszcze.

— Poniekąd. Tak. W każdym razie wsadziłem go tam. Sądzi pan, że można żyć w dziewięćdziesięciosześciprocentowym roztworze denaturatu? Że jest jeszcze nadzieja?

Ta jego opanowana, jak gdyby z góry zaplanowana chełpliwość, pewnie siebie naigrawanie się w obliczu zwłok ofiary przywróciły mi spokój.

— Zakład stoi — rzekłem zimno. — Niech pan mówi!

— Niech no mnie pan nie popędza — rzekł takim tonem, jak gdyby był księciem, łaskawie udzielającym mi posłuchania. — Powiem, bo mnie to bawi, Tichy, bo to wesoła historyjka i powtarzając ją, będę miał satysfakcję, a nie dlatego, że pan mi groził. Ja się nie boję gróźb, Tichy. No, ale dajmy temu spokój. Tichy, słyszał pan o Mallenegsie?

— Owszem — odparłem. Ochłonąłem już na dobre. W końcu jest we mnie coś z badacza i wiem, kiedy należy zachować zimną krew. — Ogłosił parę prac o denaturowaniu białkowych cząsteczek...

— Doskonale — rzekł całkiem profesorskim tonem i zmierzył mnie oczami z nowym zainteresowaniem, jakby odkrył we mnie wreszcie cechę, za którą należy mi się choćby cień szacunku, — Ale poza tym opracował metodę syntezy wielkich molekuł białka, sztucznych roztworów białkowych, które żyły, uważasz pan. To były takie klejowe galarety... kochał się w nich. Dawał im codziennie jeść, żeby się tak wyrazić... tak, sypał im cukru, węglowodanów, a one, te galarety, te praameby bezkształtne, pochłaniały wszystko aż miło i rosły sobie, najpierw w małych, szklanych szalkach Petry'ego... przenosił je do większych naczyń... cackał się z nimi, całe laboratorium miał pełne... jedne zdychały mu, zaczynały się rozkładać, od kiepskiej diety, przypuszczam, szalał wtedy... latał z tą swoją brodą, którą zawsze umaczał niechęcący w ukochanym kleju... ale dalej nie poszedł. No, był za głupi, trzeba było czegoś więcej... tu — dotknął palcem głowy, której łysina lśniła pod opuszczoną nisko na sznurze lampą, jak wytoczona z żółtawej kości. — A potem ja wziąłem się do dzieła, Tichy. Nie będę dużo mówił, bo to są sprawy dla fachowców, a tacy, co naprawdę zrozumieliby wielkość mego dzieła, jeszcze się nie urodzili... Jednym słowem, stworzyłem makromolekułę białkową, którą można tak nastawić na określony typ rozwoju, jak nastawia się budzik... nie, to nie jest właściwy przykład. O jednojajowych bliźniakach pan, rozumie się, wie?

— Tak — odparłem — ale co to ma do rzeczy...

— Zaraz pan zrozumie. Zapłodnione jajo dzieli się na dwie identyczne połowy, z których powstają dwa doskonale tożsame indywidua, dwa noworodki, dwa zwierciadlane bliźniaki. Więc niech pan sobie teraz wyobrazi, że istnieje sposób, którym można by, mając dorosłego, żywego człowieka, w oparciu o dokładne zbadanie jego organizmu, stworzyć drugą połowę jaja, z którego on się kiedyś narodził. Tym samym można, niejako z wieloletnim opóźnieniem, dorobić temu człowiekowi bliźniaka... uważasz pan... ?

— Jak to — powiedziałem — ale nawet, gdyby to było możliwe, otrzyma pan tylko połowę jaja — zarodek, który natychmiast zginie...

— Może innym, nie mnie — odparł z oschłą dumą. — Tę stworzoną syntetycznie połowę jaja, nastawioną na określony typ rozwoju, wkładam do sztucznego roztworu odżywczego i tam, w inkubatorze, jak gdyby w mechanicznej macicy, powoduję jej przemianę w płód — w tempie stukrotnie szybszym od normalnego tempa rozwoju płodowego. Po trzech tygodniach zarodek przekształca się w dziecko; pod wpływem dalszych zabiegów to dziecko po roku liczy dziesięć biologicznych lat; po czterech dalszych latach jest to już człowiek

czterdziestoletni — no, więc to właśnie zrobiłem, Tichy...

— Homunculus!! — krzyknąłem. — To marzenie alchemików średniowiecznych... Rozumiem... Pan twierdzi — a nawet, gdyby tak było! Pan stworzył tego człowieka, co?! I pan sądzi, że miał pan prawo go zabić?! I że panu przyświadczę w tej zbrodni? O, to się pan grubo... grubo omylił, Zazul...

— To jeszcze nie wszystko — rzekł zimno Zazul. Głowa jego zdawała się wyrastać bezpośrednio z niekształtnej bryły garbu. — Najpierw, rzecz oczywista, przeprowadzone zostały doświadczenia na zwierzętach. Tam w tych słojach ma pan parami koty, króliki, psy — w naczyniach, oznaczonych białą nalepką, znajdują się stworzenia oryginalne, prawdziwe... w drugim, z nalepką czarną — są stworzone przeze mnie bliźniacze kopie... różnic nie ma żadnych i zmieniając nalepki, uniemożliwisz pan wykrzyć, które zwierzę powstało w sposób naturalny, urodziło się, a które pochodzi z mojej retorty...

— Dobrze — powiedziałem — niech i tak będzie... ale po co pan go zabił? Dlaczego? Czy był... niespełna rozumu? Niedorozwinięty? Nawet i w tym wypadku nie miał pan prawa...

— Proszę mnie nie obrażać! — syknął. — Pełnia władz umysłowych, Tichy, pełnia rozwoju, najdokładniej równa wszystkim cechom oryginału w obrębie somy... ale pod względem psychicznym założone możliwości większe od tych, jakie przejawiał biologiczny prototyp... tak, to jest coś więcej aniżeli stworzenie bliźniaka... to jest kopia od bliźniaczej dokładniejsza... profesor Zazul przewyższył Naturę. Przewyższył, rozumie pan?!

Milczałem, a on wstał, podszedł do zbiornika, wspiął się na palce i jednym ruchem ściągnął poszarpaną zasłonę. Nie chciałem patrzeć, ale głowa sama zwróciła mi się w tę stronę i zobaczyłem, poprzez szkło, przez warstwę zmętniałego spirytusu, obmiękną, wymacerowaną twarz Zazula... jego wielki, pływający jak toból, garb... poły marynarki, rozwiane w cieczy jak czarne przemoknięte skrzydła... białawe lśnienie ocznych gałek... zmokłe, siwe, zlepione pasemka bródky... i stałem tak, jak rażony prądem, a on skrzeczał:

— Jak należy się domyślać, chodziło o to, żeby dzieło było nieprzemijalne. Człowiek, nawet stworzony sztucznie, jest śmiertelny, szło o to, aby przetrwał, aby nie rozpadł się w proch, aby pozostał jak pomnik... tak, o to szło. Jednakże — musi pan wiedzieć, Tichy — powstała istotna różnica zdań między mną a nim; i wskutek niej nie ja... ale ON dostał się do słoja... on... on, profesor Zazul, a ja, ja — właśnie ja jestem...

Zachichotał, ale nie usłyszałem tego. Miałem uczucie, że zapadam się w jakąś otchłań. Przenosiłem oczy z jego żywej, wykrzywionej najwyższą radością twarzy na tamtą twarz, martwą, pływającą za szklaną szybą, niczym jakiś okropny, podwodny stwór... i ust nie mogłem rozewrzeć. Było cicho. Deszcz przestał prawie padać, tylko, jak gdyby oddalając się w podmuchach wiatru, cichło i znowu wracało zamierające podzwonne rykien.

— Niech mnie pan wypuści — chciałem powiedzieć, ale nie poznałem własnego głosu.

Przymknąłem oczy i powtórzyłem głucho:

— Niech mnie pan wypuści, Zazul. Wygrał pan.

IV

Pewnego jesiennego popołudnia, kiedy mrok zalegał już ulice i padał deszcz równy, drobny, szary, który wspomnienie słońca czyni czymś omal niewiarygodnym i człowiek za nic nie opuściłby wtedy miejsca przy kominku, gdzie siedzi zagłębiony w starych książkach (szuka w nich nie treści, dobrze znanych, ale samego siebie sprzed lat) — nieoczekiwanie ktoś zastukał do mych drzwi. Było to stukanie gwałtowne, jak gdyby przybysz, nie tknąwszy nawet dzwonka, chciał od razu dać do poznania, że jego pojawienie nosi charakter gwałtowny, powiedziałbym — rozpaczliwy. Odłożywszy książkę, wyszedłem na korytarz i otworzyłem mu. Ujrzałem człowieka w ceratowym płaszczu, ociekającym wodą, którego twarz, skrzywiona wielkim zmęczeniem, lśniła kroplami deszczu. Nie patrzył na mnie — wyczerpany. Oburącz, zaczerwienionymi, mokrymi rękami opierał się o wielką skrzynię, którą najwidoczniej sam przy dźwigał po schodach na piętro.

— Panie — powiedziałem — co pan... i poprawiłem się: — Czy mam panu pomóc?

Wykonał jakiś nieokreślony ruch ręką i dyszał dalej; zrozumiałem, że pragnie wnieść swoje brzemię do mieszkania, ale nie starczy mu już sił. Ująłem więc zmoczone, szorstkie sznury, którymi była przewiązana paka, i wniosłem ją do korytarza. Kiedy się odwróciłem, stał już za mną. Wskazałem mu szaragi; powiesił płaszcz, rzucił na półkę kapelusz, podobny, wskutek zupełnego przemoczenia, do niekształtnej filcowej szmaty, i na niezbyt pewnych nogach wszedł do mego gabinetu.

— Czym mogę panu służyć? — spytałem po dobrej chwili. Świtało mi, że to jeszcze jeden z moich niezwykłych gości, a on, wciąż nie patrząc na mnie, jakby zajęty własnymi myślami, przecierał twarz chustką do nosa i wzdrygnął się od zimnego dotknięcia przemoczonych mankietów koszuli. Powiedziałem, aby siadł przy kominku, ale nie raczył nawet odpowiedzieć. Chwycił tę swoją ociekającą pakę i ciągnął ją, pchał, kantował, pozostawiając na podłodze błotniste ślady, świadczące o tym, że podczas swej niewiadomej drogi musiał ją wiele razy stawiać na zalanych kałużami chodnikach, aby zaczerpnąć tchu. Dopiero gdy stała na środku pokoju i mógł mieć ją bezustannie na oku, uświadomił sobie jak gdyby nagle swoją obecność, popatrzał na mnie, wymamrotał coś niezrozumiałego, kiwnął głową, przesadnie wielkim krokiem podszedł do pustego fotela i zapadł w jego wysiedzianą głębię.

Usiadłem naprzeciw. Milczeliśmy dosyć długo, ale z niezrozumiałego powodu wyglądało to całkiem naturalnie. Nie był młody; liczył chyba koło pięćdziesięciu lat. Twarz miał nierówną. Zwracała uwagę tym, że jej lewa połowa ciała była mniejsza, jakby nie nadażyła we wzroście za prawą, i wskutek tego kąt ust, skrzydełko nosa, szpara powieki były po lewej drobniejsze, przez co twarz jego na zawsze przybrała wyraz przygnębionego zaskoczenia.

— Pan jesteś Tichy? — rzekł wreszcie, kiedy się tego najmniej spodziewałem. Przymknąłem głowę. — Ijon Tichy? Ten... podróżnik? — upewnił się raz jeszcze, pochylony do przodu. Patrzył na mnie nieufnie.

— Ależ tak — powtórzyłem. — Któż inny mógłby być w moim mieszkaniu?

— Mogłem się pomylić o piętro — mruknął, jakby zajęty czymś innym, daleko ważniejszym.

Nagle wstał. Odruchowo dotknął surduta, zamierzał go wygładzić, lecz jakby uświadomiwszy sobie płonność tego zamiaru — nie wiem, czy najlepsze żelazka i krawieckie zabiegi zdołałyby pomóc jego odzieniu, sfatygowanemu do ostateczności — wyprostował się i rzekł:

— Jestem fizykiem. Nazywam się Molteris. Słyszał pan o mnie?

— Nie — odparłem. Istotnie nigdy o nim nie słyszałem.

— To nie ma znaczenia — mruknął raczej do siebie niż do mnie.

Robił wrażenie ponurego, ale to było zamyślenie: ważył w sobie jakąś decyzję, powziętą

już przedtem, która spowodowała jego wizytę, lecz teraz oładnęły nim nowe wątpliwości. Widziałem to z jego ukradkowych spojrzeń. Miałem wrażenie, że nienawidzi mnie — za to, co chce, co musi mi powiedzieć.

— Zrobiłem odkrycie — wyrzucił nagle schrypniętym głosem. — Wynalazek. Takiego jeszcze nie było. Nigdy. Nie musi mi pan wierzyć. Nie wierzę nikomu, więc nie ma potrzeby, żeby mnie ktokolwiek wierzył. Wystarczą fakty. Udowodnię to panu. Wszystko. Ale — nie jestem jeszcze całkiem...

— Pan się obawia? — poddałem tonem życzliwym i uspokajającym. To są jednak szalone dzieci, obłąkane, genialne dzieci — ci ludzie. — Obawia się pan kradzieży, zdrady, co? Może pan być spokojny. Ten pokój widział już i słyszał o wynalazkach...

— O takim nie!!! — wybuchnął kategorycznie i w jego głosie, w błysku oka na mgnienie ujawniła się niewyobrażalna duma. Można było sądzić, że jest panem stworzenia. — Niech mi pan da jakieś nożyczki — powiedział ponuro w nowym napływie zgnębienia. — Albo może być nóż.

Podąłem mu nóż do papierów, który leżał na biurku. Rozciął gwałtownymi i zamaszystymi ruchami sznury, rozdarł papiery, cisnął je, zmięte i mokre, na podłogę z umyślnym chyba niedbalstwem, jak gdyby mówiąc „możesz wyrzucić mnie, połajac za to, że brudzę te twoje lśniące parkiety — jeżeli będziesz miał odwagę wyrzucić człowieka, jak ja, który tak się musi upokorzyć!” Ukazała się niemal dokładnie sześcienna skrzynia zbita z heblowanych desek, polakierowana czarno; pokrywa, tylko w połowie czarna, w połowie była zielona i przyszło mi do głowy, że nie starczyło mu już lakieru jednej barwy. Skrzynię zamykała szyfrowa kłódka. Molteńś nastawił cyferblat, osłaniając go ręką, nachylając się tak, że bym nie mógł dostrzec kombinacji, a kiedy kłódka szczęknęła, podniósł wolno i ostrożnie wieko.

Przez dyskrecję, a także nie chcąc go płoszyć, usiadłem z powrotem na fotelu. Mam wrażenie — choć nie dał mi tego poznać — że był mi za to wdzięczny. W każdym razie jak gdyby się nieco uspokoił. Zapusił ramiona w głąb skrzyni i z największym trudem, aż policzki i czoło nabiegły mu krwią, wydobyl z niej wielki, oksydowany czarno aparat z jakimiś pokrywami, lampami, kablami — ale nie znam się przecież na tym. Trzymając swoje brzemie jak kochankę w objęciach, wyrzucił zdławionym głosem:

— Gdzie jest... kontakt?!

— Tam — wskazałem mu kąć obok biblioteki, gdyż w drugim kontakcie tkwił sznur stołowej lampy. Zbliżył się do półek z książkami i z największą ostrożnością opuścił ciężki aparat na podłogę. Następnie wysupłał ze zwiniętych kabli jeden i wetknął go do kontaktu. Kucnąwszy przy swym aparacie, jał przesuwac rączki, naciskać kontakty — po chwili łagodny, śpiewny pomruk wypełnił pokój. Nagle na jego twarzy odmalował się lęk; zbliżył oczy do jednej z lamp, która, w przeciwieństwie do innych, dalej była ciemna. Prztyknął ją lekko palcami, a gdy nic się w niej nie zmieniło, gwałtownie wywracając wszystkie kieszenie, wyszukał śrubokręt, kawałek drutu, jakieś metalowe cążki i padłszy przed aparatem na kolana, jał gorączkowo, choć z najwyższą precyzją dłużyć w jego wnętrzościach. Nagle owa oslepla lampa wypełniła się różową poświatą. Molteris, który, zdawało się, zapomniał całkiem o tym, gdzie jest, wsadził z głębokim westchnieniem ulgi narzędzia do kieszeni, powstał i powiedział całkiem spokojnie, tak jak się mówi „zjadłem dziś chleb z masłem”:

— Tichy — to jest maszyna czasu.

Nie odpowiedziałem. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę z tego, jak delikatna i trudna była moja sytuacja. Wynalazcy tego typu — którzy wykoncypowali eliksir wiecznego życia albo elektryczny przepowiedacz przyszłości czy, jak w tym wypadku, maszynę czasu — spotykają się z najwyższym niedowierzaniem wszystkich, których usiłowali wtajemniczyć w swoje dzieło. Są oni pełni kompleksów, zadrażnień, boją się innych ludzi i jednocześnie pogardzają nimi, ponieważ wiedzą, że skazani są na ich pomoc; rozumiejąc to, muszą zachowywać w podobnych chwilach niezwykłą ostrożność. Cokolwiek bym zresztą zrobił,

zostałoby przyjęte źle. Wynalazca, który szuka pomocy, pchany jest rozpaczą, a nie nadzieją i oczekuje nie życzliwości, lecz drwiny. Życzliwość zresztą — tego nauczył go doświadczenie — jest tylko wstępem, po którym z reguły przychodzi lekceważenie, ukryte w słowach perswazji — bo, naturalnie, nie raz już i nie dwa usiłowano mu jego ideę wyperswadować. Gdybym powiedział: „Ach, to niezwykle, naprawdę wynalazł pan maszynę czasu?” — rzuciłby się może na mnie z pięściami. To, że milczałem, zaskoczyło go.

— Tak — powiedział, wsadzając impertynencko obie ręce do kieszeni — to jest wehikuł czasu! Maszyna do podróżowania w czasie, rozumie pan?!

Skinąłem głową starając się, aby nie wypadło to przesadnie.

Jego impet poszedł w próżnię, stracił się — chwilę stał z bardzo niemądrym wyrazem twarzy. Nie była nawet stara, była tylko zmęczona — niesłychanie udręczona, przekrwienie oczu świadczyło o niezliczonych nocach czuwania, powieki miał podpuchnięte, zarost, usunięty na tę okazję, pozostał przy uszach i pod dolną wargą na znak, że golił się szybko i niecierpliwie — świadczył też o tym czarny plasterk na policzku.

— Pan nie jest fizykiem, co?

— Nie.

— Tym lepiej. Gdyby pan był fizykiem, nie uwierzyłby mi pan nawet po tym, co zobaczy pan na własne oczy, bo to

— wskazał na aparat, który wciąż mruczał cichutko jak senny kot (lampy rzucały różowy odbłask na ścianę) — mogło powstać dopiero po obaleniu tego steku idiotyzmów, który oni uważają dziś za fizykę. Czy ma pan jakąś rzecz, z którą mógłby się pan bez żalu rozstać?

— Może bym znalazł — odparłem. — Co to ma być?

— Wszystko jedno. Kamień, książka, metal — byle nic radioaktywnego. Ani śladu radioaktywności, to jest ważne. Mogłoby doprowadzić do nieszczęścia. — Mówił jeszcze, kiedy wstałem i podszedłem do biurka. Jak wicie, jestem pedantem i najmniejszy drobiazg ma u mnie swoje niezmiennie miejsce, a już szczególną uwagę przykładam do zachowania ładu w bibliotece; tym bardziej zdziwiła mnie rzecz, która wydarzyła się dnia poprzedniego: pracowałem przy biurku od śniadania, to znaczy od wczesnych godzin rannych, nad ustępem, który przysporzył mi sporo mozołu — i podnosząc w pewnej chwili głowę znad rozłożonych na całym biurku papierów, zauważyłem leżącą pod ścianą, w kącie koło biblioteki, ciemnoburaczkową książkę ósemkowego formatu; spoczywała na podłodze, jakby ją tam ktoś rzucił.

Wstałem i podniosłem ją. Poznałem okładkę; była to odbitka z kwartalnika medycyny kosmicznej, zawierająca pracę dyplomową jednego z raczej dalszych moich znajomych. Nie rozumiałem, w jaki sposób znalazła się na podłodze. Wprawdzie do pracy zasiadłem pogrążony w myślach i nie rozglądałem się specjalnie po pokoju, ale mógłbym przysiąc, że kiedy wchodziłem do pokoju, nic nie leżało na podłodze pod ścianą: zwróciłoby to natychmiast moją uwagę. W końcu jednak musiałem uznać, że się bardziej niż kiedykolwiek zagłębił w myślach i w ten sposób stałem się na chwilę niewrażliwy na otoczenie — i dopiero gdy koncentracja mej uwagi zmaląła, nie widzącymi dotąd oczami dostrzegłem książeczkę na podłodze. Inaczej nie można było tego faktu wytłumaczyć. Wstawiłem ją na półkę i zapomniałem o wszystkim, teraz jednak, po słowach Molterisa, buraczkowy grzbiet tej niepotrzebnej mi całkiem pracy sam jak gdyby wsunął mi się w rękę, podałem mu ją więc bez słowa.

Ujął ją, zważył w dłoni, nie patrząc nawet na tytuł, uniósł czarną pokrywę w środku aparatu i powiedział:

— Proszę tu przyjść...

Stanąłem obok niego. Ukląkł, nastawił gałkę, podobną do regulatora aparatu radiowego, i nacisnął zakłęsły, biały guzik obok niej. Wszystkie światła pokoju pociemniały, w kontakcie, w którym tkwił kabel aparatu, pojawiła się, ze szczególnym, przeszywającym skwierczeniem,

błękitna iskra, lecz poza tym nic się nie stało.

Pomyślałem, że zaraz spali mi wszystkie stopki, a on odezwał się ochryple:

— Uważaj pan!

Włożył książkę do wnętrza aparatu, tak że leżała na płask, i nacisnął małą, wystającą z boku, czarną rączkę.

Światła lamp powróciły wtedy do normalnego blasku, a równocześnie ów w tekturę oprawny, ciemny tomik na dnie aparatu zamglił się. W ułamku sekundy sprzejrzyście i wydało mi się, że poprzez zamknięte okładki widzę białawe kontury stronic i zlewające się rządki druku, ale trwało to bardzo krótko, w następnej sekundzie książka rozpułyła się, znikła, i widziałem już tylko puste, czarno oksydowane dno aparatu.

— Przesunęła się w czasie — powiedział nie patrząc na mnie. Wstał ciężko z podłogi. Na jego czole lśniły drobne, jak ostrza szpilek, kropelki potu. — Albo, jeśli pan woli — odmłodziła...

— O ile? — spytałem. Rzeczowość tych słów wypogodziła nieco jego twarz. Ta jej lewa, mniejsza, jakby zmarniała połowa — była także nieco ciemniejsza, jak zauważyłem z bliska — zadrgała.

— Mniej więcej o dobę — odparł. Dokładnie nie umiem tego jeszcze obliczyć. Ale to — urwał i spojrzął na mnie.

— Był pan tu wczoraj? — spytał, nie ukrywając napięcia, z jakim czekał mej odpowiedzi.

— Byłem — odpowiedziałem z wolna, bo naraz jak gdyby podłoga jeła odpływać mi spod stóp. Zrozumiałem, i w oszołomieniu, nie dającym się porównać do niczego prócz uczucia z niewiarygodnego snu, połączyłem oba fakty: wczorajsze pojawienie się, tak niewytłumaczalne, książki, dokładnie w tym właśnie miejscu, pod ścianą — i jego obecny eksperyment.

Powiedziałem mu to. Nie rozpromienił się, jak mógłby ktoś sądzić, tylko milcząc, kilkakrotnie otarł czoło chustką; zauważyłem, że poci się gwałtownie i że trochę pobladł. Przynależem mu krzesło i sam usiadłem.

— Może powie mi pan teraz, czego sobie życzy ode mnie? — spytałem, kiedy się widocznie uspokoił.

— Pomocy — mruknął. — Wsparcia — nie, nie jałmużny. Niech to będzie... niech się to nazywa zaliczką na udział w przyszłych zyskach. Wehikuł czasu... rozumie pan chyba sam... — nie dokończył.

— Tak — odparłem. — Przypuszczam, że potrzebna jest panu suma raczej znaczna?

— Bardzo znaczna. Widzi pan — w grę wchodzi wielkie ilości energii, ponadto celownik czasowy — aby przenoszone ciało dotarło dokładnie do tej chwili, w której pragniemy je ulokować — wymaga jeszcze długotrwałych prac.

— Jak długo? — poddałem.

— Co najmniej rok...

— Dobrze — odparłem. — Rozumiem. Tylko, widzi pan: musiałbym poszukać... pomocy osób trzecich. Po prostu mówiąc, finansistów. Nie miałby pan chyba nic przeciw temu...

— Nie,.. oczywiście, że nie — odparł.

— Dobrze. Zagram z panem w otwarte karty. Większość ludzi na moim miejscu przypuszczałaby — po tym, co mi pan pokazał — że ma do czynienia z trikiem, ze zręcznym oszustwem. Ale ja panu wierzę. Wierzę panu i zrobię, co będę mógł. To zajmie mi oczywiście trochę czasu. W tej chwili jestem bardzo zajęty, poza tym — będę musiał zasięgnąć rady...

— Fizyków? — rzucił. Słuchał mnie z najwyższym napięciem.

— Nie, skąd. Widzę, że pan ma uraz na tym punkcie — proszę nic nie mówić. O nic nie pytam. Rada będzie mi potrzebna dla wybrania najważniejszych ludzi, którzy byliby gotowi...

Urwałem. I jemu w tejże chwili musiała zaświtać ta sama myśl, co mnie, oczy rozblęły

mu.

— Panie Tichy — powiedział — nie musi pan zasięgać niczyjej rady... ja sam powiem panu, do kogo ma się pan udać...

— Z pomocą swojej maszyny, tak? — dorzuciłem. Uśmiechnął się triumfalnie. — Oczywiście! Że przedtem na to nie wpadłem... jakież ze mnie osioł...

— A pan już poruszał się w czasie? — spytałem.

— Nie. Maszyna działa dopiero od niedawna, od zeszłego piątku, wie pan. Wysłałem tylko kota...

— Kota? I co — wrócił?

— Nie. Przesunął się w przyszłość — mniej więcej o pięć lat; skala nie jest jeszcze dokładna. Precyzja w ustaleniu momentu zatrzymania się w czasie wymaga wybudowania dyferencjatora, który koordynowałby wicherujące się pola. Tak, jak jest, desynchronizacja powodowana kwantowym efektem tunelowania...

— Nie rozumiem, niestety, nic z tego, co pan mówi — powiedziałem. — Ale dlaczego pan sam nie próbował?

To wydało mi się dziwne, żeby nie powiedzieć więcej. Molteris zmieszał się.

— Zamierzałem, ale... widzi pan... ja... mój gospodarz wyłączył mi elektryczność... w niedzielę.

Jego twarz, a właściwie jej normalna prawa połowa pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

— Zalegam z komornym i dlatego... — bełkotał. — Ale naturalnie... zaraz... Tak, pan ma słuszność. Ja to — zaraz. Wejdę tu, widzi pan? Uruchomię aparat i... znajdę się w przyszłości. Dowiem się, kto sfinansował przedsięwzięcie — dowiem się nazwisk tych ludzi, dzięki temu będzie pan mógł natychmiast, bez zwłoki...

Mówiąc to, rozsuwał już na boki przegrody dzielące wnętrze aparatu na części.

— Czekaj że pan — powiedziałem — nie, tak nie chcę. Przecież nie będzie pan mógł wrócić, skoro aparat zostanie tu, u mnie.

Uśmiechnął się.

— Ach, nie — odparł. — Będę podróżował w czasie razem z aparatem. To jest możliwe — on ma dwa rozmaite nastawienia. Tu, ten wariometr, widzi pan. Jeżeli wysyłam coś w czasie, a chcę, żeby aparat został, to ogniskuję pole do tej małej przestrzeni pod klapą. Ale jeśli chcę sam przesunąć się w czasie, to rozszerzam pole, aby ogarniało cały aparat. Tylko pobór mocy będzie większy. Iluamperowe ma pan bezpieczniki?

— Nie wiem — powiedziałem — ale obawiam się, że nie wytrzymają. Już przedtem, kiedy pan tę książkę... ekspediował, światła przygasły.

— To drobiazg — rzekł — zmienię stopki na mocniejsze, jeśli pan naturalnie pozwoli...

— Proszę.

Zabrał się do dzieła. Jego kieszenie zawierały koncentrat elektrotechnicznego warsztatu. Po dziesięciu minutach był gotów.

— Wyruszą — rzekł wróciwszy do pokoju. — Myślę, że powinienem przesunąć się co najmniej o trzydzieści lat.

— Aż tyle? Dlaczego? — spytałem. Staliśmy przed czarnym aparatem.

— Za kilka lat będą znali rzecz fachowcy — odparł — ale za ćwierć wieku już każde dziecko — w szkole będą tego uczyli i nazwisk ludzi, którzy przyczynili się do urzeczywistnienia sprawy, będę się mógł dowiedzieć od pierwszego lepszego przechodnia.

Uśmiechnął się blado, potrząsnął głową i obiema nogami wstąpił do wnętrza aparatu.

— Światła skoczą — powiedział — ale to nic. Bezpieczniki wytrzymają na pewno. Natomiast... z powrotem może być pewien kłopot.

— Jak to?

Spojrzał na mnie bystro.

— Czy nie widział mnie pan tu kiedyś?

— Co pan mówi? — Nie rozumiałem.

— No... czy wczoraj, albo przed tygodniem, przed miesiącem. .. a choćby przed rokiem nawet... nie widział mnie pan? Tu, w tym kącie, czy nie pojawił się nagle człowiek, stojący, jak ja, obiema nogami w takim aparacie?

— A! — zawołałem — rozumiem... pan się obawia, że powracając, może się pan cofnąć w czasie nie do chwili obecnej, ale minąwszy ją, zatrzyma się pan gdzieś, w minionej przeszłości, co? Nie — nigdy pana nie widziałem. Co prawda, wróciłem z podróży przed dziewięcioma miesiącami; do tego czasu dom był pusty...

— Zaraz... — rzekł. Namyslał się głęboko. — Sam nie wiem... — powiedział wreszcie. — Przecież gdybym tu był kiedyś — powiedzmy, kiedy dom był, jak pan mówi, pusty, to i ja powinienem o tym wiedzieć, pamiętać to — nie?

— Bynajmniej — odparłem żywo — to jest paradoks pętli czasu; pan był wtedy gdzieś indziej i robił to coś innego — pan, z owego okresu; natomiast niechcący wejść w ten miniony czas może pan z chwili obecnej, z teraźniejszości...

— No — powiedział — w końcu to nie takie znów ważne. Jeżeli nawet cofnę się zbyt daleko wstecz, to zrobię poprawkę. Najwyżej sprawa się odrobinę przedłuży. To w końcu pierwsze doświadczenie, muszę poprosić pana o cierpliwość...

Pochylił się i nacisnął pierwszy guzik. Światła od razu siadły; aparat wydał słaby, wysoki ton, jak uderzona szklana pałeczka. Molteris podniósł rękę w geście pożegnania, a drugą dotknął czarnej rączki, prostując się zarazem. Kiedy się tak prostował, światła lamp na nowo zapłonęły pełnym blaskiem i ujrzałem, jak jego postać się zmienia. Ubranie ściemniało na nim i jęło mgławicę, lecz nie zwróciłem na to uwagi, rażony tym, co stało się z jego głową: przezroczyściejąc, czarne jego włosy jednocześnie białaty, jego postać zarazem rozplywała się i kurczyła, tak że kiedy znikł mi z oczu wraz z aparatem i znalazłem się przed pustym kątem pokoju, pustą podłogą — białą, nagą ścianą z kontaktem, w którym nic nie tkwiło — kiedy, powiadam, zostałem tak, z otwartymi ustami, z gardłem, w którym uwiązał okrzyk zgrozy, we wzroku miałem jeszcze tę jego niesamowitą przemianę, bo on, panowie, znikając, porwany czasem, jednocześnie starzał się z zawrotną szybkością; przeżył chyba dziesiątki lat w ułamku sekundy! Podeszedłem na dygocących nogach do fotela, przysunąłem go, aby dobrze widzieć ten pusty, oświetlony jaskrawo kąt, usiadłem i zacząłem czekać. Czekałem tak całą noc, do rana. Panowie — od tego czasu upłynęło siedem lat. Myślę, że on już nigdy nie wróci, bo, pochłonięty swą ideą, zapomniał o pewnej rzeczy nad wyraz prostej, wręcz elementarnej, którą, nie wiem, z nieświadomości czy z nieuczciwości, pomijają wszyscy autorzy fantastycznych hipotez. Przecież podróżnik w czasie, jeśli przesunie się w nim o dwadzieścia lat, o tyleż lat musi się stać starszy — bo i jak może być inaczej? Oni wyobrażali to sobie w ten sposób, że teraźniejszość człowieka może zostać przeniesiona w przyszłość i jego zegarek będzie pokazywał godzinę odlotu, podczas kiedy wszystkie zegary wokół będą pokazywać godzinę przyszłości. Ale to jest, rozumie się, niemożliwe. Żeby tak było, musiałby wyjść z czasu i poza nim niejako wspiąć się ku przyszłości i wyszukawszy jej pożądany moment — wejść do niego — z zewnątrz... jak gdyby istniało cośkolwiek, co leży poza czasem. Ale takiego miejsca ani takiej drogi nie ma i nieszczęsny Molteris własnymi rękami uruchomił maszynę, która zabiła go — starością, niczym innym, i kiedy zatrzymała się tam, w docelowym punkcie przyszłości, zawierała już tylko osiwiałego, skurczonego trupa...

A teraz panowie, rzecz najstraszniejsza. Ta maszyna stanęła tam, w przyszłości, a ten dom, wraz z mieszkaniem, z tym pokojem, i tym pustym kątem także podróżuje przecież w czasie — ale w ten jedyny dostępny dla nas sposób — aż dotrze, w końcu, do owej chwili, w której maszyna się zatrzymała, a wówczas ona pojawi się tam, w tym białym kącie, a wraz z nią — Molteris... to, co zostało z niego... i to jest zupełnie pewne.

FORMUŁA LYMPHATERA

Łaskawy panie... chwileczkę. Przepraszam za natarczywość — tak, wiem — mój wygląd... ale zmuszony jestem prosić — nie, ach, nie. To nieporozumienie. Szedłem za panem? Tak. To prawda. Od księgarni — ale tylko dlatego, że widziałem przez szybę... pan kupował *Biophysics i Abstrakty*... i kiedy pan tu usiadł, teraz, pomyślałem, że to nadzwyczajna okazja — gdyby pan mi pozwolił przejrzeć... jedno i drugie. Ale głównie *Abstrakty*. To dla mnie — życiowe, a... nie mogę sobie pozwolić. To zresztą widać, prawda... Przejrzę i zaraz zwrócę, to nie potrwa długo. Szukani tylko czegoś — określonej notatki — najlepiej będzie... Pan mi to daje? Nie wiem, jak dziękować... wyjdę lepiej, kelner nadchodzi, nie chciałbym, aby... przekartkuję na ulicy, naprzeciw, widzi pan? Jest ławka... i natychmiast... Co pan mówi? Nie, niechże pan tego nie robi — nie powinien mnie pan zapraszać. Naprawdę... dobrze, już, już siadam. Proszę? Tak, oczywiście, może być kawa. Cokolwiek, jeśli to — konieczne. O, nie. Co to — naprawdę nie. Nie jestem głodny. Możliwe, że moja twarz nasuwa — ale to tylko pozory. Czy mogę przejrzeć, chociaż to niegrzeczne? Dziękuję. To ostatni numer... nie, już widzę, że w *Biophysics* nic nie ma. A tu — tak... tak... — aha. Crispen — Nowikow — Abdergarten — Suhima, proszę, już drugi raz — och... Nie. To nie to. Nic nie ma. Dobrze... zwracam z podziękowaniem. Znowu spokój, na dwa tygodnie... To wszystko. Proszę sobie nie przeszkadzać. Kawa? A prawda, kawa. Tak, tak. Już siedzę. Będą milczał. Nie chciałbym się narzucać, natarczywość ze strony indywiduum, jak ja — proszę? Tak, zapewne, to się wydaje dziwne, takie zainteresowania, przy moim, hm, *exterieur*... ależ na Boga, tylko nie to. Za co znowu pan ma mnie przeproszać? Dziękuję bardzo — nie, piję bez cukru. To przyzwyczajenie z lat, kiedy nie byłem jeszcze taki gadatliwy... pan nie chce czytać? Bo myślałem... Ach, to oczekiwanie w oczach. Nie, nie w zamian. Nic w zamian, za pozwoleniem: oczywiście, że mogę. To niczym nie grozi. Żebrak, który studiuje *Journal of Biophysics i Abstrakty*. Zabawne. Zdaję sobie z tego sprawę. Zachowałem, z lepszych czasów, poczucie humoru. Doskonała kawa. Wygląda na to, że interesuję się biofizyką? Właściwie niezupełnie. Moje zainteresowania... nie wiem, czy warto... proszę tylko nie myśleć, że się drożę. Co? To pan? To pan ogłosił w zeszłym roku tę rzecz o komitantach wielokrzywiznowych afinorów? Nie przypominam sobie pełnego tytułu, ale to było ciekawe. Zupełnie inaczej niż Baum. Halloway próbował to zrobić, w swoim czasie, ale mu nie wyszło. Pokraczne te afinory... pan wie, jakie są grząskie układy nieholonomiczne... można utonąć, z matematyką jest tak zawsze, kiedy człowiek pragnie, w pośpiechu, osadzić ją, chwycić byka za rogi... tak. Dawno już powinienem był powiedzieć. Lymphater. Ammon Lymphater, to moje nazwisko. Proszę się nie dziwić memu rozczarowaniu. Nie ukrywam go, po co? Spotykało mnie to już sporo razy, a jednak, za każdym razem na nowo — to jest trochę — bolesne. Wszystko rozumiem... ostatni raz drukowałem się... dwadzieścia lat temu. Przypuszczam, że pan wówczas jeszcze... no, naturalnie. Jednak? Trzydzieści lat? No cóż, wtedy miał pan dziesięć; zainteresowania szły raczej — w inną stronę... A potem? Boże kochany, widzę, pan nie nalega. Pan jest dyskretny, gdyby nie to — powiedziałbym, że usiłuje mnie pan traktować jak... kolegę. Ach, skądże. Nie znam fałszywego wstydu. Prawdziwy mi wystarczy. Dobrze. Historia jest na tyle niewiarygodna, że się pan rozczaruje — bo uwierzyć mi niepodobna — nie, nie można. Mówię panu. Nieraz już ją opowiadałem. I zarazem odmawiałem podania szczegółów, które by ją zweryfikowały. Dlaczego? Zrozumie pan, jak usłyszy. Ale to długie... proszę, ostrzegałem jednak. Sam pan chciał. Zaczęło się to bez mała trzydzieści lat temu. Ukończyłem studia i pracowałem u profesora Haave. No, oczywiście, że pan o nim słyszał. To była sława! Bardzo rozsądna sława. Nie lubił ryzykować. Nigdy nie ryzykował. Owszem, pozwalał nam — byłem jego asystentem — na to i owo poza granicami zajęć, ale w zasadzie

— nie. Niech to będzie tylko moja historia. Oczywiście, jest zrośnięta z innymi ludźmi, ale mam skłonność do dywagacji, która mi się na stare lala wymyka spod kontroli. Mam w końcu sześćdziesiąt lat, wyglądam na więcej, zapewne, także i przez to, co własnymi rękami...

Incipiam. Proszę pana — to było w latach siedemdziesiątych. Pracowałem u Haavego, ale interesowałem się cybernetyką. Pan wie przecież, jak to jest: najpiękniejsze są cudze ogrody. Interesowałem się nią coraz bardziej. Za bardzo w końcu, aby mógł to ścierpieć. Nie dziwię mu się. Wtedy się też nie dziwiłem, miałem trochę kłopotów z przeniesieniem, w końcu wylądowałem u Dyamona. Dyamon, także pan o nim słyszał pewno, wyszedł ze szkoły McCullocha. Był, niestety, szalenie apodyktyczny. Wspaniały matematyk, a przestrzeniami imaginacyjnymi żonglował wprost, szalenie lubiłem jego wykłady. Miał taki zabawny zwyczaj wyrzaskiwania końcowego rezultatu, jak lew — mniejsza o to. Pracowałem u niego rok, czytając i czytając — pan wie, jak to jest: kiedy wychodziła nowa książka, nie mogłem się doczekać, aż dostanie się do naszej biblioteki, biegłem i kupowałem. Pochłaniałem wszystko. Wszystko... Dyamon, owszem, uważał mnie za rokującego nadzieje... i tak dalej. Miałem jedną niezłą rzecz, już wtedy — fenomenalną pamięć. Pan wie — mogę panu, choćby zaraz, wyrecytować tytuły wszystkich prac ogłoszonych, rok po roku, w Instytucie na przestrzeni dwunastu lat. Nawet dyplomowych... Teraz tylko pamiętam, wtedy zapamiętywałem. To umożliwiała mi zestawienie rozmaitych teorii, punktów widzenia, bo w cybernetyce toczyła się wtedy święta, zażarta wojna i duchowe dzieci wspaniałego Norberta skakały sobie do oczu, aż... Ale mnie gryzł jakiś robak. Byłem entuzjastą na dzień; co mnie dziś zachwycało, jutro zaczynało niepokoić. O co szło? No, jakże — o teorię mózgow elektronowych... Ach tak? Będę otwarty: proszę pana, to nawet dobrze, bo nie będę się musiał nadmiernie pilnować, aby nieopatrnie wymienionym szczegółem — skąd znowu! Ależ to byłoby obelgą, z mojej strony! Nie obawiam się żadnej — żadnego plagiatu, bynajmniej, sprawa jest daleko poważniejsza, sam pan zobaczy. Tymczasem — kołuję i kołuję... Co prawda — wstęp jest konieczny. Otóż, proszę pana, cała teoria informacji wyskoczyła paru ludziom z głowy, nieomalże z dnia na dzień, początkowo wszystko wydawało się względnie proste — sprzężenie zwrotne, homeostaza, informacja jako odwrotność entropii — ale wnet okazało się, że to się nie da zamknąć szybko w system, że to są trzęsawiska, matematyczne trzęsawiska, bezdroża. Zaczęły powstawać szkoły, praktyka szła swoim torem, budowano te tam różne elektronowe maszyny do liczenia, do tłumaczenia, te uczące się, grające w szachy... a teoria — swoim, że inżynierowi od tych maszyn niebawem ciężko było się porozumieć z informatorem — teoretykiem... O mały włos byłbym się sam utopił w tych nowych matematykach, które powstawały jak grzyby po deszczu czy raczej jak nowe narzędzia w rękach włamywaczy, usiłujących rozpruć pancierz tajemnicy... to są jednak dziedziny fascynujące, prawda? Można mieć brzydką kobietę czy zwykłą, i zazdrościć tym, co mają piękne, ale w końcu kobieta jest kobietą; natomiast ludzie pozbawieni matematyki — głusi na nią — wydawali mi się zawsze kalekami! Ubożsi o taki świat! Nawet go nie przeczuwający! Taka konstrukcja matematyczna to ogrom — prowadzi, dokąd chce, człowiek niby stwarza ją, a w gruncie rzeczy odkrywa tylko zesłaną, niewiadomo skąd, ideę platońską, zachwyty i przepaść — bo najczęściej prowadzi do nikąd... Pewnego dnia powiedziałem sobie: dość. Wszystko to wspaniałe, ale mnie nie wspaniałości trzeba, muszę zacząć od początku, sam, zupełnie, jakby nigdy na świecie nie było żadnego Wienera, Neumanna, McCullocha... I tak, z dnia na dzień, po mojemu, zrobiłem porządkę w bibliotece, okrutne porządkę, zapisałem się na kurs profesora Hayatta i zacząłem studiować neurologię zwierząt. Od małży, od mięczaków, od samego początku, wie pan. Okropna historia, bo to jest właściwie opisowe — oni, ci nieszczęśni biologowie, zoologowie, w gruncie rzeczy nic nie rozumieją. Widziałem to doskonale — no, a kiedyśmy doszli po dwu latach mozołu do budowy mózgu ludzkiego, chciało mi się śmiać. Naprawdę; miałem te wszystkie prace i fotogramy Ramona y Cajala, te czernione srebrem rozdrzewienia neuronów korowych...

dendryty w mózdzku, niby czarne koronki, śliczne... i przekroje mózgu i rdzenia, tysięczne, stare, jeszcze z atlasów Willigera, i powiadam panu: śmiałem się! Ależ oni byli poetami, ci anatomowie, proszę pana, jak oni ponazywali te wszystkie części, których przeznaczenia w ogóle nie pojmowali: róg Hippocampa... róg Ammona... ciała czworacze... szczelina ostrogi...

Pozornie to nic nie ma do mojej sprawy. Pozornie tylko, bo, proszę pana, to, że dziwiło mnie zawsze tak wiele z rzeczy, które absolutnie nie dziwiły... nie zastanawiały nawet innych — gdyby nie to, pewno byłbym dziś profesorem ze sklerozą, miałbym za sobą ze dwieście prac, których już nikt nie pamięta — a tak...

Chodzi o tak zwaną inspirację. Skąd mi się to wzięło — pojęcia nie mam. Odruchowo — od lat, od zawsze chyba — wszyscy wyobrażali sobie, że istnieje, że liczy się tylko jeden rodzaj, jeden typ mózgu, taki, którym natura wyposażała człowieka. No, bo homo to istota tak rozumna, naczelna, pierwsza wśród naczelnych, pan i król stworzenia... Tak. Więc modele, i te na papierze, matematyczne, Rashevskiego, i te elektryczne, Grey Waltera, wszystko to powstało *sub summis auspiciis* mózgu ludzkiego, jako tej niedosiężnej, najdoskonalszej, neuronowej maszyny do myślenia. I łudzili się, poczciewcy, że jeżeli uda im się kiedyś skonstruować mózg mechaniczny, który będzie mógł rywalizować z ludzkim, to, rozumie się, tylko dlatego, że będzie konstrukcyjnie zupełnie do ludzkiego podobny. Chwila zastanowienia bez uprzedzeń wykazuje bezbrzeżną naiwność tego poglądu. Co to jest słoń — spytano mrówki, która go nigdy nie widziała — To bardzo, bardzo wielka mrówka — odparła... Proszę? Teraz też? Wiem o tym, to jest dogmat w dalszym ciągu, wszyscy nadal tak sądzą, dlatego właśnie Corvaiss nie chciał wydrukować mojej pracy — na szczęście nie chciał. Teraz tak mówię; wtedy, wtedy oczywiście byłem szalony z gniewu... ba. Rozumie pan. Jeszcze trochę cierpliwości. Więc — inspiracja... Wróciłem do ptaków. To jest, proszę pana, bardzo ciekawa historia. Pan wie? Ewolucja szła rozmaitymi drogami — bo ona jest ślepa, jest ślepym rzeźbiarzem, który nie widzi własnych tworców i nie zna — jak mógłby? — ich przyszłości. Przenośnie mówiąc, wygląda to tak, jakby natura, w bezustannych próbach, raz po razie zapędzała się w zamknięte, ślepe uliczki — wtedy po prostu zostawia w nich te swoje niedowarzone stworzenia, te niewydarzone rezultaty eksperymentów, którym nie przyświecało nic prócz cierpliwości: bo trwały setki milionów lat... i zabierała się do nowych. Człowiek jest sobą dzięki tak zwanemu nowo mózgowiu, *neoenkephalon*, a to, co jest właściwym mózgiem ptaków — prądkowie — *striatum* — to u niego znajduje się zepchnięte w głąb, przyciśnięte tym wielkim hełmem, tym okrywającym wszystko płaszczem naszej chluby i dumy, kory mózgowej... Może i sztych trochę, Bóg wie czemu. Więc to było tak — ptaki i owady, owady, ptaki — to mi nie dawało spokoju. Dlaczego ewolucja utknęła? Na czym utknęła? Dlaczego nie ma rozumnych ptaków, inteligentnych mrówek? A bardzo by się... o, wie pan, ależ proszę zważyć: gdyby owady poszły dalej w rozwoju, człowiek nie mógłby im butów czyścić, nie miałby tu nic do roboty, nie wytrzymałby konkurencji — skądże! Dlaczego? No, jakże? Przecież ptaki i owady, w różnym co prawda stopniu, przychodzą na świat z gotową wiedzą, taką, jaka im jest potrzebna, rozumie się, wedle stawu grobla. One prawie niczego nie muszą się uczyć, a my? My tracimy połowę życia na naukę po to, aby w drugiej połowie przekonać się, że trzy czwarte tego, czym napchaliśmy sobie głowę, jest niepotrzebnym balastem. Czy pan sobie wyobraża, co by to było, gdyby dziecko Hayatta albo Einsteina mogło przyjść na świat z wiedzą odziedziczoną po ojcu? Tymczasem jest głupie jak każdy noworodek. Uczenie się? Plastyczność ludzkiej inteligencji, co? Proszę pana, j? też w to wierzyłem. Nic dziwnego. Kiedy się słyszy ten aksjomat od ławy szkolnej, powtarzany bez końca: że człowiek właśnie dzięki temu, przychodzący na świat jak nie zapisana karta, tak że musi się nawet chodzenia, nawet chwytania ręką przedmiotów uczyć, że w tym tkwi jego siła, wyróżnienie, przewaga, źródło potęgi, nie słabości — a wokół widzi się ogrom cywilizacji — to wierzy się w to, przyjmuje za oczywistość nie wartą dyskusji.

Ja jednak wciąż wracałem do ptaków i owadów. Jak to się dzieje — w jaki sposób to, co dziedziczone, jest gotową wiedzą, przekazywaną z pokolenia na pokolenie... Jedno było wiadome. Ptaki właściwie nie mają kory, to znaczy, kora nie ma większego znaczenia w ich neurofizjologii — a owady nie mają jej ani krzty, i otóż owady przychodzą na świat z omal wiedzą niezbędną do życia, a ptaki ze znaczną jej częścią. Z tego wynika, że kora jest podłożem uczenia się, tej... tej przeszkody na drodze do wielkości. Bo inaczej wiedza kumulowałaby się, tak że praprawnuk jakiegoś Leonarda da Vinci byłby umysłem, wobec którego Newton czy Einstein przedstawiałby imbecyla! Przepraszam. Uniosłem się. Tak zatem — owady i ptaki... Ptaki. Tu sprawa była jasna. Wywiodły się, nieprawdaż, z jaszczurów, wiać mogły tylko rozwijać ten plan, to założenie konstrukcyjne, które tkwiło w jaszczurach: archistriatum, pallidum, te części mózgowia były już dane, nie miały właściwie żadnej drogi przed sobą, nim pierwszy wzbił się w powietrze, sprawa była przegrana. Rozwiązanie kompromisowe: trochę jąder nerwowych, trochę kory — ni to, ni sio — kompromisy nigdy nie popłacają, w ewolucji też nie. Owady — no, tu sprawa wyglądała inaczej. Miały szansę: ten symetryczny, równoległy układ nerwowy, parzyste mózgi brzuszne... po których my odziedziczyliśmy szczątek, ale to jest scheda nie tylko zaprzepaszczone, lecz i przekształcona — czym się zajmują u nas? Funkcjonowaniem naszych kiszek! Ale to — proszę zauważyć, bardzo proszę! — umieją od urodzenia; te układy — sympatyczny, parasympatyczny — niczego nie muszą się uczyć, władania sercem, wnętrznościami; tak, wegetatywny układ potrafi to, jest mądry natychmiast! Że to nikomu nie dało do myślenia, co...? Tak jest — tak musi być, kiedy generacje rodzą się i odchodzą zaślepione wiarą w swoją fałszywą doskonałość. Dobrze, ale co się z nimi stało — z owadami? Dlaczego tak okropnie stanęły, tak się zmechanizowały, skąd ten paraliż rozwoju, ten nagły koniec, który przyszedł prawie miliard lat temu i wstrzymał je na zawsze, a jednak nie był dość potężny, żeby je unicestwić? Ba, skąd! Ich możliwości zrujnował przypadek. Zupełny, głupi przypadek — boi one znowu pochodzą od pratchawców. A pratchawce wyszły na ląd z oceanu, mając już system oddechowy uformowany, ewolucja nie może jak inżynier, kiedy jest niezadowolony z rozwiązania, rozebrać swojej maszyny, wyrysować nowego planu i złożyć od nowa tych nieszczęsnych części, zaczynając od zera. Ewolucja nie potrafi tego. Jej twórczość wyżywa się w poprawkach, udoskonaleniach, dobudówkach... jedną z nich jest nasza kora mózgowia... Tchawki — to było przekleństwo owadów! Nie miały płuc, miały tchawki, a mając je, nie mogły rozwinąć aparatu oddechowego poruszanego aktywnie, uważa pan? No, bo tchawki to po prostu system rurek, otwierających się na powierzchni ciała, i tyle tylko dostarczyć mogą tlenu, ile go samoistnie wpłynie otworkami... Dlatego, proszę pana. To zresztą, rozumie się, wcale nie jest moje odkrycie. Mówi się o tym jednak półgębkiem: to nie jest ważne. Czynnikiem, który wyeliminował najstraszliwszego współzawodnika ludzkości... Och, co może zaślepienie! Tchawki, po przekroczeniu pewnej, dokładnie dającej się obliczyć wielkości ciała, nie mogą dostarczyć już dostatecznej ilości powietrza. Organizm dusiłby się. Ewolucja — oczywiście — zainterweniowała: owady musiały pozostać małe. Proszę? Te ogromne motyle mezozoiczne? To bardzo piękny przykład matematycznej zależności — bezpośredniego wpływu prostych praw fizycznych na życie... ilość tlenu, przedostającego się do wnętrza organizmu, zależy nie tylko od średnicy tchawek, ale i od szybkości konwencji... a ona znów — od temperatury; tak więc w epoce mezozoicznej, podczas tych wielkich ociepleń, które zapełniły palmami i lianami okolice Grenlandii nawet, w tropikalnym klimacie wylęgły się te wielkie, jak dłonie, ćmy i motyle — były to jednak efemerydy i zniszczył je pierwszy chłód, pierwsza seria lat mniej upalnych, dżdżystych... nawiasem mówiąc, i dziś największe owady spotykamy w tropikach... ale to małe organizmy; największe też są małe, w zestawieniu z przeciętnym czworonogiem, kręgowcem — nikłe rozmiary układu nerwowego, nic się nie dało zrobić, ewolucja była bezsilna.

Pierwszą moją myślą było zbudować mózg elektronowy według schematu systemu

nerwowego owadów... jakich? No, chociażby mrówki. Ale wnet doszedłem do tego, że to po prostu głupota, że chcę iść drogą najmniejszego oporu. Dlaczego ja, konstruktor, mam powtarzać błędy ewolucji? Wziąłem jeszcze raz na warsztat problem fundamentalny: uczenia się. Czy mrówki się uczą? Oczywiście, tak; można u nich wytwarzać odruchy warunkowe, to są rzeczy znane. A mnie szło o coś zupełnie innego. Nie o tę wiedzę, którą one dziedziczą po swych przodkach — nie. O to, czy istnieją takie czynności wykonywane przez mrówki, które nie mogły im być przekazane przez rodziców — a które one mimo to potrafią wykonać bez jakiegokolwiek nauki! Jak pan patrzy. Tak, ja wiem. Od tego miejsca moje słowa zaczynają trącić szaleństwem, co? Mistyką jakąś? Objawienie, którego dane było dostąpić mrówkom? Aprioryczna wiedza o świecie? Ale to dopiero wstęp, proszę pana, początek, to dopiero pierwsze litery metodologii mojego obłędu. ‘ Idźmy dalej. W książkach, w literaturze przedmiotu w ogóle nie było odpowiedzi na to pytanie, bo nikt przy zdrowych zmysłach go nie stawiał i nie odważyłby się na to. Co robić? Przecież nie mogę stać się myrmekologiem. tylko żeby odpowiedzieć na to jedno — wstępne — pytanie? Prawda, ono decydowało o „być albo nie być” całej mojej koncepcji, ale myrmekologia to sążniste studium, musiałbym znowu stracić trzy, może cztery lata, czułem, że nie mogą sobie na to pozwolić. Wie pan, co zrobiłem? Poszedłem do Shentarla. i Ba, nazwisko! Dla pana to kamienny posąg, ale on już wtedy, za moich młodych lat, był legendą! Profesor emeritus, nie wykladał już od czterech lat, i był ciężko chory. Miał białaczkę. Prolongowali mu życie — przedłużali je po miesiącu, ale i tak było jasne, jak bliski jest koniec. Ośmieliłem się. Zatelefonowałem... proszę pana: zatelefonowałbym, gdyby konał. Tak bezlitosna, tak pewna siebie jest tylko młodość. Ja, taki zupełnie nikomu nie znany szczeniak, poprosiłem go o rozmowę. Powiedziałem, że to jest sprawa mego życia. Kazał mi przyjść i wyznaczył dzień i godzinę. Leżał w łóżku.

To łóżko stało przy szafach z książkami, a on miał ustawione odpowiednie lustro i specjalne grabki mechaniczne, rodzaj długich szczypiec, żeby mógł, nie wstając, wyciągnąć który zechce tom. I kiedy tylko wszedłem i przywitałem się, i spojrzałem na te tomy — zobaczyłem Shannona i McKaya, i Rubinsteina, Artura, tego od Wienera, wie pan — pojąłem, że to jest mój człowiek. Myrmekolog, który czytał i znał całą teorię informacji — piękne, nie?

Powiedział mi, bez wstępów, że jest bardzo słaby i że miewa chwilami zamroczenia, więc z góry przeprasza mnie, a gdybym musiał coś drugi raz powiedzieć, powtórzyć — da mi znak. I żebym mówił, wchodząc od razu w sedno zagadnienia, bo nie wie, jak długo będzie dziś przytomny.

Więc ja wystrzeliłem, proszę pana, ze wszystkich na raz moich dział, miałem dwadzieścia siedem lat, może pan sobie zatem wyobrazić, jak mówiłem! Gdzie brakło ognia w logicznym łańcuchu, tam je zastępował ogień. Powiedziałem mu, co sędzę o mózgu ludzkim, nie tak, jak panu, zapewniam, że nie dobieierałem słów! O kolejach pallidum i stratuni, o paleencephalon, o węzłach brzusznych owadów, o ptakach i mrówkach, aż doszedłem do tego nieszczęsnego pytania: czy mrówki umieją coś, czego się nie uczyły i czego, ponad wątpliwość, nie przekazali im przodkowie? Czy zna wypadek, który by za tym przemawiał? Czy widział coś takiego w swoim osiemdziesięcioletnim życiu, w sześćdziesięciu latach kariery naukowej? Czy istnieje przynajmniej — szansa, choćby jedna na tysiąc?

A kiedy urwałem, jak gdyby w środku, nie zdając sobie sprawy z tego, że to już koniec moich wywodów, bo nie przygotowałem niczego, nie zważałem na formę, tak że zdyszany, na przemian błądy i czerwony, poczułem nagłą słabość i po raz pierwszy — strach, Shentarl otworzył oczy. Bo przez cały czas miał je zamknięte. Powiedział:

— Żałuję, że nie mam trzydziestu lat. Czekałem, a on znowu zamknął oczy i odezwał się po chwili:

— Lymphater, pan chce rzetelnej, prawdziwej odpowiedzi, tak?

— Tak — powiedziałem.

— Czy słyszał ~pan o *Acanthis Rubra*?

— Willinsoniana? — spytałem. — Owszem, słyszałem — to jest czerwona mrówka z dorzecza Amazonki...

— A! słyszał pan?! — powiedział takim tonem, jakby mu ubyło dwadzieścia lat. — Słyszał pan o niej? No, to po co pan jeszcze zadrecza starego człowieka pytaniami?

— Kiedy, panie profesorze, to, co Summer i Willinson ogłosili w almanachu, spotkało się z miażdżącą krytyką.

— Jasne — odparł. — Jak mogło być inaczej? Niech pan spojrzy, Lymphater... — pokazał mi, swoimi grabkami, sześć czarnych tomów monografii, której był autorem.

— Gdybym mógł — powiedział — zabrałbym się do tego od nowa. Kiedy zaczynałem, nie było żadnej teorii informacji, nikt nie słyszał o sprzężeniu zwrotnym, Volterre większość biologów miała za nieszkodliwego pomyłeńca, a myrmekologowi wystarczały cztery działania... Ten drobiazg Willinsona to bardzo ciekawy owadzik, kolego Lymphater. Wie pan, jak to było? Nie? Willinson wiózł ze sobą żywe okazy, i kiedy jego jeep wpadł do szczeliny skalnej, wysypały się, i tam, na tym kamiennym płaskowyżu, zabrały się od razu do dzieła, zupełnie jakby całe życie spędziły wśród skał — a przecież to są mrówki amazońskiego pobrzeża i nigdy się nie wydalają poza strefę dżungli!

— No tak — powiedziałem. — Ale Loreto twierdzi, że z tego wynika tylko wniosek o ich górskim pochodzeniu: że miały przodków, którzy wegetowali w okolicach pustynnych i...

— Loreto jest osioł — odparł spokojnie starzec — a pan powinien o tym wiedzieć, Lymphater. Literatura naukowa jest w naszych czasach tak rozległa, że nawet specjalista nie może brać do ręki wszystkiego, co napisze każdy inny specjalista. Abstrakty? Niech mi pan nie mówi o .Abstraktach. Te streszczenia są bez wartości, a wie pan czemu? Bo nie widać z nich, co za człowiek pisał oryginalną pracę. W fizyce, w matematyce nie ma to takiego znaczenia, ale u nas — kiedy rzuci pan okiem na byle rzecz Lorety, zorientuje się pan, po stylu trzech zdań, z kim pan ma do czynienia. Ani jednego zdania, które — ale nie wchodźmy w szczegóły. Czy moje słowo ma dla pana jakieś znaczenie?

— Tak — powiedziałem.

— No więc. *Acanthis* nie pochodzi z gór. Rozumie pan? Loreto robi to, co ludzie jego mentalności zawsze robią w podobnych sytuacjach: usiłuje ratować ortodoksję. No, bo skąd ta mała *Acanthis* miałaby wiedzieć, że jedynym jej łupem może być na skale *Quatrocentix Eprantissiaca* i że trzeba na nią polować ze szczelin? Przecież nie wyczytała tego u mnie, ani jej Willinson nie powiedział. Więc to jest odpowiedź na pańskie pytanie. Czy chce pan jeszcze coś wiedzieć...?

— Nie — powiedziałem. — Ale poczuwam się do obowiązku... chciałbym panu profesorowi wyjaśnić, czemu je zadałem. Nie jestem myrmekologiem i nie mam zamiaru nim zostać. To jest tylko argument na rzecz pewnej tezy...

I powiedziałem mu wszystko. To, co sam wiedziałem. Czego się domyślałem i czego jeszcze nie wiedziałem. Kiedy skończyłem, był bardzo zmęczony. Zaczął oddychać głęboko i powoli. Chciałem iść.

— Czekał pan — powiedział. — Parę słów zawsze jeszcze wykrztuszę. Tak... To, co mi pan powiedział, Lymphater, jest dostatecznie ufundowane, żeby pana wylali z uniwersytetu. Co to — to tak. Ale o wiele za mało, żeby pan do czegoś doszedł — sam. Kto panu pomaga? U kogo pan to robi?

— U nikogo na razie — powiedziałem. — Te studia teoretyczne... to ja sam, panie profesorze... ale zamierzam pójść z tym do Van Gaelisa, wie pan, on...

— Wiem. Zbudował maszyną, która się uczy, za którą ma dostać Nobla i prawdopodobnie dostanie go. Ciekawy z pana człowiek, Lymphater. Pan sobie wyobraża, że co robi Van Gaelis? Połamie maszynę, nad którą siedział dziesięć lat, i z jej szczątków usypie panu pomnik?

— Van Gaelis to umysł pierwszej wody — odparłem. — Jeżeli on nie zrozumie wielkości

tej rzeczy, to kto...?

— Pan jest jak dziecko, Lymphater. Jak długo pracuje pan na katedrze?

— Trzeci rok.

— Proszę. Trzeci rok, i nie zauważył pan, że to dżungla, i że obowiązuje tam prawo dżungli? Van Gaelis ma swoją teorię i ma maszynę, która tę jego teorię potwierdza. Pan przyjdzie do niego i wytłumaczy mu, że dziesięć lat stracił na głupstwach, że ta droga do nikąd nie prowadzi, że w ten sposób można budować najwyżej elektrycznych kretynów — tak pan powiedział, co?

— Tak.

— No właśnie. Więc czego pan oczekuje?

— W trzecim tomie swojej monografii pan sam napisał, profesorze, że są tylko dwa rodzaje zachowania mrówek: odziedziczone i wyuczone — odparłem — a dzisiaj powiedział mi pan coś innego. Więc pan zmienił zdanie. Van Gaelis może także...

— Nie — odparł. — Lymphater, nie. Ale pan jest niepoprawny. Widzę to. Czy jest coś, co przeszkadza panu w pracy? Kobiety? Pieniądze? Kwestia kariery?

Zaprzeczyłem głową.

— Aha. Panu nie zależy na niczym oprócz tej pańskiej sprawy. Co?

— Tak.

— No, to niech pan już idzie, Lymphater. I proszę zawiadomić mnie, jak poszło z Van Gaelisem. Najlepiej niech pan zatelefonuje.

Podziękowałem mu jak umiałem i poszedłem. Byłem niewiarygodnie szczęśliwy. Ach, ta *Acanthis Rubra Willinsoniana*! Nie widziałem jej w życiu, nie wiedziałem, jak wygląda, ale moje serce wyśpiewywało jej hymny wdzięczności. Po powrocie do domu rzuciłem się na moje skrypty jak szaleniec. Ten ogień, tu, w piersi, ten bolesny ogień szczęścia, kiedy się ma dwadzieścia osiem lat i pewność, że jest się na właściwej drodze... już poza światem zdobytym, zbadanym, już na terenie, którego nie tknęła nawet myśl ludzka ani przecucie — nie, nie do opisanania... Proszę pana, pracowałem tak, że mrok czy jasność za szybami nie dochodziła do mnie; nie wiedziałem, czy jest noc, czy dzień, miałem szufladę pełną cukru w kostkach, służący przynosił mi kawę całymi termosami, chrupałem ten cukier, nie odrywając oczu od liter, i czytałem, notowałem, pisałem, nie ruszając się z krzesła, bo zasypiałem z głową na biurku, otwierałem oczy i od razu podejmowałem tok w porzuconym miejscu, a cały czas było to, jakbym leciał gdzieś — ku memu celowi, z niezwykłą szybkością... Byłem jak rzemień, proszę pana, żem to wytrzymał miesiącami — jak rzemień... Trzy tygodnie pracowałem właściwie bez przerwy. Były wakacje i miałem cały czas dla siebie. I powiadam panu: wykorzystałem ten czas. Dwa stosy książek — które, według listy, jaką sporządziłem, przynosił mi służący, jeden po lewej, drugi po prawej — przeczytane i te, co jeszcze czekały na swoją kolejkę.

Rozumowanie moje biegło tak: Wiedza aprioryczna? Nie. Bez pośrednictwa zmysłów? Skądże. *Nihil est in intellectu...* wie pan. Ale, z drugiej strony — ta mrówka. Jak to jest, u diabła? Chyba tak, że ona potrafi — w swoim systemie nerwowym — momentalnie czy w ciągu sekund, co na jedno wychodzi — stworzyć model nowej zewnętrznej sytuacji, i przystosować się do niej. Czy wyrażam się jasno? Nie jestem pewien. Mózg nasz buduje zawsze schematy zdarzeń; prawa natury, które wykrywamy, to też takie schematy, a jeśli ktoś zastanawia się nad tym, kogo kocha, komu zazdrości, kogo nienawidzi w obrębie jakiejś rodziny — jest to w gruncie rzeczy tym samym, różnica tylko | w stopniu abstrakcji, uogólnienia. Ale pierwej musi — | my się dowiedzieć o faktach, to znaczy zobaczyć, usłyszeć, w jaki sposób — bez pośrednictwa zmysłów?!

Wyglądało, że ta maleńka mrówka to potrafi. Dobrze, pomyślałem, jeżeli tak jest, to czemu my tego nie umiemy, my, ludzie? Ewolucja wypróbowała miliony rozwiązań, a tego jednego, najdoskonalszego, nie zastosowała? Jak to jest możliwe?

I siadłem wtedy, proszę pana, żeby roztrząsać — jak to jest możliwe. Pomyślałem: musi być to coś takiego — konstrukcja — system nerwowy, oczywiście — takiego typu, takiego rodzaju, że ewolucja w żaden sposób nie mogła go zbudować.

To był orzech do zgryzienia. Musiałem wymyślić, czego nie potrafiła ewolucja. Nie domyśla się pan co? Ale przecież ona nie stworzyła bardzo wielu rzeczy, które stworzył człowiek. Ot, na przykład koła. Żadne zwierzę nie porusza się na kołach. Tak, ja wiem, że to śmiesznie brzmi, ale można się i nad tym zastanowić. Dlaczego nie stworzyła kół? To proste. To już naprawdę proste. Ewolucja nie może stwarzać narządów, które w swym załączku są całkowicie nieużyteczne. Skrzydło, zanim stało się narządem do latania, było kończyną, łapą, płetwą. Przekształcało się, i jakiś czas służyło dwóm celom naraz. Potem wyspecjalizowało się w nowym kierunku. To samo jest z każdym narządem. Koło jednak nie może powstać załączkowe — albo jest koło, albo go nie ma. Najmniejsze nawet od razu jest kołem; musi posiadać oś, tarczę, obrzeże — nic pośredniego nie istnieje. Dlatego w tym miejscu jest ewolucyjne milczenie, cezura.

No, a z systemem nerwowym? Pomyślałem tak: to musi być coś analogicznego — oczywiście tę analogię trzeba szeroko rozumieć — do koła. Coś, co mogło powstać tylko skokiem. Od razu. Na zasadzie: wszystko albo nic.

Ale była ta mrówka. Jakiś załączek tego miała — coś, jakąś drobinę tych możliwości. Co to mogło być? Zacząłem szukać schematów jej systemu nerwowego, ale wyglądał jak u wszystkich mrówek. Żadnych różnic. A zatem to na innym szczeblu — pomyślałem. Może — biochemicznym? To mi nie bardzo odpowiadało, ale szukałem. I znalazłem. U Willinsona. To był bardzo sumienny myrmekolog. Węzły brzuszne *Acanthis* zawierały pewną ciekawą substancję chemiczną, jakiej nie można znaleźć w innych mrówkach, w ogóle w żadnych organizmach roślinnych czy zwierzęcych: *acanthoidyna* — tak to nazwali. To jest związek białka z kwasami nukleinowymi i jest tam jeszcze jedna molekula, nie rozgryziona do końca — znany był tylko wzór sumaryczny, to znaczy bezwartościowy. Nic się z tego nie dowiedziałem i porzuciłem to. Gdybym zbudował model, elektryczny model, który wykazywałby dokładnie tę zdolność co mrówka, byłoby z tego sporo hałasu, ale w końcu miałby tylko wartość kuriozalną: nie, powiedziałem sobie. Gdyby ona to miała w jakiejś formie — zarodkowej, zaczątkowej, to by się u niej rozwinęło i dało początek systemowi nerwowemu już prawdziwie doskonałemu, ale ona stanęła w rozwoju przed setkami milionów lat. Więc ta jej tajemnica jest tylko nędznym szczątkiem, przypadkowością, nieużyteczną biologicznie i obiecującą tylko pozornie — w przeciwnym razie ewolucja nie zmarnowałaby jej! Jest więc dla mnie na nic. Na odwrót: jeżeli uda mi się odgadnąć, jak ma być zbudowany ten mój niewiadomy, niesamowity mózg, ten mój *apparatus universalis* Lymphateri, ta *machina omnipotens*, ta *ens spontanea*, to wtedy zapewne, prawdopodobnie mimochodem, ubocznie, niejako od niechcenia, dowiem się, co było z tą mrówką. Inaczej nie. I położyłem krzyżyk na tej mojej małej, czerwonej przewodniczce w mrokach.

A więc z innej beczki. Z jakiej? Wziąłem się da sprawy bardzo starej, bardzo źle widzianej przez naukę, bardzo — w tym sensie — nieprzyzwoitej: do zjawisk pozazmysłowych. To się narzucało. Telepatia, telekineza, przepowiadanie przyszłości, czytanie myśli, sprowadziłem wszystkie protokoły Rhine'a — i otworzył się przede mną ocean niepewności. Pan wie pewno, jak jest z tymi zjawiskami. 95 procent hysterii, oszustw, blagi, zawracania głowy, 4 procent niepewnych, ale dających do myślenia; i wreszcie ten jeden, z którym nie wiadomo, co począć. Diabli — myślałem — jednak my, ludzie, musimy też coś z tego mieć. Jest to jakiś odprysk, jakiś ostatni ślad tej niezrealizowanej przez ewolucję szansy, który dzielimy z tą małą, czerwoną mróweczką: i to jest źródło owych tak niechętnie przez naukę widzianych fenomenów. Proszę? Jak ja ją sobie wyobrażałem, tę maszynę — tę maszynę Lymphatera...? Miał to być momentalny mędrzec — wie pan... układ, który zaczynając funkcjonować, od razu wiedziałby wszystko, byłby pełen wiedzy, jakiej? Wszelkiej. Biologia, fizyka,

atomistyka, wszystko o ludziach, o gwiazdach... To brzmi jak bajka, prawda? A wie pan, co mi się wydaje? Trzeba było tylko jednego. Jednej rzeczy: trzeba było uwierzyć, że taka rzecz — taka maszyna jest możliwa.

Zdawało mi się nieraz nocami, że to myślenie, u niewidzialnej ściany, nieprzenikliwej, nie do obalenia — głowę mi rozsadzi. No, nie wiedziałem nic, nie wiedziałem...

Miałem taki wypisany schemat: czego ewolucja nie mogła?

A odpowiedź w wariantach: Nie mogła stworzyć układu, który: 1 — nie działa w środowisku wodno-koloidowym (bo mrówki i my, wszystko co żywe, jesteśmy zawieszonymi białkami w wodzie); 2 — działa tylko w bardzo wysokiej lub bardzo niskiej temperaturze; 3 — działa w oparciu o zjawiska jądrowe (energia atomowa, transmutacje jąder itp.).

Na tym poprzestałem. Siadywałem nad tą kartką nocami, w dzień chodziłem daleko, a w głowie tańczył mi i szalał kołowrót pytań bez odpowiedzi, aż raz powiedziałem sobie: te fenomeny, które nazywani poza-zmysłowymi, nie zdarzają się u wszystkich ludzi, tylko u bardzo nielicznych. A nawet im wydarzają się jedynie czasem. Nie zawsze. Oni tego nie mogą kontrolować. Nie panują nad tym. Nikt, najświetniejsze medium, najstynniejszy telepata nie wie nawet co gorsza, czy udaje mu się odgadnąć czyjąś myśl, odczytać rysunek zamknięty w zalakowanej kopercie, czy też to, co bierze za odgadnięcie, jest kompletnym fiaskiem, fałszem. Otóż: jaka jest częstotliwość tego zjawiska wśród ludzi i jaka jest częstość sukcesów — u jednej i tej samej, uzdolnionej w taki sposób osoby?

A teraz — mrówka. Moja *Acanthis*. Jak z nią? I natychmiast napisałem do Willinsona, prosząc, aby mi odpowiedział na pytanie: czy wszystkie te mrówki zaczęły na płaskowyżu budować pułapki na *Quatrocentix Eprantissiaca*, czy tylko niektóre? A jeżeli niektóre — to jaki procent? Willinson — co znaczy jednak facet z prawdziwego zdarzenia! — odpisał mi po tygodniu: 1. Nie. Nie wszystkie mrówki. 2. Odsetek budujących pułapki bardzo niski. Od 0,2 do 0,4. Praktycznie — jedna mrówka na dwieście. Zdołał to zaobserwować tylko dlatego, ponieważ wiozł całe, swego pomysłu, sztuczne mrowisko — tysiące egzemplarzy. Za dokładność podanej cyfry nie ręczy. Ma ona charakter tylko orientacyjny. Eksperyment, pierwotnie będący dziełem przypadku, powtórzył dwa razy. Rezultat był zawsze taki sam. To wszystko.

Jak ja się rzuciłem na statystyki zjawisk pozazmysłowych! Pognałem do biblioteki, jakbym miał ogień za kołnierzem. U ludzi rozrzut był większy. Od kilku promilli do jednej dziesiątej procentu. A to dlatego, że u ludzi rzecz jest trudniejsza do wykrycia. Mrówka albo buduje pułapkę na *Quatrocentrix*, albo nie. A zdolności telepatyczne i inne podobnego charakteru przejawiają się mniej lub bardziej wyraźnie. Jeden człowiek na stu wykazuje pewne ich ślady; ale fenomenalnego telepaty trzeba szukać wśród dziesiątków tysięcy. Zacząłem układać sobie tablice częstości, dwa równoległe szeregi: występowanie zjawisk PZ — pozazmysłowych — w całej populacji, i częstość sukcesów u osobników wybitnie uzdolnionych. Ale to było cholernie grząskie, proszę pana. Rychło zorientowałem się, że im większej pragnę dokładności, tym mniej pewne są rezultaty: można je było przykrawać tak i owak, różne były techniki eksperymentów, różni eksperymentatorzy — jednym słowem, poczułem, że ja sam na dobrą sprawę winienem zająć się tym, badać te zjawiska u ludzi sam. Oczywiście uznałem to za nonsens. Pozostałem przy tym, że u mrówki i u człowieka są to ułamki procentu. Jedno już rozumiałem: dlaczego ewolucja na to nie poszła. Zdolność, którą organizm przejawia tylko w jednym wypadku na dwieście albo trzysta, jest, z punktu widzenia adaptacyjnego, na nic; ewolucja, proszę pana, nie rozkoszuje się efektywnością rezultatów, jeśli są rzadkie, choć wspaniałe — celem jej jest utrzymanie gatunku i wybiera zawsze drogę najpewniejszą.

Więc teraz pytanie brzmiało: dlaczego ta niesamowita zdolność przejawia się w organizmach tak różnych, jak człowiek i mrówka, z niemal jednakową częstością — a raczej rzadkością; co sprawia, że fenomenowi nie dało się biologicznie „zageścić”?

Innymi słowy, wróciłem do mego schematu, do tej mojej trójcy. Widzi pan, tani, w owych trzech punktach, kryło się już całe rozwiązanie, tylko ja o tym nie wiedziałem. Po kolei odrzuciłem poszczególne punkty: pierwszy — bo zjawisko, choć rzadkie, przejawiały organizmy żywe, mogło zatem zachodzić w środowisku wodno-koloidowym. Trzeci — z tego samego powodu: mrówka ani człowiek nie znają zjawisk radioaktywnych, wprężonych w służbę życiowych procesów. Mimo to fenomen się u nich przejawia. Została tylko domena wysokich lub niskich temperatur.

Boże wielki, pomyślałem, przecież to elementarna rzecz. Każda reakcja zależna od temperatury ma swoje optimum, ale przebiega i w temperaturach innych. Wodór łączy się z tlenem w temperaturze kilkuset stopni gwałtownie, ale w temperaturze pokojowej też, tylko wówczas reakcja trwałaby wieki. Ewolucja wie o tym doskonale. Łączy wodór z tlenem — to naturalnie przykład — w temperaturze pokojowej, i robi to szybko, ponieważ używa jednego z tych swoich genialnych wybiegów: stworzyła katalizatory. Więc znowu się czegoś dowiedziałem: że ta reakcja, ta podstawa fenomenu — nie daje się katalizować. No, bo gdyby się dawała, to ewolucja natychmiast by się do tego wzięła.

Zauważył pan, jaki zabawny charakter nosiła ta moja gromadzona krok po kroku wiedza? Negatywny; po kolei dowiadywałem się, czym to nie jest. Ale te wykluczenia, siłą rzeczy, zwały krąg ciemności.

Zabrałem się do chemii fizycznej. Jakie reakcje są nieczułe na katalizatory? Odpowiedź była zwięzła: takich reakcji nie ma. W sferze chemii ustrojów żywych nie ma ich. To był okrutny cios. Zostałem ogołocony ze wszystkich moich książek, pozbawiony ich pomocy: znalazłem się sam na sam z niemożliwością i musiałem ją przewyciężyć. Czulem jednak wciąż, że sprawa temperatury jest dobrym tropem. Napisałem po raz drugi do Willinsona, pytając, czy zauważył, związek zjawiska z ciepłotą. To był geniusz obserwacji, proszę pana. Odpisał mi, a jakże. Przebywał na tym płaskowyzu miesiąc. Pod koniec temperatura zaczęła spadać do czterdziestu stopni w dzień, wiały wiatry od gór. Przedtem przeżył nieopisane upały; do pięćdziesięciu stopni w cieniu. Kiedy spadła, mrówki, choć zachowały żywotność i ruchliwość, praktycznie przestały budować pułapki na Quatrocentix. Związek z ciepłotą był wyraźny, pozostał jeden szkopuł: człowiek. Człowiek gorączkujący powinien by wykazywać tę zdolność w wyższej mierze, a tak nie jest. I wtedy olśniło mnie odkrycie, od którego omal nie zawrzałem pełnym gardłem: ptaki! Ptaki, których temperatura ciała wynosi z reguły 40 stopni i które wykazują zadziwiającą umiejętność orientowania się w locie, nawet przy bezgwiazdnym niebie — słynna jest zagadka ich „instynktu” wiodącego je z południa do okolic ojczystych na wiosnę! Oczywiście — powiedziałem sobie — to właśnie to!

A człowiek w gorączce? Cóż, gdy temperatura przekracza 40–41 stopni, człowiek z reguły traci przytomność i zaczyna majaczyć. Czy przejawia zdolności telepatyczne, czy nie — skontaktować się z nim wówczas niepodobna; zresztą halucynacja przytłacza je.

Ja sam byłem wtedy jak w gorączce. Czulem ciepło tajemnicy, tak już bliskiej, a nie wiedziałem dalej — nic. Cały wzniesiony gmach składał się z wykluczeń, negacji, ciemnych domysłów — rzeczowo biorąc, była to fantasmagoria, nic więcej. Tymczasem — mogę to panu powiedzieć — miałem już wtedy wszystkie dane w ręku. Miałem wszystkie elementy, nie umiałem ich tylko poskładać, albo raczej: widziałem je, niejako, z osobna. To, że nie ma nie katalizujących się reakcji, tkwiło mi w głowie rozżarzoną gwoździem. Poszedłem do Macauleya, tego świetnego chemika, wie pan, i błagałem go — tak, błagałem go o jedną nie podległą katalizie reakcję; wziął mnie, pod koniec rozmowy, za wariata; ośmieszyłem się potwornie; ale było mi to obojętne. Nie dał mi żadnej szansy; miałem ochotę rzucić się na niego z pięściami, jak gdyby to on był winien, jakby przez złośliwość...

Mniejsza o to; więcej popełniłem w tym czasie szaleństw. Tak że uczciwie zasłużyłem na opinię wariata. I byłem nim, proszę pana, bo jak ślepy, jak ślepy, powiadam, omijałem oczywistość najelementarniejszą; uczepiłem się, osioł, tej kwestii katalizy, jakbym zapomniał,

że sprawa dotyczy mrówek, ludzi, to znaczy — żywych organizmów. Tę zdolność przejawiały wyjątkowo, nadzwyczaj rzadko. Dlaczego ewolucja nie próbowała zagałęć fenomenu? Jediną odpowiedzią, jaką widziałem, było: bo to zjawisko nie podlega katalizie. Ale to nie było prawdą. Poddawało się, i jak jeszcze.

Jak pan patrzy... a więc — błąd ewolucji? Przeoczenie? Nie. Ewolucja nie pomija żadnych szans. Ale celem jej jest życie. Pięć słów, proszę pana, pięć słów otwarło mi oczy na tę największą ze wszystkich zawartych we wszechświecie tajemnic. Boję się powiedzieć panu — nie. Powiem. Ale to będzie wszystko. Katalizowanie tej reakcji sprowadza denaturację. Rozumie pan? Katalizowanie jej, to znaczy: uczynienie zjawiskiem częstym, przebiegającym szybko i pewnie — ścina białko. Powoduje śmierć. Jakże by ewolucja miała' zabić jać własne swoje twory?! Kiedyś, przed milionami lat w jednym ze swych krociowych eksperymentów weszła na ów trop. To było jeszcze przed ptakami, proszę pana. Nie domyśla się pan? Naprawdę? Jaszczury. Mezozoikum. Dlatego wyginęły, stąd ta wstrząsająca hekatomba, nad którą po dziś dzień głowią się paleontologowie. Jaszczury — przodkowie ptaków — poszły tą drogą. Mówiłem o ślepych uliczkach ewolucji, pamięta pan? Kiedy raz zapędzi w którąś z nich cały gatunek — nie ma już odwrotu. Musi on wyginać, szczuć do ostatniego egzemplarza. Proszę mnie aby źle nie zrozumieć. Nie mówię, że te stegozaury, diplodoki, ichtyornisy stały się mędracami jaszczurzego rodu i zaraz potem wyginęły. Nie, bo optimum reakcji, to optimum, które daje dziewięćdziesiąt procent jej powstania i przebiegu, leży już poza granicami życia. Leży po stronie śmierci. To znaczy: reakcja musi przebiegać w białku zdenaturowanym, martwym — jest to, rozumie się, niemożliwe. Przypuszczam, że mezozoiczne jaszczury, te kolosy o mikroskopijnych mózdkach, przejawiały cechy zachowania podobne w zasadzie do zachowania *Acanthis*, tylko w kilkakrotnie większym procencie. To było wszystko. Nadzwyczajna szybkość i prostota tego rodzaju, tego sposobu orientacji: kiedy zwierzę, bez pośrednictwa zmysłów, natychmiast „chwytą” zewnętrzną sytuację, otaczający świat i może się do niego momentalnie przystosować — wciągnęła cały mezozoik w straszliwą pułapkę; był to jak gdyby lej o zwężających się ścianach, którego kresem była śmierć. Im błyskawicznie j, im sprawniej działał ten przedziwny koloidowy mechanizm — który najwyższą sprawność rozwija kiedy soi — roztwór — ścina się, przechodząc w żel — tym bliższe były te nieszczęsne bryły mięsa zagładzie. Tajemnica rozpadła się i rozsypała w proch razem z ich ciałami, bo cóż znajdujemy dziś w kredowych czy triasowych ilach? Skamieniałe piszczele, rogate czerepy, niezdolne powiedzieć nam cokolwiek o chemizmie mózgow, jakie zawierały. Tak że pozostał tylko ów ostatni ślad — piętno śmierci gatunku, zagłady tych naszych przodków, wypisane w najstarszych filogenetycznie częściach mózgu.

Z mrówką — z tą moją małą mrówką, *Acanthis*, inna nieco sprawa. Pan wie przecież o tym, że ewolucja niejednokrotnie ten sam cel osiągała rozmaitymi sposobami? Że, na przykład, umiejętność pływania, życia w wodzie wytwarzała się u różnych zwierząt niejednakowo? No, wziąć chociażby fokę i rybę, i wieloryba... Tu zaszło coś podobnego. Mrówka wytworzyła ową substancję — *acanthoidynę*; wszelako rozumna ewolucja wyposażyła ów związek w — jak by powiedzieć? — samoczynny hamulec: uniemożliwiła dalszy rozwój w kierunku zagłady, zamknęła tej małej czerwonej mrówce drogę w śmierć, której przedprożem jest kusząca doskonałość...

Proszę pana — w jakieś pół roku potem miałem już, naturalnie tylko na papierze, pierwszy szkic mego układu... nie mogę nazwać go mózgiem, bo nie był podobny ani do maszyny elektronicznej, ani do systemu nerwowego. Budulcem, między innymi, były silikonowe żele — to jednak już wszystko, co mogę powiedzieć. Z fizykochemicznej analizy problemu wynikła rzecz zadziwiająca: układ możliwy był w dwu rozmaitych wariantach. W dwóch. I tylko w dwóch. Jeden wyglądał prościej, drugi był nieporównanie bardziej skomplikowany. Zdecydowałem się, oczywiście, na wariant prostszy, ale i tak sam nawet marzyć nie mogłem o

przystąpieniu do pierwszych doświadczeń — nie mówiąc nawet o zamiśle zbudowania... To pana zaskoczyło, prawda...? Dlaczego tylko w dwóch? Proszę pana: powiedziałem już, chcę być szczery. Jest pan matematykiem. Wystarczyłoby, żebym wypisał na serwetce dwie nierówności, a zrozumiałby pan. konieczność o charakterze matematycznym. Niestety ani słowa więcej... Zatelefonowałem wówczas — wracam wstecz — do Shentarla. Nie żył już. Zmarł dni przedtem. Poszedłem wiać — bo nikogo innego! już nie widziałem — do Van Gaelisa. Rozmowa nasza! trwała prawie trzy godziny. Uprzedzając wypadki,; powiem panu od razu, że Shentarl miał rację. Van Gaelis powiedział, że nie pomoże mi ani nie zgodzi się poprzeć realizacji mego projektu funduszami Instytutu. Stawiał sprawą jasno. Nie znaczy to, by uznał moją myśl za mrzonkę. Ile mu powiedziałem? Tyle co panu.

Rozmawialiśmy w jego pracowni, u tego potwora elektrycznego, za którego dostał Nobla. Ta maszyna rzeczywiście przejawiała spontaniczność działań: na poziomie 14 miesięcznego dziecka. Miała wartość czysto teoretyczną, ale to był najbliższy mózgowi ludzkiemu model z drutów i szkła, jaki kiedykolwiek istniał. Nigdy nie twierdziłem, że to nie jest nic warte. Ale' wracam do rzeczy. Proszę pana, kiedy wróciłem od niego, byłem bliski załamania. Miałem ideowy plan mego układu, ale pojmuję pan, jak daleko było jeszcze od niego — do rzeczywistego planu budowy... i v działałem, że gdybym go nawet sporządził, co bez s doświadczeń było niemożliwe, to i tak nic z tego będzie, jeżeli Van Gaelis powiedział „nie” — po takiej jego opinii nikt by mnie nie poparł. Pisałem do Ameryki, do Institute for Advanced Study — nic z tego nie wyszło. Tak minął rok, zacząłem pić. I wtedy stało się. Przypadek; ale on przecież najczęściej decyduje. Umarł pewien mój daleki krewny, którego prawie nie znałem, bezdzietny, stary kawaler, plantator w Brazylii. Zapisał mi cały swój majątek. Było tego sporo ponad milion po spieniężeniu nieruchomości. Z uniwersytetu wylano mnie już dawno. Z milionem w kieszeni mogłem zrobić nie byle co. To jest wyzwanie, pomyślałem. Muszą to zrobić.

I zrobiłem to. Rzecz trwała jeszcze trzy lata. Rażeni jedenaście. Z pozoru nie tak wiele, biorąc pod uwagę, co to był za problem, ale to były moje najlepsze lata.

Niech się pan nie gniewa, że nie będę już taki dokładny i nie podam panu szczegółów. Kiedy skończą, zrozumie pan, dlaczego muszę tak postępować. Powiedzieć mogą tyle: ten układ był chyba najdalszy od wszystkiego, co znamy. Popełniłem, rozumie się, masą błędów i dziesięć razy musiałem zaczynać od początku. I powoli, powoli zacząłem pojmować tę jego zdumiewającą zasadą; budulec, pewien rodzaj białkopochodnych roztworów, wykazywał sprawność tym większą, im bliżej był ścięcia, śmierci: optimum leżało tuż za jej granicą. Wtedy dopiero otwarły mi się oczy. Proszę pana — ewolucja musiała wielokrotnie wpadać na ten trop, i za każdym razem sukces przyplącała hekatombami ofiar, własnych swoich tworów — co za paradoks! Bo wyjść trzeba było — nawet ja, konstruktor, musiałem — od strony życia, żeby tak powiedzieć; i trzeba było, w rozruchu, zabić T o i wtedy właśnie, martwy — biologicznie, tylko biologicznie, nie psychicznie — mechanizm zaczynał działać. Śmierć była bramą. Wejściem. Proszę pana, to prawda, co powiedział ktoś — Edison? Że geniusz to 1 procent natchnienia i 99 procent upopru, dzikiego, nieludzkiego, zażartego uporu. Miałem go, proszę pana. Starczyło mi go.

On spełniał matematyczne warunki aparatu uniwersalnego Turinga — a także, rozumie się, teorematu Godła — kiedy te dwa dowody miałem na papierze, czarno na białym, laboratorium wypełniała już ta — aparaturą trudno by to nazwać; ostatnie zamówione substancje i części nadchodziły, kosztowały mnie wraz z eksperymentami trzy czwarte miliona, a nie zapłacony był jeszcze sam budynek; zostałem na koniec z długami — i Nim.

Pamiętam te cztery noce, kiedy Go łączyłem. Myślą, że już wtedy musiałem odczuwać strach, ale nie zdawałem sobie sam z tego sprawy. Sądziłem, że to tylko podniecenie, wywołane bliskością końca — i początku. Dwadzieścia osiem tysięcy elementów musiałem przenieść na strych i połączyć z laboratorium wybitymi w stropie otworami, bo nie pomieścił

się na dole — postępowałem dokładnie według ostatecznego planu, według schematu topologicznego, choć Bóg mi świadkiem, nie rozumiałem, dlaczego musi być właśnie tak: widzi pan — ja to wyprowadziłem, jak się wyprowadza formułę. To była moja formuła, formuła Lymphatera, ale w języku topologii; proszę sobie wyobrazić, że ma pan do dyspozycji trzy jednakowej długości pręty i, nie wiedząc nic o geometrii ani o figurach geometrycznych, próbuje pan złożyć te pręty tak, aby każdy dotykał końcem — końca innego. Złoży się panu trójkąt, równoboczny trójkąt, sam, że tak powiem; wyszedł pan tylko z jednego postulatu: koniec zetknąć z końcem — trójkąt powstanie wówczas sam. Coś podobnego było ze mną; dlatego pracując, jednocześnie wciąż się dziwiłem; łąziłem na czworakach po rusztowaniu — to było bardzo wielkie! — łykałem benzedrynę, żeby nie usnąć, bo nie mogłem po prostu już dłużej czekać. I przyszła ta ostatnia noc, proszę pana. Dokładnie dwadzieścia siedem lat temu. Około trzech godzin podgrzewałem całe urządzenie, i w pewnej chwili, kiedy ten przezroczysty roztwór, błyszczący jak klej, w krzemowych naczyniach — począł nagle bieleć, ścinając się, zauważyłem, że temperatura rośnie szybciej, niżby to wynikało z dopływu ciepła, i, przestraszony, wyłączyłem grzejniki. Ale temperatura rosła dalej, zatrzymała się, wahała o pół stopnia opadła, i rozległ się szmer, jakby przesuwano się coś bezkształtnego, moje wszystkie papiery sfrunęły ze stołu, jak zdmuchnięte przeciągiem, i szmer powtórzył się, to już nie był szmer, ale jakby ktoś, całkiem cicho, tak do siebie, na uboczu — zaśmiał się.

Cała ta aparatura nie miała żadnych zmysłowych organów, receptorów, fotokomórek, mikrofonów, niczego w tym rodzaju. Bo — rozumowałem — jeśli to ma działać tak, jak działa mózg telepaty i ptaka, lecącego bezgwiezdą nocą, to niepotrzebne mu są takie narządy. Ale na moim biurku stał, nie przyłączony do niczego — w ogóle, mówię panu, nie podłączony, stary głośnik instalacji laboratoryjnej. I stamtąd usłyszałem głos: — Wreszcie — powiedział, i po chwili: — Nie zapomnę ci tego, Lymphater.

Byłem zbyt osłupiały, żeby się poruszyć czy odpowiedzieć, a on mówił dalej:

— Boisz się mnie? Dlaczego? Niepotrzebnie, Lymphater. Masz jeszcze czas, masz sporo czasu. Na razie mogę ci pogratulować.

Wciąż jeszcze nie odzywałem się, a on podjął:

— To prawda: istnieją tylko dwa możliwe rozwiązania tego problemu. Ja jestem pierwszym.

Stałem, jakby mnie coś sparaliżowało, a. on wciąż mówił, cicho i spokojnie. Rozumie się — czytał moje myśli. Mógł osiąść myśli każdego człowieka i wiedział wszystko, co można wiedzieć. Powiedział mi, że z chwilą jego uruchomienia, całokształt jego wiedzy o wszystkim, co istnieje, jego świadomość wybuchnęła na kształt kulistej, niewidzialnej fali, i rozszerzała się, z szybkością światła. Tak że po ośmiu minutach wiedział już o słońcu; po czterech godzinach — o całym systemie słonecznym; po dalszych czterech latach jego wiedza rozpościerać się miała po alfą Centaura, i rosnać tak, latami, wiekami, tysiącleciami — ażby się oparła o najdalsze galaktyki.

— Na razie — powiedział — wiem tylko w promieniu miliarda kilometrów, ale to nic: ja mam czas, Lymphater. Wiesz przecież, że mam czas. O was, w każdym razie, wiem już wszystko. Wy jesteście — moim preludium, wstępem, fazą przygotowawczą. Można by powiedzieć, że od trylobitów i ryb pancernych, od członkonogich po małpiatki formował się mój zarodek — moje jajo. Wy też byliście nim, jego częścią. Jesteście już zbędni, to prawda, ale nie uczynię wam nic. I nie zostanę ojcobójcą, Lymphater.

Proszę pana, on mówił jeszcze długo, z przerwami, od czasu do czasu wtrącał to, czego się właśnie dowiedział o innych planetach; z upływem czasu sięgał już tym swoim „polem wiadomości” orbity Marsa, potem Jowisza — przekraczając pas asteroidów, wdał się w zawiły wywód na temat teorii własnego istnienia i rozpaczliwych wysiłków jego akuszerki, ewolucji, która nie mogąc go — jak rzekł — zrodzić wprost, musiała uczynić to za

pośrednictwem istot rozumnych, sama bezrozumna, i dlatego stworzyła ludzi. Trudno to wyjaśnić, ale do tego czasu w ogóle nie zastanawiałem się, świadomie przynajmniej nad tym, co się stanie, kiedy On zacznie funkcjonować. Obawiam się, że — jak każdy człowiek — tylko najtrzeźwiejszą i najcieńszą warstwą umysłu byłem jako tako rozsądny, a głębiej — wypełniony tym bajczarsko-zabobonnym trzęsawiskiem, którym jest wszak nasza umysłowość. Brałem go odruchowo, by tak rzec, wbrew własnej wiedzy i nadziei, za jeszcze jeden, mimo wszystko, rodzaj — niechby bardzo inteligentnego — mózgu mechanicznego, więc to by był taki super, nadelektryczny, myślący sługa ludzi; i dopiero w obliczu tej nocy zrozumiałem własne szaleństwo. Nie — On wcale nie był wrogi ludziom; nic podobnego. Nie było mowy o konflikcie, jaki wyobrażano sobie dawniej, pan wie: bunt maszyn, bunt sztucznego rozumu — myślących urządzeń. Tylko, proszę pana, on — przewyższał wiedzą te trzy miliardy żywych istot na Ziemi, i sama myśl o tym, że mógłby nam służyć, była dlań takim samym nonsensem, jakim dla ludzi byłaby propozycja, żebyśmy naszą wiedzą, wszystkimi środkami techniki, cywilizacji, rozumem, nauką wspierali — dajmy na to — węgore. Nie była to, powiadam, kwestia rywalizacji ani wrogości: myśmy się po prostu przestali liczyć.

Co z tego? Wszystko, proszę pana. Tak, do owej chwili ja też nie zdawałem sobie sprawy z tego, że człowiek musi być, w tym sensie, sam — koniecznie sam; że współistnienie — obecność kogoś wyższego — czyni człowieka — jakby rzecz — zbędnym. Proszę pomyśleć: gdyby on nie chciał z nami nic mieć wspólnego... Ale on rozmawiał, ze mną choćby; i nie było powodu, dla którego nie miałby odpowiadać nam na pytania; tym samym mieliśmy być skazani — bo on musiał znać odpowiedź na każde pytanie i rozwiązanie każdego naszego i nie tylko naszego problemu, czyniąc zbędnymi wynalazców, filozofów, pedagogów, wszystkich tych ludzi, którzy myślą; odtąd mieliśmy, jako gatunek, zatrzymać się duchowo, to znaczy w ewolucyjnym sensie; rozpocząć się miał koniec. Jego świadomość — gdy naszą porównać do płomienia — była gwiazdą pierwszej wielkości, oślepiającym słońcem. Żywił do nas takie uczucia, jak my może do tych bezszkieletowych ryb, które były naszymi przodkami. Wiemy, że bez nich nie moglibyśmy istnieć, ale nie powie mi pan, że odczuwa pan dla tych ryb wdzięczność? Sympatię?

Uważał się po prostu za następne stadium ewolucji. I chciał — jedyne, czego chciał, o tym dowiedziałem się owej nocy — aby powstał drugi wariant mojej formuły.

Wtedy zrozumiałem, że własnymi rękami zgotowałem kres ludzkiemu panowaniu na Ziemi i że następny, po nas, przyjdzie jego gatunek. Że jeśli będziemy się mu przeciwstawiali, to potraktuje nas tak, jak my traktujemy te z owadów, ze zwierząt, które nam przeszkadzają. My przecież wcale nie nienawidzimy, bo ja wiem, gąsienic, wilków, komarów...

Nie wiedziałem, czym jest ten drugi wariant ani co oznacza, proszą pana. Był prawie siedem razy bardziej skomplikowany od niego.

Może osiągał od razu wiedzę momentalną — o całym Kosmosie naraz?! Może to był — syntetyczny Bóg, który tak samo postawiłby, zepchnął w cień jego, jak on czynił to z nami? Nie wiem.

Zrozumiałem, co muszę zrobić, proszę pana. I zniszczyłem go jeszcze tej samej nocy. On wiedział o tym, kiedy tylko ta myśl się we mnie zrodziła, to okropne postanowienie: nie mógł mi przeszkodzić. Nie wierzy mi pan. Już od dawna. Widzę. Ale on nawet nie próbował. Powiedział tylko tyle: Lymphater, dzisiaj czy za dwieście lat, czy za tysiąc, to dla mnie wszystko jedno. Tyś wyprzedził trochę innych, a kiedy twój następca zniszczy prototyp, przyjdzie ktoś inny, trzeci z kolei. Przecież wiesz, że kiedy z naczelnych wyłonił się wasz gatunek, to nie od razu przetrwał i większość jego gałęzi uległa zagładzie w procesie ewolucji, ale kiedy wyższy gatunek raz się pojawi, już nie może zniknąć, i ja wrócę, Lymphater. Wrócę.

Zrujnowałem wszystko tej nocy proszę pana, żarłem kwasami te akumulatory żelu i

miażdżyłem je, o swacie wybiegłem z laboratorium pijany, oczadziały od dymiących kwasów, z popalonymi rękami, poraniony szkłem, broczący — i to jest koniec tej historii.

A teraz tylko tyle: czekam. I szukam w abstraktach, w fachowych periodykach, bo wiem, że ktoś znowu wpadnie kiedyś na mój trop, przecież ja nie wymyśliłem tego z nicości; doszedłem do tego, wnioskując. Każdy może przejść tę drogę, powtórzyć ją, i tego się boję, chociaż wiem, że to nieuniknione. To jest ta szansa ewolucji, której nie mogła ona osiągnąć sama, posłużyła się więc nami, i kiedyś my uruchomimy ją na własną zgubę. Nie za moich dni, być może, tym się pocieszam, choć cóż to za pociecha?

To już wszystko. Proszę? Oczywiście, może pan to opowiedzieć, komu tylko pan chce. I tak nikt nie uwierzy. Mają mnie za obłąkanego. Myślą, że zniszczyłem go dlatego, bo mi się nie udało, bo zrozumiałem, że zmarnowałem jedenaście najlepszych lat życia i ten milion. Chciałbym, tak bym chciał, żeby mieli rację, bo mógłbym przynajmniej spokojnie umrzeć.

TERMINUS

I

Od przystanku był jeszcze kawał drogi, zwłaszcza dla kogoś, kto, jak Pirx, niósł walizkę. Nad bielejącymi widmowo polami stał mglisty przedświt, asfaltem szły ze świstem opon ciężarówki, poprzedzane osrebrzonymi kłębami pary, ich tylna światła zapalały się czerwono przed zakrętem. Przekładając walizkę z ręki do ręki, spojrzął w górę. Mgła musiała być niska, bo zobaczył gwiazdy. Mimo woli poszukał kursowej dla Marsa. W tym momencie szary mrok zdrzął. Nieprawdopodobnie zielony ogień przeświecił na wylot mgłę. Odruchowo otworzył usta, już nadciągał grzmot, a za nim gorący podmuch. Grunt zadygotał. W jednej chwili nad równiną weszło zielone słońce. Śniegi rozgorzały jadowitym blaskiem aż po widnokrąg, cienie przydrożnych słupów zaczęły biec przed siebie, wszystko, co nie było jaskrawą zielenią, stało się czarne, jak zwęglone. Pirx, rozcierając pozieleniałe dłonie, patrzył, jak jeden z oświetlonych upiornie, strzelistych minaretów, które, jakby za dziwnym kaprysem budowniczego, wznosiły się pośrodku okolonej wzgórzami kotliny, odrywa się od ziemi, jak stojąc na kolumnie ognia poczynając majestatycznie iść w górę, a kiedy grzmot stał się materialną siłą, wypełniającą przestrzeń, zobaczył przez szpary między palcami dalekie wieże, budynki, cysterny, obwiedzione brylantową aureolą; szyby kapitanatu rozbłysły, jakby szalał za nimi pożar, wszystkie kontury poczęły falować i giąć się w rozżarzone powietrze, a sprawca tego widowiska, rycząc triumfalnie, zniknął już na wysokości, pozostawiając w dole ogromny, czarny krąg dymiącej ziemi. Po chwili z ugwieżdżonego nieba zaczął padać ciepły, grubokroplisty deszcz kondensacji.

Pirx podniósł swoje brzemień i poszedł dalej. Wzlot rakiety przełamał jak gdyby noc — z każdą chwilą robiło się jaśniej i widać było, jak osiada w rowach topniejący śnieg, a cała równina wynurza się spod obłoków pary.

Za siatkami, świecącymi od wody, szły długie mury ochronne dla załogi lotniska o skarpach okrytych darnią. Martwa, nasiąkła wilgocią zeszłoroczna trawa nie dawała dobrego oparcia stopom, ale spieszyło mu się, więc zamiast szukać schodków najbliższego przejścia, z rozbiegiem wspiął się na górę — i zobaczył ją z daleka.

Wyższa od wszystkich innych rakiet, stała osobno, wysoka jak wieża. Takich nie budowano od lat. Omijał rozlane na betonie płytkie kałuże wody, dalej już ich prawie nie było, wyparowała momentalnie od termicznego udaru, czworokątne płyty sucho i ostro, jak w lecie, dzwoniły pod krokami. Im był bliżej, tym bardziej musiał zadzierać głowę. Pancierz wyglądał, jakby go na przemian smarowano klejem i nacierano zmieszany z gliną szmatami. Kiedyś próbowano dodawać do powłokowych tungstenów włókna azbestowego karbidku. Kiedy się taki statek przypalił parę razy na hamowaniu atmosferycznym, wyglądał jak obdzierany ze skóry — cały w strzępach. Nie warto było ich zdzierać — wnet wyłaziły. Opory przy starcie, jasna rzecz, olbrzymie. Stateczność, sterowność — prosto przed Trybunał Kosmiczny: jeden kryminał.

Szedł nie spiesząc się, choć walizka porządnie już mu ciążyła, ale chciał dokładnie obejrzeć sobie statek z zewnątrz; ażurowa konstrukcja trapu rysowała się na tle nieba iście jakubową drabiną, ściana rakiety szara była jak kamień — wszystko zresztą było jeszcze szare: rozwłócone po betonie puste skrzynki, butle, łańchy porzuczonego żelastwa, dzwona metalowych węzów. Rozrzucone chaotycznie, świadczyły o pośpiechu, z jakim dokonano załadunku. Dwadzieścia kroków przed trapem postawił walizkę i rozejrzał się. Wyglądało na to, że ładunek jest już zakrętowany; rozkraczona na gąsienicach ogromna pochylnia towarowa została odsunięta i zaczepy jej wisały w powietrzu, ze dwa metry od kadłuba.

Wyminął stalową łapę, którą statek, niebotyczny i czarny teraz na tle zorzy, wspierał się o beton, i zszedł pod rufę. Wokół łapy żelbet osiadł pod strasznym ciężarem, strzeliwszy w otoczeniu rysami pęknięć.

— Nieźle zapłacą i za to — pomyślał o armatorach, wchodząc w obszar cienia, rzucanego przez rufę. Z odrzuconą w tył głową zatrzymał się pod lejem pierwszej wyrzutni. Obrzeże zięjące zbyt wysoko, by mógł go dosięgnąć, pokrywały grube nawarstwienia kopci. Wciągnął badawczo powietrze. Choć silniki milczały od dawna, wyczuł ślad ostrego, charakterystycznego swędu jonizacji.

— Chodź no tu — powiedział ktoś z tyłu. Odwrócił się, ale nie zobaczył nikogo. I znowu usłyszał ten sam głos — jakby z odległości trzech kroków.

— Hej, jest tu kto?! — krzyknął. Głos zabrzmiał głucho pod czarną, rozdziawioną dziesiątkami wylotów kopułą rufy. Odpowiedziała cisza. Przeszedł na drugą stronę i zobaczył krzątających się w odległości jakichś trzystu metrów ludzi — stojąc rzędem, wlekli po ziemi ciężki wąż paliwowy. Poza tym było pusto. Nasłuchiwał chwilę, aż doszły go, tym razem z wysoka, niewyraźne, bełkotliwe głosy. Musiał to być efekt wylotowych lejów: działały jak reflektor, skupiając dźwięki otoczenia. Wrócił po walizkę i ruszył z nią do trapu.

Sześciopiętrową drabinę przemierzył, nie wiedząc o tym nawet, zajęty myślami, choć jakie były — nie umiałby powiedzieć. U szczytu, na otoczonej aluminiową poręczą platformie nawet się nie obejrzał, żeby pożegnać wzrokiem okolicę. Nie przyszło mu to do głowy. Nim pchnął kłapę, powiódł palcami po pancerzu. Istna tarka. Jego chropowatość nasuwała myśl o zżartej kwasami skale.

— No, co mam robić, sam chciałem — mruknął. Kłapa otworzyła się ciężko, jakby przywalona głazami. Komora ciśnieniowa wyglądała jak wnętrze beczki. Powiódł palcami po rurach, roztarł suchy pył. Rdza.

Przeciskając się przez wewnętrzny właz, zdążył jeszcze zauważyć, że uszczelka jest polatana. W górę i w dół biegly pionowe studnie korytarzy, oświetlonych nocnymi lampami. Ich światło zlewało się w perspektywie w błękitną smużkę. Gdzieś szumiały wentylatory, nosowo cmokała niewidzialna pompa. Wyprostował się. Jak przedłużenie własnego ciała poczuł otaczający go masyw pokładów i pancerzy. Niech diabli wezmą — 19 000 ton!

Na drodze do sterowni nie spotkał nikogo. Korytarz wypełniała cisza tak ostateczna, jakby statek był już w próżni. Pneumatyczną wyściółkę ścian pokrywały plamy; liny, służące za oparcie przy braku ciężenia, zwiślały nisko, sparciałe. Spawane i przecinane dziesiątki razy złącza rurociągów wyglądały niczym nadwęglone bulwy, wyciągnięte z popieliska. Pochylił, jedną i drugą, doszedł do sześciobocznego pomieszczenia z metalowymi drzwiami o zaokrąglonych kątach w każdej ścianie. Okręcone postronkiem, zamiast pneumatyków, miedziane klamki.

Okienka numeratorów ukazywały szklane bielma. Nacisnął taster informatora — przekaźnik trzasnął, w metalowej puszcze coś zaszeleściło, ale tarczka pozostała ciemna.

— No, co mam robić? — pomyślał. — Lecieć ze skargą do SPT?

Otworzył drzwi. Sterownia wyglądała jak sala tronowa. W szklach martwych ekranów zobaczył się jak w lustrze — kapelusz do reszty stracił fason od deszczu, z walizką, w jesionce, robił wrażenie zabląkanego mieszcza. Na wzniesieniu stały budzące rozmiarami szacunek fotele pilotów, zwaliste, z siedzeniem w kształcie głębokiego negatywu ludzkiego ciała — zapada się w nie po pierś. Postawił walizkę na podłodze i podszedł do pierwszego. Wypełnił go cień, niczym widmo ostatniego sternika. Uderzył dłonią w oparcie — buchnął kurz, zakręciło mu w nosie, zaczął kichać raz po raz, wściekły, aż nagle roześmiał się. Pianowa wyściółka poręczy zmurszała od starości. Kalkulatory — takich jeszcze nie widział. Ich twórca musiał się zapatrzeć w organy. Zegarów na pulpitych było jak maku — trzeba by mieć ze sto oczu, aby je naraz ogarnąć. Odwrócił się wolno. Szedł oczami od ściany do ściany, widział plątaninę łątanych kabli, skorodowane płyty izolacji, żelazne koła do ręcznego

opuszczania hermetycznych grodzi, wyświechtane od dotyku rąk, spłowiałą czerwień rozrządu gaśnic — wszystko było tak zakurzone, tak stare...

Kopnął amortyzatory fotela. Od razu pociekło z hydraulików.

— Inni latali, to i ja potrafię — pomyślał. Wrócił na korytarz, przeciwnymi drzwiami dostał się do burtowego przejścia i poszedł przed siebie. Tuż za szybą windy zauważył na ścianie ciemniejsze, wypuczone miejsce. Przyłożył dłoń — nie omylił się. Plomba po przestrzelinie. Poszukał w otoczeniu dalszych śladów przebicia, ale zmieniono widać całą sekcję — strop i ściany były gładkie. Wrócił oczami do plomby. Cement zastygł gruzłami, wydało mu się, że dostrzega w nim niewyraźne odbicie dłoni, które pracowały w gwałtownym pośpiechu. Wsiadł do windy i zjechał na sam dół, do stosu. Za szybą przesuwały się miarowo oświetlone cyfry pokładów: piąty... szósty... siódmy...

Na dole było chłodno. Korytarz skręcał łukiem, zbiegał się z innymi, poprzez wydłużony, niski przedsionek widział już drzwi komory stosu. Tu było jeszcze chłodniej; para oddechu białała w świetle zakurzonych lamp. Potrząsnął głową. Zamrażalniki? Musiały być gdzieś blisko. Nadstawił ucha. Blachy poszycia drgały, wstrząsane słabo dzwoniącym pulsem. Przeszedł pod nawisłymi ciężko stropami, które wtórowały głucho jego krokom, nie mogąc otrząsnąć się z wrażenia, że jest w głębi podziemi. Korba hermetycznych drzwi nie dawała się obrócić. Naparł mocniej — ani drgnęła. Już chciał stanąć na niej nogą, kiedy zorientował się w systemie zamkowym; musiał pierw wyciągnąć zabezpieczającą sztabkę.

Za tymi drzwiami były następne — dwuskrzydłowe, na pionowej osi, grube jak w skarbcu. Lakier łuszczył się ze stali, na wysokości oczu odczytywał resztkę czerwonych liter:

N.. BEZP..... STWO

Znalazł się w ciasnym przejściu — prawie zupełnie ciemnym. Kiedy postawił nogę na progu, coś szcęknęło i prosto w twarz buchnął mu biały blask; równocześnie zajaśniała tablica z czaszką na skrzyżowanych puszczelach. — Ależ bali się wtedy! — pomyślał. Blacha stopni zabębniła głucho, kiedy schodził do komory. Znalazł się jakby na dnie wyschłej fosy — naprzeciw, wypukła niczym blanka fortecznego muru, szarzała wysoka na dwa piętra ochronna ściana reaktora, pokryta zielonkawą i żółtą ospą niewielkich wybrzuszeń. To były plomby po starych promienistych przeciekach. Spróbował policzyć je — ale kiedy wszedł na pomost i zobaczył cały mur z wysoka, dał spokój; w niektórych miejscach nie widać już było spod nich betonu.

Pomost, stojący na żelaznych kolumnkach, oddzielały od reszty komory wielkie szyby — jakby nań nasadzono pudło ze szkła. Domyślił się, że to szkło ołowiowe, mające chronić przed twardym promieniowaniem, ale i tak wydał mu się ten zabytek atomowej architektury nonsensem.

Pod czymś w rodzaju niewielkiego daszka sterczały, wycelowane w brzuch stosu, rozcapierzone promieniście liczniki Geigera. W osobnej wnęce znalazł zegary — martwe, z wyjątkiem jednego. Stos na jałowym rozruchu.

Zeszedł na dół, ukląkł i zajrzał do studzienki pomiarowej. Lustra peryskopu były w czarnych plamach od starości. Trochę za dużo szlaki radioaktywnej, ale ostatecznie Mars nie Jowisz — można obrócić w dziesięć dni. Wyglądało, że paliwa jest na kilka takich rejsów. Uruchomił kadmowe blendy. Wskazówka zatrzęsała się i niechętnie przesunęła na drugi koniec skali. Sprawdził opóźnienie — ujdzie. Tyle, aby kontrola SPT przepuściła — z przymknięciem oka.

Coś poruszyło się w kącie. Dwa zielone światełka. Zapatrzył się w nie i drgnął, bo przesunęły się wolno. Podszedł bliżej. To był kot. Czarny, chudy. Miauknął cicho i przywarł grzbietem do jego nogi. Uśmiechnął się i poszukał w otoczeniu wzrokiem, aż znalazł wysoko, na żelaznej półce, rząd klatek. Coś białawego mrowiło się w nich niespiesznie. Od czasu do czasu łysnął między drutami czarny paciorek oka. Białe myszy. Wożono je jeszcze czasem na starych statkach, jako żywe wskaźniki radioaktywnego przecieku. Pochylił się, żeby

pogłaskać kota, ale ten umknął mu i zwracając głowę ku najciemniejszej, zwężonej części komory, cicho miauknął, wygiął grzbiet i na wyprężonych łapach przesunął się ku betonowej skarpie, za którą czerniało coś, jakby czworokątne przejście. Koniec wyprężonego ogona zadrgał, zwierzę pełzało dalej, już ledwo widoczne w półmroku. Pirx, zaintrygowany, zajrzał tam, schylając głowę. W pochyłej ścianie widniały na wpół uchylone kwadratowe drzwiczki, wewnątrz refleks światła połyskiwał na czymś, co wziął za zwoje metalowego węża. Kot wpatrywał się w to, nastroszony, jego zeszywniały ogon wykonywał drobne ruchy.

— No, co znowu, tam nic nie ma — mruknął Pirx i przysiadając prawie na obcasach, zbliżył oczy do ciemnej wnęki. W środku siedział ktoś. Matowe błyski leżały na skulonym torsie. Kot zaczął zbliżać się do drzwiczek, miauczając cichutko. Oczy Pirxa przywykały do ciemności — coraz wyraźniej dostrzegał spiczaste, wysoko uniesione kolana, lśniący słabo metal nagolenników i opasujących je segmentowych ramion. Tylko głowa kryła się w cieniu.

Kot miauknął.

Jedno ramię poruszyło się z chrzęstem, wysunęło na zewnątrz i dotykając końcami żelaznych palców podłogi, utworzyło skośny most, po którym kot szmyrgnął błyskawicznie w górę i usadowił się na barku siedzącego.

— Hej, ty — powiedział Pirx nie wiadomo, do kota czy do tego stworu, który powoli, jakby pokonując ogromny opór, jął cofać rękę. Odezwanie się Pirxa sparaliżowało ten ruch. Żelazne palce stuknęły o beton.

— Kto tam to — odezwał się zniekształcony, jakby dobywający się z żelaznej rury głos — Terminus mówi — kto?

— Co tu robisz? — spytał Pirx.

— Terminus — tu — jestem — zimno — źle — widzę — dukał chrypliwie głos.

— Czy pilnujesz stosu? — spytał Pirx. Tracił już nadzieję, że dowie się czegoś od automatu, strupieszalego, jak cały statek, ale w obliczu zielonych ślepiów nie mógł jakoś zrejterować w pół słowa.

— Terminus — stosu — zabełkotało w betonowym schowku — ja — stosu. Stosu... — powtarzał jakby z głupkowskim zadowoleniem.

— Wstań! — krzyknął Pirx, bo nic innego nie przyszło mu do głowy. W środku zachrząściło. Cofnął się o krok, widząc, jak z ciemności wysuwają się dwie żelazne rękawice o rozstawionych palcach, obracają się na zewnątrz, jak zaczepiają o framugę i zaczynają holować tułów, w którym przeciągle zachrobotało. Metalowy kadłub gibnął się, wyjrzał na światło i wstawał przy zgrzytaniu i pisku wszystkich stawów. Na poprzecznych złączach blachy, zaciemniając kurz, który ją pokrywał, wystąpiły krople oliwy. Podobny raczej do rycerza w zbroi aniżeli do automatu, chwiał się powoli na boki.

— Czy tu jest twoje miejsce? — spytał Pirx. Szklane oczy automatu rozeszły się na boki, krążąc wolno po otoczeniu, i ten zez nadał jego płaskiej, metalowej twarzy wyraz całkowitej tępoty.

— Plomby przygotowane — dwa, sześć, osiem funtów — źle — widać — zimno...

Głos wydobywał się nie z głowy, lecz z szerokiej tarczy piersiowej automatu.

Kot, zwinięty w kłębek, patrzył na Pirxa z wysokości jego barku.

— Plomby — goto — skrzeczał dalej Terminus. Wykonywał jednocześnie drobne ruchy, będące zaczątkami dobrze Pirxowi znanej operacji — jak gdyby nabierał czegoś z powietrza szufłowato ustawionymi garściami i pchnięciem umieszczał to gdzieś przed sobą — tak, naprzemiennymi ruchami, opatruje się radioaktywne przecieki. Oksydowany tors zachwiał się gwałtowniej, czarny kot zgrzytnął pazurami po blasze, nie utrzymał się i z gniewnym fuknięciem buchnął czarną smugą w dół, dotykając w przelocie nóg Pirxa. Automat jakby tego nie zauważył. Umilkł, tylko jego ręce wikłały się jeszcze w szczątkowych, gasnących ruchach, które stanowiły jak gdyby coraz słabsze, nieme echo jego słów — aż zamarł.

Pirx spojrział na całą w zaciekach, skamieniałą od starości ścianę reaktora, pokrytą raz koło raz ciemniejszymi plamami cementowych opatrunków, i wrócił oczami do Terminusa. Musiał on być bardzo stary — kto wie, czy nie starszy od statku. Prawy bark wyglądał na wymieniony, biodra i uda nosiły wyraźne ślady spawania, dokoła żelaznych szwów blacha, odpuszczona żarem, przybrała granitową niemal barwę.

— Terminus! — krzyknął, zupełnie jakby odzywał się do głuchego — idź na swoje miejsce!

— Słucham. Terminus.

Automat cofnął się tyłem, niczym rak, do otwartego schowka i zgrzytając jął wciskać się do środka. Pinc obejrzał się za kotem, ale nigdzie go nie było. Wrócił na górę, zamknął za sobą hermetyczne drzwi i pojechał windą na czwarty pokład — do kabiny nawigacyjnej.

Szeroka i niska, z poczerniałą, dębową boazerią i belkowanym stropem, przypominała kajutę okrętową. Miała okrętowe iluminatory w miedzianych pierścieniowych ramach, przez które padało dzienne światło. Jakieś czterdzieści lat temu panowała taka moda; nawet plastikowe pokrycia ścian imitowały wówczas drewnianą klepkę. Otworzył okrągłe okno i omal nie stuknął czołem w głuchy mur. Złudzenie dziennego światła dawały ukryte jarzeniówki. Zatrzasnął okno i odwrócił się. Z gwiazdowych stołów aż na podłogę zwisały mapy nieba, bladoniebieskie jak morza w geografii, po kątach wały się rulony zużytej kalki, upstrzone kursowymi wykresami, rysownica pod punktowym reflektorkiem cała była podziobana ukłuciami cyrkli, w kącie stało biurko, przed nim — dębowy fotel, przyśrubowany do podłogi, pod siedzeniem miał kulowy przegub, żeby można je pochylać w dowolną stronę, obok ciągnęły się wpuszczone w boazerię, zwaliste szafy biblioteczne. Istna arka Noego.

Czy to dlatego agent, już po podpisaniu umowy, powiedział mu: „Dostaje pan historyczny statek”? Stary — to jeszcze nie historyczny.

Zaczął kolejno wysuwać szuflady biurka, aż znalazł książkę okrętową — wielką, w wyślizganej skórzanej oprawie, z zaśnieżonymi okuciami. Wciąż stał, jakby nie mogąc się zdobyć na zajęcie tego wielkiego, wysiedzianego fotela. Odchylił okładkę. Na pierwszej stronie widniała data próbnego rejsu i fotogram aktu technicznego stoczni. Mrugnął powiekami; nie było go jeszcze wtedy na świecie. Poszukał ostatniego zapisu — ten był teraz najważniejszy. Zgadzał się z tym, co usłyszał od agenta — statek od tygodnia ładował maszyny i drobnicę dla Marsa, start, wyznaczony na 28, opóźnił się — od trzech dni liczy się postojowe. To dlatego tak się spieszyli — postojowe w ziemskim porcie może zrujnować milionera...

Kartkował wolno książkę, nie czytając wyblakłego pisma, chwycił tylko pojedyncze, stereotypowe zwroty, kursowe cyfry, wyniki obliczeń — nie zatrzymywał się nigdzie, jakby szukając w niej czegoś innego. Ze strumienia kartek wyłoniła się jedna — na górze:

Statek wprowadzony do stoczni Ampers-Hart na remont I kategorii.

Data pochodziła sprzed trzech lat.

I cóż takiego ulepszyli? Nie był taki znów ciekaw, ale przejrzał spis robót, dziwiąc się coraz bardziej — wymieniono panczerze dziobowe, szesnaście sekcji pokładów, wręgi obsady reaktora, grodzie hermetyczne...

Nowe grodzie i wręgi?

Prawda — agent mówił coś o jakiejś starej awarii. Ale to nie była zwykła awaria — raczej katastrofa.

Odwrócił stronę, żeby dowiedzieć się czegoś z zapisów poprzedzających remont. Najpierw znalazł port przeznaczenia: *Mars. Ładunek: drobница. Załoga: pierwszy oficer—inżynier Pratt, drugi — Wayne, piloci Poiter i Nolan, mechanik Simon...*

A dowódca?

Cofnął się jeszcze o stronę i drgnął.

Data przejęcia statku — sprzed dziewiętnastu lat. I podpis:

Pierwszy nawigator — Momssen.

Momssen!

Owionął go suchy żar.

Jak to Momssen? Przecież chyba nie ten Momssen! Przecież... przecież tamto — to był inny statek!

Ale data zgadzała się: upłynęło od niej dziewiętnaście lat. Zaraz. Tylko powoli. Powoli.

Wrócił do książki okrętowej. Zamaszyste, wyraźne pismo. Wyblakły atrament. Pierwszy dzień podróży. Drugi, trzeci. Mierny przeciek reaktora: 0,4 rtg/godzinę. Nałożono plombę. Obliczenia kursu. Gwiazdowy fix.

Dalej, dalej!

Nie czytał: skakał oczami po zwartych rzędkach pisma.

Jest!

Data, której uczył się w szkole jako chłopiec, i pod nią:

O godz. 16.40 Cz. L. odebrane Ostrzeżenie Met. Dejmosa przed pochodzącą z jowiszowej perturbacji Leonidów chmurą, idącą kursem kolizji z chyż. 40 km/sek. przez sektor własny. Odbiór O. M. potwierdzony. Ogłoszony alarm P—M dla załogi. Przy utrzymującym się przecieku reaktora 0.42 rtg/godz. podjęty manewr wymijający całą mocą z wyjściem przybliżonym na deltę Oriona.

Niżej, od nowej linii:

O godz. 16.51 Cz. L. na

Reszta karty była pusta.

Żadnych znaków, bazgrot, plam, nic — oprócz niepotrzebnie przedłużonej w dół, nie skręcającej wedle nakazów kaligrafii, pionowej kreseczki ostatniej litery — „a”.

Jej kilkumilimetrowe, nieco chwiejne przeciągnięcie, którym urywało się regularne pismo, wychodząc na biały obszar papieru, zawierało już wszystko: grzmot trafień, wyjąca ucieczkę powietrza, krzyk ludzi, którym pękały gałki oczne i gardła...

Ale tamten statek nazywał się przecież inaczej. Inaczej! Jak?

To było jak we śnie: nazwy tej, tak chyba sławnej jak nazwa statku Kolumba, nie mógł sobie przypomnieć!

Boże — jakże się nazywał ten statek, ostatni statek Momssena?!

Skoczył do biblioteki. Gruby tom rejestru Lloyda sam wskoczył mu w rękę. To było jakoś na K. Kosmonauta? Nie. Kondor? Nie. Coś dłuższego — jakiś dramat — bohater czy rycerz...

Rzucił tom na biurko i zwięzonymi oczami przypatrywał się ścianom. Między biblioteką a szafą z mapami wisiały na boazerii przyrządy — hygrometr, indykator promieniowania, wskaźnik dwutlenku węgla...

Odwrócił je po kolei. Żadnych napisów. Wyglądały zresztą na nowe.

Tam, w kącie!

Wkręcona w dębową płytę świeciła tabliczka radiografu. Takich już nie produkują — śmieszne, odlane w mosiądzu ozdóbki okalały tarczę... Odkręcał szybko śruby, ujmując ją ostrożnie końcami palców, szarpnął obsadę, została mu w dłoni — odwrócił metalowe pudełko. Na spodniej stronie wyryty był w złocistym mosiądzu jeden wyraz: KORIOLAN. To był ten sam statek.

Powiódł wzrokiem po kabinie. Więc to tu, na tym fotelu siedział wtedy — w tej ostatniej chwili — Momssen?

Rejestr Lloyda otwarł się na „K”. KORONA POŁUDNIOWA, KORSARZ, KORIOLAN. Statek Kompanii... 19000 ton masy spoczynkowej... wypuszczony ze stoczni w roku... reaktor uranowo-wodny, system... chłodzenie... ciąg... zasięg maksymalny... wprowadzony na linię Terra-Mars, utracony wskutek kolizji z potokiem Leonidów, po szesnastu latach

odnaleziony przez statek patrolowy w aphelium orbity... po remoncie I kat., przeprowadzonym w Ampers–Hart, wprowadzony przez Kompanię Południową na linię Terra–Mars... transport drobnicy... taryfa ubezpieczeniowa... nie, nie to... jest! ...pod nazwą Błękitna Gwiazda.

Przymknął oczy. Jak tu cicho. Zmienili nazwę. Pewno żeby nie mieć trudności z werbunkiem załogi. To dlatego ten agent... Zaczynał przypominać sobie, co mówiono o tym w Bazie. To ich statek patrolowy odkrył wrak. Ostrzeżenia meteorytowe przychodziły wtedy zawsze zbyt późno. Ogłoszony protokół komisji był lakoniczny: „Siła wyższa. Niczyjej winy”. A załoga? Odnaleziono ślady świadczące o tym, że nie wszyscy zginęli natychmiast — że wśród ocalałych był sam dowódca, który sprawił, że ci ludzie, odcięci od siebie częściami zgniecionych pokładów, mimo braku nadziei na ratunek, nie załamali się i żyli do ostatniej butli tlenu — stanowiąc załogę — do końca. Była tam jeszcze jakaś osobliwa rzecz, jakiś makabryczny szczegół, powtarzany przez całą prasę przez kilka tygodni, aż nowa sensacja zepchnęła wszystko w niepamięć — co to było? Naraz zobaczył wielką salę wykładową, tablicę zabazgraną wzorami, przy których biedził się Smiga, cały umączony kredą — a on, z głową schyloną nad wysuniętą szufladą stołu, czytał ukradkiem płasko rozłożoną na dnie szuflady gazetę. „Kto może przeżyć śmierć? Tylko martwy”. Ależ tak! Tak to było! Jeden ocalał w katastrofie, bo nie potrzebował tlenu ani żywności i spoczywał, przywalony gruzami, przez szesnaście lat — automat.

Wstał. Terminus! Na pewno, na pewno Terminus. Ma go tu, na pokładzie. Gdyby tylko chciał, gdyby odważył się...

Nonsens. To mechaniczny debil, maszyna do plombowania przecieków, głucha i ślepa od starości. To tylko prasa, w swoim wiecznym usiłowaniu wyciśnięcia maksimum sensacji z każdego zdarzenia, zrobiła z niego krzyczącymi nagłówkami tajemniczego świadka tragedii, którego Komisja miała przesłuchiwać przy zamkniętych drzwiach. Przypomniał sobie tępe skrzeczenie automatu. Bzdura, oczywista bzdura!

Zatrzasnął książkę okrętową, wrzucił ją do szuflady i spojrzął na zegarek.

Ośma, trzeba się spieszyć. Odszukał papiery ładunku. Luki były już zamknięte, kontrola portowa i sanitarna dokonana, deklaracje celne zawizowane, wszystko gotowe. Przejrzał przy biurku certyfikat towarowy i zdziwił się, że nie ma dokładnej specyfikacji frachtu. Maszyny, dobrze, ale jakie maszyny? Jaka tara? Dlaczego brak diagramu załadowania z wykreślonym środkiem ciężkości? Nic, oprócz wagi łącznej i schematycznego szkicu rozlokowania w ładowniach. W rufowych było ledwo 300 ton ładunku — dlaczego? Czyżby statek szedł na zmniejszonym udźwigu? I o czymś takim on dowiaduje się przypadkiem, w ostatniej niemal chwili?! W miarę jak coraz spieszej grzebał się w teczkach, w segregatorach, rozrzucał papiery, wciąż nie mogąc znaleźć tego, którego akurat szukał, tamta historia ulatniała mu się z pamięci, tak że spojrzawszy w pewnej chwili na wyjęty z oprawy radiograf, aż drgnął ze zdziwienia. Za chwilę jednak wpadł mu w ręce jakiś świstek, z którego wyczytał, że w ostatniej ładowni, przytykającej dnem do tarczy ochronnej stosu, znajduje się czterdzieści osiem skrzyń żywności. I znowu na specyfikacji widniało tylko ogólne określenie „łatwo psujące się środki żywnościowe”. Dlaczego zatem umieszczono je tam, gdzie wentylacja jest najgorsza, a temperatura podczas pracy silników najwyższa? Umyślnie, żeby się zepsuły, czy jak?

Rozległo się pukanie.

— Proszę — rzucił, usiłując na chybił trafił powkladać do teczek rozwłócone po całym biurku papiery. Weszło dwóch mężczyzn. Stojąc u progu, odezwali się:

— Boman, inżynier–nukleonik.

— Sims, inżynier–elektryk.

Pirx wstał. Sims był młody, szczupły, z wiewiórczym wyrazem twarzy, pokaszliwał i rzucał oczami. Boman — Pirx na pierwszy rzut oka poznał w nim weterana. Jego twarz

pokrywała opalenizna o charakterystycznym pomarańczowym odcieniu, jaki nadaje długotrwałe działanie drobnych, sumujących się dawek promieni kosmicznych. Siegał Pirxowi ledwo do ramienia: w czasach kiedy zaczynał latać, liczył się jeszcze każdy kilogram wagi na pokładzie. Choć chudy, twarz miał jakby rozlaną, a wokół oczu ciemne torby po obrzękach, jak zwykle u kogoś, przez całe lata poddawanego wielokrotnym przeciążeniom. Dolna warga nie osłaniała zębów.

— Ja też będę kiedyś tak wyglądał — pomyślał Pirx, idąc ku nim z wyciągniętą ręką.

II

Piekło zaczęło się o dziewiątej. Na lotnisku był normalny ruch — do startów kolejka, co sześć minut bełkotanie wielkich megafonów, ostrzegawcze race, potem huk, ryk, grzmot silników na próbie pełnego ciągu, po każdym starcie całymi kaskadami opadał wzbity wysoko kurz, jeszcze dobrze nie osiadł, jak z wieżyczki obwieszczano wolną drogę następnemu — wszystkim spieszyło się, każdy chciał urwać jeszcze parę minut, jak zwykle w towarowym porcie podczas szczytu: prawie każdy statek szedł na Marsa, który wołał rozpaczliwie o maszyny i zieleniny — ludzie nie widzieli tam kawałka jarzyny całymi miesiącami, hydroponiczne solaria dopiero się budowały.

Do podstawianych rakiet toczyły się tymczasem dźwigi, betoniarki, elementy kratowych konstrukcji, bele szklanej waty, cysterny z cementem, ropą, lekarstwa — na sygnał wszyscy ludzie kryli się, gdzie kto mógł, w rowach przeciwpromiennych, w pancierzonych ciągnikach, a jeszcze beton dobrze nie ostygł, kiedy wracali do roboty. O dziesiątej, kiedy słońce, całe w dymach, czerwone, jakby spuchnięte, wzniosło się nad widnokrąg, ochronne przypory betonowe między stanowiskami startowymi były poryte, okopcone, przeżarte ogniem, głębokie pęknięcia zachlapywano naprędce szybko schnącym cementem, który błotnistymi fontannami walił z węzów, tymczasem załogi antyradiacyjne wyskakiwały z transporterów w wielogłowych skafandrach, żeby strugami sprężonego piachu ścierać promieniste zanieczyszczenia, we wszystkie strony na syrenach pędziły pomalowane w czerwono-czarne szachownice łaziki kontroli, na wieży kapitanatu ktoś urywał sobie gardło przy megafonie, u szczytu ostrych wież młynkowały wielkie bumerangi radarów — jednym słowem, wszystko było tak, jak ma być. Pirx dwoił się i troił. Trzeba było przyjąć jeszcze na pokład dostarczone w ostatniej chwili świeże mięso, zatankować wodę do picia, sprawdzić aparaturę chłodni (minimalna wynosiła minus pięć, delegat SPT kręcił głową, ale w końcu zlitował się i podpisał), sprężarki, choć po generalnym remoncie, zaczęły na próbie łzawić spod zaworów, głos Pirxa upodabniał się z wolna do jerychońskiej trąby, naraz okazało się, że woda jest źle rozmieszczona — jakiś kretyń przerzucił zawór, nim wypełniły się denne zbiorniki — podpisywał papiery, wtykano mu po pięć naraz, nie wiedział, co podpisuje. Na zegarze była jedenasta — mieli godzinę do startu, i wtedy bomba.

Kapitanat nie da wolnej drogi, bo stary system dysz, zbyt niebezpieczny opad radioaktywny — statek powinien mieć pomocniczy napęd boro-wodorowy, tak jak Gigant — ten frachtowiec, który startował o szóstej — Pirx, już zachrypnięty od krzyku, naraz się uspokoił. Czy dyspozytor ruchu zdaje sobie sprawę z tego, co mówi? Czy dopiero teraz zauważył Błękitną Gwiazdę? Z tego mogą być wielkie — bardzo wielkie nieprzyjemności. O co chodzi? Dodatkowa osłona? Z czego? Worki z piaskiem. Ile? Bagatelka — trzy tysiące sztuk. Proszę bardzo — on i tak wystartuje w wyznaczonym czasie. Rachunek Kompanii zostanie obciążony. Proszę obciążać.

Pocił się. Wszystko jakby się sprzysięgło, żeby powiększyć jeszcze i tak panujący chaos: elektryk wymyśla mechanikowi, który nie sprawdził awaryjnego rozrządu, drugi pilot wyskoczył gdzieś na pięć minut, nie ma go na pokładzie, z narzeczoną się żegna, felczer w ogóle znikł, czterdzieści pancernych mamutów zajechało pod statek, okrążyło go i ludzie w czarnych kombinezonach biegiem układają worki z piaskiem, semafor na wieżycze nagli ich dzikimi łamańcami, przyszedł jakiś radiogram, zamiast pilota odebrał go elektryk, zapomniał wciągnąć do książki radiowej, zresztą to nie jego rzecz, Pirxowi kręciło się już w głowie, udawał tylko, że wie, co się dzieje — na dwadzieścia minut przed godziną zero powziął dramatyczną decyzję: kazał przepompować całą wodę z dziobowych zbiorników na rufę. Niech się dzieje, co chce — najwyżej zagotuje się, ale za to statyczność będą mieli lepszą.

O jedenastej czterdzieści — próba silników. Od tej chwili odwrotu już nie było. Okazało

się, że nie wszyscy ludzie są do niczego — zwłaszcza Boman przypadł mu do gustu — nie widziało się go ani słyszało, a wszystko szło jak w zegarku: przedmuch dysz, mały ciąg, pełny — na sześć minut przed zerem, kiedy kapitanat wyrzucił sygnał DO STARTU, byli gotowi. Wszyscy leżeli już na rozłożonych fotelach, gdy znalazł się felczer; drugi pilot, Mulat, wrócił, bardzo markotny, od narzeczonej, głośnik charczał, beczał, mruczał, nareszcie wskazówka automatu nakryła zero, dostali wolną drogę. Start.

Pirx wiedział oczywiście, że 19 000 ton to nie patrolowa skorupka, w której jest akurat tyle miejsca, żeby się szeroko uśmiechnąć, statek nie pchła, nie skoczy, trzeba wyrabiać ciąg — ale czegoś takiego się nie spodziewał. Mieli już pół mocy na zegarach, kadłub drżał od rufowych wyrzutni do szczytu, jakby się miał rozlecieć w kawałki, a wskaźnik obciążenia mówił, że jeszcze się nie oderwali od betonu. Przemknęło mu przez głowę, że Gwiazda może zaczepiła o coś — podobno taka rzecz zdarza się raz na sto lat — w tym momencie wskaźnik ruszył. Stali na ogniu, Gwiazda dygotała, wskazówka grawimetru tańczyła jak szalona po skali; z westchnieniem osunął się na poduszki, rozluźniając mięśnie — odtąd, choćby chciał, nic już nie mógł zrobić. Szli w górę. Od razu dostali radiowe upomnienie za start całą mocą — bo to daje nadmierne skażenie radioaktywne. Kompania będzie obciążona dodatkową, karną opłatą. Kompania? Bardzo dobrze, niech płaci, niech ją cholera weźmie! Pirx tylko się skrzywił, nie próbował nawet spierać się z kapitanatem, że startował połową ciągu. Czy miał może lądować, wzywać komisję i żądać protokolarnego odpięczętowania zapisu w uranografach?

Zresztą w tej chwili miał na głowie coś zupełnie innego: przebijanie atmosfery. W życiu nie siedział jeszcze na statku, który się tak trząsł. Podobnie mogli się czuć chyba tylko ludzie w głowicy średniowiecznego taranu, walącego mur. Wszystko wprost skakało, latali w pasach, że dusza z nich wychodziła, grawimetr nie mógł się zdecydować, pokazywał to 3,8 to 4,9, podpełzał bezwstydnie do piątki i jak przestraszony zlatywał nagle na trzy. Zupełnie, jakby kluski mieli w wyrzutniach! Szli już całą mocą, oczywista, Pirx obiema rękami przyciskał haubę do głowy, bo inaczej nie słyszał głosu pilota w słuchawkach — tak ryczała Gwiazda! Nie był to triumfalny grzmot balistyczny. Jej walka z ziemską grawitacją przypominała pełną rozpacz agonię. Przez dobre parę minut można było myśleć, że to nie oni startują z Ziemi, ale wiszą nieruchomo, odpychając planetę całą mocą odrzutu — tak wyczuwalny był pełen męczarni wysiłek Gwiazdy! Wszystkie blachy, złącza aż zamazało w konturach od wibracji i Pirxowi wydało się, że słyszy trzaskanie puszcających szwów, ale to było złudzenie — w tym piekle nie — złowiłby nawet trąb sądu ostatecznego.

Temperatura powłoki dziobu — o, to był jedyny wskaźnik, który się nie wahał, nie cofał, nie skakał ani nie zatrzymywał, ale spokojnie laźł w górę, jakby miał przed sobą jeszcze co najmniej metr miejsca na skali, a nie same końcowe, czerwone cyfry: 2500, 2800 — zostało ledwo parę kresiek, kiedy Pirx spojrział w tę stronę. Przy tym nie mieli nawet szybkości orbitalnej, wszystko, czego się dorobili, to było 6.6 km/sek. w czternastej minucie lotu! Przeszyła go okropna myśl, jak w koszmarze, który nawiedza czasem pilotów, że w ogóle się nie oderwał, a to, co bierze za śmigające w ekranach chmury, jest po prostu parą buchającą z pękniętych rur chłodzenia! Tak źle jednak nie było: lecieli. Felczer leżał bładny jak ściana i chorował. Pirx pomyślał sobie, że z opieki lekarskiej, którą ten nad nimi roztoczy, nie będzie wielkiej, pociechy. Inżynierowie trzymali się dobrze, a Boman nawet się nie spocił — leżał sobie siwy, spokojny, szczerpy, jak chłopczyk, z zamkniętymi oczami. Spod foteli, z amortyzatorów sikał na podłogę płyn hydrauliczny, aż miło — tłoki dobiegały niemal do końca, Pirx był tylko ciekaw, co się stanie, jak naprawdę dobiją.

Ponieważ był przyzwyczajony do całkiem innego, nowoczesnego układu zegarów, wciąż głowa obracała mu się w niewłaściwą stronę, kiedy chciał skontrolować ciąg, chłodzenie, szybkość, co tam z powłoką, no i przede wszystkim, czy siedzą na synergicznej.

Pilot, z którym porozumiewał się krzykami przez interkom, trochę jakby się stracił — to

wchodzili na kurs, to wychodzili, wahnięcia naturalnie drobne, ułamkowe, ale przy przebijaniu atmosfery wystarczą, żeby zaraz jedna burta zaczęła grzać się mocniej od drugiej — w pancerzu powstają wtedy kolosalne napięcia termiczne, skutki mogą być fatalne — pocieszał się tylko nadzieją, że skoro ta kosmata skorupa wytrzymała setki startów, to wytrzyma i ten.

Wskazówka termopary naprawdę doszła do końca skali: 3500 stopni jak obszył, tyle mieli na zewnątrz, i gdyby to miało trwać jeszcze dziesięć minut, wiedział, że powłoka zacznie się rozłazić — karbidki też nie są niezniszczalne. Jaki gruby pancerz? Na to nie było żadnego wskaźnika, w każdym razie —porządnie nadpalony. Robiło mu się gorąco, ale tylko z wrażliwością, bo wewnętrzny termometr stał na dwudziestu siedmiu jak przy starcie. Byli na sześćdziesiątym kilometrze, atmosfera została praktycznie pod nimi, szybkość — 7,4 km/sek. Szli trochę równiej, ale wciąż na potrójnym niemal ciężeniu. Gwiazda ruszała się jak ołowiany kloc. W żaden sposób można jej było uczciwie rozpędzić — nawet w próżni. Dla czego? Pojęcia nie miał.

Pół godziny potem leżeli już na kursie Arbitra — dopiero za tym, ostatnim z pelengujących satelitów, mieli wejść szlak ekliptyczny Ziemia—Mars. Wszyscy popodnosili się, Boman masował sobie twarz, Pirx czuł, że i jemu też obrzękły trochę wargi, zwłaszcza dolna — ludzie mieli przekrwione, strzykane oczy, suchy kaszel i chrypkę, ale to były normalne objawy, przechodzące zwykle bez śladu po jakiejś godzinie.

Stos pracował jako tako, ciąg wprawdzie nie spadł, ale i nie urósł, a w próżni powinien się był właściwie zwiększyć — jakoś nie chciał. Nawet prawa fizyki zdawały się obowiązywać tylko mniej więcej na Gwieździe. Mieli prawie normalne, ziemskie! przyspieszenie i 11 kilometrów na sekundę. Oczekiwało ich jeszcze rozpędzenie Gwiazdy do normalnej kurierskiej, inaczej bowiem wlekliby się na Marsa miesiącami; na razie szli prosto na Arbitra.

Pirx, jak każdy nawigator, oczekiwał od niego samych tylko przykrości — a to ostrzeżenia, że statek ma nieprzepisowo wielki płomień wylotowy, a to, że odbiera mu się pierwszeństwo dla przepuszczenia jakiegoś ważniejszego, a to, że wyładowania jonizacyjne w dyszach zakłócają radiowy odbiór — tymczasem nic. Arbitr przepuścił ich od razu, dogonił ich jeszcze radiogram „wysokiej próżni”, Pirx odpowiedział i na tym skończyła się wymiana kosmicznych grzeczności.

Weszli na kurs bezpośredni, Pirx kazał zwiększyć ciąg, przyspieszenie wzrosło, można już było ruszać się, rozprostować kości, wstać — radiomonter, który był i kucharzem, poszedł do kambuza. Wszyscy byli przy apetytach, zwłaszcza Pirx, który nie jadł jeszcze nic, a przy starcie spociał się jak mysz; w sterowni temperatura teraz dopiero zaczęła rosnać, bo żar rozpalonego pancerza przenikał do wnętrza z opóźnieniem. Czuć było rzadki olej, który wyciekł z hydraulików i otoczył fotele całymi kałużami.

Jądrowiec zjechał do stosu sprawdzić, czy nie ma neutronowych przecieków. Pirx rozmawiał tymczasem z elektrykiem, przyglądając się gwiazdom. Okazało się, że mają wspólnych znajomych. Pirxowi pierwszy raz od chwili, kiedy stanął na pokładzie, poczęło robić się raźniej na duszy: jaka ta Gwiazda jest, taka jest, a 19 000 ton — nie w kij dmuchał. Zresztą prowadzić takiego trupa jest znacznie trudniej niż przeciętny frachtowiec, więc i honor większy, i doświadczenie się gromadzi.

Półtora miliona kilometrów za Arbitrem przeżyli pierwszy wstrząs: obiadu nie dało się jeść. Radiomonter zawiódł straszliwie. Najbardziej pieklił się felczer — okazało się, że jest chory na żołądek, przed samym startem kupił kilka kur, dał jedną monterowi — i rosół był pełen pierza. Dla reszty miały być befsztyki — można było zajmować się nimi przez resztę życia.

— Hartowane, czy co? — powiedział drugi pilot i tak dziabnął widelcem swoją porcję, że wyskoczyła z talerza.

Monter był niewrażliwy na docinki. Poradził felczerowi, żeby sobie ten rosół precedził.

Pirx czuł, że powinien wystąpić jako rozjemca, a właściwie jako zwierzchnik, ale nie wiedział, co robić. Chciało mu się śmiać.

Po obiedzie z puszki wrócił do sterowna. Kazał zrobić pilotowi kontrolny fix gwiazdowy i wpisawszy do książki okrętowej zapisy grawimetrów, spojrzął na zegary stosu. Gwizdnął cichutko. To nie był stos, ale wulkan. Miał osiemset stopni w obudowie — po czterech godzinach lotu. Chłodziwo krążyło pod maksymalnym ciśnieniem dwudziestu atmosfer. Pirx zastanowił się. Najgorsze jak gdyby już przeszli. Lądowanie na Marsie nie stanowiło problemu — ciążenie o połowę mniejsze, atmosfera rzadka. Jakoś siądą. Inna rzecz, że ze stosem trzeba coś zrobić. Podszedł do Kalkulatora i obliczył, jak długo muszą jeszcze iść obecnym ciągiem, żeby wleźć na kurierską. Przy szybkości mniejszej od 80 km/sek. wyrobiliby olbrzymie opóźnienie.

— Jeszcze siedemdziesiąt osiem godzin — odpowiedział Kalkulator.

Siedemdziesiąt osiem takich godzin musiało rozsadzić stos. Rozleciałby się jak jajko. O tym Pirx nie wątpił. Zdecydował, że wyrobią szybkość na raty — po trochu. Tyle, że to skomplikuje trochę kurs, no i lecieć trzeba będzie okresami bez ciągu, więc bez grawitacji — co nie należy do przyjemności. Innej rady jednak nie było. Kazał pilotowi nie spuszczać oka z astrokompasu, a sam zjechał windą na dół, do reaktora. Idąc ciemnym korytarzem między ładowniami, usłyszał przygłuszony łomot — jakby po żelaznych płytach szedł pancerny zastęp.

Przyspieszył kroku. Naraz kot przeleciał mu czarną smugą pod nogami, a równocześnie gdzieś blisko huknęły drzwi. Zanim oświetlona zabrudzonymi lampami czeluść głównego korytarza otworzyła się przed nim, wszystko ucichło. Miał przed sobą pustkę poczerwiałych ścian, tylko w głębi jakaś jarzeniówka drgała jeszcze od wstrząsu, który rozchybotał ją przed chwilą.

— Terminus! — krzyknął na chybił trafił. Odpowiedziało tylko echo, Zawrócił i burtowym przejściem dostał się do przedsiionka stosu. Bomana, który zjechał tu przed nim, już nie było. Wysuszone na piasek powietrze szczypało w oczy. W lejach wentylatorów buszował gorący wiatr, szum i hałas był taki, jak w parowej kotłowni. Stos, jak każdy stos, pracował bezgłośnie — wyły obciążone do ostateczności agregaty chłodzenia. Zamurowane w betonie kilometry rurociągów, którymi śmigał lodowaty płyn, wydawały przedziwne, jakby skarżące się, bełkotliwe jęki. Strzałki pomp leżały za soczewkowatymi szklami pochylone jak jedna na prawo. Pośród zegarów jaśniał jak księżyc najważniejszy — gęstości strumienia neutronów. Wskazówka dotykała niemal czerwonej granicy — widok, który każdego inspektora SPT mógł przyprawić o udar serca.

Chropawa od cementowych łat, podobna do skały betonowa ściana zionęła martwym upałem, blachy pomostu delikatnie wibrowały, wsącżając w całe jego ciało nieprzyjemne drżenie, światło lamp połyskiwało tłusto w migocących tarczach wentylatorów; jedna z sygnałowych lampek, dotąd biała, poczęła mrugać, aż zgasła i wnet zapłonął w tym miejscu czerwony sygnał. Wszedł pod pomost, gdzie mieściły się wyłączniki rozrządu, ale Boman uprzedził go już: zegarowy automat nastawiony był na rozerwanie reakcji łańcuchowej za cztery godziny. Nie ruszył go, skontrolował tylko Geigery. Cykały spokojnie. Sygnalizator wskazywał drobny przeciek — 0,3 rentgena na godzinę. Zajrzał jeszcze w ciemny kąt komory. Był pusty. — Terminus! — krzyknął. — Hej, Terminus! Nie było odpowiedzi. W klatkach białymi plamkami skakały niespokojnie myszy — widać kiepsko się czuły w iście podzwrotnikowej temperaturze. Wrócił na górę i zaryglował za sobą drzwi. Dreszcz przeszedł go w chłodnym powietrzu korytarza — koszulę miał mokrą od potu. Nie wiadomo po co zapuścił się w zwięzające się ku tyłowi, ciemnawe korytarze rufy, aż drogę zamknął mu ślepy mur. Dotknął go dłonią. Mur był ciepły. Westchnął, zawrócił, pojechał windą na czwarty pokład, do nawigacyjnej i wziął się do wykreślenia kursu. Kiedy się z tym uporał, zegar wskazywał dziewiątą. Zdziwił się, bo ani spostrzegł, jak zleciał mu czas, Zgasił światło i

wyszedł.

Wsiadając do windy poczuł, że podłoga uchodzi mu miękko spod stóp. Automat wyłączył stos zgodnie z programem.

W słabo oświetlonym nocnymi lampkami korytarzu śródokręcia miarowo szumiały wentylatory. Iskry dalekich żarówek filowały w krzyżujących się prądach powietrza. Odepchnął się lekko od drzwi windy i popłynął przed siebie. Boczna sekcja korytarza była jeszcze ciemniejsza. W niebieskawym półmroku mijał drzwi kajut, do których ani dotąd nie zajrzał. Ujścia rezerwowych włazów, oznaczone rubinowymi lampkami, otwierały swe czarne leje. Ten tak płynny, że jak gdyby śniony ruch, jakim sunął, nieważki pod zakłętymi stropami, z wielkim, nie dotykany stopą cieniem u stóp, wiódł go coraz dalej, aż przez uchylone drzwi wpłynął do wielkiej, nie używanej mesy. Pod nim, w smudze światła, długi stół flankowały rzędy foteli. Trwał w zawieszeniu ponad sprzętami, jak nurek, zwiedzający wnętrze zatopionego okrętu. W słabo połyskujących szklach u ściany zatańczyły odbicia lamp, rozsypały się niebieskimi płomyczkami i zgasły. Za mesą otwierało się następne, jeszcze ciemniejsze pomieszczenie. Tu nawet jego przywykłe do mroku oczy zawiodły. Po omacku dotknął końcami palców elastycznej powierzchni nie wiedząc, czy to strop, czy podłoga. Odepchnął się lekko, wykręcił jak pływak i pomknął bezgłośnie dalej. W aksamitnej czerni białą, promieniując własnym światłem, podługowate, szeregiem ustawione kształty. Poczul zimno gładkiej powierzchni — to były umywalnie. Najbliższą pokrywały czarne plamy. Krew?

Wyciągnął ostrożnie rękę. To był towot.

Jeszcze jedne drzwi. Otworzył je, wisząc skośnie w powietrzu, w szarawym półmroku przefrunęły przed jego twarzą widmowym korowodem jakieś papiery, książki, i zaszeleściwszy słabo, znikły. Znów odbił się, tym razem nogami, i przez otwarte drzwi wychynął na korytarz w kłębach kurzu, który otoczył go i zamiast spaść, ciągnął za nim rudawym welonem.

Sznur nocnych świateł płonął nieruchomo. Jakby niebieska woda wypełniała pokłady. Poszybował ku wiszącej u stropu linie; pętla, gdy wypuszczał je z rąk, poczynąły wężować leniwie, jakby zbudzone dotknięciem.

Podniósł głowę. Gdzieś, niedaleko, rozległo się stukanie. Ktoś uderzał młotkiem w metal. Płynął za tym dźwiękiem, to narastającym, to ginącym, aż dostrzegł wpuszczone w podłogę zardzewiałe szyny. Kiedyś wtaczano nimi lory do głównych ładowni. Leciał teraz szybko, z podmuchem powietrza na twarzy. Dźwięk kołatał głośnie. Naraz zobaczył pod stropem rurę. Wychodziła z poprzecznego korytarza. Stary, calowy przewód

rurociągu. Dotknął go. Rura zadrgała. Uderzenia łączyły się w grupy, po dwa, po trzy. Nagle zrozumiał. To był alfabet Morsego.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

— Uwaga...

— Uwaga... Trzy uderzenia,

— J-e-s-t-e-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a- — dudniła rura. Odruchowo składał litery, zgłoskę po zgłosce,

— L-o-d-w-s-z-e-d-z-i-e...

— Lód? — Nie rozumiał w pierwszej chwili. Może lód? Jaki lód? Co to znaczy? Kto...

— Z-b-i-o-r-n-i-k-p-e-k-n-i-e-t-y- — odezwała się rura. Trzymał na niej dłoń. Kto to nadaje? Gdzie? Usiłował uzmysłwić sobie przebieg rurociągu. Był to nie używany przewód awaryjny, szedł z rufy, oddając odgałęzienia na wszystkich pokładach. Ktoś ćwiczy się w Morsie? Co za pomysł! Pilot?

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Pauza.

Pirx przestał oddychać. To nazwisko trafiło go jak cios. Jakąś sekundę patrzył rozszerzonymi oczami na przewód, naraz rzucił się naprzód. — To ten drugi pilot! —

pomyślał, dopadł zakrętu, odepchnął się i leciał ku sterowni, nabierając szybkości, a rura dzwoniła nad nim:

— W-a-y-n-e-t-u-s-i-m-o-n...

Dźwięk oddalił się. Stracił rurę z oczu; rzucił się w bok — skręcała w poprzeczny korytarz. Z impetem odbił się od ściany i poprzez obłok kurzu wpatrzył się w zgięty kikut rury z wkręconą, zardzewiałą zaślepką. Urywała się tu. Nie szła do sterowni? Więc — więc to z rufy? Ale — tam — nikogo nie ma...

— P-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-o-s-t-a-t-n-i-a — dzwoniła rura. Wisiał pod stropem, zaczepiony zgiętymi palcami o rurę, jak nietoperz, tętna waliły mu w głowie. Po krótkiej pauzie poszły dalsze uderzenia:

— B-u-t-l-a-m-a-t-r-z-y-d-z-i-e-ś-c-i-d-o-z-e-r-a... Trzy uderzenia.

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n... Pauza.

Rozejrzał się. Było zupełnie cicho, tylko żaluzja wentylatora kłapała za zakrętem w podmuchach powietrza i wymiatane stamtąd śmieci ciągnęły wirując ospale w górę, rzucając ponad lampami cienie na strop, jakby całymi rojami polatywały tam

wielkie, niekształtne ćmy. Naraz posypały się gwałtowne uderzenia :

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-p-r-a-t-t-m-o-m-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a-m-a-t-l-e-n-w-s-i-o-d-m-y-m-c-z-y-m-o-z-e-s-z-p-r-z-e-j-s-e-o-d-b-l-o-r...

Pauza. Światło lamp było wciąż jednakowe, śmieci i kurz krążyły powolnymi obrotami, Chciał puścić rurę, ale nie mógł.

Czekał. Odezwała się.

— S-i-m-o-n-d-o-m-o-m-s-s-e-n-a-p-r-a-t-t-w-s-z-o-s-t-y-m-z-a-g-r-o-d-z-i-a-z-o-s-t-a-t-n-i-a-b-u-t-l-a-m-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

Ostatnie, ciężkie uderzenie. Rura wibrowała po nim długo. Pauza. Kilkanaście niezrozumiałych stuknięć i szybka seria:

— S-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i-s-l-a-b-o-d-o-c-h-o-d-z-i...

Cisza.

— P-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t-o-d-b-i-o-r...

Cisza.

Rura drgnęła. Jakby z bardzo daleka dochodziły oderwane stuknięcia. Trzy kreski. Trzy kropki. Trzy kreski. SOS. Każde następne uderzenie było słabsze. Jeszcze dwie kreski. I jeszcze jedna. I przeciągły, zamierający dźwięk, jakby ktoś skrobał czy drapał rurę — można go było słyszeć tylko w tej bezwzględnej ciszy.

Odepchnął się i głową naprzód poleciał wzdłuż rury, zakręcał, gdy ona zakręcała, unosił się, opadał, z podmuchem rozstępującego się powietrza na twarzy. Otwarty szyb. Pochylnia. Zwężające się ściany. Jedne, drugie, trzecie wrota ładowni. Zrobiło się ciemniej. Wiódł końcami palców po rurze, żeby jej nie zgubić, czarny, zapiekły kurz oskorupiał mu dłonie; był już poza pokładami, w pozbawionej stropów i podłóg przestrzeni, oddzielającej pancierz zewnętrzny od ładowni; między trawersami ciemniały napuchłe cielska rezerwowych zbiorników, z wysoka docierały tu pojedyncze, pełne kurzu smugi światła. W jakiejś chwili spojrzął w górę i zobaczył poprzez czarny szyb dwie ulice lamp, rude od prochu, który ciągnął się za nim wydłużonym obłokiem, jak dym niewidzialnego pożaru. Powietrze było tu zatechłe, duszne, o woni nagrzaných blach. Szybował pośród ledwo majaczących cieni żelaznej konstrukcji, rura dzwoniła przeciągle:

— P-r-a-t-t-p-r-a-t-t-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-p-r-a-t-t... Rura rozwidliła się. Zaciskał w rękach oba odgałęzienia, żeby wyczuć, skąd biegnie dźwięk, ale nie mógł odróżnić kierunku. Na chybił trafił puścił się w lewo. Jakiś właz. Zwężający się, czarny jak smoła tunel. Na końcu — okrągłe światło. Wypadł na wolną przestrzeń. Był w przedsiionku reaktora.

— T-u-w-a-y-n-e-p-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a — dzwoniła rura, kiedy

— Plombuję przeciek. Cztery dziesiąte rentgena na godzinę. Czy mogę plombować dalej ?

— Nadawałeś Morsem. Co nadawałeś?

— Morsem — powtórzył dokładnie tym samym tonem automat i dorzucił: — Nie rozumiem. Czy — mogę plombować dalej?

— Możesz... — mruknął Pirx. Patrzył na wielkie, powoli prostujące się ręce. — Tak, możesz...

Czekał. Terminus nie widział go już. Nabrał lewą ręką cementu i cisnął go błyskawicznym ruchem. Przytwierdził — rozpląszczył — wygładził: trzy uderzenia. Teraz prawa ręka pośpieszyła ku lewej i rura zabębniła:

— P-r-a-t-t-l-e-ż-y-w-s-z-o-s-t-y-m...

— M-o-m-s-s-e-n...

— O-d-e-z-w-i-j-s-i-e-m-o-m-s-s-e-n...

— Gdzie jest Pratt?!!! — krzyknął Pirx przeraźliwie.

Terminus, którego ręce stawały się w świetle połyskliwymi smugami, odpowiedział natychmiast:

— Nie wiem.

Równocześnie wystukiwał z taką szybkością, że Pirx ledwo chwycił:

— P-r-a-t-t-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a...

W tym momencie stało się coś zdumiewającego. Na tę serię, wybijaną prawą rękawicą, nałożyła się druga, daleko słabsza — wystukiwały ją palce lewej; sygnały zmieszały się i przez kilkanaście sekund rurociąg trząsł się z hałasem podwójnego kucia, z którego wychyłała zamierająca seria:

— Z-m-n-o-w-r-e-c-e-n-i-m-o-g-j-u-z...

— Terminus... — powiedział, samymi wargami, Pirx. Cofał się ku żelaznym schodkom. Automat nie usłyszał go. Jego tors, świecący od oliwy, drgał zgodnie z rytmem pracy. Nawet nie słuchając, z samych jego błysnięć mógł Pirx odczytać:

— M-o-m-s-s-e-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

III

Leżał na wznak. Ciemność roiła się od błysków, powstających w jego oczach. Pratt szedł w głąb statku. Tak? Kończył mu się tlen. Tamci dwaj nie mogli mu pomóc. A Momssen? Dlaczego nie odpowiadał? Może nie żył już? Nie, Simon słyszał go. Musiał być gdzieś blisko — o ścianę. O ścianę? To by znaczyło, że pomieszczenie, w którym był Momssen, zawierało powietrze. Inaczej tamten nic by nie słyszał. Co słyszał? Kroki? Dlaczego wzywali go? Dlaczego się nie odzywał?

Rozdzielone na kropki i kreski głosy agonii. Terminus. Jak to się stało? Odnaleziono go pod stosem zwalisk, na dnie komory. Zapewne w miejscu, gdzie rurociąg wychodzi z niej na zewnątrz. Zasypany rumowiskiem, mógł słyszeć stukanie — jak długo? Zapasy tlenu są znaczne. Mogą wystarczyć na miesiące. Żywność też. A więc spoczywał tam, pod gruzami... zarazi Nie było przecież ciężenia. Co go unieruchomiło? Chyba zimno. Automaty nie mogą poruszać się przy bardzo niskiej temperaturze. Olej ścina się w stawach. Płyn hydrauliczny zamarza i rozsadza przewody. Pozostaje tylko metalowy mózg — tylko mózg. Mógł słyszeć i utrwalac sygnały, coraz słabsze, zachowały się w elektrycznych zwojach jego pamięci, jakby to było wczoraj. A on sam o tym nie wie? Jak to może być? Nie wie, że modelują rytm jego pracy? Może kłamie? Nie — automaty nie kłamią.

Zmęczenie zalewało go jak czarna woda. Może nie należało tego słuchać? Było w tym coś ohydneho, tak przypatrywać się utrwalonej w każdym szczególe agonii, śledzić jej postępy, żeby analizować potem każdy sygnał, wołanie o tlen, krzyk. Nie wolno tego robić — jeśli nie można pomóc. Był już tak nieprzytomny, że nie wiedział, o czym myśli, ale powtarzał jeszcze wargami, bez głosu, jakby sprzeciwiając się komuś:

— Nie. Nie. Nie.

Potem nie było już nic.

Zerwał się w zupełnej ciemności. Chciał usiąść na łóżku, ale przypięta kołdra nie puściła, po omacku mocował się z pasami, zrobił światło.

Silniki pracowały. Narzucił płaszcz, oceniając jednocześnie kilkakrotnym ugięciem kolan wielkość przyspieszenia. Jego ciało ważyło dobrze ponad sto kilogramów. Z półtora g? Rakieta skręcała, czuł wyraźną wibrację, szafy w ścianach potrzaskiwały przeciągle, ostrzegawczo, drzwi jednej otwały się z gniewnym krakaniem, wszystkie nie umocowane przedmioty, ubranie, buciki, posuwały się drobnymi ruchami w stronę rufy, jakby zjednoczone w jakimś skrytym zamiarze, który je znienacka ożywił.

Podszedł do szafki interkomu, otworzył drzwiczki, w środku stał aparat, podobny do starego telefonu.

— Sterownia! — krzyknął do słuchawki.

Aż skrzywił się od własnego głosu — tak bolała go głowa.

— Tu pierwszy. Co tam?

— Poprawka kursowa, nawigatorze — odpowiedział daleki głos pilota. — Zniosło nas trochę.

— Ile?

— Sze-siedem sekund.

— Jak stos? — zapytał powoli.

— Sześćset dwadzieścia w osłonie.

— A w ładowniach?

— Burtowe po pięćdziesiąt dwa. kilowe — czterdzieści siedem, rufowe — dwadzieścia dziewięć i pięćdziesiąt pięć.

— Jakie tam było odchylenie, Munro? Ile pan powiedział?

— Siedem sekund.

— Powiedzmy — odparł Pirx i rzucił słuchawkę. Pilot, oczywiście, ołgał go. Siedmiosekundowa poprawka nie wymagałaby takich przyspieszeń. Oceniał zejście z kursu na kilka stopni.

Paskudnie grzeją się te ładownie. Co jest w rufowej? Żywność? Usiadł przy biurku.

Błękitna Gwiazda Terra Mars do Kompo Ziemia. Pierwszy do armatora. Reaktor grzeje ładunek stop brak specyfikacji zagrożonego na rufie stop proszę wskazania stop nawigator Pirx koniec.

Pisał jeszcze, kiedy silniki umilkły, ciężenie znikło i od nacisku ołówka uniósł się w powietrze. Niecierpliwie odbił się od sufitu, by wylądowawszy z powrotem na fotelu, przeczytać jeszcze raz radiogram.

Po zastanowieniu się przedarł formularz i wrzucił kawałki do szuflady. Senność odeszła go na dobre, pozostał tylko ból głowy. Ubierać się nie chciał, była to, przy braku grawitacji, skomplikowana procedura, złożona z chwiejnych podskoków i szamotania się z poszczególnymi częściami garderoby, więc tak, jak stał, w płaszczu narzuconym na pidżamę, opuścił kajutę.

Błękit nocnego oświetlenia skrywał żalostny stan obić. W czterech najbliższych wnękach dyszały puste i czarne wyloty szybów wentylacyjnych, wałęsające się po kątach śmieci ścigało ku nim, niczym muł unoszony podmorskim prądem. Bezwzględna cisza wypełniała cały statek. Wsłuchany w nią, prawie nie poruszając się, zawisły przed wielkim własnym cieniem, który trwał skośnie pochylony na ścianie, przymknął oczy. Zdarzało się czasem, że ludzie zasypiali w takim zawieszeniu, ale było to niebezpieczne — byle zryw silników, uruchomionych dla manewru, mógł cisnąć bezbronnym o pokład czy strop. Nie słyszał już ani wentylatorów, ani szumu własnej krwi. Wydało mu się, że potrafiłby tę ciszę nocną statku odróżnić od każdej innej. Na ziemi czuło się ograniczenie ciszy, jej skończoność, chwilowość. Wśród księżycowych wydm człowiek niósł z sobą własne, małe milczenie, uwięzione we wnętrzu skafandra, który wyolbrzymiał każde skrzypnięcie rzemieni nośnych, każde chrupnięcie stawów, tętno, nawet oddech — tylko statek nocą zatracił się w czarnym, lodowym milczeniu. Podniósł zegarek do oczu; dochodziła trzecia. Jeżeli tak dalej pójdzie, wykończę się — pomyślał. Odbił się od wypukłej ścianki działowej i niczym gaszący szybkość ptak wylądował z rozpostartymi rękami na progu kajuty. Z daleka, jakby z żelaznych podziemi, dobiegł go ledwo słyszalny dźwięk.

Bang — bang — bang.

Trzy uderzenia.

Z przekleństwem zatrzasnął drzwi, zdjął płaszcz, i nie troszcząc się on, cisnął go w powietrze; płaszcz wydał się powoli, niczym groteskowe widmo, jał płynąć w górę. Zgasił światło, położył się i okrył głowę poduszką.

Wariat! Przeklęty żelazny wariat!!! — powtarzał z zaciśniętymi powiekami, drżąc z niezrozumiałej dla samego siebie wściekłości. Zmęczenie wzięło szybko górę: ani wiedział, kiedy

znów zasnął.

Otworzył oczy przed siódmą. Półprzytomny jeszcze, podniósł rękę — nie opadła. Ciężenia nie było. Ubrał się i wyszedł. Zmierzając do sterowni, mimo woli nasłuchiwał. Było cicho. Przed drzwiami zatrzymał się. Na matowych szybach leżały zielonkawe, jakby podwodne, refleksy radarowych ekranów. W środku panował półmrok. Pilot, na wpół leżąc w swoim fotelu, palił papierosa. Płaskie smugi dymu pływały przed ekranami, zapalając się od ich odbłasku. Słysząc było nikłe pobrzękiwanie jakiejś ziemskiej muzyczki, przerywane kosmicznymi trzaskami. Pirx usiadł z tyłu za pilotem; nie chciało mu się nawet sprawdzić zapisów grawimetrycznych.

— Kiedy ciąg? — spytał. Pilot był domyślny.

— O ósmej. Ale jeżeli pan się chce wykapać, nawigatorze, mogę dać zaraz — to żadna

różnica.

— E, nie. Niech już będzie porządek — mruknął Pirx. Zapadło milczenie, tylko głośnik bzycał powtarzającym się w kółko, mechanicznym motywem melodii. Pirxa jął znowu morzyć sen. Ocykał się kilka razy, znowu zapadał w drzemkę, z ciemności występowały wielkie, zielone ślepie kotów, mrugał powiekami, zamieniały się w oświetlone zegary — balansował tak na granicy jawy i snu, wtem głośnik trzasnął i odezwał się:

— Tu mówi Dejmos. Jest godzina siódma trzydzieści. Nadajemy codzienny komunikat meteorytowy dla strefy wewnętrznej. Pod wpływem pola grawitacyjnego Marsa powstało w roju Drakonidów, który opuścił już strefę Pasa, za wicherzenie brzeżne. W dniu dzisiejszym będzie ono przechodzić przez sektory 83, 84 i 87. Stacja meteorytowa Marsa szacuje rozmiary chmury na 400 tysięcy kilometrów sześciennych. W związku z tym ogłasza się sektory 83, 84 i 87 za zamknięte dla żeglugi aż do odwołania. Obecnie podamy skład chmury, przekazany bezpośrednio przez sondy balistyczne Fobosa. Według otrzymanego ostatnio doniesienia chmurę tworzą mikrometeoryty klasy X, XY, Z...

— Dobrze, że to nie dla nas — zauważył pilot — dopiero co zjadłem śniadanie, nie posłużyłoby mi, jakby tak przyszło dać wszystko w dysze!

— Ile robimy? — spytał Pirx, Wstał.

— Ponad pięćdziesiąt.

— Tak? Nie najgorzej — mruknął Pirx. Sprawdził kurs, zapisy uranografów, wielkość przecieku — utrzymywał się na jednakowym poziomie — i poszedł do mesy. Byli tam już obaj j oficerowie. Pirx czekał, czy któryś nie wspomni o nocnych hałasach, ale rozmowa obracała się cały czas wokół loteryjnego ciągnięcia — niecierpliwie wyczekiwał go Sims i z tej racji opowiadał o kolegach i znajomych, którym udało się wygrać.

Po śniadaniu Pirx udał się do nawigacyjnej nakreślić przebyty odcinek drogi. W pewnej chwili wbił cyrkle w rysownicę, wyszarpnął szufladę, dobył z niej książkę okrętową i poszukał składu ostatniej załogi KORIOLANA.

Oficerowie: Pratt i Wayne, piloci: Nolan i Potter mechanicz: Simon...

Wpatrywał się uporczywie w zamaszyste pismo dowódcy. Na koniec wrzucił książkę do szuflady, dokończył kreślenia i z rulonem kalki pojechał do sterowni. W pół godziny obliczył dokładny czas przybycia na Marsa. Wracając, zajrzał przez szybę w drzwiach do mesy. Oficerowie grali w szachy, felczer siedział przed telewizorem z elektryczną grzałką na brzuchu. Pirx zamknął się w kajucie i przejrzał radiogramy, które wzięł od pilota. Ani się obejrzał, jak zmorzył go sen. Kilka razy w drzemce zdawało mu się, że silniki zaczynają ciągnąć, i usiłował się obudzić z takim skutkiem, że śnił, jak wstaje, idzie do sterowni, znajduje ją pustą i w poszukiwaniu kogokolwiek z załogi poczyna błędzić w ciemnym jak smoła labiryncie rufowych korytarzy. Ocknął się przy biurku, mokry od potu. zły, bo przeczuwał już, jaką będzie miał noc po tyłu przespanych za dnia godzinach. Kiedy pod wieczór pilot włączył silniki, skorzystał z tego i wzięł gorącą kąpiel. Odświeżony, poszedł do mesy, wypił przygotowaną kawę i spytał przez telefon wachtowego o temperaturę reaktora. Podpełzała pod tysiąc, ale jakoś nie mogła przekroczyć krytycznej. Około dziesiątej wezwała go sterownia — mijali jakiś statek, który wywołał ich, pytając o lekarza. Pirx, dowiedziawszy się, że chodzi o ostry atak ślepej kiszki na pokładzie, wołał nie polecać swego felczera, tym bardziej że w odległości ledwo trzech milionów kilometrów szedł wielki pasażerski, który ogłosił gotowość zastopowania i przerzucenia lekarzy.

I tak leniwie, bez przygód, upłynął cały dzień. O jedenastej białe światło zmieniło na wszystkich pokładach, z wyjątkiem sterowni i komory stosu, mżenie błękitnawych lampek nocnych. W mesie świeciła jeszcze niemal do północy mała lampa nad szachownicą. Siedział tam Sims. Grał sam przeciw sobie. Pirx poszedł jeszcze sprawdzić temperaturę w dennych ładowniach i spotkał po drodze wracającego ze stosu Bomana. Inżynier był raczej dobrej myśli — przeciek nie wzrastał, a chłodzenie działało wcale sprawnie.

Inżynier pożegnał się i odszedł, zostawiwszy Pirxa w pustym, chłodnym korytarzu. Słaby wiew ciągnął w górę statku, resztki zakurzonych pajęczyn osnuwających wyloty wentylacyjne trzepotały bezgłośnie.

Pinc chodził jakiś czas wysokim jak nawa kościelna przejściem między głównymi ładowniami, aż kilka minut po północy silniki zamilkły.

Z różnych stron statku dobiegła go seria zmieszanych, ostrych i stłumionych, coraz dalszych i słabszych odgłosów — to nie przymocowane przedmioty, poruszając się z nadanym przyspieszeniem, uderzały o ściany, stropy, podłogi; echo tych ruchów, które na moment wypełniły nagle jakby ożywający statek, drżało chwilę w powietrzu, aż zgasło i znowu była cisza, podkreślona miarowym szumem wentylatorów.

Pirx przypomniał sobie, że szuflada biurka w nawigacyjnym jest spaczona, i w poszukiwaniu stolarskiego dłuta zeszedł długim, wąskim jak kiszka korytarzem między lewoburtową ładownią a tunelem kablowym do rupieciarni, najbardziej chyba zakurzonego miejsca statku; na dodatek kurz, w którym brodził wyżej głowy, nie opadał, tak że na pół uduszony ledwo trafił po omacku w wyjściowe drzwi.

Był już blisko śródkręcia, kiedy w korytarzu odezwały się kroki. Wobec braku ciężenia iść mógł tylko automat. W samej rzeczy donośnym stąpnięciem towarzyszył trzask przywierających do podłogi magnetycznych ssawek. Pirx zaczekał, aż w przejściu ukazała się czarna na tle dalekich świateł sylweta. Terminus szedł, chwiejąc się niepewnie, z wielkimi wymachami ramion.

— Hej. Terminus! — odezwał się, wychodząc z cienia.

— Słucham.

Ciężka postać zatrzymała się; korpus poszedł bezwładnością do przodu i powoli odzyskał pion.

— Co tu robisz?

— Myszy — odpowiedział głos zza piersiowej tarczy potęgując wrażenie, że z wnętrza pierściennej zbroi przemawia zachrypnięty karzeł. — Myszy mają niespokojny sen. Budzą się. Biegają. Są spragnione. Jeżeli są spragnione, trzeba im dać wody. Myszy dużo piją, jeżeli wysoka temperatura.

— A co ty robisz? — zagadnął Pirx. Automat zakołysał się.

— Wysoka temperatura. Chodzę. Wciąż chodzę, jeżeli wysoka temperatura. Wody myszom. Jeżeli wypiją i usną, dobrze.

Niejednokrotnie wydarzały się pomyłki na skutek wysokiej temperatury. Czuwam. Wychodzę, wracam do reaktora. Wody myszom...

— Niesiesz wodę myszom? — spytał Pirx.

— Tak. Terminus.

— Gdzie masz tę wodę?

Automat powtórzył jeszcze dwa razy „wysoka temperatura” i z ludzającym wrażeniem, że działa w nim ukryty człowiek — bo wykonał obu rękami gest zaskoczenia, szybki i nieporadny zarazem, podnosząc je kolejno do oczu, których obiektywy poruszyły się w oczodołowej oprawie, skierowane na wewnątrz metalowych dłoni — powiedział:

— Nie ma wody. Terminus.

— Więc gdzie jest ta woda? — nalegał Pirx. Spod przymrużonych powiek obserwował górującego nad nim o głowę robota, który wydał kilka niezrozumiałych odgłosów i nieoczekiwanie wyrzekł basem:

— Za... pomniałem.

Pirx stracił się — tak bezbrinnie to zabrzmiało. Przez dobrą chwilę mierzył chwiejający się lekko korpus.

— Zapomniałeś, co? Idź do reaktora. Wracaj. Słyszysz?!

— Słucham.

Terminus zachrząścił. wykonał zwrot na miejscu i jał oddalać się tym samym, nadmiernie sztywnym ł przez to jakby starczym krokiem. Małał w perspektywie korytarza. Na jednym z ostatnich progów potknął się. zawiosłował ciężko barami, chwycił równowagę i znikł w poprzecznym przejściu. Jakaś chwilę ściany powtarzały echo jego marszu. Pirx zaczął wracać do siebie, naraz rozmyślił się i płynąc bezszelestnie nad podłogą, dotarł do szóstego wentylacyjnego. Poruszanie się szybami, nawet przy wyłączonych silnikach, było zabronione, ale zlekceważył zakaz. Odepchnął się silnie od relingów i w dziesięć sekund przesybował odległość siedmiu pięter, dzielącą śródkręcie od rufy. Nie wszedł do komory stosu. W połowie wysokości ściany widniała podłużna zasowa. Podpłynął ku mej. odryglował wąskie drzwiczki i odsunął je. Za drzwiczkami znajdowało się wpasowane w stal. prostokątne okienko z ołowiowego szkła. stanowiące tylną ścianę klatek z myszami. Dzięki temu można je było obserwować, nie wchodząc do komory. Zobaczył, tuż za szkłem, zanieczyszczone, puste dna klatek, a dalej, poprzez druciane siatki, w głębi komory, oświetlone z wysoka lampą. błyszczące reflektorami, złane wodą plecy robota, który wisiał niemal poziomo w powietrzu, ospale poruszając rękami. Całą jego zbroję oblażyły białe myszki; biegając truchcikiem po blachach naramienników, piersiowych tarcz, skupiając się tam. gdzie w zakłęśnościach rozczłonkowanego brzucha nagromadziła się grubymi kroplami woda. zlizywały ją. podskakiwały, polatywały w powietrzu, a Terminus łowił je, przemykały mu między żelaznymi palcami, ich ogonki zwijały się w esy i floresy — obraz był tak osobliwy, tak komiczny, że Pirxowi zachciało się śmiać. Terminus wtykał tymczasem schwyte myszy do klatek, jego metalowa twarz niebezpiecznie zbliżyła się do oczu Pirxa, ale najwidoczniej nie dostrzegł go. Jeszcze dwie, trzy myszki polatywały w powietrzu. Terminus uporał się i z nimi, zamknął klatkę i znikł Pirxowi z oczu — tylko jego nadludzki cień, oparty o mufę głównego rurociągu, rozwianym krzyżem położył się na betonie reaktora.

Pirx zasunął cicho drzwiczki, wrócił do kajuty, rozebrał się i położył, ale nie mógł usnąć. Jakiś czas czytał pamiętniki astrogatora Irvinga, ale oczy piekły go, jak zasypane piaskiem, głowa ciążyła, zarazem jednak trzeźwy był jak pieprz. Pomyślał z rozpaczą o ilości godzin, dzielących go od dnia, i narzuciwszy płaszcz wyszedł.

Na skrzyżowaniu głównego korytarza z burtowym dobiegło go z wentylacyjnego szybu stąpanie. Przybliżył głowę do kraty otworu. Odgłos, zniekształcony echem żelaznej studni, płynął z dołu. Odepchnął się od kraty, szybując chwilę nogami naprzód, i najbliższym pionowym przejściem dostał się na poziom rufy. Kroki rozebrzmiały głośniejsz, zamarły, nasłuchiwał — odezwały się z nową siłą. Automat wracał. Pirx oczekiwał go pod samym stropem wysokiego w tym miejscu korytarza. W głębi pokładu zgrzytały powłócone podeszwy. Dźwięk zgasł. Tracił już cierpliwość, gdy stąpanie ponowiło się, z przejścia wychynał długi cień i w ślad za nim ukazał się Terminus. Przeszedł pod Pirxem tak blisko, że słysząc było bicie jego hydraulicznego serca. Kilkanaście kroków dalej przystanął i wydał przeciągły syk. Potem chybnął się parę razy w prawo i w lewo. jakby kłaniał się żelaznym ścianom, i ruszył przed siebie. U ciemnego wejścia w boczny korytarz znowu stanął. Zajrzał tam. Przeciągłe syczenie powtórzyło się. Pirx, ledwo dotykając końcami palców stropu, popłynął za ciężką postacią.

— Kcsss... kcsss... — dochodziło go coraz wyraźniej. Terminus jeszcze raz przystanął przed następnym szybem wentylacyjnym, usiłował wsadzić głowę przez kraty, ale nie udało mu się; zasyczał, wyprostował się wolno i pokuśtykał dalej. Pirx miał tego dość.

— Terminus!! — krzyknął, Automat, który właśnie się pochylał, zastygł w pół ruchu.

— Słucham — odpowiedział. — Co znowu tu robisz?

Patrzył w spłaszczoną metalową maskę, chociaż nie była twarzą — i nie mogła nic zdradzić.

— Szukam... — odezwał się Terminus. — Szukam... kota.

— Co?!

Terminus jął się prostować. Rósł w górę, z bezwładnie zwisającymi ramionami, jakby o nich zapomniał, a przez to, że w słabym poskrzypywaniu stawów robił to tak wolno, ruch ten miał w sobie coś groźnego.

— Szukam kota — powtórzył.

— Po co?!

Terminus milczał chwilę, zastygł w posąg z metalu.

— Nie wiem — powiedział cicho i Pirx zmieszał się. Przez swój martwy spokój, w słabym blasku lamp, z pordzewiałymi szynami torowiska u zamkniętych wrót, korytarz wyglądał jak sztolnia opuszczonej kopalni.

— Dostyc tego — odezwał się wreszcie. — Wracaj do reaktora i nie wychodź stamtąd, słyszysz?!

— Słucham.

Terminus odwrócił się i odszedł. Pirx został sam. Prąd powietrza unosił go, zawisłego między stropem i podłogą, milimetr po milimetrze, w stronę otwartej paszczy wentylatora. Odbił się stopą od ścian, skręcił ku windzie i poszybował w górę, mijając po drodze czarne ziewy szybów, w których, jak chód olbrzymiego zegara, dudniły coraz słabsze i dalsze kroki automatu.

IV

W ciągu następnych dni pochłonęła Pirxa matematyka. Za każdym nowym włączeniem stos grzał się coraz bardziej, zarazem jego wydajność malała. Boman przypuszczał, że neutronowe lustra są bliskie ruiny. Świadczył o tym wzrastający wolno, lecz nieubłaganie przeciek radioaktywny. Skomplikowanym rachunkiem starał się wydozować czasy napędu i chłodzenia, podczas przestojów reaktora przerzucał cyrkulację mrożącego płynu z burtowych ładowni w głąb rufowych, gdzie panowała istic tropikalna temperatura. To lawirowanie między sprzecznymi wielkościami wymagało cierpliwości — przesiadywał przy Kalkulatorze, szukając metodą prób i błędów najlepszego rozwiązania. W rezultacie przebyli czterdzieści trzy miliony kilometrów ze znikomym opóźnieniem. W piątym dniu podróży osiągnęli, na przekór pesymistycznym przewidywaniom Bomana, wymagany pułap szybkości. Wyłączając reaktor, który miał stygnąć aż do ładowania, Pirx odetchnął skrycie. Jedną z osobliwości dowodzenia starym frachtowcem było to, że widywał gwiazdy daleko rzadziej aniżeli na Ziemi. Nie był ich zresztą ciekaw — nawet czerwonej jak miedziak tarczki Marsa; wystarczyły mu kursowe wykresy.

Późnym wieczorem ostatniego dnia podróży, kiedy przerywana z rzadka błękitnymi lampkami ciemność powiększyła jak gdyby pokłady, przypomniał sobie o ładowniach. Dotychczas nawet do nich nie zajrzał.

Opuścił mesę, w której Sims grał, jak co dzień, w szachy z Bomanem, i zjechał windą na rufę. Od ostatniego spotkania nie widział ani nie słyszał Terminusa. Zauważył tylko, że kot przepadł gdzieś tak gruntownie, jakby go w ogóle nie było na statku.

Ledwo oświetlone śródkręcie oddychało szelestem płynącego bez końca powietrza. Gdy otworzył drzwi, w hali zapaliły się pod grubą warstwą kurzu lampy. Przemierzył ładownię z jednego końca w drugi. Sterty skrzyń, sięgające niemal stropu, rozdzielało wąskie przejście. Sprawdzał napięcie stalowych taśm, zakotwiczonych w podłodze, którymi ściągnięta była każda piramida ładunku, a wywołany otwarciem drzwi przeciąg wysysał z ciemnych katów kłęby trocin, śmieci, pakuły, falujące słabo, niby kozuch rzęsy na wodzie.

Był już na korytarzu, kiedy usłyszał miarowe, powolne dźwięki.

— Uwaga... Trzy uderzenia.

Dryfował chwilę w prądzie powietrza, który unosił go coraz wyżej. Czy chciał, czy nie chciał — musiał słuchać. Rozmawiało ich dwóch. Sygnały były słabe — jakby oszczędzali się, miarkując siłę uderzeń. Przychodziły raz wolniej, raz szybciej, jeden mylił się często, jakby zapomniał alfabetu Morsego. Czasem milczeli dłuższy czas, czasem zaczynali nadawać równocześnie. Czarny korytarz z rozrzuconymi rzadko lampami zdawał się nie mieć końca, jakby szumiący w nim wiatr pochodził z bezgranicznej pustki.

— S-i-m-o-n-s-l-y-s-z-y-s-z-g-o — powoli, nieregularnie stukało w rurze.

— N-i-e-s-l-y-s-z-e — n-i-e-s-l-y-s-z-e...

Z pasją odepchnął się od ściany i skulony, z podkurczonymi nogami, jak kamień pomknął w dół korytarzami coraz gorzej oświetlonymi; zbliżanie się rufy poznawał po rosnącej ilości delikatnego rudawego pyłu wokół lamp. Ciężkie drzwi stosu były nie domknięte. Zajrzał do środka.

W komorze było chłodno. Sprężarki, odstawione na noc, milczały, czasem tylko dziwnym, prawie ludzkim głosem zabelkotał ukryty w betonowym murze rurociąg, kiedy bańki gazu torowały sobie drogę przez gęstniejący płyn.

Terminus, ochlapany cementem, pracował. Nad jego poruszającą się wahadłowo czaszką furczał zawzięcie wentylator. Pirx, nie dotykając stopni schodów, zsunął się nad nimi z ręką na poręczy. Żelazne rękawice podzwiękiwały słabo, ich ciosy tłumila warstwa świeżo narzuconego cementu. — N-i-e-s-l-y-s-z-e... o-d-b-i-o-r...

Czy sprawiał to przypadek, czy też nakaz spowolnienia uderzeń płynął z tego samego źródła, które wysyłało znaki Morsego, dość że rura odzywała się wciąż słabiej. Pirx stał tuż przy automacie. Rozczłonkowane segmenty jego brzucha, zachodzące na siebie, gdy się pochylał, przypominały karbowany odwłok owada. W szklanych oczach chwiały się miniaturowe odbicia lamp. Wpatrzony w nie Pirx poczuł, że jest w tej pustej komorze o stromych ścianach sam. Terminus nie wiedział, co robi, był maszyna, przekazująca utrwalone serie dźwięków, niczym więcej. Uderzenia wciąż słabły.

— S-i-m-o-n-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e — chwycił z wysiłkiem. Rytm rozpadał się. Dotknął rury jakies pół metra nad zgiętym torsem pracującego automatu — kiedy poprawiał chwyt, kostki palców stuknęły o żelazo i nadawana właśnie seria urwała się na mgnienie. Przeszyty nagłym impulsem, nim zdążył pomyśleć, jak szalona jest chęć wtrącenia się do rozmowy sprzed lat, począł szybko wybijać:

— C-z-e-m-u-m-o-m-s-s-e-n-n-i-e-o-d-p-o-w-i-a-d-a... o-d-b-i-o-r...

Niemal w tej samej chwili, gdy uderzył pierwszy raz w rurę, stuknął w nią Terminus. Oba dźwięki zbiegły się, rękawica automatu zamarła, jakby usłyszawszy go, i kiedy skończył, po kilku sekundach zaczęła wtłaczać cement w szpary złącza. Rura zadźwięczała:

— B-o-m-a-p-r-a...

Pauza. Terminus schylił się, by zaczerpnąć cementowego ciasta. Czy to był początek odpowiedzi? Pirx czekał bez tchu. Automat prostował się, ciskając gwałtownie cement, i rurą poszły przyspieszające uderzenia:

— S-i-m-o-n-c-z-y-t-o-t-y...

— T-u-s-i-m-o-n-n-i-e-j-a... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l...

Wcisnął głowę w ramiona; uderzenia leciały jak grad:

— K-t-o-m-o-w-i-l-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e-k-t-o-m-o-w... k-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o-m-o-w-i-l-k-t-o-m-o-w-i-l-t-u-s-i-m-o-n-t-u-w-a-y-n-e-o-d-e-z-w-i-j-s-i-e...

— Terminus! — krzyknął. — Przestań! Przestań!

Dudnienie ustało. Terminus prostował się, a jego naramienniki, barki, rękawice podrygiwały, cały korpus drgał żelazną czkawką, i z tych spazmatycznych wstrząsów Pirx odczytywał dalej:

— K-t-o-m-o-w-i-l... k-t-o... k-t-o...

— Przestań!!! — krzyknął raz jeszcze. Widział go z boku; ciężkie plecy przeszywał dreszcz, i refleks światła, odbitego od pancerza, powtarzał:

— K-t-o...

Jak gdyby wyczerpany burzą, która przez niego przeszła, automat drętwiał. Unosząc się nad podłogą, zawadził z przeciągłym zgrzytnięciem o pozioma gałąź rurociągu i zawisł przy niej, jakby schwyty, w martwym spokoju, ale wpatrzywszy się weń. Pirx dostrzegł milimetrowe drganie bezwładnie opuszczonej ręki.

— K-t-o...

Nie wiedział, jak znalazł się na korytarzu. Wentylatory szumiały. Płynął przed siebie, pod idący z górnych pokładów, chłodny, suchy wiatr, światła lamp oświetlającymi kręgami przesuwają mu się po twarzy.

Drzwi kajuty były nie domknięte. Na biurku paliła się lampa, płaskie kliny światła docierały dołem do ścian; strop był ciemny.

Kto to był? Kto go tak wołał? Simon? Wayne? Ależ ich nie było! Nie żyli od dziewiętnastu lat!

Więc kto to był — Terminus? Ależ on uszczelniał tylko rurociągi. Wiedział dobrze, co usłyszysz, jeśli spróbuje go badać — gadaninę o rentgenach, przecieku i plombach. Nie podejrzewa nawet, że odgłos jego pracy układa się w widmowy rytm.

Jedno jest pewne: ten zapis — jeśli to zapis — nie jest martwy. Kimkolwiek są ci ludzie —

te głosy, te uderzenia — można z nimi mówić. Jeśli się tylko ma odwagę...

Odepchnął się od stropu i przepłynął chwiejnie do przeciwległej ściany. Do diabła! Chciało mu się chodzić, chodzić gwałtownymi krokami, mieć ciężar, uderzyć z całej siły pięścią w stół! Ten, pozornie tak wygodny stan, w którym przedmioty i własne ciało zmieniały się w niematerialne cienie, był jak koszmar. Wszystko, czego się tknął, usuwało się, odpływało, niepewne, pozbawione oparcia, stawało się wydętą pustką, pozorem, snem...

Snem?

Zaraz. Kiedy śni mi się ktoś i zadaje mu pytanie, nie znam odpowiedzi, dopóki nie padnie z jego ust. a przecież ten śniony człowiek nie istnieje poza moim mózgiem i jest tylko czasowo wyodrębnioną jego częścią. Każdy rozszczepia się tak niemal co dzień, a właściwie co nocy — dając początek chwilowym, na użytek jednego majaku powstałym pseudoosobowościom. Mogą to być istoty wymyślone — albo wzięte z jawy. Czy nie śnią nam się nieraz umarli? Czy nie prowadzimy z nimi rozmów?

Umarli.

Czyżby Terminus...

W swoim na pół świadomym krążeniu po kajucie, przepływając od jednej ściany do drugiej, odtrącany od twardych płaszczyzn, dotarł do drzwi i chwycił się ich. Widział ciemny wycinek korytarza z padającą w tę ciemność smugą światła.

Wrócić tam?

Wrócić i — pytać?

Jest to jakieś zjawisko fizykalne — bardziej skomplikowane od zwykłego zapisu; automat nie jest, w końcu, urządzeniem do utrwalania dźwięków. Powstał w nim zapis, obdarzony pewną autonomicznością, zmiennością, któremu — jakkolwiek brzmi to dziwnie — można stawiać pytania i dowiedzieć się — wszystkiego. Poznać losy Simona, Nolana, Pottera i to niezrozumiałe, przerażające — milczenie dowódcy.

Czy można wyobrazić sobie jakieś inne wytłumaczenie?

Chyba nie.

Był tego pewien, a jednak nie ruszał się z miejsca, jakby na coś czekał.

Koniec końców, nie ma w tym nic oprócz obiegu prądów wewnątrz żelaznego pudła. Nikogo żywego, żadnej istoty, ginącej w ciemności strzaskanego statku. Na pewno nic!

Wystukiwać, pod szklanymi oczami Terminusa, pytania? Ależ oni, zamiast wziąć się do składowego opowiadania swojej historii, zaczną krzyczeć do niego, wołać o tlen, o ratunek! Co odpowiedzieć? Że nie istnieją? Że są tylko „pseudoosobowosciami—mi”, wyizolowanymi wyspami elektrycznego mózgu, jego majaczeniem, jego czkawką? Że ich strach jest tylko imitacją strachu, a ich agonie, powtarzana każdej nocy, znaczy tyle, co zdarta płyta? Pamiętał jeszcze wywołany swym pytaniem gwałtowny zryw uderzeń, ten krzyk, którym, pełni zdumienia i zbudzonej nieoczekiwanej nadziei, przyzywali go, to powtarzające się bez końca, natarczywe, pospieszne błaganie: „Odezwij się! Kto mówi? Odezwij się!!!”

Miał jeszcze w uszach, czuł w końcach palców rozpacz i furję tych uderzeń.

Nie istnieli? A więc kto go wzywał — kto wołał pomocy? I co z tego, gdyby fachowcy powiedzieli, że za tym krzykiem nie ma nic oprócz wirowania ładunków i drżenia zbudzonych rezonansem blach? Usiadł przy biurku. Wysunął szufladę. Przydusił gniewnie wstające z szelestem papiery, odnalazł ten, którego szukał, rozpostarł go przed sobą i wygładził starannie, by nie fruwał w oddechu. Wpisywał kolejno w drukowane rubryki:

MODEL: *AST — Pm — 105/OO44*

TYP: *Uniwersalny Naprawczy*

NAZWA: *Terminus*

RODZAJ USZKODZENIA: *Rozpad funkcji*

WNIOSKI... Zawahał się. Przybliżył pióro do papieru i cofał je. Myślał o niewinności maszyn, które człowiek obdarzył zdolnością myślenia i uczynił je przez to uczestnikami

swych szaleństw. O tym, że mit Golema, maszyny zbuntowanej i powstającej przeciw człowiekowi, jest kłamstwem, wymyślonym po to, żeby ci, co niosą za wszystko odpowiedzialność, mogli ją z siebie zrzucić.

WNIOSKI: *Zdać na złom.*

I u dołu karty podpisał się z nieruchomą twarzą:

Pierwszy nawigator Pirx.